

Nowy tom bestsellerowej serii


AMBER

Ann
Cleevés

MEWA



MEWA

Ann
Cleeves

MEWA

Przekład
KATARZYNA PRZYBYŚ-PREISKORN



Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce
© Phil/AdobeStock
Zdjęcie Brendy Blethyn © ITV Studios/Helen Turton

Tytuł oryginału
The Seagull

Copyright © 2017 by Ann Cleeves
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2023 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 9788324182619

Warszawa 2023. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
www.wydawnictwoamber.pl

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

PROLOG

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.
- 21.
- 22.
- 23.
- 24.
- 25.
- 26.
- 27.
- 28.
- 29.
- 30.
- 31.
- 32.
- 33.
- 34.
- 35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

48.

49.

PROLOG

Czerwiec 1995 r.

Mimo że ciemności nie rozjaśniały tu latarnie, kobieta mogła dojrzeć panoramę całej zatoki. Czasami wydawało jej się, że większość życia spędziła w półmroku; w snach zawsze widziała siebie w świetle księżyca lub neonów; niekiedy płynęła w powietrzu, opromieniona blaskiem świtu. Najbardziej rozbudzona była zawsze w nocy; nic się nie zmieniło.

Czekała, aż usłyszy kroki osoby, z którą miała się spotkać. Z oddali docierały odgłosy miasta: jazgotliwa muzyka i piskliwe śmiechy podpitych ludzi. Mimo niedzielnej nocy, na ulicy wciąż trwała zabawa; tłumy wylewały się z barów i klubów na chodniki i imprezowały dalej w piękną, parną, gorącą, czerwcową pogodę. Spanish City, miejscowe wesołe miasteczko, było już zamknięte. Przynajmniej tam było cicho. Girlandy kolorowych żarówek oświetlały zarysy karuzel. W dzień wyglądało to kiczowato, teraz zachwycająco. Księżyc w pełni srebrzył kopułę restauracji, morską latarnię za plecami kobiety i zmysłowe krzywizny secesyjnego budynku „Mewy”. Gdybyście tylko wiedzieli, westchnęła pod adresem eleganckich gości we frakach i wieczorowych sukniach, którzy siedzieli na tarasie, popijając cocktaile i szampana. Gdybyście tylko wiedzieli, co tam się naprawdę dzieje.

Zatopiona w myślach przestała wyczekiwać kroków. Zorientowała się, że ktoś stoi za nią, dopiero gdy poczuła na szyi oddech, a na ramionach dotyk dłoni.

I.

John spoglądał na drzwi ze swego inwalidzkiego wózka i zastanawiał się, kogo dzisiaj ściągną na pogadankę. Sanitariusz przyniósł mu kubek herbaty. Postawił go na podłodze, choć musiał wiedzieć, że nie da się go dosięgnąć z wózka. John przez chwilę miał zamiar na niego nakrzyczeć, żeby okazał choć trochę szacunku, ale doszedł do wniosku, że nie warto się wysilać. Ze względu na gościa, w gabinecie kapelana czekały czekoladowe ciasteczka, ale wszyscy wiedzieli, że talerz pojawi się dopiero po spotkaniu, i to pod warunkiem, że grupa będzie się dobrze zachowywać. Siedzieli w kaplicy w półokręgu: grupka starszych panów o takich samych poszarzałych twarzach, w tak samo niedopasowanych ubraniach. Zastanawiał się, jak do tego doszło. Przecież on tu nie pasował. Kiedy przyjechał, nie panował nad gniewem, który trawił go każdej nocy. Planował zemstę, marzył, by się odegrać, ale panująca tu rutyna uspokoiła go. Teraz żył, a właściwie drzemał, od posiłku do posiłku. Dni mijały mu bez celu, w półsennym oczekiwaniu, żeby wreszcie skończył się ten czas, wróciło normalne życie i te nieczęste chwile radości, które nadawały mu sens. Przez pewien czas wyczekiwał tych prelekcji, które przerywały codzienną nudę. Teraz nienawidził ich, bo przypominały o świecie na zewnątrz.

Wszyscy wokół rozmawiali, ale ich pogawędki przepływały ponad nim. Pomimo szumów w tle, i tak pierwszy usłyszał nadejście gościa. Zgrzyt klucza w zamku na końcu korytarza, brzęczyk oznaczający otwarcie kraty, potem zgrzyt zamykanego ponownie zamka i brzęk pęku kluczy wkładanego do szaszki przy pasku. Kiedyś to on byłby gościem przepuszczanym przez te drzwi, ale to było tak dawno, że te wspomnienia jakby należały do kogoś innego. Albo do postaci z książki. Usłyszał kroki na błyszczącym linoleum, a potem znowu klucze. Teraz już i reszta je słyszała i w sali podniósł się szmerek oczekiwania. *Biedni frajerzy. Co tydzień im się wydaje, że wreszcie przyjdzie ktoś interesujący. Jakaś śliczna kobietka albo prawnik, który wymyśli jak ich stąd wyciągnąć. Albo dziennikarz, który zechce kupić historię ich życia i zarobić dla nich fortunę. I jak co tydzień, czeka ich rozczarowanie.*

Pierwszy wszedł kapelan, lizus o nerwowym uśmiešku. Śmierdziało mu z ust. John miewał w zespole podobnych do niego potakiwaczy i zawsze pozbywał się ich przy pierwszej nadarzącej się okazji. Więzienie to idealna posadka dla natrętnych kaznodziei, pomyślał. Ich słowa padają na podatny grunt, bo zdesperowanych ludzi można przekonać do wszystkiego. Przekupić herbatką w filiżankach z porcelany i czekoladowymi ciastkami, żeby tylko przyszli na mszę. Wysłuchiwać ich opowieści o ciężkim życiu i niewinności. A potem dać im religię. Niektórzy brali ją na serio. Czytywali Biblię w celach, nawet kiedy klawisze nie patrzyli, odwracali się od bójek na swoim piętrze. John poszedłby o zakład, że na wolności wszystko to z nich spłynie.

Kapelan odsunął się, żeby przepuścić gościa, a potem odwrócił się do drzwi i przekręcił klucz. Zanim John podniósł wzrok, wyczuł rozczarowanie oczekujących mężczyzn. W nowo przybyłej osobie ewidentnie nie było nic, co by ich zainteresowało. Żadnych fajerwerków, które ubarwiłyby ich szare życie. Nie przyszła ani młoda laska w obcisłych dżinsach i zwiewnej bluzeczce, ani ładny chłopczyk – dla tych o odmiennej orientacji. Obrócił wózek, żeby popatrzeć na twarze sąsiadów, którzy powrócili do pogawędek z kolegami. Kobieta zatrzymała się przy samych drzwiach, na barwnej plamie światła. Promienie słońca przechodzące przez jeden z witraży sprawiały wrażenie jakby stała w czerwonej kałuży. Jej postawną sylwetkę okrywała bezkształtna sukienka w fioletowe kwiaty. Na bosych stopach miała sandały, z rodzaju tych, których używają turyści i wspinacze. Jej postawa i spojrzenie, którym omiotła zgromadzonych, zdradzały, że to ostatnie miejsce, w którym chciałyby się znaleźć. Niecierpliwiła się i chciała mieć to jak najszybciej za sobą.

Coś drgnęło w jego pamięci. Ta sylwetka, te nogi rozstawione szeroko, jakby trzeba było buldożera, żeby ją przesunąć, te brązowe, guzikowe oczy, skanujące pomieszczenie. Był wtedy w domu na wzgórzach i popijał whisky. Nawet teraz, siedząc na wózku, w sali przenikniętej wonią cebuli i środków dezynfekcyjnych, które czuć było w całym budynku, czuł nutę torfu w tamtym trunku i żar otwartego ognia na policzkach. Pamiętał wspólną obsesję, przez którą stracił pracę i ostatecznie znalazł się w tym piekle, z dala od jednej z niewielu osób, którym kiedykolwiek w życiu był potrzebny. Oczywiście, widywał ją później, ale właśnie to wspomnienie utkwilo mu w pamięci. Poczul też iskierkę nadziei, cień pomysłu, szansę na ucieczkę. Jej pojawienie się tutaj graniczyło z cudem. Nie był religijny, ale czasem modlił się w tej kaplicy o boską interwencję i zdaje się, że jego modlitwy zostały wysłuchane. To była Vera Stanhope. Córka Hectora, policjantka. A on miał informacje na sprzedaż.

2.

Vera pojawiła się w więzieniu, ponieważ jej szef, absolwent skróconych studiów uniwersyteckich, lubił sam podejmować decyzje i sprawnie wykorzystywał swój urok osobisty do manipulowania ludźmi. Nieustannie pouczał ich o konieczności wczuwania się w doświadczenia ofiary. Nie była pewna, czy sam wymyślił tę mantrę, czy przyszła z góry. Nie miała pojęcia, co to ma oznaczać i podejrzewała, że jej szef też nie. Nazywał się Watkins i od razu, kiedy przyszedł do nich do pracy, zaczęła podejrzewać, że chce się jej pozbyć. Z jednej strony czuł się zagrożony jej obecnością, z drugiej był od niej zależny. Nienawidził jej, ponieważ była mu potrzebna. Dzień wcześniej wezwał ją do swojego pokoju.

– Kapelan z Warkworth poprosił nas o prelegenta.

Warkworth było więzieniem kategorii B; miało wystarczający system zabezpieczeń, aby trzymać w nim młodocianych przestępców i dożywotnich więźniów zbliżających się do końca wyroku. Mieściło się w dawnych koszarach wojskowych z szeregiem budynków mieszkalnych otoczonych murem i drutem kolczastym. Zimą było tam błoto, a wiatr hulał po całym terenie, sprawiając, że więźniowie marzli jak polewani lodowatą wodą. Teraz był wrzesień i suche lato, więc funkcjonariusze i strażnicy mogli chodzić po terenie bez kurtek i kaloszy.

– Chcą, żeby ktoś porozmawiał z mężczyznami z OSN.

– OSN? – Akronimy zmieniano prawie tak samo często, jak żona Joe Ashwortha odwiedzała porodówkę.

– Oddział Seniorów i Niepełnosprawnych.

Vera wiedziała, co to oznacza. Wykorzystywanie seksualne w przeszłości. Starsi faceci, którzy dopuścili się gwałtu, gdy mieli poczucie władzy i uprawnienia, związane ze statusem i kontaktami. Więźniowie, którzy zostaliby pobici za zadawanie się z dziećmi, gdyby przebywali na skrzydle z innymi osadzonymi, ale zestarli się w więzieniu tak bardzo, że teraz potrzebowali opiekunów, aby rano wstać z łóżka. Oznaczało to również skorumpowanych policjantów, którzy unikali oskarżeń przez tak długi czas, że niemal uszło im to na sucho, dopóki nowe pokolenie z innym podejściem do pracy nie rzuciło ich wilkom na pożarcie. Gdyby wsadzić ich na oddział z bandą oszustów z wieloletnimi wyrokami, zostaliby dosłownie rozerwani na strzępy.

– Nie możesz wysłać Ashwortha. – Vera i tak wiedziała, że Joe by tego nie zniósł. Miał dzieci i ciężko przeżywał sprawy o znęcanie się lub wykorzystywanie nieletnich. – Jest tu potrzebny.

Myślała intensywnie. Będzie musiała podsunąć mu kogoś innego. Kiedy szef raz wpadł na jakiś pomysł, nie dawał się od niego odwieść. Na nic zdawały się próby odwrócenia jego uwagi i nadzieja, że o wszystkim zapomni. Było w nim coś nieustępliwego; nigdy się nie poddawał.

– A co z Jackman? Mogłaby się czegoś nauczyć i dobrze by to wyglądało w jej CV. Zawsze uważaliśmy ją za kandydatkę do awansu.

Może to by dobrze zrobiło naszej Holly. Poznałaby paru starych wyjadaczy. Zobaczyłaby, gdzie lądują faceci, których najchętniej posadziłaby na lata i wyrzuciła klucz.

Vera ostatnio czuła się lepiej nastawiona do Holly, ale nadal uważała, że jej koleżance brakuje ludzkiego podejścia.

– Powiedziałem im, że to ty przyjedziesz. – Spojrzał na biurko, napotkał jej wzrok. Wyzwanie. Nieprzejednane. – Starszy rangą policjant zawsze robi wrażenie.

Mogła się wymigać, ale wiedział, że nie są zajęci. A ona wiedziała, że przeorganizowałyby cały jej tydzień, żeby dopiąć swego. Tylko po to, by udowodnić, że potrafi. W dawnych czasach bronilaby się rękami i nogami, ale teraz, gdy się postarzała, zrozumiała że nie warto rozpoczynać bitwy bez szans na wygraną. A już na pewno nie walki o przewagę. Nie z tak zimnym mężczyzną. Powiedziała sobie, że musi mieć bardzo małego fiuta, jeśli widzi w niej jakiegokolwiek zagrożenie i skinęła głową.

– Czemu nie? – powiedziała. – Popołudnie poza biurem i miła przejażdżka wzdłuż wybrzeża. Czemu nie? – Obdarzyła go swoim najlepszym uśmiechem i wyszła z pokoju.

Właśnie zaczął się rok szkolny, więc na drodze w górę wybrzeża panował spokój. Zatrzymała się w Drift Café w Druridge na wczesny lunch. Kanapki z krabem i domowa babka z cytrynowym lukrem. Odrobina rozkoszy. Poczowała się jak na wagarach i nagle przyszło jej do głowy, że mogłaby przejść na wcześniejszą emeryturę. Wtedy nie musiałyby mieć wyrzutów sumienia, gdyby chciała mieć dzień tylko dla siebie. Skończyła pięćdziesiątkę, z pełną emeryturą mogła odejść w każdej chwili. Na razie nikt jej do tego nie zmuszał, ale być może szef chce pozbyć jej się wcześniej i dlatego zmusił ją do tej pogawędki dla starych pierników. Żeby zrozumiała aluzję. Pieprzyć go. *Miałam do czynienia z gorszymi od niego w tej pracy i odejdę, kiedy będę gotowa.* Kusiły ją lody, ale pomyślała, że zatrzyma się na nie w drodze do domu. Nie było po co spieszyć się z powrotem do biura.

Zamknęła telefon i torebkę w schowku samochodu i podeszła do bramy. W poczekalni dla odwiedzających ustawiła się kolejka. Młode kobiety, z wyglądu za młode na matki, ignorowały dzieci w wózkach, przeglądając telefony, zanim będą musiały je oddać przy wejściu. Przedwcześnie postarzałe kobiety pewnie odwiedzały nieporadnych synów. Do starszych, niepełnosprawnych więźniów raczej nikt nie przychodził w gości. Żony miałyby balkoniki, a dzieci pewnie wyrzekły się takich rodziców wiele lat wcześniej, ze wstydu. Pokazała przepustkę funkcjonariuszowi w recepcji, przeszła przez automatyczne drzwi i czekała na ziemi niczyjej, aż otworzą się następne.

Kapelan gadał przez całą drogę od bramy do kaplicy. Ta bezsensowna paplanina zdradzała, że jest zdenerwowany, ale nie nastawiała jej bardziej przychylnie. Jediną rzeczą, którą odziedziczyła po Hectorze – oprócz domu na wzgórzach i zamrażarki pełnej zwierzęcych zwłok – była nieufna wobec wszystkiego, co religijne. Wyłapała słowo „odkupienie” i to zatrzymało ją na chwilę w miejscu.

– Myśli pan, że to miejsce da im odkupienie?

– To starzy ludzie – powiedział. – Niektórzy z nich są tak blisko śmierci, że chcą dokonać podsumowania.

Vera pomyślała, że to żadna odpowiedź, ale i tak postanowiła wygłosić swoją przemowę, opowiedzieć tym starszym, niepełnosprawnym kryminalistom kilka historii o wpływie, jaki wywarli na swoje ofiary, a potem zmyć się do domu jak najwcześniej i po drodze zjeść lody w Drift Café. Ich to nie będzie obchodziło, a jej było wszystko jedno. To była gra. Nie warto nawiązywać kontaktów – ani z nimi, ani z kapelanem, ani ze strażnikami. Za godzinę będzie daleko stąd.

Przeszli przez betonowy dziedziniec do nowszego budynku. Blok edukacyjny i administracyjny. Tutaj pracownicy cywilni nie musieli znosić przeciągów i niewygód starych koszar. Chroniła ich zamknięta brama, która zatrzasnęła się za nowo przybyłymi z brzękiem przypominającym dzwon, a do tego drzwi zamykane na klucz. Kapelan szedł przed Verą, wskazując bibliotekę i sale lekcyjne, zachwalając udogodnienia. Przed czterema mężczyznami stała krótko ostrzyżona siwowłosa kobieta, czytając im książkę. Wszyscy wydawali się zaskakująco zainteresowani.

– To Hope, nasza szefowa edukacji, ze swoją klasą angielskiego na poziomie A. Mamy wysoki wskaźnik zdawalności egzaminów.

Kapelan był chodzącą reklamą więzienia i jego dyrektora. Następnie doszli do kolejnych drewnianych drzwi. Odblokował je i odsunął się, by przepuścić ją przodem. Na chwilę oślepił ją blask słońca, oślepiający po ciemnym korytarzu.

W kaplicy nie było ławek, tylko około tuzina wygodnych krzeseł ustawionych w półokręgu. Vera spodziewała się starszych panów, ale nie tak niepełnosprawnych jak ci tutaj. Dwóch z nich poruszało się na wózkach inwalidzkich. Jeden z nich, chudy jak szkielet, wyglądał, jakby powinien być w szpitalu. Jego twarz była wymizerowana, a ręka ściskająca poręcz krzesła wyglądała jak obciążona skórą kość. Kilku mężczyzn już spało. Kilku było bardziej rześkich, niewiele starszych od niej, schludniejszych niż pozostali, ogolonych. Rozpoznała jednego z nich jako dyrektora prywatnej szkoły, który ponad trzydzieści lat wcześniej został skazany za znęcanie się nad powierzonymi mu chłopcami. Inny był reporterem w lokalnych wiadomościach telewizyjnych – zbierał fundusze dla kilku policyjnych organizacji charytatywnych, wesoly i dowcipny, więc wykorzystywano go jako konferansjera na kolacjach i aukcjach. Dopóki kobiety nie zaczęły zarzucać mu, że zgwałcił je, gdy były jeszcze nastolatkami. Naczelnemu konstablowi trudno było się z tego wykręcić.

Ciekawe, co jego ofiary powiedziałyby na temat idei odkupienia.

Przyjrzała się bliżej mężczyznom na wózkach inwalidzkich. Jeden z nich spał, z brodą na piersi, więc widziała tylko czubek głowy: siwe, przerzedzone włosy pokryte łupieżem. Od czasu do czasu chrapał i wydawał z siebie odgłos przypominający psa śniącego o królikach lub szerokiej plaży z mewami do gonienia. Ten z drugiego wózka wpatrywał się w nią. Nie z uprzejmym zainteresowaniem, które okazała pozostała część publiczności – ta niepograżona w drzemce – gdy Vera weszła do sali, a kapelan przedstawił ją z nadmiernym entuzjazmem, ale z zacieklą intensywnością. Domagał się, by go dostrzeżono.

Rozpoznała go od razu, pomimo bezwładnych nóg i obrzękniętej twarzy. John Brace. Były nadinspektor w Wydziale Dochodzeń Kryminalnych, zanim Vera pomogła go zamknąć. Obsesyjny kolekcjoner ptasich jaj i handlarz kradzionymi ptakami drapieżnymi. Korumpował prawników i biedaków z osiedli. Zastępca Hectora i jeden z jego Gangu Czterech, człowiek, który gwarantował im wszystkim bezpieczeństwo jak karta wyjścia z więzienia w Monopoli. Dzięki niemu ojciec Very zmarł w domu, a nie w miejscu takim jak to.

Wygłosiła swoją pogawędkę. Opisała znane konsekwencje napaści na tle seksualnym: poczucie winy i wstyd. Wyjaśniła, że nawet zwykłe włamanie może sprawić, że ofiara czuje się upokorzona. Jej słuchacze przytakiwali we właściwych miejscach, to znaczy ci, którzy byli w stanie cokolwiek zrozumieć, ale podejrzewała, że wielu z nich podniecało właśnie to upokorzenie, to poczucie władzy. Na koniec padło kilka pytań z sali, ale tylko od tych, którzy lubili dźwięk własnego głosu. Gdyby była w nastroju, poprosiłaby ich, aby opowiedzieli o sytuacjach, w których sami czuli się bezsilni. Założyłaby się o pięćdziesiąt funtów, że większość z nich była maltretowana w dzieciństwie. Ale była policjantką, a nie pracownicą socjalną i jej zadaniem było doprowadzenie tych facetów do sądu, a nie przejmowanie się przyczynami ich zachowania. Poza tym, chciała tylko jednego: żeby to spotkanie wreszcie się skończyło. Chciała opuścić więzienie z jego nieodłącznym zapachem środków dezynfekujących i rozgotowanych warzyw, zapomnieć o cholernym Johnie Brasie i jeść lody z rumem i rodzynkami, patrząc na zatokę Druridge, czując powiew świeżego wiatru na twarzy.

W końcu kapelan ogłosił czas na pytania i odpowiedzi. Sanitariusz przyniósł więcej herbaty i nastąpiła niegodna walka o czekoladowe ciasteczka. Już miała przeprosić i wyjść, gdy pojawił się John Brace, zagradzając jej drogę. Wprowadzić nogi miał bezużyteczne, ale i tak był dużym mężczyzną. Szerokie ramiona i gruba szyja. Wciąż narzucał innym swoją wolę.

– Musimy porozmawiać.

– Przepraszam? – Nigdy nie pojawiła się w sądzie. Wskazała swoim kolegom właściwy kierunek, pomogła im zbudować sprawę, ale prokuratorzy zdecydowali, że mogłaby zachowywać się toksycznie. Hector zmarł, zanim Brace został oskarżony, ale jej ojciec był związany z detektywem przez lata.

Brace zwrócił się do kapelana.

– Czy moglibyśmy skorzystać z twojego biura, ojcze? Chciałbym pogawędzić z panią inspektor o dawnych czasach.

– Oczywiście. – Chwila przerwy. – Pewnie jesteście starymi znajomymi.

– Niezupełnie, ojcze. – To był cały Brace. Oślizgły, pewny siebie. Ta pewność przekonała jego przełożonych, że mogą mu zaufać. – Znałem jednak ojca pani inspektor. Mam pewne informacje i jestem pewien, że chciałaby je usłyszeć.

To wzbudziło zainteresowanie Very, zgodnie z przewidywaniami Brace'a. Już jako dziecko ciekawość była jej zgubą. I nadal niezdrowo interesowała się Hectorem i wszystkimi jego występami. Brace wjechał na swoim wózku do ciasnego biura, nawet nie oglądając się za siebie, by sprawdzić, czy idzie za nim.

Uprzątnęła stos śpiewników i oparła się o biurko, patrząc na niego z góry. Na zewnątrz więźniowie czekali na strażnika, który miał ich zabrać z powrotem do ich skrzydła. Nauczycielka z krótkimi włosami również tam była, rozmawiając z kilkoma mężczyznami. Przez na wpół otwarte drzwi do biura dobiegały stłumione głosy. Ale ich obecność interesowała jedynie kapelana, który znajdował się zbyt daleko, by słyszeć ich rozmowę.

– Co masz do zaoferowania, John?

Przechylił głowę, by na nią spojrzeć. Miał pożółkłe zęby.

– Mam stwardnienie rozsiane. Słyszałaś?

Potrząsnęła głową.

– Niech się tym zajmą twoi prawnicy i wyciągną cię stąd ze względu na chorobę. Ja nic z tym nie zrobię.

Przez chwilę nie odpowiadał. Tak jakby nie uważał jej odpowiedzi za godną rozważenia.

– Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, co się stało z Robbiem Marshalllem?

Kolejny z Gangu Czterech. Pracował w stoczni Swan Hunters Yard nad rzeką Tyne. Był kierownikiem średniego szczebla i odpowiadał za zaopatrzenie. To było jak powierzenie dziecku kierownictwa nad sklepem ze słodyczami; dzięki temu stał się popularną osobą. Lokalne firmy dawały mu łapówki; on z kolei miał dostęp do narzędzi i materiałów, które mógł odsprzedawać. Potrafił znaleźć chłopaków do każdej roboty za kilka funtów. Tak głosiła plotka.

– Założyłam, że zniknął z widoku, kiedy cię oskarżono – powiedziała Vera.

– Nie, zaginął wiele lat wcześniej. – John Brace uśmiechnął się. – Podobno ktoś się go pozbył.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jestem teraz po drugiej stronie, Vero. A tacy nie rozdają informacji za darmo.

– Mówiłam ci już, że nie mogę nic zrobić, by cię wcześniej zwolnili.

– Nie chcę niczego dla siebie, pani inspektor. – Nacisk na tytuł był czystym gorzkim sarkazmem. – Ale mam córkę. Patricię Keane. Patty.

Jego głos złagodniał.

– Wyszła za męża za maniaka wbrew mojej radzie, a on uciekł. Zostawił ją z trójką dzieci i problemami psychicznymi. Nie chcę, żeby skończyła w takim miejscu jak to, a dzieci trafiły pod opiekę. Zwłaszcza chodzi mi o dzieci. Z ciebie jest uparta suka, Vero. Jeśli ktokolwiek może zapewnić jej taką pomoc jak potrzeba, to właśnie ty.

– A co dostanę w zamian?

– Powiem ci, gdzie są zwłoki.

– Robbie Marshall nie żyje? – Vera nie zdawała sobie sprawy, że podniosła głos, ale kapelan spojrział na nich. Zmarszczył brwi. Może myślał, że krzyczy na biednego, bezbronno kalekę.

Brace powoli pochylił głowę.

– Czy maczałeś w tym palce, John? – Mówiła cicho, pochylając się tak, że prawie go dotykała. – Wiesz, że jeśli dowiem się, że byłeś w to zamieszany, to się nie dogadamy.

– Nazywasz mnie mordercą, Vero? – spytał kpiąco. – Mnie? Stróża prawa?

– Po tobie wszystkiego można się spodziewać.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. Ale słyszałem różne rzeczy, wiesz jak to jest. Planuję porozmawiać z Patty w weekend. Jeśli powie mi, że u niej byłaś, wskażę ci właściwy kierunek. Cała zasługa dla ciebie, Vero. Znajomi, którzy wciąż są w firmie mówią mi, że dalej to lubisz. Wciąż jesteś człowiekiem-orkiestrą.

3.

Vera przypomniała sobie o lodach dopiero, gdy prawie dojeżdżała do Kimmerston, ale wtedy było jej już tylko trochę żal utraconej przyjemności. Myślała o czymś innym. Znowu trwały roboty drogowe na obwodnicy i zanim dotarła na posterunek policji, było już po godzinach. Kiedy na schodach spotkała Joe Ashwortha, miał już w ręku kluczyki do samochodu. Czasami myślała, że jest bardziej taksówkarzem niż policjantem. Ciągle pod presją, by wrócić do domu i odwiedzić dzieci na lekcje muzyki lub piłki nożnej. Brakowało jej wspólnych wypadów na piwo po pracy i pogawędek. Było łatwiej, gdy jego dzieci były malutkie; choć był przykładowym żonkosiem, nawet Sal zdawała sobie sprawę, że nie da rady karmić ich piersią.

– Czy nie mogą po prostu wyjść na dwór? – zapytała pewnego razu. – Tak jak my kiedyś.

Choć w pobliżu domu na wzgórzach, w którym mieszkała, nie było zbyt wielu innych dzieci. Bawiła się głównie sama, a kiedy podrosła, Hector zabierał ją na swoje wyprawy, gdzie stała na czatach lub podsadzał ją na drzewa, by wyciągała z gniazd jajka do jego kolekcji, jeśli gałęzie były zbyt kruche by utrzymać ciężar dorosłego mężczyzny.

Joe spojrział na nią jak na wariatkę.

– W dzisiejszych czasach nie można pozwolić dzieciom tak po prostu się włóczyć. Świat się zmienił. To nie jest bezpieczne.

Vera pomyślała, że posiadłość, w której mieszkał ze swoją rodziną, jest prawdopodobnie najbezpieczniejszym i najnudniejszym miejscem na świecie. Zresztą, ona urodziła się mniej więcej w czasie morderstw na wrzosowiskach i mimo tego nikt wtedy nie wpadał w panikę kiedy dzieci bawiły się na dworze. Ale co ona wiedziała o rodzicielstwie?

Teraz Joe zatrzymał się wpół kroku, na dwóch schodkach. Mowa jego ciała jasno dawała do zrozumienia, że nie ma czasu na długą rozmowę, ale znał ją na tyle dobrze, by stwierdzić, że jest czymś podekscytowana.

– Myślałem, że pojedzie pani prosto do domu.

– Miałam, ale pojawiło się coś nowego.

Przez chwilę się wahał. Wyczuła, że jego lojalność wobec dwóch kobiet w jego życiu ciągnie go w różne strony.

– Jeśli to ważne, mógłbym sprawdzić, czy Sal może odebrać Jess z orkiestry młodzieżowej.

– Nie chciałbym jej niepotrzebnie drażnić, kotku. Na razie to tylko cień możliwości. A jeśli Holly wciąż jest w firmie, może zacząć się temu przyglądać.

To go przekonało.

– Nie, po prostu zadzwonię do Sal. Jeszcze nie pora kłaść maluchy spać. Może po prostu wsadzić je do samochodu, żeby odebrać Jess. Ona zrozumie.

Vera w to wątpiła, ale pozwoliła sobie na triumfalny uśmiezek, gdy wchodziła po schodach, by umożliwić mu wykonanie telefonu na osobności. Zaraz potem pomyślała, że zachowuje się dziecinnie. To nie był plac zabaw, ani walka o najpopularniejszego chłopaka w szkole.

Charlie wciąż siedział przy swoim biurku i tam właśnie zebrali się członkowie jej zespołu: Holly Jackman, bystra, ambitna, ale z towarzyskimi umiejętnościami komputerowego geeka, samotniczka podobnie jak Vera. Vera zaczęła ją ostatnio bardziej doceniać i uważała, że lepiej się dogadują. Charlie, który należał do tego samego pokolenia, co Vera. Do niedawna zaniedbany i samotny, teraz dzięki powrotowi córki do domu odżył na nowo. I Joe, jej ulubieniec. Jej chłopiec.

– Jak wiecie, szef wysłał mnie dziś do Warkworth. – Wszyscy nazywali go szefem, choć słowo to było przepełnione ironią. Czasami Vera zapominała nawet jego imienia i z trudem przypominała je sobie, gdy wysyłała mu e-maila. – Rozmawiałam z osadzonymi w OSN. – Popatrzyła na nich, a oni skinęli głowami. Najwyraźniej nadażali za nowymi akronimami. – Wśród słuchaczy był niejaki John Brace. – Krótka przerwa. – Były nadinspektor Brace.

Nikt nie przerwał, ale wiedziała, że wzbudziła tym ich zainteresowanie. Brace został skazany dziesięć lat wcześniej za przestępstwa popełnione w ciągu poprzednich dwudziestu lat. Tylko Charlie z nim pracował, ale pozostali wiedzieli wszystko o sprawie. Zszargała reputację policji na północnym wschodzie i wszyscy musieli zmierzyć się z jej konsekwencjami. Mimo wszystko Vera uważała, że powinna wyjawić szczegóły i wyjaśnić, jaka była jej rola w skazaniu. Czasami w takich sprawach krąży więcej mitów niż faktów, a niektórzy funkcjonariusze postrzegali Brace'a jako bohatera, który złamał kilka drobnych zasad, ale po drodze ujął wielu złoczyńców.

– Brace był przyjacielem mojego ojca. Dzielili te same pasje, te same obsesje.

Wstała i prowadziła wykład na całego, tak jak uwielbiała. – Panuje przekonanie, że na wsi nie popełnia się przestępstw. W każdym razie nie ma prawdziwej przestępczości. Wyrznięcie kilku owiec. Używanie czerwonego oleju napędowego na drogach. Żadnych poważnych kradzieży czy morderstw. Ale mojemu ojcu i trzem jego kolegom udawało całkiem nieźle zarabiać na pozornie niewinnym hobby. Handlowali jajami rzadkich ptaków i sprzedawali ptaki drapieżne za znaczne sumy. Podobno na Bliskim Wschodzie uwielbiają polować z brytyjskimi sokołami. Mój ojciec zajmował się również wypychaniem zwierząt. Wszystko to było nielegalne. Wiedziałam o tym, kiedy dorastałam, ale potem odeszłam z domu, wstąpiłam do służby jako szesnastoletnia kadetka i straciłam z nimi kontakt. Hector już wtedy za dużo pił i stracił wpływy w grupie. Zdaje się, że potem Gang Czterech zajął się różnymi innymi rzeczami, ale ojciec wtedy nie był już jego przywódcą.

Traktowali go jako maskotkę, dodała w duchu. Głównie dlatego, że był niemal autentyczny. Młodszy syn prawdziwego posiadacza ziemskiego. Czarna owca, ale

z pochodzeniem, które się liczy. Rodowody były dla nich zawsze ważne, niezależnie od tego, czy chodziło o sokoły wędrowne, ludzi czy psy.

– Gang Czterech? – odezwała się Holly. Robiła notatki na jakimś elektronicznym gadżecie trzymanym na kolanie.

– Tak się sami nazwali. Naprawdę żałosne.

Kiedy Vera była młoda, tajemniczość onieśmielała ją. Teraz Hector nie żył, a John Brace jeździł na wózku inwalidzkim. A Robbie Marshall być może też umarł.

– Czym się konkretnie zajęli?

Joe chciał utrzymać rozmowę na właściwym torze. Może Sal nie była tak chętna do przyjęcia roli taksówkarza, a on jednak obiecał, że nie wróci zbyt późno do domu.

– Prowadzili agencję pracy. Karki do wynajęcia. Jeśli ktoś chciał rozbić demonstrację sabotażystów polowań lub postraszyć miejscowych, którym nie podobało się, że leśnicy wykładają trutki na błotniaki zbożowe. Albo jeśli ktoś chciał wzmocnić szeregi uczestników marszu przeciwko zakazowi polowań na lisy. Zbierali chłopaków z osiedli komunalnych w Newcastle lub z wybrzeża, gdzie zamykano już kopalnie. Młodych, sprawnych chłopaków, którzy potrzebowali gotówki i rwali się do bitki. Wszystko odbywało się na odległość. Nie było sposobu, by połączyć karków z Gangiem. Do czasu, aż karki zaczęły sypać.

– Jak miło. – Holly brzmiała tak, jakby podziwiała ich model biznesowy.

Vera spojrzała na nią ostro.

– Miło? Ale nie żonie leśniczego, która wróciła do domu i zastała swojego męża umierającego z powodu pęknięcia śledziony, gdy pobiło go dwóch zbirów.

– Myślałam, że powiedziała pani, że karki miały pomagać strażnikom w pozbywaniu się tych... – Holly spojrzała w notatki – błotniaków.

– Ach, kotku, nie wszyscy leśnicy są po stronie diabła. Glen Fenwick był uroczym człowiekiem. Delikatnym. Nie podobało mu się to, co się działo, więc postanowił przyjść do nas. – Vera zrobiła pauzę, poczuła dawne ukłucie winy, gdy przypomniła sobie, jak wdowa po mężczyźnie pluła jej w twarz oskarżeniami, gdy Vera podeszła do niej po pogrzebie, by złożyć kondolencje. – Zdecydował się przyjść do mnie. – Kolejna pauza. – I chociaż dranie go zabili, przekazał mi wystarczająco dużo informacji, bym mogła rozpocząć dochodzenie w sprawie powiązań Brace'a z tą sprawą. To ja powinnam była ujawnić to wszystko. Dużo wcześniej, kiedy byłam młodsza. Powinnam być bardziej świadoma tego, co się działo, i odważniejsza.

Przerwała. Podwładni wiedzieli, że w takich chwilach lepiej się nie odzywać.

– Wtedy już przeprowadziłam się z powrotem do ojca. Miał wylew, a to i alkohol wywołały demencję pod sam koniec jego życia. W domu było wystarczająco dużo dowodów, i biegli znaleźli powiązania z Johnem Brace'em. Wtedy już zostawił to wszystko za sobą, przeszedł na emeryturę tak szybko, jak się dało i nadal mieszkał wygodnie w eleganckim domu w Ponteland. To musiał być szok, gdy policjanci zapukali do jego drzwi.

Vera przerwała na chwilę, by rozkoszować się tą myślą. Oczywiście jej tam nie było. Była zbyt blisko. Wszyscy powtarzali, że była zbyt blisko. Hector jeszcze wtedy żył. Ledwie. Ale lubiła wyobrażać sobie minę Brace'a.

– Więc Brace poszedł siedzieć. – Joe znów się zniecierpliwił. – Chłopaki, których wynajął, by nastraszyć Glena Fenwicka, sami się przestraszyli, gdy leśniczy zmarł, i potwierdzili to, co leśniczy miał na Brace'a. Doszło do długiego śledztwa i procesu, ale w 2009 roku został skazany za planowanie ataku i zakłócanie wymiaru sprawiedliwości. Przez całą swoją karierę był na bakier z prawem, a wszystko się posypało, gdy księgowi zaczęli go sprawdzać. Więc nie rozumiem, co tu jest nowego.

– Jak już mówiłam, nazywali siebie Gangiem Czterech – podjęła Vera. – Był tam Hector, Brace, ktoś, kogo nigdy nie poznałam, nazywali go Profesorem i Robbie Marshall. To właśnie Robbiego wysłali, by dogadywał się z chłopakami z osiedli. Dorastał w Wallsend i awansował na kierownika średniego szczebla w stoczni Swan Hunters Yard. Brace nigdy nie potrafił się tak porozumiewać z opryszkami jak on. Ale zniknął. Myślałem, że zbiegł w okolicach aresztowania Brace'a, ale w rzeczywistości stało się to wcześniej. Jego zaginięcie zgłoszono w tysiąc dziewięćdziesiątym piątym roku. Sprawdziłem to w drodze do domu. Mieszkał z matką w domu, w którym dorastał. Wszystkie pieniądze wydawał na zagraniczne podróże. Miał prawdziwą obsesję na punkcie zbierania ptasich jaj i jeździł po całym świecie, aby znaleźć coś nowego.

Chętnie opowiadałaby dalej o Robbiem, ale znów wyczuła, że Joe robi się niespokojny i zdecydowała, że to może poczekać.

– Dzisiaj John Brace powiedział mi, że Robbie Marshall nie żyje. – Vera rozejrzała się po grupie. – Obiecał, że powie mi, gdzie znajduje ciało.

– Więc gdzie ono jest? – Charlie był sceptyczny. Nie winiła go za to. Nie było go w biurze kapelana.

– Ach – powiedziała. – Oczywiście chce czegoś w zamian. Chce, żebyśmy odwiedziła jego córkę i trójkę jej dzieci, dała jej trochę wsparcia. Najwyraźniej przechodzi przez trudny okres.

Usłyszała zduszony chichot i rozejrzała się po grupie, by zobaczyć, kto go wydał. Wszyscy patrzyli na nią niewinnie.

– Uważacie, że nie potrafię dać odrobiny wsparcia samotnej mamie?

Brak odpowiedzi.

– Podał mi jej numer telefonu komórkowego, ale bez adresu, więc ci z was, którzy mogą poświęcić trochę czasu tego wieczoru – spojrzała na Joe Ashwortha. Może i był jej ulubieńcem, ale czasami potrzebował przypomnienia, kto tu rządzi. – mogą zacząć dowiadywać się o niej wszystkiego, co się da. Zanim wejdę w jej życie z moimi kaloszami, bawiąc się w Matkę Teresę. Brace ma do niej zadzwonić w ten weekend i zapytać, czy jakoś jej pomogłam. Nazywa się Patricia Keane, znana również jako Patty. Najwyraźniej wyszła za mąż za faceta, którego Brace nazwał maniakiem. Nie znam jego imienia, ale detektywi

waszego kalibru nie powinni mieć trudności ze skompletowaniem jego akt. – Vera ponownie przerwała, tym razem by złapać oddech.

– Hol, Keane i jej mąż są dla ciebie.

Holly skinęła głową. Podeszła do swojego biurka i zaczęła klikać na komputerze, zanim Vera podjęła przemowę. Holly zawsze czuła potrzebę udowodnienia swojej wartości. Vera też się tak zachowywała jako młoda policjantka, ale wtedy była jedyną kobietą w zespole, w dodatku grubą, celem żartów. Holly ukończyła studia, była inteligentna w każdym znaczeniu tego słowa. Ostra jak brzytwa, zawsze ubrana do pracy jak asystentka szefa międzynarodowej spółki medialnej. Miała rodziców, którym na niej zależało. Żaden Hector Stanhope nie wciągnął jej w swoje ciemne sprawy. Vera nie przewidywała większych trudności w jej karierze.

Wydawała kolejne polecenia.

– Charlie, znajdź wszystko, co się da na temat Robbiego Marshalla. Zatrzymała się, gdy przyszedł jej do głowy pewien pomysł. – Czy kiedykolwiek spotkałeś go osobiście?

Charlie był powolny, nie wykazywał się oryginalnym myśleniem, ale miał pamięć jak słoń. Nie odpowiedział od razu, a ona patrzyła, jak przeczesuje w głowie lata pracy w policji i miała wrażenie, że widzi te obrazy tak samo, jak on. Codzienne sprawy policjantów: drinki z informatorami w cuchnących pubach, rozdzielanie wnerwionych nowożeńców, gdy weselne śniadanie zamieniało się w bijatykę, niekończące się pogawędki z ponurymi zbuntowanymi nastolatkami w bezdusznym pokojach przesłuchań.

– Nigdy go nie aresztowano – powiedział Charlie – ale natknąłem się na niego kilka razy na początku mojej kariery. Byłem oficerem dyżurnym w Wallsend. On też był wtedy młodym człowiekiem, pracował w stoczni. Złapałem go z rzeczami, których nie powinien mieć. Oczywiście ukradzione z pracy. Choć patrząc na niego, można by pomyśleć, że facet jest absolutnie w porządku; zawsze był elegancko ubrany. Uprzejmy. Spółka nigdy nie wniosła oskarżenia.

– Dlaczego nie? – spytała Holly, podnosząc wzrok znad komputera. Wyglądało na to, że wśród jej licznych zalet była też umiejętność wykonywania wielu zadań naraz. Podobno to typowe dla kobiet, ale Vera nie była pewna, czy sama kiedykolwiek opanowała tę umiejętność.

– Jego bliski kumpel był związkowcem – odparł Charlie. – Spółka uznała, że woli sporadyczne straty od strajku całej załogi.

– O ile pamiętam, zawsze znajdował kolegów, którzy mogli się nim zaopiekować. Jak nasz stary przyjaciel, nadinspektor Brace. Przydatna umiejętność. – Vera od miesięcy nie czuła się tak dobrze. Lato było spokojne, nie mieli nic do roboty. Przez to zapadła w jakiś koszmarny letarg i zaczęła odczuwać swój wiek.

Może po prostu muszę czuć się przydatna, pomyślała. Może właśnie o to chodzi.

– A co ma pani dla mnie? – Joe był już na nogach. Nawet nie zdjął płaszcza, który miał na sobie gdy spotkała go na schodach.

– Myślałam, że musisz już iść.

– Mogę przyjść wcześniej rano.

A więc Sal dała mu dziś tylko chwilową przepustkę. Verze nagle zrobiło się go żal. Pewnie niełatwo jest się pogodzić z myślą, że twoje życie nie należy już do ciebie.

– Zaczynj drażyć temat naszego Johna Brace'a. Twierdzi, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Marshalla i nie sądzę, by aż tak zależało mu na córce, by odsiedzieć za nią wyrok dożywocia, więc mu wierzę. Za niecały rok ma zwolnienie warunkowe. Ale na pewno wie, kto go zabił, więc przejrzymy wszystkie akta, znanych współpracowników, przyjaciół, krewnych, wszystkie poboczne sprawy.

– Możliwe, że Brace to wszystko zmyśla – powiedział Charlie. – Dla zwrócenia na siebie uwagi albo żeby zajęła się pani jego córka. Albo chce zrobić nam psikusa, pośmiać się naszym kosztem.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć, prawda? Musimy namierzyć Robbiego Marshalla. Niezależnie od tego, czy żyje, czy nie. – Wszyscy już się rozchodzili, ale po raz ostatni zwróciła na siebie ich uwagę. – Jeszcze jedno. Proszę zachować dyskrecję. Nie ma potrzeby, by szef wiedział, że w czymś grzebiemy. Poczekajmy, aż będziemy mogli pokazać mu coś konkretnego.

Przytaknęli. Jej zespół. Mogłaby zaśpiewać z radości.



Patty Keane obudziła się, gdy jej sześciolatek syn włączył telewizor w pokoju na dole. Jakimś cudem udało mu się uruchomić Netfliksa, a tam była kreskówka, na punkcie której miał obsesję. Zawsze miał jakąś obsesję, ale ta trwała od miesięcy, więc muzyka, która towarzyszyła bohaterowi Superkrólikowi, drażyła jej mózg aż chciało jej się krzyczeć. Wiedziała, że powinna wstać, ściszyć telewizor, żeby sąsiedzi znów nie narzekali, upewnić się, że dzieci mają na sobie mundurki, przygotować lunch. Podobnie jak zeszłej nocy. Wiedziała, że powinna sprawdzić, czy wykapały się przed pójściem spać, upewnić się, że pościel Archiego nie śmierdzi sikami i że Jen umyła zęby. Widziała idealne rodziny w telewizji i przyglądała się idealnym rodzicom na placu zabaw, rozmawiającym o lekcjach pływania i cenach domów. Ale jej życie takie nie było. Zupełnie jakby znajdowała się w innym wszechświecie. Wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie im dorównać. Nie teraz. Nie bez Gary'ego.

Kiedy obudziła się ponownie, była ósma trzydzieści, a Jen stała przy łóżku, już ubrana w swój szkolny mundur. Kołnierzyk był szary przy szyi, ale nie było tego widać, chyba że ktoś podszedł bardzo blisko. Jen miała już trzynaście lat i była wyczulona na takie rzeczy.

– Zrobiłam im luncha, ale muszę już iść. Miałam już jedno spóźnienie w tym tygodniu. Będziesz musiała ruszyć tyłek i zaprowadzić je do szkoły.

– OK. – Gdyby Patty czuła się lepiej, powiedziałaaby coś na temat wyrażania się. Przecież została dobrze wychowana. Ale dzisiaj nawet to było zbyt dużym wysiłkiem. Zwlokła się z łóżka, założyła bluzę na kamizelkę, którą nosiła zamiast piżamy i spodnie do biegania. Miała zamiar poprosić Jen o włączenie czajnika, ale właśnie trzasnęły drzwi, gdy dziewczynka wyszła.

Na dole właśnie zaczynał się kolejny odcinek kreskówki. Dzieci znalazły coś na śniadanie. Patty poczuła się wczoraj trochę lepiej i udało jej się dotrzeć do sklepu. Jonnie był prawie ubrany, ale podłączony do tabletu. Bez sprawdzania wiedziała, że to film na YouTube, z przeklinającymi młodymi Amerykanami. Jonnie otrzymał imię po dziadku, który kupił im dom na nowym prywatnym osiedlu na obrzeżach Kimmerston. Patty była od kilku miesięcy w ciąży z małym i wydawało im się z Garym, że wszystkie ich marzenia się spełniły. Zakup doszedł do skutku tuż przed tym, jak staruszek trafił do więzienia, ale i tak wysyłał im wystarczająco dużo pieniędzy, żeby starczyło na życie.

Archie siedział w samych majtkach, wpatrzony w telewizor, a jego usta poruszały się bezgłośnie w rytm słów ulubionej piosenki.

Wyłączyła telewizor i nakłoniła ich do przebrania się w szkolne ciuchy, przegrywając tylko z Jonniem w ostatniej chwili, gdy próbował wciągnąć koszulkę przez głowę, mając

wciąż słuchawki w uszach. Wyciągnęła ich z domu z zapasem kilku minut i poczuła chwilę triumfu, ponieważ dotarli na boisko tuż przed dzwonkiem. Takie chwile potrafiły podnieść ją na duchu na pół dnia. Często kładła się z powrotem do łóżka, gdy odprowadziła dzieci do szkoły, ale dziś pomyślała, że wejdzie do wanny a potem trochę posprząta. Może wrzuci pranie do pralki. Pogoda była ładna i rzeczy wyschną na powietrzu. Dopiero gdy wróciła do domu, znalazła na ławie zapakowane lunchy chłopców i nagle poczuła się tak, jakby świat znów się wokół niej zawalił. Przez chwilę myślała, że starczy jej sił, by wrócić do szkoły. Mogła zostawić lunchy w sekretariacie. Recepcjonistka była dość miła. Ale wyglądały tak skromnie, tak żałośnie. Nie w pudełkach, ale w torbach z supermarketu. Znów zaczęła ją napominać, że powinna ubiegać się o darmowe posiłki w szkole, a ona będzie się uśmiechać i kiwać głową, wiedząc, że nigdy nie wypełni formularzy, a poza tym, wtedy dowiedzieliby się o pieniądzach, które jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiały się co miesiąc na jej koncie. Wiedziała, że pochodziły od jej ojca, a on siedział w więzieniu, co nie? Prawdopodobnie były to więc brudne pieniądze i mogła wylądować w sądzie tylko dlatego, że je przyjęła. Patty stanęła w kuchni, na lepkiej podłodze, patrząc na naczynia piętrzące się w zlewie i zaczęła płakać. Czasami miała wrażenie, że ostatnio tylko płacze.

Kiedy łyzy ustały, przypomniała sobie, że nie wzięła jeszcze tabletki i poszła na górę. Wyjęła ją z blistra i popiła wodą z umywalki w łazience. Potem wzięła kolejną, ponieważ czuła się bardzo źle. Lekarz kazał brać tylko dwie na noc, ale czasami nie mogła wytrzymać całego dnia bez lekkiej senności, którą dawały dwie tabletki. Wieczorem weźmie tylko jedną, a wtedy może obudzi się nieco przytomniejsza. Nastawiła czajnik na herbatę, wytarła ławę i pomyślała, że ma jeszcze czas, by przepakować lunchy i zanieść je do szkoły na czas. Ale jeszcze nie teraz.

Udało jej się dotrzeć do salonu z herbatą, opadła na sofę i zastanawiała się, czy jest jakiś odcinek *Real Housewives*, który mogłaby obejrzeć, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Zignorowała go. Najprawdopodobniej sąsiedzi, którzy znów będą narzekać na dzieci. Rozumiała, że musi być im ciężko. Patty też nie chciałaby mieszkać obok takiej rodziny. Ale dzwonek zadzwonił ponownie, więc wyjrzała przez firanki, pozostałe po poprzednich lokatorach. Czasami fantazjowała, że Gary pojawia się, ściskając w garści bukiet kwiatów lub butelkę szampana, mówi, że to był straszny błąd, że zostawił ją i dzieci i pyta, czy mogą zacząć od nowa.

Ale to nie był Gary, tylko duża kobieta w okropnej sukience i zielonym polarze. Pewnie zbierała na cele charytatywne. Albo uciekła z miejscowego wariatkowa. Kilka dodatkowych kilogramów i jakieś dwadzieścia lat, a Patty mogłaby wyglądać jak ona, gdyby nie wzięła się w garść. To była nagła, otrzeźwiająca myśl. Wtedy kobieta wyjęła telefon z kieszeni polaru i wybrała numer. Telefon Patty, tani telefon na kartę, leżał na kominku. Zaczął dzwonić, co do reszty wystraszyło Patty.

– Halo – odebrała.

– Czy to Patricia Keane? – Miała miejscowy akcent i nie była rozgniewana.

Patty nagle przysła do głowy pewna myśl.

- Czy pani jest z opieki społecznej? - Czasami pracownicy socjalni składali niezapowiedziane wizyty. Zwykle była to Freya, dość miła dziewczyna, ale czasami przychodzili obcy.

- Dobry Boże, nie. - W głosie kobiety zabrzmiało przerażenie. Podeszła do okna. Musiała wiedzieć, że Patty wygląda na zewnątrz. - Czy ja wyglądam na opiekunkę społeczną?

- Nie. - Patty wołała nie mówić, że wygląda bardziej jak ktoś, kto potrzebuje pomocy opieki społecznej.

- Jestem dawną koleżanką pani ojca. Pani biologicznego ojca. Wpuści mnie pani? Czuję się trochę głupio, stojąc tu na progu, kiedy pani jest po drugiej stronie ściany. Poza tym oddałabym życie za kubek herbaty. - Odwróciła się do okna i pomachała do Patty.

Patty poszła otworzyć drzwi. Zawsze uważała, że łatwiej jest robić to, co jej każą. Albo udawać. Poza tym niechłujstwo tej grubej kobiety sprawiało, że była mniej onieśmielająca. Była w wieku babć pilnujących dzieci na placu zabaw, ale nie pasowałyby tam bardziej niż Patty.

Patty zaprowadziła ją do kuchni, częściowo dlatego, że było tam trochę schludniej - nie zdążyła jeszcze pozmywać, ale wytarła ławy - a częściowo dlatego, że kobieta poprosiła o herbatę. Nie było gdzie usiąść. Nie przypominało to kuchni w domu jej przybranych rodziców, z wyszorowanym sosnowym stołem i sofą pod ścianą. Obie stały, czekając, aż czajnik się zagotuje. Kobieta miała bardzo okrągłe, brązowe oczy.

- Pani tata prosił, żebym do pani zajrzała - powiedziała kobieta. Następnie uśmiechnęła się przepaszająco. - Ale pani nie wie, kim jestem! Pewnie myśli pani, że jestem dziwaczką, bo przyszedłam bez zapowiedzi. Nazywam się Vera, Vera Stanhope.

Patty nic to nie powiedziało. Tabletki właśnie zaczęły działać i całe to spotkanie wydawało się nierealne. Woda się zagotowała i Patty zaparzyła herbatę, ciesząc się, że dzieci zostawiły trochę mleka w lodówce. Stały oparte o ławę, a Vera piła małymi łykami. Zwykle pracownicy socjalni odmawiali, jakby mogli złapać zarazki od samego przebywania w jej domu. Albo udawali, że piją, wylewając płyn do zlewu, gdy myśleli, że Patty nie patrzy. To było jeszcze gorsze.

- Martwi się o panią i dzieci - powiedziała Vera. - Chce wiedzieć, czy dobrze sobie pani radzi. - Tak naprawdę nie spodziewała się odpowiedzi.

- Nie wiem jak pani, ale ja nie jadłam śniadania i założę się, że też nie miała pani na to czasu z trójką dzieci, które trzeba przygotować do szkoły. Widziałam, że w tym rzędzie sklepów przy drodze do osiedla jest kawiarnia. Może się tam przejdziemy? Odetchniemy świeżym powietrzem. Ja stawiam.

Patty nawet nie zauważyła, kiedy założyła buty i przeszła przez skrawek zieleni z placem zabaw dla dzieci, słuchając, jak Vera opowiada jakie to było piękne lato. W kawiarni było cicho, pora śniadaniowa dobiegła końca, a jeszcze nie zaczęli serwować obiadów. Była staroświecka, wydawała się nie na miejscu na skraju nowego osiedla: budka dla

robotników, a nie dla mamusiek i pań, które jadały lunchy. Vera zapytała Patty, na co ma ochotę.

– Ja biorę kanapkę z bekonem. Moja lekarka by się wściekła, ale co oni tam wiedzą.

– Jestem wege – powiedziała Patty. Jej przybrani rodzice byli wegetarianami, a ona wciąż nie mogła się zmusić do jedzenia mięsa.

– W takim razie jajecznicę na grzance? – Vera przekazała zamówienie facetowi w brudnym fartuchu za ladą. – I proszę dzbanek herbaty dla dwóch osób. – Wyraźnie rozumiała, że Patty nie jest w stanie samodzielnie podejmować decyzji.

W kawiarni nie było nikogo poza nimi. Usiadły przy oknie. Patty nie martwiła się, że ktoś ją zobaczy z zewnątrz. Żaden z rodziców z placu zabaw nie przychodził na tę stronę skweru, gdzie wciąż znajdowały się mieszkania socjalne. Tutejsze dzieci chodziły do innej szkoły.

– Może opowie mi pani trochę o sobie? – Przyniesiono herbatę i Vera usiadła z rękami zaciśniętymi wokół grubego porcelanowego kubka. – Nie wiedziałam, że pani tata miał córkę.

– Chyba sam nie wiedział. Na pewno nie. Dopóki go nie wytropiłam, gdy miałam osiemnaście lat. – W jakiś sposób Patty zaczęła opowiadać o tym, że została adoptowana w dzieciństwie i zabrana do dużego domu na wybrzeżu, ale nigdy tak naprawdę nie czuła, że tam należy. – Byli mili, wie pani, moja matka i ojciec, ale zawsze czułam, że ich rozczarowuję. Oboje byli nauczycielami i chcieli, żebym dobrze radziła sobie w szkole, ale ja nigdy nie byłam najlepszą uczennicą w klasie.

– Czy utrzymujecie ze sobą kontakt?

Patty zwlekała z odpowiedzią, ponieważ pojawiło się jedzenie i nagle, na widok talerza jajecznicy przed sobą, poczuła głód. Vera smarowała keczupem swoją kanapkę z bekonem i wyglądała na to, że jej się nie spieszy.

– Kiedy powiedziałem, że chcę odnaleźć moich biologicznych rodziców, widać było, że trochę ich to zabolowało, ale nie mieli nic przeciwko. Szczerze mówiąc, starali się utrzymywać ze mną kontakt, ale Gary nigdy się z nimi nie dogadywał i trochę się od siebie oddaliliśmy. Niedawno przeszli na emeryturę i przenieśli się na południe – oboje pochodzili z Surrey i nigdy tak naprawdę się tu nie osiedlili.

Chcieli wyprowadzić się z dala ode mnie i dzieci. Nie uświadamiali sobie tego, ale szukali pretekstu, by wyjechać. Patty nigdy wcześniej nie przyszło to do głowy, ale teraz nagle uświadomiła sobie, że właśnie tak było.

– Dzwonią i przysyłają prezenty dla dzieci. Na urodziny i Boże Narodzenie. – Patty wciąż uważała, że ma im wiele do zawdzięczenia i nie zamierzała ich oczerniać. Adoptowali ją, prawda? Pomogli jej uciec od opieki społecznej.

– Jak odnalazła pani ojca, Johna?

– Kosztowało mnie to sporo pracy i czasami dawałam sobie spokój na kilka miesięcy. Nie udało mi się znaleźć mojej biologicznej matki i chociaż nie było żadnych oficjalnych informacji, pani z opieki społecznej podejrzewała, że umarła. – Przerwa. – Przedawkowała

heroinę. Była uzależniona. Dlatego nie mogła się mną opiekować i oddała mnie pod opiekę.
– Ale ojciec był wpisany w moim akcie urodzenia i w końcu pracownica opieki społecznej skontaktowała nas ze sobą. Nie byłam pewna, czy będzie chciał się ze mną zobaczyć. Powiedzieli mi, że jest policjantem. Byłam już wtedy mężatką. Jen była malutka, a Jonnie był w drodze. Gary założył własną firmę, ale nie zawsze miał pracę. Mój tata kupił nam dom. Zupełnie nowy bliźniak na ładnym osiedlu. Nie mogliśmy w to uwierzyć.

Ale być może przeprowadzka do Hastings Gardens była momentem, w którym wszystko zaczęło się psuć, pomyślała. Znowu pojawiło się poczucie braku przynależności.

Kobieta wydawała się zakłopotana zadając kolejne pytanie.

– Czy pani tata wyjaśnił, jak to się stało, że on i pani mama się zeszli? Policjant i narkomanka. To wydaje się trochę dziwne.

Patty nie mogła się nie uśmiechnąć.

– Powiedział, że była piękna i zakochał się w niej, gdy tylko ją zobaczył. Był jednak żonaty i wiedział, że to się nigdy nie uda. Ale nigdy nie miał dzieci i ucieszył się, gdy zaszła w ciążę. Jeszcze bardziej się ucieszył, gdy znów się z nim skontaktowałam.

– Jak w bajce.

Patty zastanawiała się, czy to był sarkazm, ale kiedy podniosła wzrok, Vera tylko się do niej uśmiechnęła.

– Powinnam wracać do domu – powiedziała Patty. Muszę zanieść chłopcom lunch do szkoły. – Wiedziała, że prawdopodobnie nie zdąży tego zrobić, ale czuła się teraz trochę roztrzęsiona, potrzebowała sofy i czegoś bezmyślnego w telewizji.

– Powiem ci coś, kotku. Może kupimy kilka kanapek i bułek na wynos? Możemy podrzucić je do szkoły wracając. Oszczędzimy ci wychodzenia z domu, jeśli nie czujesz się zbyt dobrze.

Patty usiadła w oknie kawiarni, podczas gdy Vera kupowała kanapki i zastanawiała się, jak by to było mieć taką przybraną matkę jak ta kobieta. Niechlujna i duża, grzebiąca w torebce w poszukiwaniu drobnych. Zamiast eleganckiej, zadbanej i kompetentnej we wszystkim.

5.

Vera pamiętała czasy, gdy ta część Kimmerston była głównie ogródkami działkowymi; na wschód od nich znajdowało się kilka rzędów domków robotniczych, a za nimi domy komunalne z lat trzydziestych XX wieku. Domki i ogrody zniknęły, teren został zagospodarowany pod zabudowę mieszkaniową, ale osiedle komunalne wciąż tam było, a większość lepszych domów zyskała prywatnych właścicieli. Dom Patty w Hastings Gardens, ze ścianami z surowej czerwonej cegły, wciąż wyglądał bardzo nowocześnie w porównaniu z sąsiedztwem, ale w ogrodzie panował bałagan ze stertą rdzewiejących zabawek, a drzwi wejściowe wymagały już odmalowania. Okoliczne domy były nieskazitelnie czyste. Vera nie weszła do środka po tym, jak zostawili kanapki w szkole. Została przy samochodzie i machała do Patty, dopóki ta nie weszła do domu, po czym powoli odjechała.

Próbowała rozgryźć, co czuje do Patty. Zwykle nie dawała się nabrać na historie o ciężkim położeniu; jej własne dzieciństwo było samotne, a Hector wydawał się niezdolny do okazywania uczuć czy wyrażania uznania. Jej matka zmarła, gdy Vera była bardzo małym dzieckiem. Ale Patty naprawdę wydawała się zagubiona. Musiała mieć około trzydziestki, ale sama wydawała się niemal dzieckiem, chudym i wątłym. Dość ładnym, jeśli zignorować rzadkie włosy i tłustą cerę. Może była podobna do swojej rodzonej matki, pięknej narkomanki, która podbiła serce Johna Brace'a. Jeśli wierzyć bajce, którą detektyw wcisnął swojej córce. Vera zastanawiała się, czy Hectorowi zależałoby na niej na tyle, by przekupić starego wroga, by miał na nią oko, i wróciła na posterunek policji, nie dochodząc do żadnych wniosków.

Otworzyła drzwi do biura, które zajmował jej zespół i zastała wszystkich przy pracy. Przez całe lato czuła się jak w studenckiej świetlicy. Bezcelowe przekomarzanie się, sporadyczne okresy koncentracji, okazjonalne walki o jedzenie. Teraz panowała atmosfera skupienia. Jak podczas sesji egzaminacyjnej. Podnieśli wzrok, gdy weszła, ale wrócili do swoich komputerów, ledwie skinąwszy głowami na powitanie. Wiedzieli, że powie im, czego dowiedziała się od Patricii Keane dopiero, kiedy będzie gotowa.

Weszła do swojego biura, małego jak pudełko i zamknęła drzwi. To była jej przestrzeń. Okno wychodziło na pustą ścianę sądu magistrackiego mieszczącego się obok, w dole widać było ulicę. Brak widoku, chłód zimą i upał latem, ale w erze otwartych przestrzeni i hot-deskingu trzymała się tego miejsca, grożąc, że jeśli je zabiorą, złoży wypowiedzenie. Powiesiła swój polar na oparciu krzesła i włączyła czajnik w rogu pokoju, zrobiła kawę rozpuszczalną. Czarną, bo nie chciała sięgać po mleko z lodówki w pokoju socjalnym.

Włączyła komputer, zobaczyła niekończącą się listę nieprzeczytanych maili i zignorowała je. Zamiast tego poszukała numeru biura opieki społecznej, które obejmowało Hastings Gardens i w końcu namierzyła pracownicę, która zajmowała się Patty i jej dziećmi.

– Freya Samson, zespół ochrony przed przemocą.

– Inspektor Vera Stanhope z Policji Northumberland. Chodzi o rodzinę Keane’ów. – Vera napiła się kawy i pomyślała, że powinna oddać ekspres do naprawy. Albo kupić nowy.

– Czy dzieje się coś złego? – W głosie młodej kobiety pobrzmiwał stres. Może jej lato nie było tak spokojne i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, była eskalacja jednej z jej spraw.

– Miałam nadzieję, że pani mi to powie. Jak wygląda pani współpraca z rodziną Keane?

– Będę musiała do pani oddzwonić – powiedziała Freya. – Sprawdzić, kim pani jest.

– Wie pani co? Może po prostu przyjadę i zobaczę się z panią. Wezmę legitymację i porozmawiamy jak należy. Zawsze lepiej jest spotkać się w cztery oczy. – Vera przerwała, próbując wymyślić coś, co mogłoby przekonać tę kobietę. – W dzisiejszych czasach wszyscy powinniśmy współdziałać z partnerującymi instytucjami, prawda? – Zastanawiała się, czy nie wspomnieć jeszcze o „współuczestniczeniu w procesie”, ale Freya wydawała się już odpowiednio przekonana.

– O dwunastej mam spotkanie w sprawie ochrony dzieci. Musiałaby pani przyjść wcześniej. Albo późnym popołudniem.

– Zaraz przyjadę. – Vera odłożyła słuchawkę i zastanawiała się, co właściwie robi. Ugania się za duchami. Albo szuka projektu, który podtrzyma motywację jej zespołu po leniwym lecie.

Biuro miejscowej opieki społecznej mieściło się w betonowo-szklanym wieżowcu na obrzeżach miasta, niedaleko osiedla Hastings Gardens, gdzie mieszkała Patty. Verze też kiedyś przydzielono opiekunkę społeczną. Kobieta pojawiła się po śmierci matki Very, została zastraszona przez Hectora lub była pod jego wrażeniem i nigdy nie wróciła. Być może to wpłynęło na stosunek Very do tego zawodu. Być może dlatego poczuła ukłucie współczucia dla Patty. Czekać w recepcji na pojawienie się Freyi, pomyślała, że trzeba mieć sporo odwagi, żeby się tu zapuszczać. Wszystko wokół lśniło, zwłaszcza panie za biurkiem w holu. Jak w recepcji jednego z tych eleganckich amerykańskich hoteli.

Freya najwyraźniej się spieszyła i prawie wybiegła z windy. Była młoda, jasnowłosa, ubrana w kwiecistą sukienkę i baletki. Przypominała Verze Alicję z Krainy Czarów, goniącą białego królika. Zaprowadziła Verę do pokoju spotkań z dużym stołem z jasnego drewna. Usiadły na jego końcu, a Vera podsunęła jej legitymację. Freya wzięła ją i zapisała nazwisko Very w swoim notatniku. Na moment przygryzła język, jak dziecko skupione na pracy domowej.

– Co wiąże panią z rodziną Keane’ów, pani inspektor? – Freya podniosła wzrok znad notatnika i zmarszczyła brwi. – Czy Patty miała kłopoty z prawem? Nikt mnie o tym nie powiadomił.

– Nic z tych rzeczy. – Vera schowała legitymację z powrotem do torebki. Raz już ją zgubiła i był to koszmar. – Być może zostanie świadkiem w toczącym się śledztwie. Odwiedziłam ją dziś rano i nie wyglądała zbyt dobrze, chciałam tylko sprawdzić, czy ktoś ma na nią oko.

– Czy dzieci były w szkole?

– Tak. – Vera zrobiła pauzę. – Czy obecność w szkole jest problemem?

– Zdarzało się. Dzieci spóźniały się, nie były zbyt dobrze przygotowane.

– Od jak dawna zna pani tę rodzinę?

– Ja osobiście około roku. Wydział prawie pięć lat. Patty była żoną mężczyzny o nazwisku Gary Keane. Starszego od niej. – Słowa padały pośpiesznie. Freya wciąż się spieszyła. – Miał własną firmę, sprzedawał i naprawiał komputery, ale bardziej lubił wydawać zarobione pieniądze, niż je zarabiać. Podobno nawet kiedy żenił się z Patty, miał długi.

Vera pomyślała o kobiecie, z którą rozmawiała tego ranka. W domu był duży telewizor, gadzety dla dzieci. Ale być może był to wynik kolejnych długów, tym razem zaciągniętych przez Patty, albo może John Brace nadal finansował rodzinę z więzienia.

– Patty nie była pewnie zbyt dobrą partią. Jeśli ten człowiek szukał żony z posagiem.

– Miała pracę – powiedziała Freya. – Kiedy ją poznał, wciąż mieszkała ze swoją rodziną, mieli ładny dom na wybrzeżu.

– Czym się zajmowała?

– Była pielęgniarką. Świeżo po szkole, pracowała na oddziale geriatrycznym w mieście. Miała regularny dochód. Myślę, że Gary’emu się to podobało.

– Jak to się stało, że zajęła się nimi opieka społeczna? – Vera z trudem wyobraziła sobie jak kobieta, którą poznała tego ranka, radzi sobie z odpowiedzialnością związaną z byciem pielęgniarką.

– Patty została przyjęta na ostry dyżur z powodu przedawkowania leków na receptę.

– Próba samobójcza?

Freya skinęła głową. – Keane zostawił ją kilka miesięcy wcześniej. Archie, jej najmłodszy syn, był jeszcze mały. Poszła do swojego lekarza rodzinnego, a on przepisał jej leki antydepresyjne.

– Ale rozpacz jej od nich nie przeszła. – Vera mogła to zrozumieć. – Została sama na tej wiecznie pustej ulicy, z trójką małych dzieci. Na jej miejscu, też chciałyby uciec.

– Zadzwoiła pod 999, więc nie jestem pewna, jak poważnie myślała o samobójstwie. – Głos kobiety brzmiał twardo. – Umówiliśmy się z jej matką, że zajmie się dziećmi, gdy ona będzie w szpitalu.

Z przybraną matką, która tak bardzo troszczyła się o córkę, że w końcu wróciła do Surrey, dodała w myślach Vera.

– I co pani wtedy zrobiła?

– Zwołaliśmy zebranie „dzieci w potrzebie” wszystkich osób związanych z rodziną. Nauczyciele, pielęgniarka środowiskowa, lekarz rodzinny. Chociaż lekarz rodzinny się nie pojawił. Powiedział, że jest zbyt zajęty. Gary’ego nie było – zniknął na jakiś czas, nie zostawiając Patty żadnych danych kontaktowych. Rodzice Patty. Oczywiście sama Patty.

– Ale co pani konkretnie zrobiła, żeby pomóc Patty?

Na moment zapadła cisza.

– Co ma pani na myśli?

– Dziewczyna była na tyle przygnębiona, że przedawkowała, nie miała żadnych znajomych w okolicy, a pani odesłała ją z powrotem do tego domu z trójką małych dzieci. – Vera starała się mówić spokojnym głosem. – Potem oczekiwała pani, że poradzi sobie ze stresem związanym ze spotkaniem z grupą profesjonalistów, którzy będą ją oceniać.

– Nie było żadnych dowodów na to, że dzieci zostały skrzywdzone lub zaniedbane. A matka Patty mieszkała w okolicy i wydawała się niezwykle kompetentna. Była nauczycielką.

– Była przybraną matką Patty i nigdy nie były ze sobą zbyt blisko. Vera miała ochotę się rozplakać. Znów miała dziesięć lat, z powrotem mieszkała w domu na wzgórzach i patrzyła, jak samochód opiekunki odjeżdża wzdłuż torów, i czuła się kompletnie osamotniona.

– Nie mogła pani kogoś przydzielić? Pomóc Patty?

Freya wydawała się zdumiona.

– To nie nasza rola.

– Musi być ktoś taki! Może jakaś organizacja charytatywna?

– Skierowaliśmy ją na szkolenie dla rodziców – powiedziała Freya. – Ale była długa lista oczekujących, a kiedy przyszedł jej termin, nie wzięła w nich udziału.

Co za niespodzianka! Wysłali Patty na kolejne lekcje które według niej pewnie okazałyby się porażką. Nic dziwnego, że nie poszła.

– Ale nadal zajmuje się pani tą rodziną?

– Odwiedzam ich raz w miesiącu. Obserwuję. – Kobieta najwyraźniej wyczuła dezaprobatę Very, ponieważ dodała: – Proszę pani, Patty kocha te dzieci. Jest trochę chaotyczna, ale troszczy się o nie, karmi je i odwozi do szkoły na czas przez większość dni. Jest wiele rodzin z dużo gorszymi problemami, które zajmują nasz czas.

– A co by pani zrobiła, gdyby pojawiły się jakieś prawdziwe problemy? – Vera zrobiła przerwę. – Proszę się nie facygować, sama odpowiem na to pytanie. Już wiem! Zwołałaby pani zebranie!

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy Freya posłała jej cierpki uśmiezek.

Po powrocie na komisariat Vera zwołała własne zebranie. Po drodze kupiła lukrowane bułeczki w piekarni na rogu i wysłała Holly po herbatę. Następnie usiadła na biurku Charliego, opierając stopy na wolnym krześle. Szczęśliwa.

- Więc co mamy do tej pory? Hol, zacznijmy od ciebie. Byłam dziś rano u Patty i rozmawiałam z opiekunką społeczną odpowiedzialną za tę rodzinę, ale dobrze byłoby poznać tło.

Holly równie dobrze mogłaby prowadzić wykład uniwersytecki.

- Patty nie jest u nas notowana, choć jej dzieci są objęte planem „dzieci w potrzebie” przez opiekę społeczną. Wydaje się, że wynika to z jej problemów ze zdrowiem psychicznym

Vera skinęła głową.

- Według dziewczyny, John Brace szaleńczo zakochał się w jej uzależnionej od heroiny matce, ale był zbyt honorowy, by opuścić żonę, więc Patty oddano do adopcji. Hmm. A tu, na mojej dłoni wyrastają małe kaktusiki. Rodzice adopcyjni kładli duży nacisk na wyniki w nauce i Patty czuła się nieco zagubiona. Chociaż w sumie udało jej się pójść na Uniwersytet Newcastle i uzyskać dyplom pielęgniarki, więc nie zawiodła ich nadziei. - Vera przerwała. - Przepraszam, Hol. To twoja działka, nie moja. Oddaję ci głos.

Holly kiwnęła głową, wybacząc Verze przerwę. Bezczelna pannica. Ale Vera w duchu cieszyła się, że Hol ostatnio nabrała pewności siebie. Holly kontynuowała:

- Jej były mąż, Gary Keane, jest nam znany. Był karany za oszustwa i paserkę, ale jak dotąd uniknął więzienia. - Przerwała. - Istnieją pewne informacje, że pracował dla poważnych przestępców, włamując się do komputerów, wyłączając systemy alarmowe, ale nigdy nie został złapany. Mamy na niego teczkę, a wydział przestępczości zorganizowanej ma go na oku. Ostatnio jakby przycichł.

- Więc Brace mógł go znać. Przynajmniej o nim słyszeć.

- Czy wiemy, gdzie teraz mieszka? Wciąż w okolicy?

- Owszem, ma mały zakład w Bebington, gdzie sprzedaje komputery z odzysku i naprawia laptopy. Mieszka w mieszkaniu nad firmą. Przyjemna lokalizacja w rozwijającej się części miasta. Można by pomyśleć, że to ponad jego możliwości, ale wydaje się, że spłacił wszystkie swoje długi, więc być może nadal pomaga dużym chłopcom. Proszę, oto zdjęcie. - Rozdała wszystkim wydruki. Vera popatrzyła na mężczyznę o wyglądzie gwiazdora filmowego i szerokim uśmiechu. Łatwo było zrozumieć, dlaczego Patty się w nim zadurzyła. Ona też musiała być wtedy atrakcyjna. Wydawali się dobrze dobraną parą.

- John Brace opisał go jako maniaka - powiedziała Vera. - Czy ten facet też ma problemy ze zdrowiem psychicznym?

Holly potrząsnęła głową.

- Nigdy nie został zdiagnozowany. Ale słynie ze swojego temperamentu. Nie raz wdawał się w bójki z bramkarzami, a jeden facet trafił do szpitala po agresywnej napaści na drodze. Kiedy jednak sprawa trafiała do sądu, ofiary zawsze decydowały się wycofać swoje skargi.

- Więc jest chroniony. Albo sam zastrasza ofiary.

- Na to wygląda.

Vera zastanowiła się nad tym. Młoda kobieta, która od dziecka postrzegała siebie jako nieudacznicę, wchodząca w związek ze starszym mężczyzną mającym problemy z panowaniem nad gniewem, to gotowy przepis na przemoc domową.

– Jakieś podejrzenia, że bił Patty lub jej dzieci?

– Nie ma żadnych wzmianek o tym, że kiedykolwiek wezwano nas pod ten adres.

– Może sprawdzimy na ostrym dyżurze? Zobaczmy, czy nie pojawiła się kiedyś z niewyjaśnionymi obrażeniami. Opieka społeczna zajęła się rodziną dopiero po odejściu Gary'ego Keane'a.

Vera zauważyła, że Joe Ashworth kręci się niespokojnie.

– Masz coś do powiedzenia, Joe?

– Po prostu nie wiem, na ile to wszystko jest istotne. Chyba mieliśmy zbadać co stało się z Robbiem Marshalllem wiele lat temu. Morderstwo. A nie zajmować się jakąś kobietką z problemami rodzinnymi.

– Och, mnie interesuje wszystko, Joe. Właśnie dlatego jestem genialnym detektywem. Obdarzyła go swoim najszerszym uśmiechem. I dlatego ja tu dowodzę, a ty siedzisz i robisz, co ci każą.

G.

John Brace leżał w swojej celi i śnił. Nie spał, śnił na jawie. W swojej głowie miał trzydzieści lat, był wysportowany i u szczytu swoich możliwości. Był dobrym detektywem. Nawet oficerowie, którzy go nienawidzili, musieli przyznać, że był świetny w łapaniu przestępców. Wolne dni spędzał, wędrując po wzgórzach, cała ta przestrzeń i czyste powietrze zmywały smród cuchnących pokoi przesłuchań i brudnych mieszkań komunalnych. Dawało mu to pretekst do ucieczki od szanowanej małżonki i jej przyjaciół z klubu golfowego. Często towarzyszył mu Hector Stanhope, wskazując gniazda i znajdując ptasie jaja. Podnosił je ostrożnie i wkładał do specjalnych pudełek, które zawsze nosił w plecaku. Dzięki temu obaj zarabiali dodatkowe pieniądze, choć głównie chodziło o zbieranie, a nie o zysk. John Brace podziwiał Hectora za jego znajomość wiejskich zwyczajów i pewność siebie wynikającą z pochodzenia z ziemiaństwa, mimo że jego rodzina wyrzekła się go wiele lat temu.

To było trzydzieści pięć lat temu. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku, dwa lata przed strajkiem górników. W Northumbrii wciąż istniały kopalnie, i ludzie wciąż pracowali w stoczni Swan Hunters nad rzeką Tyne. Heroina nie była już narkotykiem gwiazd rocka, ale bezrobotnych dzieciaków, które włóczyły się po ulicach podupadłych wiosek górniczych. Dilerzy wystawiali przed bramami szkół, by kusić nastolatków wychodzących z boisk. Pewnego dnia John Brace aresztował Mary-Frances Lascuolę za posiadanie i rozprowadzanie narkotyków.

Nie uwierzył jej na początku, kiedy podała mu swoje nazwisko. Nie pasowało mu do pracującej dziewczyny w obcisłych czarnych dżinsach i białej gotyckiej twarzy. Ale nie szydził, nie krzyczał i nie nazwał jej kłamczuchą, bo coś w niej go pociągało. Już wcześniej uprawiał seks z kobietami, które aresztował, świadomy, że dla nich to tylko kolejna transakcja. Z kolejnym klientem. Udzielał im pouczenia i wypuszczał zamiast stawiać zarzuty. Więc jej też nie zabrał na posterunek i nie zamknął, tylko zawiózł ją do całonocnej kawiarni na A1. W Mary-Frances było coś delikatnego. Pomyślał, że warto poświęcić jej trochę czasu. Kupił jej kawę, kielbasę, jajko i frytki i patrzył, jak schludnie je. Wytarła usta papierową serwetką, wypila kolejną filiżankę kawy, choć powiedziała, że jest bardzo niedobra. Dopiero wtedy zapytał ją o to nazwisko.

– Mój dziadek był Włochem. – Spojrzała na niego znad grubego porcelanowego kubka. Jej oczy były wielkie i brązowe. – Jeńcem wojennym. Ożenił się z miejscową kobietą.

Spodobała mu się ta historia. Sprawiała, że Mary-Frances nabrała egzotycznego charakteru, stała się kimś więcej niż tylko kolejną dziewczyną sprzedającą seks na ulicy. Dowiedział się, że chodziła do szkoły klasztornej i to też go zainteresowało.

– Więc jak to się stało, że tu skończyłaś?

Wzruszyła ramionami. Przez cienki materiał jej koronkowego topu widział boleśnie chude ramiona, ostre kości przebijające się przez bladą skórę.

– Jestem uzależniona – powiedziała. – To choroba, ale nie ma na nią lekarstwa. Nikt mi nie pomoże.

Chciał powiedzieć, że on pomoże. Ale był policjantem, nie lekarzem, a poza tym prawdopodobnie robiła z niego głupka, mówiąc mu to, co chciał usłyszeć. Zabrał ją z powrotem do swojego samochodu, który był zaparkowany w ciemnym kącie, ukryty od drogi przez rzędy ciężarówek i pieprzył ją na tylnym siedzeniu. Tego się spodziewała, ale wyczuł jej rozczarowanie. Miała nadzieję na więcej. Po wszystkim on również poczuł się rozczarowany i był bliski przeprosin. Zawiózł ją tam, gdzie chciała. Mieszkanie w Whitley Bay niedaleko Dome i Spanish City. Ostrożnie pomógł jej wysiąść z samochodu i pocałował ją lekko w policzek. W powietrzu unosił się zapach wodorostów i waty cukrowej, a także szczyn i nędzy.

– Chciałbym jeszcze się z tobą zobaczyć.

– Ale następnym razem pan zapłaci – powiedziała bez ogródek.

Pojechał z powrotem do domu w Ponteland. Było ciemno. Teraz Judith już na niego nie czekała. Judith, jego żona, córka urzędnika sądowego, który był kościelnym i nauczycielki w szkółce niedzielnej. Matka jego dziecka, które urodziło się martwe i złamało jej serce. Zimna jak posągi świętych w kościele, w którym klęczała podczas modlitwy. Judith była jego przepustką do pozycji społecznej i dużo jej zawdzięczał. Siedział przez chwilę w samochodzie, słuchając nawoływania sowy uszatej, zastanawiając się, gdzie jest gniazdo i czy Hector potrzebuje takich jaj.

W celi w więzieniu w Warkworth John Brace potrząsnął głową, aby przegnać z pamięci pustkę, którą czuł tamtej nocy. Nasłuchiwał nocnych odgłosów oddziału dla seniorów i niepełnosprawnych. Jeden z więźniów z wczesną demencją krzyczał o pomoc – zawsze był zdezorientowany w nocy; w ciągu dnia wydawał się prawie normalny. Zawsze słyhać było brzęk kluczy; jego napięte nerwy brzęczały tak samo. Tęsknił za wyprawami na wzgórza z Hectorem i za nieporządnym domem na odludziu, z widokiem na dolinę, gdzie bywali z Hectorem i Robbiem Marshalllem, jego jedynymi prawdziwymi przyjaciółmi. Łączyła go z nimi więź głębsza niż z którymkolwiek z kolegów z pracy.

Czasami czekali na jeszcze jednego gościa, na ostatniego członka Gangu Czterech. Kiedy Profesor się pojawiał, opowiadał historie o zupełnie innym świecie. Spotykał się z ludźmi, których John Brace oglądał tylko w eleganckich niedzielnych wydaniach gazet. Siedząc w zagraconym salonie Hectora przed kominkiem, John odprężał się i był sobą. Czasami gburowata nastolatka parzyła dla nich herbatę, zanim odeszła do swojego pokoju. Vera Stanhope. Wiedział, że to przez nią tu trafił. Ale teraz była jego nadzieją na zbawienie.

7.

Joe Ashworth spędził poranek na poszukiwaniu informacji na temat Johna Brace'a i już samo to zajęcie sprawiło, że poczuł się brudny. Ojciec Joe był świeckim pastorem w kościele metodystów, człowiekiem moralnym, a Joe wstąpił do policji z poczucia obowiązku. Uważał, że to zaszczytny zawód, choć nie było łatwo przekonać do tego ojca. W latach osiemdziesiątych wszystko wyglądało inaczej. Joe słyszał opowieści o strajku górników, o autobusach pełnych policjantów z południa wysłanych do walki z pikietami, wymachujących swoimi kwitami za nadgodziny, by podjudzić strajkujących do przemocy. Prawdopodobnie niektórym ze strajkujących takie zachęty nie były wcale potrzebne. Jego ojciec lubił łatwe historyjki gdzie ludzie dzielili się na dobrych i złych, a wydarzenia z tamtych czasów zyskały dla niego rangę mitów i ludowych pieśni. W oczach ojca i jego przyjaciół policjanci zawsze byli tymi złymi.

Fakt, nawet jak na standardy lat osiemdziesiątych Brace był złym policjantem. Tyranem, który korumpował młodszych funkcjonariuszy, kłamcą. Minęły dziesięciolecia, zanim stanął przed sądem. Joe przyjechał na posterunek wcześniej rano i przejrzał sprawozdania ze śledztwa i procesu Brace'a w związku ze śmiercią Glena Fenwicka, leśniczego z posiadłości Standrigg. Znalazł nagranie wideo Brace'a, który w dwa tysiące dziewiętnastym wkraczał na salę sądową, jakby nie mógł uwierzyć, że może zostać skazany. Wcześniej toczyły się postępowania dyscyplinarne, wpływały skargi od osób postronnych dotyczące skrajnego grubiaństwa, od adwokata, którego klientka została pobita w celi, od kierowniczkii schroniska dla kobiet, która twierdziła, że Brace znęcał się nad jedną z podopiecznych. Jednak wyglądało na to, że Brace'owi zawsze udawało się wyjść z tych oskarżeń bez szwanku i że awansował pomimo podejrzeń o korupcję i nieetyczne zachowanie. Joe nie był pewien, czy taka była specyfika służb w tamtym czasie, czy też Brace miał przyjaciół na bardzo wysokich stanowiskach.

Teraz, siedząc w otwartej przestrzeni biurowej, Joe słuchał Holly i Very rozmawiających o Patty Keane i zaczął się niecierpliwić. Przykro mu było, że dziewczyna przeżywa ciężkie chwile, ale chyba nie było jej aż tak źle, skoro nie płacąc czynszu i kredytu hipotecznego mieszkała w domu, który zapewnił jej ojciec policjant. Vera wypełniła swoje zobowiązanie wobec Brace'a; złożyła wizytę i sprawdziła, czy jego wnukom nie grozi pójście do domu dziecka. Jednak Brace powiedział, że zamordowano człowieka i na tym powinna skupić się ich rozmowa. Vera powinna wrócić do Warkworth i zażądać więcej informacji.

Kiedy Vera zapytała go, co myśli, powiedział jej o tym i usłyszał jeden z jej złośliwych komentarzy. Powinien być już przyzwyczajony do jej kąśliwych uwag, ale i tak go to zabolalo, zwłaszcza, że było to na oczach reszty zespołu. Siedział więc cicho i słuchał Charliego, który opowiadał wszystko, co wiedział o Robbie Marshallu. Słońce wpadało

przez okna. Taka pogoda zawsze panowała na początku września, zaraz po powrocie dzieci do szkoły, a słuchając głosu Charliego, Joe czuł się, jakby znów był dzieckiem, siedzącym na wykładzinie przed nauczycielem i słuchającym opowieści z dawnych lat.

– John Brace i Robbie Marshall chodzili razem do szkoły – opowiadał Charlie. – Obaj dostali się do Bebington Grammar, więc byli bystrzymi chłopcami. Ojciec Johna był zastępcą w kopalni, a ojciec Robbiego prowadził własny sklep mięsny. Żadna z rodzin nie należała do elity, ale obie cieszyły się szacunkiem. Chłopcy przyjaźnili się ze sobą, należeli do szkolnego kółka przyrodniczego, chodzili na wycieczki w góry. Jeden z nauczycieli potrafił rozbudzić zainteresowania wielu swoich uczniów. Żaden z tej dwójki nie poszedł na uniwersytet. John wstąpił do policji, gdy miał osiemnaście lat, a Robbie zaczął jako praktykant w Swan Hunters, okazał się lepszy w liczbach niż w pracy fizycznej i zaczął pracować przy zamówieniach. Zdał kilka egzaminów, a kiedy zniknął, był już kierownikiem działu zaopatrzenia.

– Czwarty członek gangu. – Vera nie mogła się powstrzymać. – Ten, którego nigdy nie poznałam, ten, którego nazywali Profesorem. Czy podejrzewamy, że on też uczęszczał do Bebington Grammar? Hector był starszy i chodził do prywatnej szkoły na obrzeżach Alnwick, więc musiał poznać Brace'a i Marshalla później.

Charlie potrząsnął głową.

– Nic nie wiem o Profesorze. Brace ożenił się z Judith Waterson, gdy miał dwadzieścia pięć lat. Według plotek było to małżeństwo z rozsądku. Jej ojciec był sędzią i przyjaźnił się z komendantem policji. Przynajmniej na początku wydawali się szczęśliwi. Tak twierdzą chłopcy, którzy go wtedy znali. – Zrobił pauzę. – Robbie nigdy się nie ożenił i zawsze mieszkał z mamą. Był jedynakiem, jego ojciec zmarł wkrótce po tym, jak chłopak skończył szkołę. Matka miała jeden z domów z widokiem na park w Wallsend. W tamtych czasach była to całkiem przyzwoita okolica.

– Czy wiemy, dlaczego nigdy się nie ożenił? – zapytała Vera. – Podejrzewamy, że był gejem?

Charlie potrząsnął głową, by pokazać, że nie ma zdania na ten temat i przykleił kilka zdjęć Robbiego Marshalla na białej tablicy.

– To są zdjęcia, których używaliśmy, gdy zaginął i prosiliśmy opinię publiczną o informacje.

Joe spojrział na chudego mężczyznę o szczupłej twarzy, z okularami na długim nosie. Jedno ze zdjęć zostało zrobione podczas pracy. Siedział wraz z innymi przy stole, na którym nie było już jedzenia, pozostała tylko filiżanka kawy i kieliszek brandy. Uśmiechał się do aparatu, miał czerwony nos. Drugie zdjęcie zrobiono na dworze. Marshall był ubrany w wiejskie ciuchy, sweter i tweedową marynarkę, opierał się o kamienny most przecinający rzekę. W tle stała wysoka, nieostra postać w skórzanych butach i długim, przeciwdeszczowym płaszczu.

Joe zastanawiał się, czy tym mężczyzną może być Hector, ale Vera wskazała go palcem.

– Czy to może być Profesor?

- Brak danych. - Charlie spojrział w dół na swoje notatki, ale Joe wiedział, że tak naprawdę ich nie potrzebował. Odkąd córka Charliego wróciła do domu, mężczyzna wrócił do życia. Miał przejść na emeryturę, bo popadł w łagodną depresję, ponieważ jego żona znalazła sobie innego mężczyznę, a teraz stał się jednym z najsukuteczniejszych członków zespołu.

- Marshall został zgłoszony jako zaginiony przez swoją matkę 25 czerwca 1995 roku. Stocznię objęto zarządem komisarycznym w 1993 roku po tym, jak nie udało jej się zdobyć zamówienia od rządu na budowę nowego okrętu dla Królewskiej Marynarki Wojennej, ale Robbie nadal tam pracował. Syndyk masy upadłościowej zatrzymał go, by przeprowadził audyt wyposażenia. Był po czterdziestce i miał wystarczające kwalifikacje, by znaleźć inną pracę, ale był dla nich przydatny i zakładam, że dobrze mu płacili. Według jego matki podobą mu się nowa rola; pasowała mu bardziej niż praca, którą wykonywał wcześniej. Polegała na liczeniu, a on zawsze lubił liczby.

Charlie przerwał, by zaczerpnąć tchu. Joe myślał o wielkiej stoczni nad rzeką Tyne i o wszystkich ludziach, którzy tam pracowali, o ogromnych statkach, które górowały nad szeregami robotniczych domów, gdy zsuwały się do rzeki w dniu wodowania. Jeden z jego wujków był nitowaczem, a drugi stolarzem.

- Czy ludzie postrzegali Marshalla jako zdrajcę, bo pracował dla syndyka?

- Nie, raczej uważali go za szczęściarza, który wyszedł na swoje i nie stracił roboty.

- Czy ten człowiek po prostu rozplynął się w powietrzu? - Vera zaczynała się już niecierpliwic.

- Prawie. - Charlie patrzył na zgłoszenie złożone przez matkę Marshalla. - To była niedziela. Robbie Marshall pojechał na północ, by spędzić dzień na wędrówkach i obserwacji ptaków ze swoimi przyjaciółmi, Johnem Brace'em i Hectorem Stanhope'em. - Skinął głową w stronę Very.

- Nie mieszkalam już wtedy w domu - powiedziała Vera. - Już wstąpiłam do policji.

- Jego matka czekała na niego w domu z kolacją. W weekendy zawsze gotowała główny posiłek wieczorem, ponieważ Robbie cały dzień był poza domem. Kiedy nie pojawił się o oczekiwanej porze, zadzwoniła do Hectora. Hector powiedział, że John z Robbiem wyszli pół godziny temu i jej syn powinien niedługo wrócić do domu. Przeprzył, jeśli sprawili jej kłopot. Zagadali się i nie zdawali sobie sprawy z upływającego czasu. Godzinę później zadzwoniła do Johna Brace'a. Nie było go w domu. Rozmawiała z Judith, która powiedziała jej, że spodziewa się Johna dopiero znacznie później. Pani Marshall pomyślała, że może zdecydowali się wyjść razem na miasto, włożyła jego kolację do lodówki i położyła się spać. Kiedy rano dalej go nie było, złożyła oficjalne zawiadomienie o jego zaginięciu. Powiedziała funkcjonariuszowi przyjmującemu zgłoszenie, że jej syn ani razu nie opuścił pracy.

- Co miał do powiedzenia John Brace? Musiał być ostatnią osobą, która widziała Robbiego Marshalla, zanim zniknął. - Vera zeskoczyła z biurka i chodziła w tę i z powrotem przed tablicą.

– W swoim zeznaniu z tamtego okresu Brace stwierdził, że odjechali z domku Hectora osobnymi samochodami. Krótko rozmawiali przed domem, zanim wyjechali z doliny. Robbie sprawiał wrażenie, jakby jechał prosto do domu. Tak się zawsze zachowywał w niedziele i nie wspominał, że tym razem planuje coś innego. Brace zeznał, że umówił się na spotkanie z informatorem w barze na wybrzeżu w Whitley Bay. Dlatego powiedział żonie, że wróci dopiero późno. Judith już spała, kiedy dotarł do domu, więc nie przekazała mu wiadomości od matki Robbiego. Brace twierdził, że nie wiedział, że Robbie nie wrócił do domu, aż do następnego ranka, kiedy pani Marshall skontaktowała się z nim w panice; powiedział jej, żeby złożyła oficjalne zawiadomienie o zaginięciu syna.

W biurze panowała cisza, przerywana jedynie stukaniem okropnych sandałów Very o linoleum. Zatrzymała się nagle.

– Ile wysiłku włożyli w poszukiwania Marshalla? Był starym kumplem Johna Brace’a, ówczesnego superbohatera i pogromcy złodziei. Można by pomyśleć, że poruszyli niebo i ziemię.

Charlie wzruszył ramionami.

– Trzy dni później znaleźli jego samochód na parkingu lotniska w Newcastle. Założono, że nawiał. Wyjechał do jednego ze słonecznych miejsc, w których lubił spędzać wakacje. Jego nazwiska nie było na żadnej z list pasażerów, ale przypuszczano, że znał wielu niegrzecznych chłopaków w Tyneside i miał dostęp do fałszywych dokumentów. Jedna z teorii głosiła, że wyprowadzał gotówkę i sprzęt ze stoczni podczas przeprowadzania audytu dla syndyków masy upadłościowej i wiedział, że zostanie przyłapany.

Joe pomyślał, że to wszystko ma sens. Wyobraził sobie starszego Robbiego Marshalla siedzącego w słońcu na balkonie hiszpańskiego apartamentu, używającego innego nazwiska, z jeszcze bardziej zaczerwienionym długim nosem.

– Czy Hector lub John Brace kiedykolwiek dostali od niego wiadomość? – Vera podciągnęła się z trudem i przysiadła na biurku.

– Nie jestem pewny, czy ktokolwiek ich o to pytał. Marshall był dorosły. Ważniejsze rzeczy spędzały ludziom sen z powiek.

– Jego matka na pewno niejedną noc nie przespała z jego powodu – powiedziała Vera. – Pewnie już nie żyje.

– Owszem, żyje. – Charlie nie musiał sprawdzać swoich notatek, by odpowiedzieć na to pytanie. – Ma dziewięćdziesiąt lat, ale wciąż mieszka w tym samym domu.

– W takim razie mamy od czego zacząć. Jeśli co roku lata do Malagi na wakacje, to znaczy, że Brace opowiada nam bzdury tylko po to, żeby nas wkurzyć.

– Albo żeby mieć pewność, że ktoś zajmie się jego córką. – Joe niechętnie przyznał, że Brace może mieć szlachetne pobudki do rozprowadzania o śmierci Marshalla, ale wiedział, jak by się czuł, gdyby Jess była w tarapatkach, a on nie mógłby jej pomóc.

– Możliwe. – Vera brzmiała, jakby nie wierzyła w ani jedno słowo. Ale Vera nie miała dzieci.

8.

Ostatnio Joe lepiej radził sobie z byciem w centrum uwagi. Kiedy po raz pierwszy pracował dla Very, widział, że drażni ją jego niechęć do wypowiedzania swojego zdania. Dzięki niej nabrał pewności siebie. Wiary we własne możliwości. Dziś jednak przerwała mu, zanim zdążył zacząć.

– Czy dowiedziałeś się czegoś o matce Patty? To byłby dobry początek.

– To mogła być jedna z wielu kobiet. Brace był znany z kontaktów z dziewczynami z ulicy. Większość z nich była uzależniona. Uważał, że to mu się należy.

– Masz nazwiska kobiet, z którymi Brace się zadawał?

Holly wtrąciła się, zanim Joe zdążył odpowiedzieć

– Patty poda pani dane swojej matki. Jeśli zdobyła jej akt urodzenia.

– Jasne. Powinnam była spytać Patty o imię jej biologicznej matki, kiedy tam byłam. – Vera przyznała się do błędu. Rzadkość. – Ta kobieta musiała być dla Brace’a kimś wyjątkowym, prawda? Skoro przyznał się do ojcostwa.

Znów poszła naprzód, zanim pozostali zdążyli odpowiedzieć i zaczęła liczyć w myśli.

– Patty ma teraz trzydzieści cztery lata, więc urodziła się w osiemdziesiątym trzecim. Co działo się z Brace’em mniej więcej w tym czasie?

– Był przed trzydziestką, jednym z najmłodszych sierżantów w wydziale. Żonaty, ale bez dzieci. Jego żona pracowała jako agentka nieruchomości w firmie swojego ojca.

– Atrakcyjna Judith – stwierdziła Vera. – Czy wciąż jest z nami?

– Jak najbardziej. Filar społeczności. Radna z ramienia torysów, dyrektorka szkoły, prowadzi wygodne życie w tym samym domu w Ponteland. Jej ojciec sprzedał firmę w szczycie boomu na rynku nieruchomości i pewnie mądrze zainwestował.

– Czy nadal jest żoną Brace’a?

– Nie, wzięli dyskretny rozwód za porozumieniem stron wkrótce po jego skazaniu.

– Wtedy go spłaciła – powiedziała Vera.

– Być może. A może miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby to nie miało znaczenia. Po wyjściu na wolność starczy mu do końca życia.

– Może jednak miałeś rację i on rzeczywiście chce czegoś więcej. – Vera znów była na nogach. Krążyła po pokoju. – On też chce zadbać o swoją rodzinę. To dla niego kwestia dumy. Patty jest jego jedyną córką, to są jego wnuki. – Zatrzymała się nagle i wyglądało na to, że podjęła decyzję.

– Joe, pojedziesz ze mną. Porozmawiamy z matką Robbiego Marshalla. Dobrze sobie radzisz ze starszymi paniami. – Chwila przerwy. – Holly, odwiedzisz Patty. Dowiedz się, jak

nazywa się jej biologiczna matka. Ale bądź dla niej miła. Ma kliniczną depresję i jeśli ją zdołujesz, John Brace może to wykorzystać jako pretekst do odmowy współpracy.

Dom Marshalla w Wallsend był klasycznym budynkiem z lat trzydziestych: czerwona cegła, wykuszowe okna i coś, co wyglądało jak oryginalny witraż nad drzwiami. Większość budynków przy tej ulicy stanowiły bliźniaki, ale ten dom był jednorodzinny, położony na większej działce na rogu. Ogród był zadbany i wciąż kwitło w nim kilka późnych róż, i fuksja, która nadawała trochę koloru. Joe pomyślał, że matka Robbiego Marshalla ma dość pieniędzy, by zatrudnić kogoś do pielęgnacji ogrodu. Ciekawe, czy to mąż rzeźnik zostawił jej spadek, czy też Robbie utrzymywał ją ze swojego eleganckiego apartamentu w Maladze. Podejrzał, że Vera zaczęła to absurdalne dochodzenie, bo jej się nudziło. Tak niewiele działo się w jej świecie poza pracą, że potrzebowała dramatyzmu skomplikowanego śledztwa w sprawie morderstwa, aby nadać cel swojemu życiu. Nawet jeśli na razie nie było zwłok.

Vera zadzwoniła do drzwi i Joe usłyszał bardzo głośny gong w środku domu. Pewnie matka Robbiego była trochę głucha. Po kilku minutach usłyszał ruch po drugiej stronie drzwi. Otworzyła je mała, podobna do ptaka kobieta z ciasno skręconymi białymi lokami. Poruszała się z balkonikiem, więc ustawia się bokiem, żeby móc przytrzymać się framugi.

– Chodzę do kościoła – powiedziała stanowczo. – Nie potrzebuję nawracania. – Popatrzyła na Verę i zrewidowała pierwsze wrażenie. Pewnie uznała że mormoni lub świadkowie Jehowy byłiby lepiej ubrani. – I wspieram wybrane organizacje charytatywne. Nie daję datków przy drzwiach.

– Jesteśmy z policji. – Vera nie obraziła się. – Przyszliśmy porozmawiać o Robbiem.

Na chwilę zapadła cisza.

– Proszę powtórzyć! – Kobieta najwyraźniej myślała, że źle usłyszała. Widać, że była przyzwyczajona do wydawania poleceń.

– Przyszliśmy porozmawiać o Robbiem. – Tym razem Vera podniosła głos.

– Znaleźliście go?

Vera potrząsnęła głową.

– Możemy wejść do środka? Lepiej, żeby sąsiedzi nie podsłuchiwali, a założę się, że jest ich tu sporo.

Kobieta uśmiechnęła się lekko, uznając słuszność tej uwagi i odsunęła się na bok. Usiedli we frontowym pokoju. Joe pomyślał, że prawdopodobnie nie zmienił się zbyt wiele od czasu, gdy Robbie tu mieszkał. Wykrochmalone firanki i stary telewizor. Na półce w rogu wypchany ptak w szklanej gablocie. Joe pomyślał, że mogło to być jedno z dzieł Hectora.

– Jestem Vera. Inspektor policji. Jak mamy się do pani zwracać? – Vera siedziała na małej sofie, a kobieta opadła na fotel z wysokim oparciem przy oknie. Joe nie miał ochoty tłoczyć się na sofie obok szefowej, więc stanął pod ścianą.

– Może mnie pani nazywać Eleanor. Tak mam na imię, a w dzisiejszych czasach nikt nie dba o formalności. – Przerwała. – Po co pani przyszła, pani inspektor?

– Otrzymaliśmy nowe informacje na temat pani syna. Pewien świadek twierdzi, że zmarł on wkrótce po zaginięciu.

Eleanor Marshall zamrugnęła, ale poza tym nie odpowiedziała. Joe zastanawiał się, czy słyszała pytanie.

– Nie wydaje się pani zaskoczona – powiedziała Vera.

– Oczywiście, że nie. Gdyby Robert żył, utrzymywałby ze mną kontakt. Wprawdzie policjanci twierdzili wtedy, że wyjechał za granicę, ale ja wiem, że nie zniknąłby bez wcześniejszego spotkania ze mną. Był dobrym synem. Oddanym. Przez jakiś czas zastanawiałam się, czy nie zachorował. Albo nie uległ wypadkowi drogowemu. Ale obdzwoniłam szpitala i nikt nie pasował do jego opisu. Opłakiwałam go, odkąd zniknął. Ale nie jest łatwa żałoba. Nie ma ciała, które można by pogrzebać. Ani grobu do odwiedzania. – Przerwała. – Policja powiedziała, że jest dorosły i że każdego dnia ktoś znika.

– Mamy podejrzenia, że został zamordowany – odparła Vera. – Czy to by panią zdziwiło? Tym razem cisza się przeciągnęła.

– Były chwile, kiedy tylko tak potrafiłam wytłumaczyć sobie jego zniknięcie. – Eleanor odchyliła się na krześle i zamknęła na chwilę oczy. – Gdyby żył, skontaktowałby się ze mną. Nie miał rodzeństwa i byliśmy bardzo blisko ze sobą, zwłaszcza po śmierci jego ojca.

– Proszę mi o nim opowiedzieć. – Vera poprawiła się na sofie, która wydawała się zbyt krucha by utrzymać jej ciężar. Wyglądało na to, że zupełnie jej się nie spieszy.

– Nigdy nie był krzepkim chłopcem. Nie lubił bawić się na ulicy. W dzieciństwie bardzo cierpiał na astmę. I alergie. Lubiał czytać. Nauczyłam go czytać, zanim poszedł do szkoły. – Chwila przerwy. – Byłam nauczycielką, zanim wyszłam za mąż, ale Bernard nie chciał mieć pracującej żony, skoro mógł utrzymać nas oboje.

– Jak to się stało, że Robbie poszedł do Bebington Grammar, skoro mieszkali państwo tutaj, w Wallsend?

– Mieszkaliśmy w Bebington, kiedy Robert rozpoczął naukę w szkole średniej. Tam Bernard miał swój pierwszy sklep. Otworzył drugi tutaj w Wallsend i przeprowadziliśmy się. Ale Robert zadomowił się w Bebington; to była dobra szkoła. Bernard podwoził go rano, a wieczorem Robert wracał autobusem.

– W szkole poznał Johna Brace'a. Co pani o nim sądzi?

– John był bystrym chłopcem. – Joe pomyślał, że Eleanor zastanawiała się, zanim odpowiedziała.

– Dobrym przyjacielem Robbiego?

Kolejna pauza.

– Byłam zadowolona, że Robert w ogóle znalazł przyjaciela. Nie radził sobie w gimnazjum. Często był nieobecny z powodu choroby i nie mógł brać udziału w chłopięcych przepychankach.

– Ale? – Vera uśmiechnęła się lekko, by pokazać, że rozumie, iż Eleanor nie była do końca zadowolona z relacji jej syna z Brace'em.

– John miał silny charakter. Zdecydowany. Też był jedynakiem, ale chyba za bardzo rozpieszczali go w domu. Był przyzwyczajony do stawiania na swoim. To nie była przyjaźń równych sobie.

– Mieli jednak wspólne zainteresowania, prawda? – Vera pochyliła się do przodu, opierając łokcie na grubych kolanach. – Kółko przyrodnicze.

– Tak, i to był kolejny powód, dla którego Robert został w Bebington, kiedy się przeprowadziliśmy. To kółko tak wiele dla niego znaczyło. Dzięki niemu spędzał czas na łonie natury, a świeże powietrze dobrze wpływało na jego astmę. Od najmłodszych lat pasjonował się dziką przyrodą. – Eleanor podniosła nagle wzrok. – Powinam była zaproponować wam coś do picia. Ta nagła wizyta wytrąciła mnie z równowagi. Napije się pani herbaty czy kawy?

– Będę wdzięczna za kawę, ale mój sierżant ją nam zrobi, prawda Joe?

Joe pomyślał, że Vera nie traktuje go na równi, ale odegrał rolę uległego podwładnego i zapytał Eleanor, czy też ma na ochotę czegoś się napić. Idąc do kuchni zostawił otwarte drzwi i mógł nadal słyszeć rozmowę. Wyglądało na to, że gdy wyszedł, Eleanor nabrała ochoty na zwierzenia.

– Bernard nigdy nie potrafił zrozumieć zainteresowania Roberta naturą. Był typowym facetem. Piłka nożna. Kilka kufli z kumplami w klubie. Wie pani.

Napełniając czajnik, Joe zastanawiał się, jak to się stało, że nauczycielka zeszła się z rzeźnikiem. Musieli stanowić marnie dobraną parę. Nie potrafił sobie wyobrazić Eleanor idącej z mężem na spacer po St James's Park.

– Czy Robbie nigdy nie zastanawiał się nad pójściem na uniwersytet? – zapytała Vera. – Na przykład na zoologię lub ekologię? Myślę, że to by mu odpowiadało.

– Był wystarczająco bystry! – Eleanor walczyła o syna nawet po tylu latach.

– Jestem o tym przekonana. Czyżby po prostu nie miał na to ochoty?

– Myślę, że bardziej chodziło o pewność siebie – odpowiedziała Eleanor.

– A może to była sprawka Johna Brace'a? Może obawiał się, że Robert znajdzie innych przyjaciół o podobnych zainteresowaniach, jeśli pójdzie na studia?

Kawa była gotowa, ale Joe został w kuchni. Nie chciał przerywać uroku, który Vera wyraźnie roztoczyła nad tą kobietą.

– Coś w tym jest, co pani mówi. Eleanor zamilkła na chwilę. – Próbowałam przekonać Roberta, by zastanowił się nad studiami, ale nie chciał. I nie chciał słyszeć nic przeciwko Brace'owi. W końcu się poddałam; zawsze był uparty. Poza tym, kiedy zatrudnił się w stoczni, wszyscy uznaliśmy, że znalazł tam pracę na całe życie.

– Spodobało mu się tam, prawda? – Głos Very był pełen zainteresowania.

– Wygląda na to, że tak. Dostał awans i wydawał się dość lubiany. – Ale w głosie Eleanor zabrzmiało lekceważenie. Wolałaby syna z uniwersyteckim wykształceniem. Wciąż była

rozczarowana jego wyborem drogi zawodowej. Joe pomyślał, że Sal czułaby się tak samo, gdyby Jess zdecydowała się nie pójść na studia. Marzyła dla córki o czymś wyjątkowym, jeśli nie o Oksfordzie lub Cambridge, to chociaż o Durham.

Nastąpiła przerwa w rozmowie więc Joe skorzystał z okazji i wniósł tacę z kawą. Postawił ją na niskim stoliku obok Eleanor i wręczył jej filiżankę, drugą podał Verze, która wzięła ją z chytrym mrugnięciem.

– Robbie był na wzgórzach z Johnem Brace'em w dniu, w którym zniknął, prawda? – Vera sączyła napój jak dama.

– Z Brace'em i kimś jeszcze. Z jakimś Hectorem. Był trochę starszy od niego. Robert dał mi jego numer telefonu, ponieważ spędzał z nim tak dużo czasu. Zadzwoiłam do niego tamtej nocy, kiedy Robert nie wrócił do domu.

Joe uświadomił sobie, że Vera nie podała swojego nazwiska, kiedy się przedstawiała. Zastanawiał się, czy sam byłby tak sprytny.

– Zawsze tak spędzał niedziele? Na wędrownie po wzgórzach z Hectorem i Johnem?

– Ale zawsze wracał do domu na kolację – dopowiedziała pośpiesznie Eleanor. – Wszystkie niedzielne wieczory spędzał ze mną. To był czas tylko dla nas dwojga.

– Czy zauważyła pani coś szczególnego w swoim synu w dniach poprzedzających jego zniknięcie? – Vera brzmiała przepraszająco. – Wiem, że to bardzo dawno temu, ale proszę sobie przypomnieć.

– Był przestraszony. – Kobieta wydawała się być bliska utraty kontroli po raz pierwszy podczas tej rozmowy.

– Jest pani pewna? To nie tylko pani spojrzenie z perspektywy czasu?

– Wiedziałam już wtedy, że coś jest nie tak. Pytałam go, co się stało. Zastanawiałam się, czy coś jest nie tak. Stocznia była już wtedy zamknięta, ale Robert pracował u syndyka.

– I co pani powiedział? – Chociaż Vera mówiła głośno, by kobieta mogła ją usłyszeć, jej głos był łagodny, przekonujący.

– Że po prostu musi załatwić pewną sprawę.

– Żadnych szczegółów?

Eleanor potrząsnęła głową.

– Nie chciał ze mną rozmawiać, powiedział, że nie mam się czym martwić. Ale ja się martwiłam. Całą noc słyszałam, jak chodzi w tę i z powrotem po sypialni. Przez ostatnie kilka dni w ogóle nie spał. Pomyślałem, że dzień na wzgórzach pomoże mu się rozerwać.

– Czy ktoś był u państwa w dniach poprzedzających jego zniknięcie? Vera mówiła teraz spokojnym głosem. Może John Brace?

– Tak. Jakiś mężczyzna, którego nie znałam.

– Może go pani opisać? – Vera zrobiła pauzę. – Wiem, że to było dawno temu.

– Przypomniałam sobie o nim, gdy Robert zniknął i utrwaliłam go sobie w pamięci na wypadek, gdyby mogło się to do czegoś przydać. Wysoki. Elokwentny. Bez miejscowego

akcentu. Wydawał się nieco młodszy od Roberta, ale pewny siebie. Dżentelmen. Robert był chyba zadowolony z jego odwiedzin.

Joe wyczuł, że Vera się rozluźniła, poczuła ulgę. Być może spodziewała się opisu Hectora, ale to nie był on.

– Pewnie nie wie pani, jak się nazywał.

Eleanor potrząsnęła głową.

– Czy Robert powiedział pani, po co przyjechał?

– Nie. W ostatnich tygodniach przed zniknięciem niewiele ze mną rozmawiał. – Jej głos zabrzmiał nagle bardzo słabo i smutno.

Vera podniosła się z miejsca.

– Proszę wybaczyć, że wyciągam to wszystko z powrotem po tak długim czasie.

– Nie! – Eleanor szponiastą dłonią chwyciła nadgarstek Very. – Cieszę się, że pani przyszła. Miałam nadzieję, że coś takiego się wydarzy. To nie tak, że o nim zapomniałam. Czasami myślę, że Pan trzyma mnie przy życiu tylko po to, abym mogła zapewnić mu godny pochówek. – Podniosła się, opierając się o balkonik. – Znajdźcie go – zażądała. – Znajdźcie mojego synka.

9.

Vera wsiadła do samochodu, obejrzała się na schludny dom i zobaczyła Eleanor Marshall spoglądającą przez firanki; kobieta pomachała do niej nieznacznie.

– Biedaczka. Ma nadzieję, że odnajdziemy jej syna.

– A zrobimy to? – Joe Ashworth wrzucił bieg i ruszył.

– Tak, myślę, że tak. Przynajmniej będzie mogła go pochować. Dorwiemy też jego zabójcę.

– Jeśli wciąż żyje.

Vera zastanowiła się przez chwilę. Odwróciła się do swojego sierżanta, który był skupiony na drodze przed sobą.

– Myślisz, że to mógł być Hector?

– Czy nie jego pani podejrzewała?

Vera nie odpowiedziała. Próbowwała przypomnieć sobie Hectora takiego, jakim był w połowie lat dziewięćdziesiątych. Duży mężczyzna, silny, pijący za dużo, skłonny do wybuchów złości. Ale też sentymentalny. Wydał fortunę u weterynarza na psa, którego kochał, a kiedy musiał go uspić, popłakał się. Tylko raz widziała go we łzach. Prawdopodobnie płakał też po śmierci żony, ale robił to w tajemnicy, a jego towarzyszem była butelka whisky, a nie mała córeczka. Przyszło jej do głowy, że Brace i Marshall mogli znać jej matkę. Byli wtedy młodymi chłopakami, ale nigdy nie dowiedziała się, kiedy zaczęła się ich znajomość z Hectorem. Być może jeszcze za czasów, gdy chłopcy chodzili do szkoły. Może zapyta Brace'a, kiedy odwiedzi go następnym razem. A może nie.

– Nie – powiedziała. – Nie sądzę, by Hector miał w sobie coś z zabójcy.

– Dokąd jedziemy? – Samochód stał na jałowym biegu na światłach. – Z powrotem na komisariat?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Może przypomnimy sobie, jak żyje druga połowa społeczeństwa? Zobaczmy, czy uroczą Judith Brace jest w domu.

– Ponteland to kawałek drogi, szkoda czasu, jeśli jej nie ma. Może lepiej zadzwonimy i umówimy się na spotkanie? – To był cały Joe, nigdy nie chciał ryzykować, nawet w tak małej sprawie.

– Zaryzykujmy – powiedziała Vera. – Chciałabym zrobić jej niespodziankę.

– Znała ją pani? Kiedy Brace jeszcze pracował? – Joe wykonywał już polecenie i jechał nadbrzeżną drogą na zachód w kierunku Newcastle. Vera widziała dźwigi na rzece i budynki, w których kiedyś mieściły się biura Swan Hunters.

- Spotkałam ją kilka razy. Na kolacjach charytatywnych. Na przyjęciu bożonarodzeniowym. W tamtych czasach nie zachęcano żon do udziału w firmowych imprezach.

Bardziej przypominały męskie wieczory, pomyślała. Mężowie spuszczeni ze smyczy na jeden wieczór, każda policjantka miała wzięcie. Chociaż musieliby być nieźle nawaleni, żeby mnie podrywać. Zresztą i tak nikt by się nie ośmielił.

- W dalszym ciągu żony nie są mile widziane - odparł Joe. Vera pomyślała, że pewnie Sal go o to nagabywała i dopytywała, dlaczego nie może uczestniczyć w wieczornych spotkaniach po pracy. - Co pani sądzi o Judith?

- Zdaje mi się, że była „żoną-trofeum”, zanim takie układy weszły w modę - powiedziała Vera. - Była śliczna. Jeżeli ktoś lubi blondynki i chudzielce. Pewna siebie. Chodziła do jednej z tych prywatnych szkół dla dziewcząt w Jesmond i to było widać. Miała pewność, że nigdy nie będzie musiała martwić się o swoją przyszłość i zawsze znajdzie się dla niej praca w firmie tatusia. - Vera przypomniała sobie, kiedy ostatni raz widziała Judith. Pojechała do niej z członkiem zespołu dochodzeniowego, aby powiadomić ją, że jej mąż został aresztowany. Był wczesny ranek, a Judith wciąż była w szlafroku. Bez makijażu i w średnim wieku, ale mimo to nadal urocza. I uprzejma. Zrobiła im prawdziwą kawę i podziękowała za to, że przyszli ją przedzić, zanim wiadomość dotarła do prasy.

- To pewnie dla pani szok - powiedziała Vera, gdy Judith wpuściła ich do środka.

- Nie, nie bardzo. - Kobieta sprawiała wrażenie jakby jej emocje zamarzły na kość.

Teraz Vera przypominała sobie historię, która krążyła po komisariacie na długo przed aresztowaniem Brace'a. Po latach starań Judith urodziła martwe dziecko. Być może po czymś takim nic już nie może człowiekiem wstrząsnąć.

John i Judith prawdopodobnie wprowadzili się do domu, gdy był nowy. Otaczał go ceglany mur zwieńczony ozdobnymi prętami z kutego żelaza, a dobrze utrzymany ogród porastały zadbane drzewa i krzewy. Był zbyt okazały jak na dochody gliniarza. Na żwirowym podjeździe stał elegancki SUV z napędem na cztery koła.

- Zdaje się, że jest w domu. - Willa znajdowała się dość daleko od miasta i Vera pomyślała, że jego mieszkanka raczej nie chodzi spacerkiem po mleko do sklepu.

Joe przejechał służbowym samochodem przez bramę i zatrzymał się obok toyoty Judith. Wydawał się speszony. Bogactwo i wykształcona klasa średnia często go onieśmiewały. Kiedy Vera zapukała do drzwi, stanął za nią.

Być może Judith usłyszała samochód, bo natychmiast im otworzyła. Tym razem miała makijaż. Subtelny i drogi. Spodnie, które pasowały jak ulał i ukazywały ciało, które spędziło zbyt wiele czasu na siłowni. Sweter, który prawdopodobnie był z kaszmiru. Małe perłowe kolczyki i sznur pereł na szyi.

- Słucham? Ale pytanie nie było agresywne i Vera pomyślała, że kobieta chyba ją poznała.

- Pewnie mnie pani nie pamięta, kotku. - powiedziała z naciskiem. - Vera Stanhope. Obecnie inspektor. To mój sierżant, Joe Ashworth.

– Oczywiście, Vera. – Wciąż była uprzejma. – Proszę wejść.

Jednak się zdenerwowała. Poprawiła lewy kolczyk.

Usiedli w kuchni z widokiem na tylny ogród. Był tak duży jak działka przydomowa, z grządką warzyw i klatką na owoce. Dalej rosło kilka jabłoni. Trawnik, na którym mogłyby bawić się dzieci, gdyby je mieli.

– W czym mogę pani pomóc? Wie pani, że John i ja nie jesteśmy już małżeństwem? Myślałam, że śledztwo zakończyło się wiele lat temu. – Majstrowała przy ekspresie do kawy, odwrócona do nich plecami. – John pewnie niedługo będzie się kwalifikował do zwolnienia warunkowego.

– Rozmawiałam z nim na początku tego tygodnia – powiedziała Vera. – Ostatnio nie czuje się najlepiej.

– Stwardnienie rozsiane. Wiem o tym. Bardzo mi przykro. – Tak jakby mówiła o kimś obcym.

– Mamy nowe informacje na temat Roberta Marshalla. Robbiego. Ponownie badamy sprawę jego zniknięcia.

– Po tak długim czasie? – Judith zamilkła. – To dlatego pojechała pani do Warkworth, żeby zobaczyć się z Johnem?

Vera uśmiechnęła się lekko.

– Tak długo była pani żoną policjanta, że wie pani, że nie mogę zdradzać informacji na temat trwającego śledztwa. – Przerwała. – Jak dobrze znała pani Robbiego?

Kobieta wzruszyła ramionami, lekceważąco.

– Niezbyt dobrze. To był dawny kumpel Johna ze szkoły. Mieliśmy ze sobą niewiele wspólnego.

– Podzielał zainteresowanie pani męża przyrodą.

– Ciągłe mieli fioła na tym punkcie, jak za szkolnych czasów. Zbierali ptasie jaja, uganiali się za motylami. – Uśmiechnęła się. – Być może wszyscy mężczyźni mają problem z wejściem w dorosłość. – Powiedziała to, jakby Joe Ashwortha nie było w pokoju.

– Więc spotkała pani Robbiego Marshalla?

– Raz czy dwa. Przyjeżdżał tu od czasu do czasu, kiedy razem z Johnem planowali wyprawy w dzicz. Na szkockie wyspy. Żeby kraść jaja ptaków morskich. Albo jeszcze dalej. Oczywiście zawsze prosiłam go, żeby został na kolację, ale zazwyczaj mówił, że musi wracać do domu. Matka na niego czekała. To były nasze jedyne kontakty towarzyskie.

– Co pani o nim sądzi?

– Właściwie nic. – Słowa były teraz ostrzejsze. – Był znajomym mojego męża, to wszystko. Żyłam własnym życiem, miałam własnych przyjaciół.

– Uważamy, że mógł zostać zamordowany.

Judith wzięła oddech.

– Mieszkał w Wallsend, prawda? Podejrzewam, że zadawał się z kilkoma nieprzyjemnymi typami. Mój tata był sędzią magistrackim, dopóki nie zmuszono go do

przejścia na emeryturę. Wiem, że narkotyki to straszny problem w niektórych częściach North Tyneside.

– Robbie był księgowym w Swan Hunters. – Lekkie wyolbrzymienie jego roli w stoczni, ale Vera poczuła irracjonalną potrzebę, by stanąć w obronie syna Eleanor Marshall. – Nie sądzę, żeby wśród jego znajomych byli dilerzy heroiny.

Judith zorientowała się, że została skarcona i uśmiechnęła się.

– Oczywiście, nie można kierować się stereotypami, pani inspektor.

A więc teraz jestem panią inspektor, a nie Verą. Ustawia mnie na właściwym miejscu. Nawet ten szuja, jej mąż, dosłużył się nadinspektora, pomyślała Vera. Zadzwoił jej telefon. SMS od Holly, która wróciła z wizyty u Patty Keane. Nazwisko biologicznej matki Patty. Vera zerknęła na wiadomość, po czym z powrotem skupiła się na Judith Brace.

– Mama Robbiego dzwoniła do pani w noc jego zaginięcia – powiedziała.

– Tak, policja pytała o to w tamtym czasie. Złożyłam zeznanie. Gdzieś pewnie będzie nagranie. Nie może pani oczekiwać, że będę pamiętała szczegóły po ponad dwudziestu latach.

– Oczywiście, że nie. – Ale matka Robbiego wciąż była w żałobie i wszystko pamiętała. Ten telefon też. – Powiedziała pani pani Marshall, że John pojechał na wybrzeże porozmawiać z informatorem.

– Naprawdę? – Jakby w ogóle jej to nie interesowało. – Więc pewnie tak było.

Zapadła cisza. Na zewnątrz, gdzieś w oddali, sąsiad kosił trawę, a kosiarka brzęczała jak rozniewany owad.

– John musiał być przybity – powiedziała Vera. – Jego najlepszy przyjaciel zaginał.

– Nie jestem pewna, czy Robbie był jego najlepszym przyjacielem. Mieli wspólne zainteresowania, a John zawsze lubił publiczność. Zawsze potrzebował kogoś, przed kim mógłby się popisać. Kto by go podziwiał. – Judith zebrała kubki po kawie i włożyła je do zlewu. Niezbyt subtelna wskazówka, że ma już dość. – Właściwie nie sądzę, żeby miał wiele wspólnego z Marshalllem poza ptakami.

– Więc nie wydawał się zmartwiony, kiedy Robbie zniknął?

Judith nie była pewna, co na to odpowiedzieć. Zastanawiała się przez chwilę.

– Jak już mówiłam, pani inspektor, to było dawno temu. Jestem pewna, że John zrobił, co mógł, by odnaleźć Robbiego. – Potem nastąpiła pauza, jakby nagle coś jej przyszło do głowy. – Czy nie podejrzewano, że okradł swojego pracodawcę i uciekł do Europy?

– Zdaje się, że to była jedna z teorii – powiedziała Vera – ale nie wyszła na jaw żadna kradzież.

– W takim razie najlepiej będzie, jeśli porozmawia pani z Johnem. – Judith odzyskała spokój. – Jeśli to wszystko, pani inspektor, to muszę już iść. Posiedzenie rady.

– Oczywiście. – Vera czuła, że Joe Ashworth uważa to wszystko za stratę czasu. Lepiej byłoby, gdyby wrócili prosto na posterunek policji w Kimmerston. Ponownie spojrzała na

swój telefon. – Jeszcze jedno, pani Brace. Czy nazwisko Mary-Frances Lascuola coś pani mówi?

Była to ostatnia rzecz, jakiej kobieta się spodziewała, a z jej twarzy odpłynęły kolory. Verze prawie zrobiło się jej żal. Prawie.

– Widzę, że rozpoznaje pani to imię, nawet po tylu latach. Nie zapomniałaby go pani, prawda? Coś tak egzotycznego.

– Sądzę, że była uzależniona – powiedziała Judith. – To była jedna z informaterek mojego męża. Na początku, kiedy pracował więcej w terenie.

– Tak ją określał? Jako swoją informatorkę? Może to właśnie z nią John spotkał się w noc zaginięcia Robbiego Marshalla. Ale według jej córki, Mary-Frances była kimś więcej. Najwyraźniej była miłością życia pani męża.

Kobieta opadła z powrotem na wysoki stołek, na którym siedziała, zapominając o posiedzeniu rady.

– Miała córkę?

Vera nie odpowiedziała. Nie chciała, aby Judith Brace wtrącała się w życie Patty. Nie powinna była dać się sprowokować, by o niej wspominać.

– Czy wie pani, co się stało z Mary-Frances?

Judith wyprostowała się, wzięła z kolan torebkę i wyjęła z niej szminkę oraz kompaktowe lustro. Odpowiedziała dopiero, gdy nałożyła szminkę i przycisnęła usta do siebie, by upewnić się, że warstwa jest równa.

– Oczywiście, że nie! Mój mąż zadawał się z wieloma kobietami tego rodzaju.

– Proszę powiedzieć, jakiego rodzaju?

– Z kryminalistkami – wyszczała Judith. – Z marginesu. Spędzał tyle czasu z przestępcami, że w końcu sam stał się jednym z nich. To dlatego siedzi w więzieniu, pani inspektor. Dlatego nie jestem już jego żoną. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę jednak pójść na to posiedzenie.

Prawie wypchnęła ich za drzwi.

Kiedy Joe wiózł ich z powrotem, Vera pograżyła się w myślach i rozejrzała się po okolicy dopiero, gdy wjechali na dwupasmową drogę wyjazdową z miasta.

– Tu jest lotnisko. Niecałe dziesięć minut od domu Brace'a.

– O czym pani myśli?

– Jeśli Robbie Marshall odwiedził Johna Brace'a tej nocy, gdy ten rozpląnął się w powietrzu, podrzucenie tam jego samochodu nie zajęłoby dużo czasu. – Wiedziała, że to żaden dowód, ale przytuliła tę informację jako kolejne interesujące ogniwo.

– Dlaczego Judith miałyby kłamać? Po tylu latach nie ma przecież nic do stracenia.

Vera widziała, że Joe Ashworth był pod wrażeniem Judith. Łatwo dawał się omotać kobietom z klasą.

– Nic poza oskarżeniem o krzywoprzysięstwo – odpowiedziała. – Jeśli wtedy kłamała.

Pomyślała o Judith odsiadującej wyrok w więzieniu i uśmiechnęła się nieznacznie. Kobiety z klasą nie robiły na niej żadnego wrażenia.

10.

Sobotni poranek. Patty nigdy nie potrafiła rozstrzygnąć, czy weekendy były dla niej trudniejsze niż dni szkolne, czy też mniej kłopotliwe. W dni powszednie zawsze musiała się spieszyć, by wyjść z domu, ale wtedy przynajmniej miała kilka godzin dla siebie, zanim odebrała Archiego ze szkoły. Jonnie i Jen zajmowali się sobą w weekendy, ale Archie był koszmarem. Nadpobudliwy i nie do opanowania. Pewnie bardziej by się słuchał ojca, ale Gary nie próbował widywać się z dziećmi i nigdy nie płacił ani grosza alimentów. Byłoby wspaniale odpocząć od nich w weekendy, a dzieci chętnie spędziłyby trochę czasu z ojcem, pokopały piłkę w parku lub wybrały się z nim do kina. Czy nie tak zachowywali się inni rozwiedzeni ojcowie?

Patty wiedziała, że Gary mieszka w Bebington. Miał mały zakład, w którym składał komputery i sprzedawał je klientom. Zawsze był trochę maniakiem komputerowym i tęskniła za nim za każdym razem, gdy coś się działo z tabletami lub telefonami dzieci. Mieszkał nad sklepem. Wiedziała, jak wyglądało jego mieszkanie, ponieważ prowadził ten interes, gdy byli jeszcze małżeństwem. Wtedy wynajmował to mieszkanie, aby zarobić trochę dodatkowej gotówki, a ona była tam raz, aby je posprzątać, zanim pojawił się nowy najemca. Było małe – tylko jedna sypialnia – ale całkiem przytulne. Czasami, w myślach, odwiedzała go. Zrezygnowała z samochodu, kiedy po raz pierwszy zachorowała, ale wiedziała, że z Front Street w Kimmerston kursuje tam autobus. Sprawdziła rozkład jazdy. Wiedziała, że obsesja na punkcie Gary’ego nie wychodzi jej na dobre. Myśli o nim zaśmiecały jej mózg i nie pozwalały myśleć o niczym innym. Przez nie była zaabsorbowana sobą i nie mogła skupić się na dzieciach. W głębi serca wiedziała, że nigdy go nie odzyska. Ale lepsze było fantazjowanie o przyszłości z nim niż realne myślenie o przyszłości bez niego. Patty nigdy nie potrafiła stawić czoła rzeczywistości.

Jen jeszcze leżała w łóżku. W weekendy rzadko wstawiała przed południem. Patty pomyślała, że jej córka to już nastolatka, choć reszta rodziny tego nie zauważyła. Chłopcy grali na komputerze. Patty poszła na górę, wzięła prysznic, ubrała się i zebrała ciuchy chłopców, które zdawały się zajmować całą podłogę ich sypialni, aby wrzucić je do prania. Poczula się lepiej, gdy zapanował względny porządek.

Schodząc na dół z naręczem ubrań, pomyślała o eleganckiej kobiecie, która odwiedziła ją dzień wcześniej. Na początku Patty myślała, że jest ze szkoły, że może Jonnie uciekł albo Archie znowu zaczął gryźć dzieci. Wyglądała na nauczycielkę. Mniej więcej w tym samym wieku co Patty, ale o prostych plecach, dobrze ubrana w nudny, profesjonalny sposób. Trochę przerażająca. Nawet kiedy Patty miała dobrą pracę, nigdy nie ubierała się w ten sposób. Kobieta stanęła tuż przy drzwiach wejściowych i przedstawiła się jako Holly

Jackman. „Jestem koleżanką inspektor Stanhope”. Trudno było sobie wyobrazić kogoś mniej podobnego do Verry.

Patty zaproponowała jej herbatę, ale Holly odmówiła.

– Nie chcę zabierać pani zbyt wiele czasu.

Innymi słowy: *Nie wypitałabym niczego w tym domu, nawet za pieniądze*. Potem zapytała o imię matki Patty.

– Dlaczego chce pani to wiedzieć?

– Vera poprosiła mnie, żebym się dowiedziała. – Holly wzruszyła ramionami. Poznała ją pani. Wie pani, jaka ona jest. Jak czegoś chce, to musi to osiągnąć. Bez dodatkowych wyjaśnień. Może jest po prostu wścibska.

Patty pomyślała, że wprawdzie Vera była wścibska, ale przynajmniej okazała zainteresowanie. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś naprawdę interesował się jej życiem.

– Nazywała się Mary-Frances Lascuola. – Zawsze lubiła wymawiać to imię. Sprawiało, że czuła się wyjątkowa.

– Fascynujące imię. – Holly wydawała się szczerze zaintrygowana.

– Jej ojciec był włoskim jeńcem wojennym. Tak twierdzi mój ojciec. – Następnie Patty opowiedziała historię tak, jak ją zapamiętała, tak jak opowiedział jej ją John Brace. O tym, jak Mary-Frances była uzależniona od heroiny, jak poznał ją w swojej pracy, gdy desperacko próbowała wyjść z nałogu i jak się w niej zakochał. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Jak w ckliwych filmach.

Holly uśmiechnęła się wtedy, ale wyglądało na to, że trochę na siłę.

– Wiedziała, że nie może się mną odpowiednio zająć, więc oddała mnie do adopcji. Ale to złamało jej serce i znów zaczęła brać narkotyki, które w końcu ją zabiły.

– Wie pani, kiedy umarła? Dokładnie?

Siedziały na kanapie w salonie. Patty zgarnęła flamastry i klocki Lego na podłogę, aby zrobić miejsce, więc wydawało się, jakby siedziały na łódce w morzu badziewia. Pytanie zostało zadane delikatnie. Patty mogła powiedzieć, że kobieta robiła co mogła, by nie brzmieć jak policjantka. Ale było coś w sposobie, w jaki je postawiła, co skłoniło Patty do myślenia.

– Chce pani powiedzieć, że ona nie umarła?

– Skądże. Nie znałam jej nazwiska, dopóki nie podała mi go pani przed chwilą. – Holly zrobiła pauzę. – Widziała pani akt zgonu?

– Nie było takiej potrzeby. Ojciec powiedział mi, że nie żyje. Dlaczego miałby kłamać? A panie z opieki społecznej nie mogły znaleźć po niej żadnego śladu.

Ale teraz, schodząc po schodach z naręczem brudnego prania, Patty zastanawiała się, na ile może ufać Johnowi Brace'owi. W końcu był w więzieniu, częściowo za okłamanie sądu w sprawie jego udziału w zabójstwie leśniczego. Przedstawił Patty swoją wersję wydarzeń, kiedy po raz pierwszy go odwiedziła, a ona mu uwierzyła. Oczywiście, że

uwierzyła, ponieważ był jej ojcem i najwyraźniej troszczył się o nią, a teraz czuła się tak, jakby nie miała nikogo poza nim. Musiał troszczyć się o nich wszystkich, w przeciwnym razie nie kupiłby jej tego domu i nie wpłacałby co miesiąc pieniędzy na jej konto, aby nie musiała chodzić z czapką w rękę do opieki społecznej lub zmuszać się do powrotu do pracy, kiedy nie była gotowa.

Jak co miesiąc wysłał jej zgodę na widzenie. Zwykle to ignorowała, ponieważ nie była w stanie stawić czoła podróży na wybrzeże z dziećmi. Zamiast tego musiał zadowolić się telefonem. Dzwonił w każdą sobotę wieczorem, regularnie jak w zegarku, a to musiało oznaczać, że jemu też na nich zależy. Ale tym razem nie chciała rozmawiać o osobistych sprawach przez telefon. Zawsze gdy rozmawiali, słyszała hałas w tle, męskie krzyki i śmiechy. Pewnie nie słyszeli tego, co mówiła, ale i tak ją to rozpraszało. Może więc uda jej się przyjść do więzienia po południu. Jen i tak będzie u koleżanki – zaplanowały nocowanie – a w ośrodku rodzinnym byli ochotnicy do opieki nad chłopcami, kiedy dojadą do Warkworth. Odkąd Vera Stanhope pojawiła się na jej progu, Patty poczuła się lepiej. Nabrała trochę odwagi.

Miała wrażenie, że autobus jedzie na wybrzeże całymi godzinami, mijając świeżo zaorane pola. Chłopcy byli jednak grzeczni jak złoto, po prostu gapili się przez okno, ciesząc się dniem spędzonym poza domem, pogryzając słodczyce, które kupiła, aby ich uciszyć. Kiedy dotarła na miejsce, onieśmieliły ją inne rodziny osadzonych, które wydawały się wiedzieć, co robią, i przez chwilę myślała, że po prostu wróci tym samym autobusem do domu. W końcu jednak chłopcy pociągnęli ją w stronę budynku, w którym mieściła się świetlica. Zadzwoiła do więzienia, aby powiadomić ich, że zaraz będzie, potem zostawiła chłopców, i wreszcie zobaczyła swojego ojca który czekał na nią przy jednym ze stołów w dużym, odbijającym się echem holu, który służył jako pokój dla odwiedzających. Podjechał wózkiem inwalidzkim do stołu. Ostatnim razem, gdy go widziała, wciąż był w stanie chodzić o lasce. Próbował wstać, by się z nią przywitać, ale nie do końca mu się to udało więc pochyliła się, by go pocałować. Jego policzek był gładki, jakby dopiero co się ogolił i pachniał czysto, mydłem lub wodą po goleniu. Patty żałowała, że nie postarała się bardziej o swój wygląd. Podszedł do nich jeden z funkcjonariuszy więziennych. Przypuszczała, że chciał sprawdzić, czy niczego nie przekazuje, ale dał im spokój i odszedł.

– Jaka miła niespodzianka. – John Brace wydawał się naprawdę zadowolony, że ją widzi. – Czemu ją zawdzięczam?

– Poczulałam się trochę lepiej. – Zamilkła na chwilę. – Vera Stanhope przyszła do mnie w odwiedziny.

– Naprawdę? I co sądzisz o naszej Verze?

– Była super. – Patty nie była pewna, co jeszcze powiedzieć. – Zabrała mnie na śniadanie.

– No cóż, zawsze lubiła sobie pojeść.

Patty miała zamiar wspomnieć o tym, że Holly Jackman również zjawiała się w jej domu, ale potem uznała, że lepiej nie. Nie chciała wpędzać Very w kłopoty, a jej tata zawsze powtarzał, że nienawidzi ludzi wtrącających się w jego sprawy.

– Vera sprawiła, że zaczęłam myśleć o mojej matce.

– Dlaczego? – Dalej mówił pogodnie, ale wyglądał na bardziej ostrożnego. Coś takiego było w jego oczach.

– Nie wiem. Pomyślałam, że Vera mogłaby być cudowną matką.

To była właściwa odpowiedź. Brace odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

– Zdziwiłbym się, gdyby ta kobieta miała w sobie choć cień macierzyńskich uczuć.

– Kiedy umarła? To znaczy Mary-Frances Lascuola. – Patty znów pomyślała, że to piękne imię. Być może powinni byli nazwać Jen Mary-Frances. Ale Gary wybrał takie imię, ponieważ w tamtym czasie podobała mu się Jennifer Aniston.

– Nie znam dokładnej daty. – Brace znów wyglądał poważnie. – Straciłem z nią kontakt, kiedy znowu zaczęła brać.

– Skąd wiesz, że umarła?

– Kolega mi powiedział. Wiedział, że kiedyś była moją informatorką. Chwila przerwy. Kiedy skończyła z narkotykami, przekazywała informacje o dilerach. Ale to nie dlatego się spotykaliśmy. Mówiłem ci, że zakochałem się w niej, gdy tylko ją poznałem. Ale była też przydatna. Wiesz, jak mi zależało żeby ukrócić handel narkotykami na ulicach.

Patty pomyślała, że mówi za dużo – jakby wymyślał wszystko na bieżąco – ale nie skomentowała tego. Więzień ubrany w taką samą koszulę w paski jak jej ojciec podszedł i zaproponował jej filiżankę herbaty. Potrząsnęła głową i poczekała, aż odejdzie.

– Widziałeś jej ciało?

– Nie! – Był wyraźnie zszokowany tym pomysłem. – Nie miałbym żadnej wymówki, by to zrobić. Poza tym dowiedziałem się o jej śmierci dopiero kilka tygodni później.

– Czy jest jakiś grób? Chciałbym go odwiedzić.

– Nie wiem. – Teraz jego głos był naprawdę smutny. – Ja też chciałbym odwiedzić jej grób.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Dlaczego poprosiłeś Verę żeby nas odwiedziła? – Patty zastanawiała się nad tym w autobusie po drodze. Jej ojciec nie należał do osób, które proszą o przysługi. Nie chciał być niczym dłużnikiem.

– Bo niepokoiłem się o ciebie i dzieciaki. Ostatnie kilka razy, kiedy do ciebie dzwoniłem, wydawałaś się nieco zagubiona. Nie całkiem przytomna. Nie chciałabym, żebyś skończyła jak twoja matka.

– Nie biorę narkotyków! – Tym razem to ona była zszokowana.

– Nie bierzesz? A leki, które dostajesz od lekarza? One też uzależniają. – Przerwał. – Jestem maniakiem kontroli. Nie mogę się tobą opiekować, kiedy tu jestem. Ale Vera może mieć cię na oku.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Ponieważ mogę zaoferować jej coś w zamian. – Odwrócił się, by wyjrzeć przez okno. Na dworze było bardzo słonecznie; zupełnie jak w środku lata. Patty pomyślała, że ojciec rozmawia sam ze sobą, a nie z nią. Potem odwrócił się z powrotem do niej, żeby wytłumaczyć to dokładniej.

– Docierają tu do mnie różne rzeczy. Rzeczy, które mogą jej się przydać. Pracowałem w tym zawodzie przez długi czas. Wiem, gdzie są pochowane ciała.

– Czy to znaczy, że znów mnie odwiedzi?

– A chciałybyś?

Patty wystarczyła tylko chwila do namysłu. Pomyślała o dużej brązowookiej kobiecie w pomiętym ubraniu.

– Tak – przytaknęła. – Bardzo bym chciała.

– W takim razie zobaczę, co da się zrobić. – Mrugnął do niej. Gary mrugał w ten sposób do dzieci, gdy chciał je przekabacić na swoją stronę, kiedy zrobił coś, co nie podobało się Patty.

– Muszę już iść – powiedziała. – Panie w świetlicy wydają się dość miłe, ale wiesz, jacy są chłopcy. Zwłaszcza Archie. Zawsze się nakręcają, gdy zaczynają się nudzić.

Wstała i popatrzyła na niego. Nie mogła zmusić się, żeby pocałować go ponownie, ponieważ nie mogła uwierzyć w to, co powiedział o matce. Być może Mary-Frances wciąż żyła. A jeśli tak, pomyślała Patty, to Vera Stanhope będzie odpowiednią osobą, by ją odnaleźć.

II.

Była niedziela i Vera dała swojemu zespołowi dzień wolny. Nie mogli zrobić nic więcej przed jej rozmową z Johnem Brace'em; już zarezerwowała termin odwiedzin na poniedziałek rano. Będzie wtedy rozmawiać z nim w jednym z pokoi przesłuchań, a przedtem czekać w kolejce z prawnikami i kuratorami sądowymi. Nikt nie będzie ich tam podsłuchiwał, a ona już przygotowywała swój scenariusz. Nie wyjdzie, dopóki Brace nie powie jej, gdzie znajdują Robbiego Marshalla. Vera pomyślała, że Holly pewnie nadal pracuje, mimo że był weekend. Nie miała zbyt wiele życia prywatnego, jeśli wierzyć plotkom, a poza tym zainteresował ją temat matki Patty Keane. Mary-Frances Lascuoli. Co to ma być za nazwisko? Wyobraziła sobie jak Holly siedzi w swoim eleganckim apartamencie w Newcastle i gorączkowo googluje.

Vera wstała późno. Poprzedniej nocy miała małą imprezkę z Jackiem i Joanną, jej hippisowskimi sąsiadami. Świątowali wydanie drugiej powieści Joanny. Vera przeczytała pierwszą, która wydała jej się bardzo ponura. Miała dość takich tematów w pracy. Ale z radością przyłączyła się do świętowania. Sąsiedzi pracowali z zapalem w małym gospodarstwie, a Vera wiedziała, że w tej robocie zawsze jest krótko z pieniędzmi. Tu, na wzgórzach, jeszcze nikt się nie dorobił milionów na rolnictwie. Na farmie liczył się każdy dodatkowy grosz zarobiony przez Joannę. Vera obawiała się, że w końcu splajtują albo nie dadzą rady utrzymać gospodarstwa; byłaby niepokieszna gdyby ktoś obcy wprowadził się do sąsiedniego domu. Jack i Joanna byli dobrymi ludźmi. Odkopywali ją, gdy utknęła samochodem w śniegu, rąbali polana na opał i napełniali jej zamrażarkę. I urządzali bardzo dobre przyjęcia.

Właśnie zaparzyła kawę, gdy zadzwonił telefon. I to w dodatku komórka, co było dla niej szokiem, bo na wzgórzach zasięg był tak słaby, że ludzie, którzy ją znali, korzystali z telefonu stacjonarnego. Prawie to zignorowała, ale ciekawość zmusiła ją do odebrania. Zazwyczaj w niedzielę nie dzwonili akwizytorzy ani naciągacze z dobroczynnych fundacji. Zobaczyła, że to Patty Keane.

– Patty, oddzwonię z drugiego telefonu. Bateria mi się kończy. Wolą to niż tłumaczenie, że mieszka na wzgórzach, daleko za miastem, w domu, w którym kiedyś jej ojciec wypychał martwe zwierzęta.

Patty odebrała niemal natychmiast. Vera słyszała w tle hałasujące dzieci.

– Wszystko w porządku, kotku? – Nie miała pojęcia, czemu Patty miałaby do niej dzwonić, chyba że był to jakiś nagły wypadek.

– To nic ważnego.

Vera wyczuła, że kobieta już czuje się głupio i żałuje, że zadzwoniła. – Nie powinnam była przeszkadzać pani w niedzielę.

– Nie ma sprawy. Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Miałam tylko parę pytań. O moją matkę. Widziałem się wczoraj z tatą.

– Posłuchaj. – Vera zapomniała już o kacu. – Może przyjadę do ciebie? To łatwiejsze niż rozmowa przez telefon. Będę u was za godzinę.

Zdecydowała, że zabierze ich wszystkich na plażę. Dzieci lubią plażę, prawda? Jeśli będą biegać po piasku, nie podsłuchają rozmowy między nią a Patty.

Prowadziła antycznego land rovera Hectora, a dzieciaki były zachwycone. Tłoczyły się z tyłu, siedząc po bokach, jak na jakiejś przejażdżce w wesołym miasteczku. Patty wydawała się nieco przytomniejsza, bardziej opanowana. Zabrała ze sobą ręcznik, bo – jak powiedziała – Archie zawsze był cały mokry po zabawie na plaży, a także kilka wiaderek i łopatek.

– To bardzo miłe. – Powtarzała to, jakby nie mogła uwierzyć, że Vera zdecydowała się sprawić im taką przyjemność.

Vera zabrała ich do Zatoki Druridge, z szeroką piaszczystą plażą za którą rozciągały się wydmy. W głębi znajdował się rezerwat przyrody utworzony ze stawów osadowych, ze skrawkami rachitycznego lasu i kryjówek do obserwowania ptaków. Ruszyli gęsiego przez wydmy, aż dotarli do najwyższej z nich. Następnie zatrzymali się i spojrzeli w dół na plażę, ze starymi zakładami Alcan na jednym końcu i wyspą Coquet i jej latarnią morską na drugim. Był odpływ, a woda tworzyła płytkie baseny, błyszczące tak jasno, że Vera musiała zmrużyć oczy, by na nie spojrzeć. Mimo słonecznej niedzieli nie widać było zbyt wielu ludzi. Kilka rodzin i kilku spacerowiczów z psami, z daleka wyglądających jak figurki.

Dzieci pofrunęły w dół jak gołębie pocztowe wypuszczone z klatki, nawet dziewczynka, która była nieco humorzasta, gdy Vera przyjechała do nich do domu. Patty i Vera usiadły na ręczniku u podnóża wydmy, chowając się przed wiatrem.

– Przyjeżdżałam tu, gdy byłam mała – powiedziała Patty. Moi rodzice mieszkali na wybrzeżu. – Zamilkła na chwilę – Moi przybrani rodzice.

– To musi być trochę mylące. Dwa zestawy rodziców. Ja miałam tylko ojca i to mi wystarczało.

– Tak naprawdę nie myślę już o tych ludziach w Surrey jak o rodzicach. Już nie. To Neil i Anna, którzy trochę się mną opiekowali. – Patty patrzyła, jak Archie wskakuje do wody, ale nie zrobiła nic, by go powstrzymać. Vera pomyślała, że to ma sens. I tak nie zwróciłby na to uwagi, a tak może w końcu zmądrzeje, jeśli będzie się trząsł z zimna przez całą drogę do domu. – Byłam wczoraj u taty.

– Mówiłaś. Mam nadzieję, że cię nie zdenerwował.

– Nie, nic z tych rzeczy. – Patty znowu przerwała i pomachała do Archiego. Pozostała dwójka dzieci zeskakiwała z wydmy. – Zapytałam go o moją mamę. Dlaczego wysłała pani tę kobietę, by dowiedziała się, jak się nazywa?

- Z ciekawości - powiedziała Vera. - Chciałam się trochę o tobie dowiedzieć. Zorientować się, w co się pakuję.

- Tata powiedział, że jest pani wścibska. I że ma informacje, które mogą się pani przydać.

- Naprawdę? - Vera zastanawiała się, co dokładnie powiedział Brace.

- Chcę się dowiedzieć, czy moja matka wciąż żyje. Moja prawdziwa matka. Opieka społeczna nie mogła jej namierzyć. Nie jestem pewna, jak bardzo się starali. Założyli, że musiała umrzeć, ponieważ zniknęła ze wszystkich rejestrów, a ja byłam przekonana, że nie żyje tylko dlatego, że powiedział mi o tym ojciec. - Objęła chude kolana i spojrzała na Verę. - Czy może mi pani pomóc?

Vera pomyślała, że wplątała się w to głębiej, niż się spodziewała. Brace poprosił ją, by miała oko na rodzinę, a nie żeby grzebała w przeszłości, by odnaleźć miłość jego życia. Matkę jego dziecka.

- Nie widzę przeciwwskazań, a może w zamian wyświadczy mi pani pewną przysługę. Czy pani tata wspominał kiedyś o niejakim Robbiem Marshallu? Byli kiedyś kumplami.

Patty zamknęła na chwilę oczy. Vera pomyślała, że to częściowo przez blask słońca na wodzie, a częściowo dlatego, że cofnęła się o dziesięć lat do rozmów z Johnem Brace'em.

- Może Robbie znał pani mamę, Mary-Frances? - Vera wiedziała, że Patty interesuje tylko jej matka.

Patty potrząsnęła głową.

- Przepraszam. Przez chwilę to nazwisko wydało mi się znajome, ale nie pamiętam, czy to tata o nim wspominał, czy usłyszałam je gdzieś indziej.

Po powrocie do domu Verę ogarnął niepokój. Nie mogła usiedzieć w miejscu ale nigdy nie widziała sensu w chodzeniu na spacerach bez celu, dla samej przyjemności; nie raz obserwowała wędrowców z butami i kijkami, którzy przechodzili obok jej domku; uważała, że chyba powariowali. Poza tym, niedługo zrobi się ciemno. Pod wpływem impulsu zadzwoniła do Holly. Przy odrobinie szczęścia dziewczyna będzie tak samo nakręcona jak Vera.

- Słucham panią? - Nikt w zespole nie zwracał się do Very po imieniu.

- Masz trochę czasu?

Brak natychmiastowej odpowiedzi. Holly pewnie chciałaby wiedzieć, w co się angażuje.

- Bo właśnie widziałam się Patty Keane i odbyłyśmy interesującą rozmowę.

- Tak? - To ją zaciekawiło.

- Jeśli nie jesteś zbyt zajęta, może mogłybyśmy się spotkać i o tym porozmawiać. - Vera miała zamiar poprosić Holly, by przyszła do niej do domu, ale potem wpadła na inny pomysł. Nie chciała pić tego wieczoru. Nie po wczorajszym zakrapianym spotkaniu. Poza tym zawsze była ciekawa prywatnego życia Holly. - Może przyjechałabym do ciebie? Co ty na to?

Z okien mieszkania widać było cmentarz. Wokół panowała cisza. Być może dlatego, że była niedziela, nie było słychać odgłosów ruchu ulicznego. Kiedy Vera dotarła na miejsce, zapadł zmierzch, ale Hol nie zaciągnęła żaluzji, a latarnie z kutego żelaza oświetlały szeregi grobów. W środku mieszkanie wyglądało tak, jak Vera sobie wyobrażała. Idealny porządek. Żadnych rys na ścianach. Kliniczna czystość. Kilka czarno-białych fotografii na ścianie. Holly zaproponowała jej kieliszek wina.

– Obawiam się, że nie mam piwa.

– A może zrobiłabyś mi filiżankę herbaty? Nie mam dziś ochoty na alkohol.

Usiadły na białych skórzanych sofach. Herbata miała kwiatowy aromat, który nie był nieprzyjemny. Żadnych herbatników. Vera z chęcią zjadłaby choć kilka. Od lodów w Cresswell minęło już trochę czasu.

– Dlaczego poszła pani zobaczyć się z Patty? – W głosie Holly zabrzmiała dezaprobata. Uważała, że Vera zbyt emocjonalnie angażuje się w sprawy.

– Zadzwoiła do mnie i zapytała, czy możemy się spotkać. Byłam ciekawa, czego chce. Poza tym, trzeba ją urabiać, dopóki nie wyciągniemy od Johna Brace'a jakichś przydatnych informacji.

– O co jej chodziło? – Holly była ubrana na luzie – dzinsy i bluza ze sportowym logo uniwersytetu. Pewnie nosiła ją jako studentka. Vera bez trudu wyobraziła ją sobie jako jedną z tych dziewczyn prowadzących zdrowy tryb życia. Jogging przed wykładami i wieczory na siłowni. Nie dla niej całonocne imprezy i rzyganie w toalecie.

– Chce, żebym odnalazła jej matkę. Mary-Frances Lascuolę.

– Powiedziała mi, że jej matka nie żyje.

– Cóż, może jednak nie jest tego pewna. Może myśli, że John Brace naopowiadał jej bajek. – Vera zrobiła pauzę. – Zastanawiałam się, czy nie grzebałaś przypadkiem w komputerze. Tak dobrze ci to idzie. – Skinęła w stronę laptopa, który stał na biurku z jasnego drewna pod oknem.

Holly podeszła do urządzenia. Po drodze zatrzymała się, by zasunąć żaluzje i odgrodzić się od świata.

– Wydawało mi się to trochę dziwne... – powiedziała.

– Co takiego?

– Wydawałoby się, że powinien zostać jakiś ślad śmierci tej kobiety. Gdzieś. W lokalnej gazecie, jeśli zmarła w Kimmerston. W aktach koronera. To nie jest popularne nazwisko. Ale nie mogę też znaleźć żadnej wzmianki o niej żywej.

– W ogóle?

– Cóż, ślady urywają się w połowie lat osiemdziesiątych, kilka lat po urodzeniu córki. Akt urodzenia Patty jest na nazwisko Patricia Mariella Lascuola. Kiedy została adoptowana, stała się Patricią Smith, a kiedy wyszła za mąż, przyjęła nazwisko męża – Keane. W akcie Patty Mary-Frances jest wymieniona jako matka, a John Brace jako ojciec.

Holly robiła notatki na dużej kartce A4 i spojrzała na nie teraz.

– Wcześniej Mary-Frances była oczywiście w systemie. Są zapisy dotyczące postępowań sądowych, a raz nawet spędziła trzy miesiące w więzieniu za kradzież w sklepie, jeszcze jako nieletnia.

– Kradła, żeby mieć na prochy. – Vera pomyślała, że tak krótki pobyt w więzieniu to kompletna strata czasu. – Czy znamy jej adres w tamtym czasie?

– Miała mieszkanie w Whitley Bay. St Anne's Terrace. Sprawdziłam i jest to jedna z tych małych uliczek między Whitley Road a linią metra. Wygląda też na to, że spędziła trochę czasu na odwyku. W ośrodku w Bebington prowadzonym przez NHS, ale prawdopodobnie wróciła do heroiny, gdy tylko wyszła.

Vera opadła na oparcie skórzanej sofy, która okazała się zaskakująco wygodna, i przeniosła się myślami do Whitley Bay z połowy lat osiemdziesiątych. Teraz miasto było wyblakłe i nieco przygnębione. Pensjonaty przekształcono w hostele dla resocjalizowanych przestępców i osób ubiegających się o azyl. Istniały plany rewitalizacji wybrzeża i podczas ostatnich odwiedzin wyczuła przypływ optymizmu wśród mieszkańców, ale wieczorami miasto często było ciche, niemal upiorne. W połowie lat osiemdziesiątych tętniło życiem. Nocne kluby i puby wypełnione po brzegi w weekendy, hałas i ludzie wylewający się na ulice. Wszystko nieco tandetne: striptizerki, barmanki i barmani przyodziani w skąpe kostiumy, promocje na alkohol, przez które nad ranem dochodziło do bijatyk. Whitley Bay z tamtych lat nie miało żadnych pretensji do elegancji, ale tętniło życiem i kwitło. To tutaj ludzie z Newcastle i Northumrii przyjeżdżali na noc, żeby dobrze się zabawić. Otworzyła oczy.

– Whitley Bay to dobre miejsce – powiedziała. – Dla dziewczyny z ulicy potrzebującej łatwego dostępu do heroiny.

– Mogę grzebać dalej. – Holly podniosła wzrok znad notatek. – Ale o ile mi wiadomo, nigdzie nie ma aktu zgonu na nazwisko Mary-Frances Lascuola.

– Nie – powiedziała Vera. – Nie zawracaj sobie głowy. Gdyby był, już byś go znalazła. Zróbmy sobie przerwę. Zobaczmy, co John Brace będzie miał jutro do powiedzenia. Mam z nim widzenie z samego rana. Wydałam dziś w Creswell fortunę na lody dla jego wnucząt. Jest moim dłużnikiem.

12.

Vera pojechała prosto do więzienia. Tego dnia nie zatrzymała się w Drift Cafe na pyszności; jej uwaga skupiła się na Johnie Brace'ie i rozwikłaniu skomplikowanych wątków jego historii. Pomyślała, że poprosi Holly o zrobienie wykresu z datami w różnych kolorach. Takie zadanie sprawiłoby podwładnej przyjemność – nie musiałyby angażować się w bezpośrednie kontakty z ludźmi – i pomogłoby Verze uporządkować myśli.

Na bramie stał ten sam strażnik, co wtedy, gdy przyszła wygłosić prelekcję. Skinął głową na znak, że ją poznaje. Udało jej się dotrzeć na miejsce wcześniej, przed innymi oficjalnymi odwiedzającymi, którzy przyjeżdżali tu, na wieś, na rozmowy ze swoimi klientami. Siedziała sama w poczekalni, gdy przyszedł funkcjonariusz, i zawołał, że Brace już na nią czeka. Pokój był malutki, wyższy niż dłuższy. Stół przymocowany do podłogi z plastikowym krzesłem po każdej stronie. Funkcjonariusz przesunął krzesło bliżej drzwi, aby zrobić miejsce dla wózka inwalidzkiego. Vera położyła na stole płócienną torbę na zakupy, która służyła jej za aktówkę, i wyciągnęła notes. Z chęcią nagrałaby rozmowę, ale wiedziała, że nie pozwolą jej wnieść telefonu; poza tym do tej pory nie nauczyła się korzystać z dyktafonu. Przez chwilę szukała czegoś do pisania i w końcu znalazła kikut ołówka. Podczas tej pantomimy twarz Brace'a nie zdradzała żadnych emocji. Żadnego zniecierpliwienia. Żadnego rozbawienia.

– Dobra – powiedziała. – Teraz kolej na ciebie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Proszę mi powiedzieć, gdzie są zakopane kości. Byłam zobaczyć się z Patty. Wiesz o tym, bo odwiedziła pana w sobotę. Wczoraj też zabrałam ją i dzieci za miasto. Wycieczka na plażę. Wypełniłam swoją część umowy zawiązki. Teraz twoja kolej. – Przerwała na chwilę. – I proszę mnie więcej nie wkurzać, panie Johnie Brace. Nieźle się tu urządziłeś. To się może zmienić. A ja nigdy więcej nie odwiedzę Patty i dzieci. Dobrze wiesz, że opieka społeczna niewiele robi. Może z wyjątkiem zwołania zebrania, aby ją mocniej przycisnąć. – Chyba podniosła głos, bo w małym szklanym okienku w drzwiach pojawiła się twarz. Funkcjonariusz zaglądał do środka, by sprawdzić, czy nic się nie stało. Pomachała ręką i twarz zniknęła.

– Wygląda na to, że cię polubiła. Bóg jeden wie dlaczego. – Brace pochylił się do przodu.

– A więc. Robbie Marshall. Gdzie możemy go znaleźć?

– Nie wiem, kto go zabił.

– Po prostu mów wszystko, co wiesz, John. Wymówki możesz zachować na później.

– Był czerwiec dziewięćdziesiątego piątego roku, niedziela, a my spędziliśmy dzień na wzgórzach. Nic nadzwyczajnego. Ja, Robbie i Hector.

– A co z Profesorem? Nie było go tam? – Vera wiedziała, że przerywanie było błędem, ale nie mogła się powstrzymać. Profesor wydawał się mroczną postacią mającą na horyzoncie zdarzeń, nie rzucającą się w oczy. Tajemniczy czwarty członek Gangu Czterech.

Ale Brace nie dał się wkręcić. Potrząsnął głową.

– Profesor nie ma z tym nic wspólnego. Rzadko wychodził w teren. Nie z nami. Nie ze zwykłymi ludźmi. Zadawał się tylko z posiadaczami ziemskimi.

Hector zawsze uważał się za kogoś lepszego od szlachetnie urodzonych, ale Vera wiedziała, że lepiej nie drażnić tego tematu. Mogła się tym zająć później. Skinęła tylko głową, by Brace kontynuował.

– Skończyło się na piwie u Hectora. Był upalny dzień i dużo chodziliśmy. – Przerwa. – Robbie był przygaszony przez cały dzień. Trochę wycofany. Hector chyba tego nie zauważył. Nie był najbardziej wrażliwym człowiekiem na świecie. Ty o tym wiesz najlepiej.

Vera skinęła głową, ale się nie odezwała.

– Przyjechaliśmy osobnymi samochodami i przed domem zapytałam Robbiego, co się stało i czy mogę w czymś pomóc. W tamtych czasach Robbie trochę za ostro kombinował. Balansował na granicy prawa. Zadawał się ze złymi chłopcami, takimi co mieli się przebicia.

– Jego mama nie pozwoli złego słowa na niego powiedzieć.

Brace uśmiechnął się lekko.

– Cóż, moja mama też by nie uwierzyła, co o mnie mówią. Chciał się przypodobać każdemu, ten nasz Robbie. Mięczak. Lubił zadawać się ze złymi chłopakami, ale czasem tracił grunt pod nogami.

– Co ci wtedy powiedział Robbie?

– Że wpakował się w niezłe tarapaty, ale sam musi sobie z tym poradzić. Umówił się na spotkanie tego wieczoru i wszystko będzie dobrze. – Brace zatrzymał się na chwilę. – Powinienem zapytać o więcej szczegółów, ale miałem własne plany.

– Miałeś się spotkać z informatorem w Whitley Bay.

– Skąd wiesz?

Vera postukała się w nos i starała się zrobić tajemniczą minę.

– Aha – powiedział. – Pojechałaś zobaczyć się z Judith. Oczywiście, że tak. Zawsze byłaś skrupulatna, prawda, Vero? Taką miałaś reputację. Brak uroku nadrabiałaś ciężką pracą. – W korytarzu na zewnątrz huknęły drzwi i rozległ się nieunikniony dźwięk kluczy. W pokoju obok wkrótce miało rozpocząć się przesłuchanie. – Owszem, miałem spotkanie z informatorem w Whitley Bay. Umówiliśmy się przy wejściu do Spanish City. W pogodny niedzielny wieczór było tam tak tłoczno, że nikt nas nie zauważył.

– Ach, Spanish City. Aż mi się przypomniało.

Wesołe miasteczko obok wielkiej białej kopuły, które zbudowano, by rywalizować z Pleasure Beach w Blackpool. Każdego ranka otwierało się przy dźwiękach Tunnel of Love Dire Straits, piosenki, która nadała mu rozgłos i uczyniła legendą. W tysiąc dziewięćset

dziewięćdziesiątym piątym roku minęły już jego najlepsze lata, ale wciąż tam było, jaskrawe i głośne, przyciągając turystów. W gorącą czerwcową noc unosił się tam zapach waty cukrowej, smażonej cebuli i diesla, który napędzał silniki karuzel. Teraz teren po nim splantowano i mówiło się o przekształceniu Dome w coś w rodzaju galerii handlowej. Na tę myśl Verę przeszedł dreszcz.

– Oczywiście w tamtych czasach nie wszyscy mieliśmy telefony komórkowe. – Brace mówił niemal przepraszająco. – A nawet jeśli mieliśmy, nie były niezawodne. Nie mogłem skontaktować się z Robbiem, nie mogłem mu powiedzieć, żeby do mnie zadzwonił, jeśli wpadnie w kłopoty. Powinienem być wtedy zrobić więcej.

– Z kim się wtedy spotkałeś, John? Podaj nazwisko swojego informatora. – Przerwała. – Twoje alibi.

– Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć. – Głos miał zmęczony, jakby nie spał dobrze od miesięcy, pochylił głowę, jakby była zbyt ciężka, by ją utrzymać.

– Czy to nie była przypadkiem Mary-Frances Lascuola?

Podniósł głowę i zaśmiał się lekko.

– Nie utrzymuję kontaktów ze zmarłymi, Vero. Ona już dawno odeszła. I może ja byłem odpowiedzialny również za jej odejście. To kolejna osoba, którą powinienem był się lepiej zaopiekować.

Vera chętnie dowiedziałaaby się więcej o Mary-Frances, ale matka Patty nie była głównym tematem tej wizyty.

– Więc spotkałeś tego tajemniczego informatora pod Spanish City.

– Było głośno. Kilka wieczorów kawalerskich i panieńskich kończyło swoje weekendy imprezy w wielkim stylu. Wiesz, jak było wtedy w Whitley.

Przytaknęła.

– Zostawiłem samochód na parkingu przy nadmorskiej promenadzie, The Links. Najpierw poszliśmy na spacer po plaży, a potem pojechaliśmy do latarni morskiej na St Mary's. Było już ciemno – około dziesiątej – ale księżyc był w pełni. Nie poszliśmy na wyspę, ponieważ był przypływ, ale usiedliśmy na ławce i rozmawialiśmy. Nie spodziewałem się, że ktoś tam będzie. W ciągu dnia szpilki nie dało się wetknąć, tyłu było tam spacerowiczów z psami i rowerzystów, ale o tej porze nocy myślałem, że będziemy mieli to miejsce dla siebie. Za wcześnie dla psiarzy i za późno dla kogokolwiek innego.

Zamilkł, ale tym razem Vera wiedziała, że lepiej się nie włączać.

Wziął oddech.

– Na parkingu stał jeszcze jeden samochód. Samochód Robbiego. Rozpoznałem go, gdy tylko przyjechaliśmy. Sądziłem, że może pomyślał o tym samym, co ja – że będzie to spokojne miejsce na spotkanie, aby uporządkować to, co go dręczyło – ale nikogo nie było w pobliżu. Gdy skończyłem załatwiać swoje sprawy, była już prawie jedenasta. Zawiozłem mojego rozmówcę z powrotem do Whitley, aby mógł wrócić metrem do miasta, ale nie mogłem pozbyć się myśli o Robbiem Marshallu.

Kolejna pauza. Spotkanie w sąsiednim pokoju musiało być rutynowe lub prawnik nie przejmował się nim za bardzo, ponieważ drzwi ponownie huknęły i więzień został wyprowadzony. Vera zanotowała coś swojej kartce: Informator Brace'a przyjechał z Newcastle. Nie było to wiele, ale mogło nieco zawęzić pole działania.

W końcu straciła cierpliwość.

– Zakładam więc, że wróciłeś do St Mary's, żeby sprawdzić, co się stało. Byliście przyjaciółmi od czasów szkolnych. Robbie był twoim najlepszym kumplem. Pewnie chciałeś wiedzieć, co jest grane.

Brace skinął głową i poprawił się na wózku.

– To był niedzielny wieczór, więc zrobiło się już cicho. Spanish City było już zamknięte i tylko kilka osób spacerowało wzdłuż wybrzeża. Samochód Robbiego wciąż stał w miejscu, w którym widziałem go po raz pierwszy, na północnym krańcu zatoki. Pomyślałem, że może odjechał z facetem, z którym się spotkał, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Robbie miał następnego dnia pójść do pracy, a on nigdy się nie spóźniał. Dzięki temu cieszył się szacunkiem.

– I to dawało mu przykrywkę. Tak jak tobie, John. Czy nie tak zawsze twierdziłeś? Nigdy nie byłeś na chorobowym. Nigdy nie wykorzystałeś całego urlopu. Idealny pracownik.

Brace ją zignorował. Widziała, że w myślach wrócił nad zatokę. Droga wzdłuż wybrzeża, wystarczająco szeroka, by mogły się minąć dwa samochody, prowadziła w kierunku wyspy St Mary's i latarni morskiej. Z jednej strony morze, z drugiej pas zarośniętej chwastami ziemi z podmokłymi miejscami, które w deszczową pogodę zamieniały się w błotniste kałuże. Teraz zrobili tam rezerwat przyrody, ale nie mogła sobie przypomnieć, jak to miejsce wyglądało te wszystkie lata temu. Może wypasano tam jakieś zwierzęta? Wyspa była pływowa, a latarnia morska i należące do niej zabudowania obecnie wykorzystywało miasto, które urządziło tam centrum dla zwiedzających i dla dzieci, żeby mogły poznawać dziką przyrodę. Vera pomyślała, że dzieciom Patty mogłoby się to spodobać i że ona też nie miałaby nic przeciwko brodzeniu po skalnych basenach z siatką i wiaderkiem.

Brace opowiadał dalej.

– Mało brakowało, a dałbym sobie spokój i pojechał prosto do domu, ale jak powiedziałaś, to był mój szkolny kolega, mój kumpel.

– Więc co zrobiłeś? – Teraz dla odmiany Vera zaniepokoiła się, że jakiś strażnik podejdzie do drzwi i zadzwoni, zanim uzyska jakiegokolwiek przydatne informacje. Koniecznie chciała, by Brace zdążył dokończyć swoją opowieść.

– Wsiadłem z samochodu i poszedłem go szukać. Miałam latarkę, ale na początku jej nie potrzebowałam. Jak już mówiłem, była pełnia księżyca, a oczy szybko się przyzwyczajają. Wiesz o tym, bo sama mieszkasz na odludziu, z dala od świateł ulicznych. Szedłem wzdłuż linii brzegowej na północ od latarni, w kierunku Hartley Point i Seaton Sluice. Cicho. Nie wołałem go na głos. Nie wiedziałem, w czym mógłbym przeszkodzić, a pojawienie się gliniarza mogłoby być najgorszą możliwą rzeczą, gdyby wpakował się w kłopoty ze swoimi podejrzanymi kumplami.

– Musiałeś coś zobaczyć – powiedziała Vera – inaczej byśmy tu teraz nie siedzieli.

– Raczej znaleźć. – Zamilkł. – Znalazłem ciało Robbiego. Porzucone na poboczu chodnika jak śmieć. Miał roztrzaskaną głowę. – Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. Gdyby istniała jakakolwiek szansa, że jeszcze żyje, zgłosiłbym to. Słowo honoru. Ale przypuszczam, że był już martwy, kiedy przyjechałem tam z moim kontaktem.

– Dlaczego tego nie zgłosiłeś? Jak normalny, praworządny obywatel? – Jej głos był zwodniczo łagodny. W środku kipiała wściekłością, bo Brace był gliną. Jednym z nich.

– Ponieważ miałem zbyt wiele do stracenia. Gdyby zespół do spraw zabójstw zaczął grzebać w jego przeszłości, odkryliby, że jest powiązany ze mną i z jego potężnymi przyjaciółmi z drugiej strony. Miałem już wtedy wystarczająco dużo kłopotów i dostałem ostatnie ostrzeżenie.

– Więc dlaczego mówisz mi to wszystko teraz? Nawiedził cię duch Robbiego Marshalla, czy co? Nigdy wcześniej nie zawracałeś sobie tym głowy.

– Ponieważ kocham moją córkę! – Brace prawie krzyczał. – Ponieważ chcę dla niej lepszego życia.

Po tej głośnej wymianie zdań zapadła dramatyczna cisza. – John Brace, ty cikliwy gnojku, prawie ci uwierzyłam. – Vera potrząsnęła głową. – Więc nie zgłosiłeś zabójstwa. Co zrobiłeś zamiast tego?

– Na brzegu morza był przepust wycięty w skale, tworzący pod skalnym nawisem tunel, który prowadził gdzieś dalej. Tunel szedł gdzieś głębiej. Nie wiem, do czego służył. Myślę, że do osuszania pól po drugiej stronie ścieżki, pewnie deszczówka z melioracji spływała nim do morza. Wepchnąłem ciało do przepustu i zatkałem ujście paroma glazami, żeby odpływ go nie zabrał. Przedtem znalazłem kluczyki Robbiego w kieszeni jego kurtki. Zabrałem jego samochód na parking na lotnisku i złapałem taksówkę z powrotem do Whitley, przeszedłem ostatnie kilka mil do St Mary's, ponieważ nie chciałem, aby ktokolwiek pamiętał, że mnie tam podrzucił, gdyby przypadkiem znaleziono jednak ciało. Wyrzuciłem jego kluczyki do morza. Potem wziąłem swój samochód i pojechałem do domu. Zanim tam dotarłem, już prawie świtało.

– A Judith myślała, że byłeś całą noc z informatorem.

– To się zdarzało – powiedział Brace. – Nie byłoby w tym nic niezwykłego.

– I pozwoliłeś mamie Robbiego mieć nadzieję, że pewnego dnia jej syn wróci.

– Jak mógłbym jej to powiedzieć? – Siedział przez chwilę z głową w dłoniach. – Słuchaj, nie jestem dumny z tego, co zrobiłem. Gdybym miał więcej czasu, mógłbym wymyślić coś lepszego, może upozorować wypadek samochodowy. Przerabiałem to w głowie tysiące razy. Ale poddałem się. Nie mogłem sobie pozwolić na śledztwo w sprawie morderstwa powiązanego ze mną.

– Zwłaszcza, że tam byłeś, co, John? Byłeś na miejscu, kiedy Robbie został zabity. Niezły zbieg okoliczności.

– Nie zabiłem go. Myślisz, że ryzykowałbym szansę na wydostanie się stąd za życia, mówiąc ci o ciele, gdybym to zrobił? Nie kocham mojej córki aż tak. Był moim kolegą. Jaki

miałbym powód?

– Nie widziałeś nikogo w pobliżu, gdy mile gawędziłeś ze swoim informatorem nad morzem? Żadnych samochodów? Żadnych spacerowiczów czy biegaczy? – Przez chwilę Vera straciła wątek. *Czy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym bieganie było w modzie? Z pewnością, ale nie aż tak.*

Potrząsnął głową.

– Miałem ponad dwadzieścia lat, żeby się nad tym zastanowić. Nie przypominam sobie, żebym kogokolwiek widział.

Na zewnątrz rozległy się ciężkie kroki i drzwi się otworzyły. Strażnik.

– Czas na pana, kolego. – W jego głosie brzmiało współczucie. Być może uważał Brace'a za jakiegoś bohatera, którego system rzucił na pastwę losu. Vera chętnie by mu to wytłumaczyła, ale to nie był odpowiedni moment.

– Przyjrzymy się temu, co mi powiedziałeś. – Jej głos był formalny i nijaki, gdy pakowała notatnik do torby. – Prawdopodobnie odezwę się do ciebie w przyszłym tygodniu.

Brace nie odezwał się ani słowem, gdy strażnik popychał jego wózek w głąb korytarza.

13.

Na komisariacie zespół już na nią czekał. Weszła do środka, jej umysł pracował intensywnie i przez chwilę zastanawiała się, czy tak czują się dzieciaki po narkotykach. Jeśli tak, to mogła zrozumieć, dlaczego się uzależniają. Żadne uczucie nie mogło się z tym równać: adrenalina i poczucie, że wszystko jest możliwe, że to może być kolejny moment chwały. Ale nie pozwoliła sobie na okazanie podniecenia, dopóki nie zebrali się wokół biurka Charliego. Musiała rozegrać to ostrożnie; wciąż nie była do końca pewna, czy John Brace nie gra we własne gierki, a ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było publiczne przeszkanie popularnego miejsca na wybrzeżu Tyneside tylko po to, by nic nie znaleźć. Albo, co gorsza, kilka psich lub owczych kości. Brace zawsze lubił ją ośmieszać.

– Załatwimy to po cichu. – Podciągnęła się na biurko. Królowa pszczoł i pani wszystkiego, co ogarniał jej wzrok. – Rozmawiałam ze starym kumplem, który pracuje ze specjalistycznym zespołem poszukiwawczym. Mogą tam być jutro o świcie. Żadnego zamieszania i tylko kilku kolegów wyświadczających przysługę koledze. – Po chwili skinęła głową w stronę schodów prowadzących do eleganckich biur, w których pracowali starsi oficerowie. – Nie muszą nic o tym wiedzieć, dopóki nie uzyskamy wyników.

– Jeśli Robbie Marshall jest w tym przepuście, to tkwi tam od ponad dwudziestu lat i kolejny dzień nic tu nie zmieni. – Ale Vera też się niecierpliwiła, była niespokojna i niepewna, czy wytrzyma cały dzień. – Holly, Brace mówi, że tamtej nocy spotkał się z informatorem w Whitley. Zdradził, że ta osoba mieszkała w Newcastle, ale nie chciał podać nazwiska. Możesz przejrzeć akta? Sprawdź ówczesnych współpracowników Brace'a. To długa droga, ale przydałoby się znaleźć kogoś, kto mógłby potwierdzić jego wersję, a w tym jesteś genialna. – W końcu do niej dotarło, że Holly od czasu do czasu potrzebuje żeby ktoś ją poklepał po ramieniu. – Jeśli znajdziesz chwilę, przygotuj nam oś czasu. Brace powiedział, że Mary-Frances już dawno nie żyła, kiedy zaginął Robbie Marshall, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w jakiś sposób ci ludzie są ze sobą powiązani.

Holly skinęła głową i widać było, że znów wciąga ją ta sprawa.

– Charlie, czy możesz uruchomić tę swoją niesamowitą pamięć, żeby dać Hol jakiś namiar? Z kim Brace mógł spotkać się późną nocą w Whitley Bay? To musiał być nie lada zawodnik, skoro Brace zrezygnował dla niego z niedzielnego odpoczynku.

Charlie potrząsnął głową.

– Wie pani, jak to jest z informatorami, Vero. A szczególnie, jak było wtedy. Zachowanie ich tożsamości w tajemnicy to sprawa honoru.

– Ale może pamiętasz, czym się on wtedy zajmował. Jakie byłyby jego priorytety i co sprawiało, że chciało mu się rano wstać z łóżka.

– Pomyślę o tym.

– Zrób to, Charlie, i daj mi znać, jeśli coś z tego wyjdzie. – Zsunęła się z biurka. Niepokój wziął nad nią górę. – Joe, pojedziesz ze mną.

Poprosiła Joe, by zawiózł ją do Whitley Bay. Wciąż świeciło słońce i zastanawiała się, jaka była pogoda tamtej czerwcowej nocy, kiedy zniknął Robbie Marshall. Wtedy też musiało być jasno, ponieważ Brace mówił o świetle księżycy i o tym, że nie potrzebował latarki. Zaparkowali na poboczu obok cmentarza, który znajdował się w głębi zatoki, dzięki czemu mieli przed sobą krótki spacer do St Mary's. Vera starała się ostatnio więcej chodzić, wbrew sobie przestraszona ostrzeżeniami lekarza o otyłości i wysokim ciśnieniu krwi. Grupa żałobników stała przy wejściu na cmentarz, pałac papierosy. Zgasili je pośpiesznie, gdy nadjechał karawan, zaniepokojeni, że nie zdążą na pogrzeb.

– O co chodzi? – Joe szedł obok niej lekkim krokiem. Zawsze dbał o formę, a Sal pilnowała jego diety.

– Chcę tylko zorientować się w terenie. Dawno tu nie byłam.

Przeszli przez dwupasmową drogę prowadzącą od strony cmentarza i mieli teraz pełny widok na zatokę z piaszczystą plażą, która kiedyś przyciągała wczasowiczów ze Szkocji i jednodniowych wycieczkowiczów z miejskiego Newcastle. Kiedyś pensjonaty i hotele były pełne ludzi; teraz hotele zostały zburzone lub przekształcone w apartamenty dla osób dojeżdżających do miasta, a w pensjonatach mieszkali goście, dla których wyjazd na wybrzeże nie oznaczał wakacji, tylko pracę. Ale morze było takie samo i krzyki mew także, podobnie jak poczucie przestrzeni i światło odbijające się w tafli wody. W oddali widzieli imponującą białą kopułę. Vera zatraciła się w myślach, wyczarowując zgiełk i kolory Spanish City z lat dziewięćdziesiątych; przypomniała sobie, że w tamtym czasie panorama ta obejmowała jeszcze jeden budynek – elegancki, biały klub nocny „Mewa”, który strawił pożar. Zbudowany w latach trzydziestych, zdawał się kwintesencją czasów największej świetności miasta. A kiedy spłonął, powstała luka na nabrzeżu zdawała się symbolizować upadek tej okolicy. Vera właśnie próbowała odtworzyć klub w pamięci gdy o mało co nie potrafił jej rowerzysta ubrany w lycrę.

– Cholerny pirat. Dlaczego nie mogą jeździć po jezdni?

– Stoi pani na środku ścieżki rowerowej.

Pomyślała, że w latach dziewięćdziesiątych prawdopodobnie nie było tu ścieżek rowerowych. Po drugiej stronie drogi znajdowało się pole kempingowe; ze ścieżki widać było plac zabaw dla dzieciaków. Vera doszła do wniosku, że to miejsce było tam od kiedy sięgała pamięcią, ale wiedziała, że po tylu latach trudno będzie znaleźć ewentualnych świadków. Szli powoli w kierunku latarni morskiej, Joe dostosował się do tempa Very, zachowując ciszę. Wiedział, że nie chce, by jej przeszkadzał. Rezerwat przyrody został niedawno ogrodzony – choć ogrodzenie z pewnością nie utrzymałoby Hectora z dala od gniazdujących ptaków brodzących – i znajdowały się w nim kryjówki dla fotografów i obserwatorów ptaków. Przyptyw właśnie się skończył, a po krótkiej, wąskiej grobli na

wyspę St Mary's szła grupka ludzi. Vera dokonała w myśli wstępnych obliczeń i pomyślała, że z samego rana powinien być odpływ. Właśnie tego potrzebowali. Na parkingu jedna furgonetka sprzedawała pączki, a druga lody. Wykorzystywali końcówkę lata do maksimum.

Obok furgonetek znajdował się duży znak – laminowana tablica z mapą w jaskrawych kolorach, przedstawiająca plany rewitalizacji okolicy. Wydawały się koncentrować wokół nowej kawiarni i restauracji, która miała powstać dokładnie w miejscu, w którym stali. Znajdował się tam projekt architektoniczny budynku wykonanego w całości ze szkła i jasnego drewna. Wyglądało to dość ładnie, ale Vera domyśliła się, że nie będzie tam już miejsca dla sprzedawców lodów i pączków, a te furgonetki stały tam odkąd pamiętała. Niepokoiły ją te zmiany. Z pewnością w Whitley było już mnóstwo innych kawiarni walczących o klientów. Vera ruszyła dalej, zeszła na skalisty brzeg, szukając przepustu Brace'a. Nie wiedziała, co robi, jeśli go tam nie znajdzie.

Nad samym morzem panował spokój. Dzieci wróciły do szkoły, więc nie było rodzin, a biegacze i rowerzyści w większości trzymali się ścieżek. Starsza para siedziała na ławce, zwrócona w jej stronę, ale mieli zamknięte oczy i twarze zwrócone w stronę słońca. Joe był zwinniejszy i wyprzedził ją. Z trudem utrzymywała równowagę i zaczęła mieć wątpliwości co do skalnych basenów i dzieci Patty.

– Jak pani myśli, czy to tutaj? – Joe wskazywał na szczelinę w skale. Była dziełem człowieka i kiedyś mogła się w niej znajdować rura melioracyjna, ale rozpadła się dziesiątki lat temu, prawdopodobnie na długo przed tym, jak Brace spotkał swojego informatora na ścieżce powyżej. Vera pomyślała, że rura mogła kiedyś sięgać aż do Morza Północnego, odprowadzając edwardiańskie ścieki na głęboką, słoną wodę. Tu i ówdzie w skale pozostały zarzewiałyte śruby, które niegdyś mocowały obramowanie rury odpływowej.

– Nie wygląda na rurę melioracyjną, ale pasuje do opisu. – Pomyślała, że Brace nie zauważyłby różnicy w nocy, gdy nieco spanikowany szukał miejsca, gdzie mógłby ukryć ciało swojego przyjaciela z dzieciństwa. – W każdym razie zespół może jutro zacząć poszukiwania od tego miejsca. – Miała ochotę od razu zabrać się za wyciąganie głązów i kamieni, które zatykały wejście do przepustu. – Wracajmy – powiedziała. – Lepiej, żeby nikt nie zwrócił na nas uwagi. – Joe zaczął wspinać się z powrotem na ścieżkę, ale ona została tam przez chwilę, wpatrując się w wyrwę w niewysokim klifie.

Kiedy dotarła do Joego, stał przy furgonetce z lodami, trzymając w obu rękach po rożku z czekoladowym płatkami na wierzchu.

– Pomyślałem, że skoro odgrywamy rolę jednodniowych wycieczkowiczów, powinniśmy zrobić to porządnie.

Pomyślała, że był tak samo podekscytowany jak ona.

– No ładnie, a jaką rolę ja niby odgrywam? Twojej mamy?

Uśmiechnął się.

– Nie – powiedział. – Babci.

– Bezczelny małpison. – Lizała lody i pomyślała, że nie była tak szczęśliwa od miesięcy.

Następnego ranka spotkali się na parkingu St Mary's, zanim jeszcze zrobiło się jasno. Holly i Charlie siedzieli w samochodzie Holly, a Vera zabrała Joe swoim poobijanym land roverem w drodze ze wzgórz. Zespół poszukiwawczy wysypał się z anonimowej furgonetki, żartobliwie marudząc na brak kawy i wczesną porę.

– Jeśli znajdziecie to, czego szukamy – powiedziała Vera – stawiam wszystkim pełne angielskie śniadanie. – Spała krótko, ale głęboko i czuła się bardzo przytomna i czujna. Na horyzoncie pojawiło się już szare światło, więc poprowadziła ich przez skały do miejsca, w którym Joe znalazł przepust bez potrzeby używania latarki. Wszyscy szli pewniej niż ona, ale pozwolili jej prowadzić. To była jej sprawa i to ona dowodziła. Ubrała się w sztruksowe spodnie i turystyczne buty; Holly założyła designerskie kalosze w kwiaty i motyle. Dotarli do przepustu, gdy światło nad morzem zmieniło kolor na różowy. Vera wskazała na szczelinę w niewysokim klifie.

– To jest miejsce, które opisał. Nie będziemy wam wchodzić w drogę, dobrze?

Szef zespołu skinął głową i uśmiechnął się.

– Ano, wolelibyśmy, żeby amatorzy nam nie przeszkadzali.

Vera i pozostali policjanci znaleźli płaską skałę, na której mogli usiąść i obserwować pracę z pewnej odległości. Vera pomyślała, że każdy poranny jogger uznałby poszukiwaczy za brygadę ze spółki wodnej lub magistratu, która pewnie prowadzi pierwsze prace w terenie przed planowaną inwestycją. Nie była pewna, co pomyślałby o czwórce ludzi na skale: Charliem w swoim starym płaszczu, palącym papierosa i odwracającym się od pozostałych, Holly, która mimo widocznego dyskomfortu wyglądała elegancko, wręcz wytwornie, Joem, zamyślonym i zaniepokojonym, wpatrującym się w mężczyzn ostrożnie wyciągających głazy z ujścia przepustu i Verze, tak dużej, że przyćmiewała resztę. Czasami martwiła się, że przytłacza ich swoją osobowością i uprzedzeniami, że nie daje im przestrzeni ani pewności siebie, by sami mogli podejmować decyzje. Ale, powiedziała sobie teraz, zwykle miała rację i nie wyświadczyłaby im żadnej przysługi, gdyby pozwoliła im popełniać własne błędy. Zimno skały przenikało przez jej płaszcz do kości.

Było już jasno. Wschodzące słońce tworzyło pomarańczową ścieżkę na wodzie w ich kierunku. W oddali trzy statki handlowe wypłynęły z ujścia Tyne, ciemne sylwetki na tle słońca. Kilka pojazdów wjechało na parking nad nimi. Obserwator ptaków w nieprzemakalnej kurtce i z drogą lornetką szedł wzdłuż ścieżki na klifie, ale wydawał się bardziej zainteresowany patrzaniem w głąb łądu w kierunku rezerwatu niż w dół. Ekipa poszukiwawcza oczyściła wejście do przepustu, a jeden z chudszych mężczyzn zniknął w środku z latarką w dłoni. Vera była coraz bardziej zniecierpliwiona. Powinni już znaleźć to, czego szukali. Zaczęła planować zemstę na Johnie Brasie za to, że ją podpuścił.

– Szefowo. – Kombinezon chudego mężczyzny był pokryty piaskiem i błotem, a do kaptura przyczepiło się trochę wodorostów. Vera pomyślała, że wyglądał trochę jak jeden z „Morrisów” – postaci z ludowego, tanecznego obrzędu, który oglądała w Nowy Rok przed pubem w Monkseaton. Jak Zielony Pan. Stał przy wejściu do przepustu i spojrzał na nią. – Jest ta coś dość dziwnego.

– W jakim sensie dziwnego? Mamy ciało, czy nie? – Była spięta, nie mogła uwierzyć, że ją oszukano. John Brace przekonał ją swoją bajeczką o przyjaźni i miłości do córki.

– Na pewno znaleźliśmy kompletny ludzki szkielet, upchnięty z tyłu przepustu, ale jest tam za dużo kości.

Kiedy usłyszała pierwsze słowa, odetchnęła z ulgą. A jednak miała rację. Nie zabrała ich na jakieś absurdalne poszukiwania. Potrafiła poradzić sobie z większością rzeczy, ale nie znosiła ośmieszania, a gdyby poważnie się pomyliła, wieści rozeszłyby się po całej jednostce. Tym razem ostro zaryzykowała. Wyciągnęła cały zespół poszukiwawczy, bo wymyśliła sobie jakąś bajeczkę o martwym zloczyncy. Wtedy dotarło do niej ostatnie zdanie.

– Jak to, za dużo kości? Co chce pan przez to powiedzieć?

Zapadła chwila ciszy. Policjant zasłonił jedną ręką oczy przed niskim słońcem, więc Vera widziała tylko dolną część jego twarzy.

– Według mnie były tu ukryte dwa ciała. Nie jedno.

14.

Joe został na miejscu, podczas gdy Vera wróciła na posterunek, aby zawiadomić Watkinsa. Śledztwo w sprawie morderstwa zacznie się toczyć, wieści się rozejdą, a media wkrótce zaczną nagabywać biuro prasowe. Lepiej było, aby najpierw przedstawiła szefowi swoją wersję wydarzeń. Potrzebowała wiarygodnego wytłumaczenia, dlaczego nie informowała go o wszystkim od samego początku. Zadzwoiła do niego z parkingu przy wyspie St Mary's, odwrócona plecami do morza i bryzy, która wzmogła się od czasu ich przyjazdu. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był jakiś służbista, który powiadomiłby szefa przed nią.

- Jest coś, o czym powinien pan wiedzieć. - Opisała odkrycie ciała tak, jakby podążała tylko hipotetycznym tropem. - Nie chciałam formalnego śledztwa, dopóki nie sprawdzimy, czy to prawda. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam, były dwa zestawy kości.

- Jest pani pewna? Może to tylko jeden szkielet, a kości zostały rozwłóczone przez zwierzęta?

Ona też o to pytała, ale nie poszła sprawdzić. Mimo że ciała leżały tam od co najmniej dwudziestu lat, miejsce powinno pozostać względnie nietknięte. Przynajmniej przez ludzi. Nie wyglądało na to, by głazy blokujące wejście zostały przesunięte od czasu, gdy Brace je tam umieścił. Wyobrażała sobie, że zaglądały tam szczury - w skałach były szczeliny, przez które spływała woda. Morskie stworzenia też mogły przedostać się do środka podczas przyływu. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowało śledztwo, byli kolejni gliniarze zdeptujący wszystko dookoła. Joe Ashworth i śledczy właśnie zastanawiali się, jak najlepiej zabezpieczyć teren i co robić dalej. Można było postawić namiot otaczający wejście do przepustu, dopóki kości nie zostaną sfotografowane i szczegółowo sprawdzone, ale kiedy nadejdzie przyływ, funkcjonariusze będą musieli brodzić w kilku centymetrach wody. Vera pomyślała, że najlepiej byłoby wydostać kości tak szybko, jak to możliwe. Odgrodzili już ścieżkę prowadzącą na wyspę i północny koniec parkingu, aby trzymać gapiów z daleka.

- Będziemy potrzebować patologa do tej sprawy - powiedziała. - Może antropologa sądowego. Zakładam, że ciała zostały tam umieszczone w tym samym czasie, ale może oni będą w stanie to dokładniej określić.

Znowu znajdowała się w biurze, w którym siedziała tydzień wcześniej; była wtedy urażona, że wysłano ją do więzienia, aby porozmawiać o ofiarach. Dziś wciąż rozmawiali na ten sam temat: o ofiarach brutalnych przestępstw. Watkins nie był Walijszym, o ile wiedziała, pomimo nazwiska. Nie wydawał się mieć żadnego akcentu; nie było sposobu, aby go umiejscowić, poza tym, że wiedziała, że ukończył uniwersytet po czterdziestce. Jeden z inteligentnych, obeznanych z mediami przedstawicieli nowej rasy, którzy zawsze

budzili w niej instynkt obronny. Dziś miał na sobie szary garnitur, równie nijaki jak on sam.

– Więc zna pani tożsamość jednej z ofiar?

– Według Johna Brace'a. Nie mamy jeszcze potwierdzenia.

Uniósł brwi. Słyszał o Johnie Brasie, mimo że przyszedł na stanowisko po tym, jak tamten został skazany i osadzony w więzieniu.

– Był jednym ze słuchaczy, kiedy wysłał mnie pan do Warkworth, żebym wygłosiła prelekcję na ... – próbowała przypomnieć sobie skrót – ... OSN.

– I Brace tak od niechcienia przekazał pani informację, że ciało zostało zakopane w przepuście w pobliżu wyspy St Mary's. – Watkins najwyraźniej nie słyszał, że sarkazm jest najniższą formą dowcipu.

– Jeszcze nie wtedy – odparła Vera. – Najpierw chciał, żebym sprawdziła, czy z jego córką wszystko w porządku. Ma trzydziestoletnią córkę i troje wnucząt.

– O ile mi wiadomo, jego była żona żyje i jest zaangażowana w działalność polityczną. Czy nie powinna troszczyć się o rodzinę?

Vera czuła, że szef traci cierpliwość, ale nie obchodziło jej to.

– Judith nie była matką jego córki. – Umilkła. – Poszłam zobaczyć się z tą kobietą i jej rodziną, a potem w ramach pewnego rodzaju kompromisu Brace przekazał mi informacje o Robbie Marshalle.

– Czy uznajemy jego za jedną z ofiar okolic St Mary's?.

Uznajemy go. Miała ochotę go poprawić. Jej nauczycielka zwracała szczególną uwagę na gramatykę. Ale powstrzymała się. Może nie był tak dobrze wykształcony, jak mu się wydawało. Ta myśl ją pocieszyła.

– Był współpracownikiem Brace'a. – Vera znów zrobiła pauzę. – I mojego ojca. – Lepiej powiedzieć to teraz, zanim jakiś gnojek mu doniesie.

– Pani ojciec znał Brace'a? – Watkins podniósł wzrok, zaskoczony.

– Od czasu do czasu razem obserwowali ptaki – powiedziała Vera. – Niewiele więcej. Poza tym Hector nie żyje od lat. Nie ma konfliktu interesów.

Na moment zapadła cisza, w tle słychać było szum jakiegoś urządzenia elektrycznego w biurze obok. Wydawało się, że Watkins jest skłonny puścić w niepamięć związek między Hectorem i Brace'em. Być może wiedział, że Vera jest detektywem z najlepszym wskaźnikiem wykrywalności w policji, a to będzie skomplikowana sprawa. Poza tym byłby szczęśliwy, gdyby to ona poniosła konsekwencje, gdyby śledztwo poszło na marne.

– Czyje są pozostałe kości? – Watkins podniósł wzrok znad notatek. Na stole stała butelka z atramentem, a on używał wiecznego pióra. Vera na chwilę straciła wątek. Od lat nie widziała prawdziwego pióra. Wydawało się dziwnie pretensjonalne dla tak młodego mężczyzny.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Ale z samego rana wrócę do Warkworth i zapytam Johna Brace'a, dlaczego nie wspomniał o drugim ciele.

– Co powiedział Brace? – Watkins znieruchomiał z piórem w dłoni. – Jak według niego ciało Marshalla dostało się do przepustu?

Vera powiedziała mu niemal słowo w słowo, odtwarzając w głowie rozmowę z Brace'em. Opowieść przysła jej z łatwością; niemal jakby znowu siedziała z Brace'em w małym jak pudełko pokoju przesłuchań w Warkworth. Powtarzała ją sobie, odkąd opuściła więzienie. Nie pominęła niczego poza pytaniami o Mary-Frances Escuelę. Później nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego zachowała te informacje dla siebie. Być może naprawdę wierzyła, że tożsamość kochanki Brace'a była nieistotna. Albo raczej dobrze wiedziała, że informacja to potęga i chciała zachować tę konkretną perełkę dla siebie, wiedząc, że może się przydać później.

pizzę dla zespołu w biurze; umierała z głodu i wiedziała, że oni też nic nie jedli od powrotu do Kimmerston. Nawet Holly, której zazwyczaj udawało się przeżyć na kilku liściach sałaty i opakowaniu niskokalorycznego hummusu, zjadła kilka kawałków. Charlie opychał się, jakby nie widział jedzenia od miesiąca.

– Jak sobie radzi Joe na miejscu?

– Patolog przyjechał jeszcze przed naszym wyjazdem. – Holly wytarła usta serwetką dołączoną do posiłku. Ale elegantka. – Uważają, że powinni zabrać szkielety przed nadejściem przyływu i zapakować w worki wszelkie przedmioty znalezione w rurze. Teoretycznie mogliby nadal pracować na miejscu, gdyby woda się podniosła – najwyraźniej nie jest to szczególnie wysoki przyływ, a przepust podnosi się wyżej w miarę oddalania się od brzegu – ale byłoby to znacznie trudniejsze.

– Co znaleźli do tej pory?

– Technicy byli już w środku, gdy odjeżdżałam. Według nich na kościach wciąż znajdowały się skrawki ubrań. Niewiele, ale to powinno pomóc w identyfikacji. Wydaje mi się, że był tam pasek. Przeszukiwali muł na dnie przepustu. Będą tu na wieczornej odprawie. Zwołałam ją na siódmą, żeby dać nam trochę czasu.

Vera skinęła głową z aprobatą.

– Wiesz może, jakiej płci jest drugie ciało? – Żałowała, że nie może być na miejscu z technikami i zadawać im tych pytań bezpośrednio, zdobywać informacje na bieżąco, pracować na świeżym powietrzu, w słonym wietrze i promieniach słońca. Ale wiedziała, że to nie jej rola i tak naprawdę tylko by przeszkadzała.

Holly potrząsnęła głową.

– Doktor Keating niczego nie zdradził.

Vera zaczęła sprzątać pudełka po pizzy i wrzucać je do kosza. W tym samym czasie oczyściła swój umysł i próbowała poskładać spójny obraz tła sprawy. Hol, udało ci się coś zrobić z tą osią czasu? To będzie ciężka praca, jeśli nie będziemy mieli ram, które pozwolą nam zachować porządek.

Holly zsunęła się z biurka, przy którym siedziała i zajęła centralne miejsce. Vera pomyślała, że Holly to typ policjantki, która dobrze radziłaby sobie pod rządami Watkinsa. Awansowałaby do rangi Very, będąc jeszcze młodą kobietą. I zrobiłaby to po mistrzowsku. Była świetna we wszystkim, co teraz zaczęło się liczyć w policji: w porządkowaniu materiałów, nadzorowaniu zespołu, przedstawianiu swoich argumentów za zwiększeniem zasobów. Vera zawsze miała z tym trudności, bez względu na to, na ile kursów zarządzania ją wysyłali. Wiedziała jednak, że Holly nigdy nie zostanie lepszym gliną niż ona. Nie umiała swobodnie rozmawiać z ludźmi w różnym wieku i z różnych środowisk, słuchać ich, wypytywać, rozumieć. Nie fascynowali jej.

Holly majstrowała przy laptopie i projektorze, i wkrótce na ekranie przed nimi pojawił się obraz.

– Myślę, że to się zgadza, ale dajcie mi znać, jeśli coś pomyliłam. – Pomimo tych wszystkich umiejętności technicznych, wydawała się nieco niepewna co do samych faktów.

Oś czasu wyglądała jak proste drzewo genealogiczne z Johnem Brace'em na szczycie wykresu pośrodku, i liniami prowadzącymi od niego do dołu. Dekady zaznaczono z boku arkusza kalkulacyjnego, a kontakty Brace'a i konkretne, ważne wydarzenia wpisano w poprzek głównej linii.

– John Arthur Brace urodził się w październiku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku i był jedynakiem. Jego ojciec pracował jako zastępca dyrektora kopalni Isabella w Bebington. Brace uczęszczał do Bebington High School, gdzie poznał Roberta Paula Marshalla w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym. – Ten punkt pierwszego kontaktu został uwieczniony na planie Holly. Marshall również był jedynakiem; jego ojciec był rzeźnikiem, a matka Eleanor nauczycielką, zanim wyszła za mąż. Kiedy Robbie miał dwanaście lat, rodzina przeniosła się do Wallsend, ale on pozostał w szkole w Bebington. Eleanor nadal mieszka w Wallsend. – Zrobiła przerwę na oddech. W pokoju panowała cisza. Nawet Charlie robił notatki.

Holly podjęła prezentację:

– Brace opuścił szkołę w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym i wstąpił do policji jako kadet. Marshall skończył ją w tym samym czasie i został praktykantem w stoczni Swan Hunters. – Ponownie, fakty te zostały wyraźnie zapisane na slajdzie. – Obaj dobrze sobie radzili w pracy. Brace skończył jako nadinspektor, a Marshall jako kierownik działu zaopatrzenia. – Kolejna pauza. – Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych służby otrzymywały już skargi na zachowanie Brace'a, ale wydaje się, że żadna z nich nie została potraktowana zbyt poważnie. W maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku urodziła się Patricia Mariella Lascuola. Przyjmujemy niemal za pewnik, że Brace był jej ojcem, więc możemy założyć, że znał Mary-Frances przynajmniej rok wcześniej. – Holly zwróciła się do słuchaczy. – Czy to wszystko ma sens?

– To jest genialne, Hol. – Vera mówiła poważnie. – Jasne jak słońce.

– Patty wyszła za mąż za Gary'ego Keane'a w dwa tysiące trzecim roku, a ich pierwsze dziecko, Jennifer, urodziło się w dwa tysiące piątym. W dwa tysiące siódmym Glen

Fenwick, leśniczy w Standrigg Estate, został zamordowany, a prawie dwa lata później John Brace został oskarżony w związku z tą zbrodnią. Tuż przed uwięzieniem kupił dom dla Patty i jej rodziny. Wkrótce potem urodził się Jonnie Keane, a dwa lata później trzecie dziecko Patty, Archie. Ich narodziny można znaleźć tutaj na wykresie. Zaktualizowałam oś czasu o odwiedziny Very w więzieniu w zeszłym tygodniu i dzisiejsze odkrycie ciała. Zachowam ją jako dokument online i będę ją uzupełniać w miarę postępów. Mogę zrobić wydruki na dzisiejszą odprawę i za każdym razem, gdy pojawią się nowe informacje o minionych wydarzeniach. – Wyłączyła komputer.

Nastąpiła chwila ciszy, zanim Vera zaczęła bić brawo. Holly przez chwilę wyglądała niepewnie, jakby podejrzewała, że może z niej kpią, po czym uśmiechnęła się i udała, że się kłania.

– Właśnie dlatego, panie i panowie – powiedziała Vera – każdy zespół potrzebuje kogoś takiego jak Holly. W ten sposób zidentyfikujemy drugie ciało i znajdziemy naszego zabójcę.

15.

Joe Ashworth wrócił na komisariat akurat na odprawę o siódmej. Na korytarzu przed salą operacyjną zadzwonił do Sal, aby wyjaśnić, że spóźni się do domu.

– To będzie duża sprawa. Zobaczysz w wieczornych wiadomościach. To może być całonocna robota, ale proszę nie czekaj na mnie.

Jej reakcją była znużona rezygnacja. Po narodzinach ich najmłodszego dziecka rozmawiali o możliwości jego odejścia z policji, znalezienia czegoś z bardziej regularnymi godzinami pracy, ale ona zawsze była bardziej entuzjastycznie nastawiona do tego planu niż on sam. Sprawdziła możliwości przekwalifikowania się, uparła się, że byłby świetnym nauczycielem. Kiedy jednak zagłębili się w szczegóły, nawet Sal przyznała, że nie byłoby to praktyczne. Być może nie podobało jej się, że służba i Vera wymagały od niego poświęcania wolnego czasu, ale uwielbiała pensję i elastyczność jego godzin pracy. Chociaż Joe nigdy się do tego nie przyznał, był zachwycony, gdy porzuciła ten pomysł. Nigdy nie zrezygnowałby z pracy w policji, nawet dla Sal i rodziny, i obawiał się konfrontacji. Sal i tak oskarżała go o to, że zawsze stawia Verę na pierwszym miejscu.

– Byłem w domu przez większość lata – powiedział teraz. Pożałował, że nie rozumiała, jak bardzo kochał swoją pracę. Szkoda, że musiał się z niej usprawiedliwiać.

A może jednak rozumiała.

– Wiem, kochanie, nie ma sprawy. Naprawdę nie ma sprawy. Tylko proszę, zadbaj o siebie i nie przejmuj się za bardzo Verą. Wiesz, jaka potrafi być władcza, a kiedy jest w trakcie śledztwa, zdaje się nie rozumieć, że inni ludzie mają życie poza pracą.

Joe pomyślał, że Vera nie jest jedyną władczą kobietą w jego życiu, ale nic nie powiedział. Otworzył drzwi do pokoju operacyjnego i poczuł, że się odpręża. Kochał swoją żonę i dzieci. Oczywiście, że kochał. Ale to tutaj naprawdę czuł się jak w domu.

Właśnie mieli zaczynać. Holly rozdawała coś w rodzaju arkusza kalkulacyjnego, który zawierał szczegóły kontaktów Johna Brace'a i Robbiego Marshalla, a także kolejną kartkę A4, która była biografią Marshalla, zawierającą wszystko, czego dowiedzieli się o nim do tej pory. W pokoju znajdowali się funkcjonariusze z innych zespołów i przełożony techników, który przez większość dnia nadzorował scenę zbrodni w pobliżu St Mary's. Vera wstała na nogi, by zabrać głos. Od rana dawała z siebie wszystko, ale wyglądała tak świeżo, jakby dopiero co się obudziła.

– W takim razie zaczynamy, dobrze? Skoro sierżant Ashworth zaszczyił nas swoją obecnością.

Parę osób parsknęło śmiechem na ten docinek. Joe zastanawiał się, czy Vera widziała, że został na korytarzu, bo musiał zadzwonić do Sal, czy może się domyśliła. Czasami

myślał, że jest czymś w rodzaju czarownicy i wie, o czym myśli, zanim on to zrobi.

– Oczywiście nie udało się jeszcze zidentyfikować żadnego z ciał. – Vera rozejrzała się po pokoju. – Ale dopóki nie dowiemy się czegoś innego, myślę, że możemy śmiało powiedzieć, że jedno z nich należy do Robbiego Marshalla, który zaginął dwudziestego piątego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Jedynym powodem, dla którego kopaliśmy w przepuście, było to, że nasz stary przyjaciel, były nadinspektor John Brace, powiedział nam, że znajdziemy tam Marshalla. – Zrobiła pauzę. – Ale nic nie wspominał o drugim ciele i naprawdę chcę się dowiedzieć dlaczego. Jeśli Brace o nim wiedział, dlaczego mi nie powiedział? Przecież wiedziałby, że je znajdziemy, gdy zaczniemy kopać. A jeśli o nim nie wiedział, to jest to jeszcze dziwniejsze. Brace twierdzi, że Marshall był już martwy, kiedy go znalazł i że wrzucił ciało do przepustu, ponieważ nie chciał, aby ktokolwiek tutaj powiązał ich ze sobą. Jestem w stanie w to uwierzyć. Dochodzenie w jego sprawie już się toczyło i późno w nocy, natrafiając na ciało swojego najlepszego przyjaciela, mógł spanikować. Ale żeby w tym samym miejscu przypadkiem znajdował się jeszcze jeden trup? Nie, to po prostu niemożliwe. To jakieś bajki.

Ponownie omiotła wzrokiem pomieszczenie, sprawdzając, czy wszyscy wciąż śledzą jej przemowę.

– Więc priorytetem jest zidentyfikowanie obu ciał. Niczego nie bierzemy za pewnik. Zakładamy, że Brace okłamał nas w wielkim stylu. – Jej uwaga skupiła się na techniku. – Czy ma pan coś, co może nam pomóc?

– Według doktora Keatinga jedna z ofiar jest z pewnością mężczyzną. Ubrania też na to wskazują. Duże turystyczne buty wciąż są całkiem nienaruszone.

Vera skinęła głową.

– To pasuje do tego, co wiemy o czynaniach Marshalla w dniu jego zniknięcia. Jest naszą najbardziej prawdopodobną pierwszą ofiarą.

– Drugie ciało było mniejsze, ale nie zachowało się tak dobrze.

– Czy to może być kobieta?

Technik wzruszył ramionami:

– Ej, wolałbym zostawić to ekspertom.

Nie chciał wychodzić przed szereg.

– Czy znaleźliście coś, co mogłoby wskazywać na płeć?

Joe wyczuwał zniecierpliwienie Very. Brakowało jej starszego technika Billy'ego Cartwrighta, z którym zwykle pracowała. Cartwright wyjechał na wakacje ze swoją najnowszą kobietą i para miała wrócić dopiero w weekend. Vera twierdziła, że nie podoba jej się styl życia Cartwrighta, ale przynajmniej zwykle otwarcie wyraża swoje opinie.

– Mam na myśli biżuterię, pierścionek zaręczynowy lub ślubny – przycisnęła technika.

– Przykro mi, ale jak na razie nic nie wskazuje na płeć – powiedział mężczyzna. – Nie ma torebki lub portfela, ani zegarka.

Joe zastanawiał się, co to może oznaczać. Czy wszystko, co mogłoby zidentyfikować ofiarę, zostało usunięte przez zabójcę, czy po prostu rozpadło się z czasem lub zostało wypłukane przez szczeliny między głazami podczas przyływu?

Vera najwyraźniej uznała, że technik nie powie nic więcej i przeszła do następnego punktu.

– Robbie Marshall pracował w Swan Hunters, kiedy zginął. Stocznia była już wtedy pod zarządem komisarycznym, ale on wciąż był tam zatrudniony, pomagając administratorom dopiąć wszystko na ostatni guzik. Zawsze znał się na liczbach, a kupowanie i sprzedawanie miał we krwi. Z tym, że często sprzedawał różne rzeczy bez wiedzy ich właścicieli. Jego mama uważa, go za świętego. Wiemy, że daleko mu było do tego, ale potrzebuję dowiedzieć się, co tak naprawdę działo się w jego życiu. Według Brace'a, denerwował się spotkaniem, które miał odbyć tamtej czerwcowej nocy. Podejrzewamy, że zadawał się z jakimiś grubymi rybami, działając na obrzeżach zorganizowanej przestępczości. Czy wybór Whitley Bay na miejsce spotkania był przypadkowy, czy też tam właśnie przebywał jego kontakt? Czy możemy rzucić kilka sugestii na temat tego, z kim mógł się tam spotykać? Charlie, może ty zacznij. To były twoje czasy.

Charlie uśmiechnął się i przytaknął, ale Vera dalej rozwijała temat.

– Przyjrzyjmy się ówczesnym dilerom i alfonansom. Brace miał córkę z kobietą o imieniu Mary-Frances Lascuola, uzależnioną od heroiny i prawdopodobnie świadczącą usługi seksualne. Według jej akt, najwyraźniej zniknęła bez śladu. Trochę tutaj przesadzam, ale w tej chwili oddałbym skrzynkę mojej ulubionej whisky, żeby dowiedzieć się, czy to Mary-Frances jest naszym drugim ciałem. Brace twierdzi, że zmarła na długo przed zaginięciem Robbiego Marshalla, ale wiemy, że to kłamliwy drań. Więc zbierzmy wszystko, co możemy znaleźć na temat Mary-Frances. Hol, zrobiłaś dobry początek. Czy możesz namierzyć jakieś kobiety, które mogły pracować z nią w Whitley w tamtym czasie? Sprawdź, czy ktoś wie, co się z nią stało. Odwiedź ośrodki odwykowi w Bebington. Jeśli nadal tam jest, powinni mieć jakieś rejestry.

Joe pozwolił sobie na przelotny uśmiezek. Ciekawe, jak Holly poradzi sobie z bandą podstarzałych prostytutek i ćpunów. Ale Vera skierowała swoją uwagę na niego.

– Chcę, żebyś poszedł zobaczyć się z Garym Keane'em. – Zwróciła się do szerszej publiczności, by to wyjaśnić. – Gary był mężem córki Brace'a. Teraz prowadzi firmę zajmującą się naprawą komputerów w Bebington i mieszka nad tym lokalem. Istnieją podejrzenia, że pracuje nie tylko dla praworządnych obywateli południowo-wschodniej Northumbrii, ale także rozwiązuje problemy techniczne członków zorganizowanej przestępczości w regionie. Był młody, gdy Robbie Marshall zginął, ale istnieje możliwość, że już wtedy był zaangażowany w przestępczość. Znał tego i owego, słyszał plotki. Po prostu z nim porozmawiajmy. Dowiedz się, co to za człowiek. – Vera oparła się o krawędź biurka i zamknęła na chwilę oczy, po raz pierwszy ujawniając swój wiek i zmęczenie. Otworzyła je ponownie i uśmiechnęła się szeroko. – A ja wracam do więzienia, żeby zapytać naszego starego kumpla, Johna Brace'a, dlaczego z nami pogrywa.

Joe pojawił się u Gary'ego Keane'a wcześniej rano następnego dnia. Chciał mieć czas na rozmowę, zanim mężczyzna poczuje się w obowiązku otworzyć swój sklep. Babie lato przeciągnęło się na wrzesień, ale o tej porze w powietrzu unosił się chłód i zapach opadających liści. Bebington było dawnym miastem kopalnianym i od czasu zamknięcia kopalni nie powodziło mu się najlepiej, ale na Anchor Lane, kilka ulic od centrum, panowała nieco lepsza atmosfera; była tam niezależna kawiarnia, już otwarta i sprzedająca cappuccino licznym stałym klientom dojeżdżającym do pracy i czekającym na autobus do Newcastle, a kawałek nieużytków naprzeciwko został przekształcony w społeczny ogród działkowy. Firma Keane'a znajdowała się na rogu, w pobliżu kawiarni, na końcu szeregu małych, niezależnych sklepów. Z mieszkania roztaczał się pewnie widok na troskliwie pielęgnowane klomby.

Witrynę sklepu zasłaniały metalowe żaluzje. Okolica nie była jeszcze na tyle dostatnia, by zakład mógł się obyć bez zabezpieczeń. Obok drzwi do sklepu znajdowało się drugie wejście z dzwonkiem. Joe nacisnął go i czekał. Nic. Nacisnął ponownie, tym razem opierając się na nim całym ciężarem ciała i pozwalając by rozdzwonił się na dobre. W końcu usłyszał ciężkie kroki na deskach schodów. W drzwiach ukazał się Gary Keane, z przymrużonymi oczami, większy niż Joe wyobrażał sobie na podstawie zdjęcia. I starszy, ale wciąż przystojny, wynędzniałą urodą zmęczonego życiem człowieka. Miał na sobie ciemnozielony szlafrok i skórzane pantofle, które kłapały, gdy szedł. Nic więcej.

– Czego pan, kurwa, chce?

– Policja. – Joe wyciągnął legitymację policyjną, ale Keane machnął na nią ręką.

– Nie trzeba. Wyczuwam was na kilometr.

– Wpuści mnie pan do środka?

– Tylko jeśli przyniesie pan ze sobą kawę. – Keane skinął w stronę sklepu dwa wejścia dalej. – Proszę flat white. I migdałowego croissanta. Zostawię otwarte drzwi. Zniknął.

Joe zastanawiał się, jak Vera zareagowałaby na takie żądanie i zdecydował, że byłaby już w połowie schodów za Keane'em, mówiąc mu, żeby sam sobie zrobił tę cholerną kawę. Ale z kawiarni dobrze pachniało i Joe pomyślał, że to właśnie od Very nauczył się, że rezultat można osiągnąć na więcej niż jeden sposób. Kiedy wrócił do mieszkania, niosąc kawę i ciastka na tekturowej tacy, Keane był już ubrany. Mieszkanie miało małe, ale przyjemne. Schludne jak na kawalerskie gospodarstwo. Z artystycznym zacięciem, z kilkoma plakatami na ścianach. Plakaty reklamowały Whitley Bay jako nadmorski kurort, a ich design przypominał sztukę z lat trzydziestych. Pod ścianą stał regał wypchany po brzegi książkami. Wyglądało na to, że podobnie jak ta część Bebington, Keane stał się bardziej wyrafinowany. Może nawet pracował jako wolontariusz.

– O co chodzi?

Joe zawahał się przez chwilę. *O co chodziło? Jedyne, co łączyło Keane'a z Robbiem Marshalllem, to fakt, że John Brace był kiedyś teściem Gary'ego. Gary jednak nie musiał tego wiedzieć.*

– Mam tylko kilka pytań. Na pewno widział pan wiadomości o ciałach znalezionych w kanale w Whitley.

Keane nie odpowiadał przez chwilę. Wpatrywał się w Joego znad swojej kawy.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Podejrzewamy, że jedna z ofiar była panu znana.

– Znam wielu ludzi. – Nie zaprzeczył wprost. Nie zapytał o nazwisko mężczyzny. Joe uznał to za interesujące.

– Facet nazywał się Robbie Marshall. Zaginął w połowie lat dziewięćdziesiątych.

– Słyszałem to nazwisko, gdy dorastałem.

– Nic dziwnego. – Joe miał ochotę triumfalnie zboksować powietrze. Nie przypuszczał, że tak łatwo będzie uzyskać nawet takie przyznanie się do kontaktu między mężczyznami. – Każdy, kto mieszkał w Wallsend, znał to nazwisko. Nie był grubą rybą, ale umiał to i owo załatwić.

– Jeśli ktoś potrzebował pracy, szedł do Robbiego Marshalla. Kiedy byłem dzieckiem, potrafił załatwić robotę w stoczni. – Gary kruszył rogalika w palcach. – Nawet później, kiedy stocznię przejęli administratorzy, można było się załapać na zlecenia.

– Inną robotę też potrafił nagrać. Na wsi.

– Jeśli ktoś miał takie skłonności – przyznał Keane. – Ja sam nigdy nie miałem.

– Czy kiedykolwiek pan dla niego pracował? – Teraz Joe był naprawdę zainteresowany.

– Twierdzi pan, że to on? Te zwłoki w rurze?

– Nie mam jeszcze potwierdzenia, ale na to wygląda.

Na ulicy otwierały się kolejne sklepy. Młody chłopak i dziewczyna, być może w drodze do college'u, zatrzymali się w ogrodzie, aby się pocałować. Joe poczuł ukłucie zazdrości. Nie mieli żadnych obowiązków. Po prostu mieli czas, by iść ramię w ramię i całować się w słońcu.

Powtórzył pytanie.

– Zawsze byłem dobry z elektroniki – odpowiedział Keane. – Jako jedyny dzieciak w szkole chodziłem na informatykę. Wtedy to nie było cool. W każdym razie nie aż tak. Istniało kilka prostych gier. Mało kto miał nawet pocztę elektroniczną. Od czasu do czasu Robbie prosił mnie, żebym coś dla niego zrobił. Nie na stałe. Gotówka do ręki. Skonfigurowałem kilka komputerów dla niego i jego kolegów, pokazałem im, jak zacząć.

– Ile mógł pan mieć wtedy lat?

– Nie wiem. Szesnaście, może siedemnaście. To było zanim Robbie zaginął. – Keane obliznął palec i zebrał pozostałe na talerzu okruchy, po czym włożył je do ust.

– Pamięta pan nazwiska kolegów Robbiego?

– Był taki facet, który nazywał się John Brace. – Keane uśmiechnął się i podniósł wzrok. – Policjant. Skorumpowany jak większość z nich.

– I pański były teść.

– Powinienem był wiedzieć, że lepiej się w to nie mieszać, co nie?

– Tak poznał pan Patty? Przez Robbiego Marshalla i Johna Brace’a?

Keane potrząsnął głową.

– Nie, nie obracała się w środowisku w czasach, gdy znałem Robbiego. Byłaby za młoda. Jestem od niej dziesięć lat starszy. Tak czy inaczej, odnalazła swojego ojca dopiero po naszym ślubie. Nie wiedziałam więc, w co się pakuję.

– A w co się pan wpakował?

– Na początku w darmowy dom. Potem w mnóstwo kłopotów. – Keane zamknął tekturowy kubek po kawie i wrzucił go do niebieskiego metalowego kosza na śmieci.

– Co ma pan na myśli?

– John Brace miał wpływy. Nadal je ma, nawet w więzieniu. Przede wszystkim nie podobał mu się sposób, w jaki traktowałem Patty, kiedy byliśmy małżeństwem, a potem nie podobało mu się, kiedy odszedłem.

– Jak wyraził swoje niezadowolenie?

– Wysłał kilku swoich współpracowników, by mi przekazali ostrzeżenie. To wtedy wycofałem się z tego związku. Patty już wtedy całkiem się pogubiła i pomyślałem, że zrobię przysługę nam obojgu, dając sobie z tym spokój. – Keane wyjrzał przez okno. Joe zastanawiał się, czy on też widział młodych kochanków.

– Czy nadal widuje się pan z dziećmi?

– Nie. Kiedy odchodziłem, Brace powiedział jasno, że mam trzymać się z dala od życia Patty. – Zamilkł na chwilę. – Szkoda. Archie był jeszcze malutki, ale już wtedy był bystry i błyskotliwy. Ale jak mówię, Brace wciąż ma wpływy. Lepiej z nim nie zadzierać.

Joe był ciekaw, czy Patty wie, że to John Brace zabronił Keane’owi widywać się z dziećmi.

– Czy pamięta pan kogoś jeszcze, z kim zadawał się Robbie Marshall?

– Wspominali o kimś, kogo nazywali Profesorem. – Keane przerwał na chwilę, po czym dodał: – Nigdy go jednak nie spotkałem. Potem był jeszcze jeden facet o nazwisku Sinclair. Szkot. Prowadził elegancki klub w Whitley. „Mewę.” Założyłem mu system bezpieczeństwa i Robbie często się tam kręcił.

Joe ponownie roześmiał się w myślach. Przynajmniej miał jedno nazwisko w prezencie dla Very – Sinclair. Będzie z niego dumna.

– Co Marshall robił w klubie? Pracował tam?

– Czekał – odpowiedział Keane. – Obserwował. Wypatrywał okazji. Taki był styl Robbiego.

Joe nie był pewien, co Keane miał na myśli, więc zmienił temat.

– Rozumiem, że w tamtych czasach trochę pan rozrabiał.

– Cóż, kiedy jest się młodym, czasem nie wie się, jak mądrze pić. Wpadłem w tarapaty. W końcu wszyscy musimy dorosnąć.

– Brace powiedział, że pan jest maniakiem.

Zapadło milczenie.

- Być może, przyganiał kocioł garnkowi.

Joe przeszedł przez ogród do swojego samochodu. Młodzi ludzie wciąż tam byli, siedzieli na ławce z plecakami szkolnymi u stóp. Nie zauważyli go, gdy przechodził.

16.

Oddział dla seniorów i osób niepełnosprawnych miał własną jadalnię. Wysoko na ścianie wisiał telewizor, który zdawał się być włączony przez cały dzień, bardziej jako tło dźwiękowe dla więźniów pracujących w kuchni, niż jako obiekt zainteresowania innych osób przebywających w tym pomieszczeniu. John Brace nie musiał stać w kolejce przy ladzie z bardziej sprawnymi przestępcami. Każdego ranka podjeżdżał na wózku inwalidzkim do swojego zwykłego stolika, a sanitariusz przynosił mu jedzenie. Wiedzieli już, co lubi, a czego nie znosi i dokładali wszelkich starań, by go zadowolić. Miał reputację; wciąż zachowywał wpływy na zewnątrz, a wielu z nich miało rodziny, które korzystały z jego hojności. Teraz porządkowy w przepisowej koszuli w paski i niedopasowanych niebieskich dżinsach podszedł z tacą. Znajdowała się na niej miska płatków kukurydzianych zmieszanych z otrębami, mleko w osobnym dzbanku. Dwa tosty. Chrupiące, nie rozmiękłe. Tosty dla pozostałych były przygotowywane partiami na początku dyżuru i leżały, mięknać i stygnąć, dopóki wszyscy nie przyszli. Tosty dla Johna Brace'a przygotowywano, gdy chłopcy w kuchni słyszeli jego wózek zbliżający się korytarzem.

Podziękował porządkowemu i spojrział w górę na telewizor, aby zobaczyć główne wiadomości lokalne. Spodziewał się, że odkrycie ciała Robbiego Marshalla będzie w czołówce programu. Vera była dobrym oficerem, ale nawet ona nie zdołałaby utrzymać tego w tajemnicy. Poza tym Brace nie widział powodu, dla którego miałyby wyciszyć tę sprawę. Będzie chciała zdobyć jak najwięcej informacji, prosząc ludzi, by sięgnęli pamięcią ponad dwadzieścia lat wstecz, do ciepłej czerwcowej nocy nad morzem.

Tak jak się spodziewał, lokalne wiadomości zaczęły się od długiego ujęcia latarni morskiej na wyspie Mary's a następnie zbliżenia namiotu zbudowanego nad wejściem do przepustu, z którego wyłonili się ubrani na biało technicy kryminalistyki, z poważnymi minami. Oklepany obraz miejsca zbrodni. Brace'owi wydawało się, że rozpoznaje jednego z nich. Potem zaczęła mówić reporterka. Blondynka i ślicznotka. Bryza znad morza od czasu do czasu rozwiewała jej włosy i musiała odsuwać je od twarzy wolną od mikrofonu ręką.

- Policja nie ujawniła jeszcze żadnych informacji na temat ciał znalezionych wczoraj w przepuście w pobliżu wyspy St Mary's, choć wydaje się, że nie były to niedawne zgony, a funkcjonariusze oświadczyli, że nie ma zagrożenia dla okolicznych mieszkańców. Konferencja prasowa odbędzie się jeszcze dziś.

Brace wpatrywał się w telewizor. Ciała. Kobieta powiedziała: ciała. W liczbie mnogiej. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach, ale nadal jadł powoli, metodycznie. Nie wolno mu było okazywać żadnych emocji ani niepokoju, nie wolno mu było w żaden

sposób dać po sobie poznać, że ta wiadomość ma dla niego szczególne znaczenie. Starał się spowolnić puls i myśleć o tym, co należy zrobić dalej. Irytował go brak kontroli, brak natychmiastowego dostępu do informacji. Musiał porozmawiać z pewnymi osobami, ale to będzie możliwe dopiero później. Dobrze byłoby wiedzieć, co myśli policja, ale z biegiem lat stracił tam wpływ. Znowu przyszło mu do głowy, że może powinien po prostu odpuścić. Niech policjanci prowadzą śledztwo po swoim. Być może włączenie w to Vera było błędem. W końcu nie najgorzej mu się tu żyło. Vera Stanhope się co do tego nie myliła.

Potem pomyślał, że są jeszcze inne osoby, o które musi się zatroszczyć, a poza tym nigdy nie lubił iść na łatwiznę. Zawsze podejmował ryzyko, a ta sprawa może okazać się największym ryzykiem w jego życiu. Przypomniawszy sobie, za czym tęsknił w więzieniu; wiedział, że chce spędzić swoje ostatnie lata z dala od tego miejsca. To dlatego tak długo znosił nudę. Miał plany i widoki na nowe życie. Skończył ostatniego tosta i odłożył naczynia na tacę. Porządkowy pojawił się, najwyraźniej znikąd, aby je zabrać. Brace poczuł się trochę spokojniejszy. Pracował nad strategią, kiedy podszedł do niego strażnik. Brace pomyślał, że poprzednio rozmawiał z Verą pod wpływem impulsu, ale teraz powinien być poukładany i racjonalny. Potrzebował planu kampanii.

– Kolejne odwiedziny, John. Znowu pańska była koleżanka.

Brace podniósł wzrok i skinął głową. Tego właśnie się spodziewał, odkąd obejrzał wiadomości.

– Proszę dać mi dziesięć minut na umycie zębów.

– Jasne, czemu nie? – Oficer przeciągnął się i ziewnął. – Niech dla odmiany oni raz zaczekają.

Brace uśmiechnął się lekko i ruszył w stronę swojej celi. Choć po drodze machał do współwięźniów, a oni nie byliby w stanie rozpoznać zmiany nastroju, wiedział, że właśnie staje się kimś zupełnie innym. Ponownie wchodzi w skórę policjanta, przebiegłego i nieufnego. Kogoś, kto puszcza tryby w ruch. Owszem, Vera pragnęła odkryć, co wydarzyło się tamtej letniej nocy ponad dwadzieścia lat wcześniej, ale on musiał realizować swój własny plan. Nie mógł pozwolić by przejęła kontrolę nad sytuacją. Musiał porozmawiać z pewnymi ludźmi. Musiał ponownie zgromadzić wokół siebie przyjaciół.

17.

Przy bramie Vera poczuła się, jak stała klientka. Strażnicy skinęli jej na powitanie pytając, czy sądzi, że pogoda wkrótce się poprawi. Przyjechała wcześniej, więc pracownicy więzienia właśnie przechodzili przez poczekalnię po drugiej stronie automatycznych drzwi. Vera skinęła głową kapelanowi, który niegdyś zaprosił ją w odwiedzin. Szedł razem z tą kobietą z działu edukacji, która uczyła angielskiego. Śmiali się i rozmawiali, a Vera zastanawiała się, co by kapelan powiedział na wieść, że jego prośba o spotkanie starszego oficera z więźniami z OSN doprowadziła do odkrycia dwóch ciał. W końcu przepływ personelu ustał. Verze wydawało się, że czeka już od dłuższego czasu. Właśnie miała zawołać kogoś i spytać, co się dzieje, gdy pojawił się strażnik, który zaprowadził ją do pokoju przesłuchań. Brace już tam był. To był ten sam pokój co poprzednio, a on siedział na wózku inwalidzkim przy stole, tuż obok drzwi. Aby zająć swoje miejsce, musiała przycisnąć się obok niego.

– Widziałeś wiadomości! – odezwała się, zanim jeszcze usiadła. Nakręciła się gniewem jeszcze przed przyjazdem, a czekanie doprowadziło do tego, że wściekłość stała się realna; podsyciło to jej poczucie słusznego oburzenia. – Mam nadzieję, że masz cholernie dobre wytłumaczenie, Johnie Brasoe. – Opadła na plastikowe krzesło i zmusiła się do milczenia; to nie był czas na uleganie emocjom. Wbiła w niego wzrok przez stół, gdy cisza się przedłużała.

– Nie wiedziałem – odparł. – Uwierz mi, Vero, nic nie wiedziałem. Byłem tak samo zszokowany jak ty, gdy dowiedziałem się, że pochowano tam kogoś jeszcze.

– Co ty mi próbujesz wmówić? Że nie zauważyłeś ciała upchniętego dokładnie w miejscu, w którym zdecydowałaś się ukryć zwłoki Robbiego Marshalla? Daj spokój, Brace, wymyśl jakąś lepszą wymówkę. – Ale jej złość już zaczynała opadać. Coś w sposobie, w jaki siedział, wyglądając zaskakująco staro i źle, sprawiło, że zatrzymała się na chwilę czekając na jego odpowiedź. Potem przypomniała sobie, że zawsze był krętaczem i że starość go nie odmieniła.

– Naprawdę, nic nie widziałem. Było ciemno i nie szwendałem się po okolicy.

– Więc to czysty przypadek, że ty i jakiś inny drań wybraliście to samo miejsce na ukrycie ciała? – Pozwoliła, by jej głos przerodził się w krzyk.

– Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale nie przychodzi mi do głowy żadne wytłumaczenie. Pierwsze ciało mogło tam być od lat, zanim pojawiłem się z Robbiem. Oboje wiemy, że trudno jest ocenić wiek zwłok, które tak długo leżały w ziemi.

Vera wpatrywała się w niego.

– Zdajesz sobie sprawę, że wciąż jesteś naszym głównym podejrzanym o oba morderstwa? Jakikolwiek dowód i na pewno zostaniesz oskarżony.

– Owszem, mogą się pojawić takie dowody. Przyznałem się przecież, że tam byłem. Ale to ja przekazałem ci informacje o Robbiem. Dlaczego miałabym to zrobić?

Vera nie była pewna, czy potrafi na to odpowiedzieć. Wstała, sfrustrowana. Przyjechała do Warkworth z nadzieją na odpowiedzi. Skończyło się tylko na kolejnych pytaniach.

Przy drzwiach zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Czy drugie ciało nie mogło należeć do Mary-Frances Lascuoli?

Przez chwilę panowała cisza, zanim się odezwał.

– Skąd, do diabła, miałbym to wiedzieć? Mieliśmy romans. Była dla mnie kimś szczególnym. Została matką mojego dziecka. Ale była uzależniona i nie potrafiła przestać brać, a ja nie umiałem sobie z tym poradzić. Straciliśmy kontakt na wiele lat przed zniknięciem Robbiego Marshalla. Myślę, że to możliwe, że skończyła w grobie w Whitley Bay. To nawet prawdopodobne. Ale nawet jeśli, to nie ma to ze mną nic wspólnego.

Na parkingu wyjęła telefon ze schowka i sprawdziła wiadomości. Pierwsza była od doktora Keatinga, patologa. *Zacząłem pracę nad kośćmi. Proszę przyjąć do kostnicy wczesnym popołudniem, a może będę miał dla pani jakieś wieści. Dołączy do nas Valerie Malcolm, antropolog sądowy.* Następną była poczta głosowa od żony Brace'a. Stanowcza i bez emocji. *Widziałam poranne wiadomości, pani inspektor. Muszę z panią porozmawiać. Będę na panią czekać.*

Vera pojechała prosto do Ponteland, do okazałego i raczej brzydkiego domu, w którym kiedyś mieszkał Brace z żoną. Judith natychmiast otworzyła drzwi.

– Właśnie zrobiłam kawę, proszę wejść. – Mimo że chciała ją widzieć, jej słowa zabrzmiały nieporadnie i niezręcznie. Po raz kolejny usiadły w kuchni. Verze trudno było wyobrazić sobie Johna Brace'a w tej przestrzeni z granitowymi blatami i wymyślnymi gadżetami. Czy robił sobie tutaj kanapkę z bekonem, jadł pizzę z pudełka pod koniec długiej zmiany?

– Czy ma pani dla mnie jakieś informacje? – Vera spojrzała na kobietę.

– Informacje? Nie! Dlaczego?

– Zadzwoiła pani do mnie z zaproszeniem. Jestem w trakcie dochodzenia w sprawie o morderstwo. Była pani żoną policjanta wystarczająco długo by rozumieć, że mam trochę mało czasu na towarzyskie wizyty. – Vera wskazała ruchem głowy kubek stojący przed nią na blacie. – Owszem, jestem skłonna przejechać kawał drogi dla kubka dobrej kawy, ale nie aż taki.

– Znaleźliście Robbiego Marshalla.

– To jeszcze niepotwierdzone. Na razie znaleźliśmy zwłoki. – Chwila przerwy. – Dwa ciała. – Vera podniosła wzrok. – Ma pani jakiś pomysł, czyje są te drugie?

– Właśnie dlatego chciałam z panią porozmawiać.

– Podejrzewa pani, kogo tam ukryto?

Judith potrząsnęła głową.

– Nic takiego. Chciałam pani powiedzieć, że jeśli myśli pani, że John jest podwójnym mordercą, to popełnia pani błąd.

– Jest w więzieniu, ponieważ był zamieszany w śmierć leśniczego Glana Fenwicka. – Vera pomyślała, że można było z łatwością o tym zapomnieć. Brace był nie tylko skorumpowanym gliniarzem, który wykorzystywał swoje stanowisko do zbijania kasy; założył też własną firmę werbującą najemników dla wiejskich właścicieli ziemskich, w wyniku czego pewna urocza kobieta owdowiała.

– Nie! Wynajął tych ludzi, żeby odstraszyli Fenwicka, a nie żeby go zabili. Byli nieopanowani, pijani i naćpani. John był zdruzgotany, gdy dowiedział się, co zrobili. – Judith zatrzymała się na chwilę. – John nikogo by nie zabił. Z pewnością nie zabiłby Robbiego Marshalla, niezależnie od prowokacji czy okoliczności. Johnowi trzeba przyznać jedno: jest sentymentalnym człowiekiem. Wiem, że wszyscy myśleli, że ożenił się ze mną dla pieniędzy, ale tak nie było. Kochaliśmy się przez jakiś czas, dopóki wszystko się nie popsuło. A dla Johna przyjaźń jest ważniejsza niż małżeństwo. Mógł oddać życie za Robbiego Marshalla, na pewno by go nie zabił.

Vera przypomniała sobie z jaką żarliwością Brace mówił o swojej córce i pomyślała, że Judith prawdopodobnie ma rację. Był bardzo uczuciowym człowiekiem.

– Wszystko wskazuje na to, że pierwsze ciało to Marshall – powiedziała. – Czy domyśla się pani, kto jeszcze mógł zostać z nim pochowany?

Judith zastanowiła się przez chwilę.

– Przepraszam, ale mówiłam prawdę, twierdząc, że tak naprawdę nie znałam Robbiego. Staralam się nawiązać kontakty z przyjaciółmi Johna, kiedy byliśmy małżeństwem. Niektórzy z nich byli nawet sympatyczni. Wędrówki po wzgórzach. Dużo ruchu i świeżego powietrza. A potem nocowanie w jakimś pubie kilometry stąd.

– Poznała pani wtedy Hectora?

– Postawny mężczyzna? Taki wesoły.

Czy był wesoły? zamyśliła się Vera. Być może, gdy próbował zaimponować takiej panience jak ty. Bogatej, ładnej panience. I był wtedy rzeczywiście postawny, zanim alkohol otumanił jego umysł, a mózg przestał przypominać mu o jedzeniu.

Judith wciąż mówiła.

– Ale nie lubiłam tych wszystkich rzeczy, które się z tym wiązały. Handlu ptasimi jajami. Skórowania i wypychania martwych zwierząt. Przekonania, że reszta świata nie rozumie, że są tak naprawdę opiekunami przyrody. Wszystko to wydawało się raczej niedorzeczne. Nie podobało mi się to jeszcze zanim się zorientowałam, że to nielegalne i niebezpieczne.

– Było więc trzech przyjaciół: John, Robbie i Hector. – Vera poczuła sympatię do tej kobiety, nawet ją polubiła. – Ale nazywali siebie Gangiem Czterech, więc był ktoś jeszcze. Profesor. Poznała go pani kiedyś?

Judith potrząsnęła głową.

– Nie sędzę, żeby był miejscowy. Rozmawiali o nim niemal przyciszonym głosem. „Profesor może przyjedzie z północy w przyszły weekend”. Jakby był niemal legendarną postacią. Z pewnością był liderem, organizatorem.

– Mówili że przyjedzie z północy, nie z południa?

- Tak mi się wydaje. - Zmarszczyła brwi. - To było dawno temu.

Co oznaczało, że mógł być Szkotem, ale niewiele pomagało w jego identyfikacji. Vera pomyślała, że Judith miała rację, że ta grupa była śmieszna. Dorośli mężczyźni bawiący się w postaci z powieści Enid Blyton, pełnych przygód na wzgórzach, pikników i wymyślnych podstępów, by nie dać się złapać. Ich dziwne poczucie honoru. Tylko, że rezultat ich wybryków był śmiertelnie poważny: dwa ciała gnijące przez dwadzieścia lat w starym odpływie melioracyjnym.

- Drugie ciało było drobniejsze. Prawdopodobnie kobieta. Domyśla się pani, kto to mógł być? Czy Robbie Marshall miał dziewczynę? - Verze przyszło do głowy, że Robbie mógł tej nocy połączyć przyjemne z pożytecznym.

Na moment zapadła cisza. Judith sprawiała wrażenie, jakby naprawdę starała się przypomnieć sobie tę sytuację.

- Z pewnością nie zabierał ze sobą nikogo na wyprawy w góry z Johnem. Miałam wrażenie, że powinnam czuć się zaszczycona, że mogłam w nich uczestniczyć i że byłam jedyną kobietą, która kiedykolwiek została na nie zaproszona. Ale był taki wieczór, kiedy wszyscy poszliśmy coś zjeść w Whitley. Był to początek lat osiemdziesiątych. Mała rodzinna włoska restauracja na jednej z ulic biegnących wzdłuż wybrzeża. Nie pamiętam nazwy. Myślę, że byliśmy tam jedynymi gośćmi. Być może została nawet zarezerwowana przez Johna na naszą prywatną kolację. Lubił robić takie gesty. Robbie był wtedy w towarzystwie kobiety.

- Czy miała jakieś imię?

- Oczywiście, że miała imię. To, czy je pamiętam, to zupełnie inna sprawa. - Powróciła dawna przekora.

Vera czekała.

- Była raczej efektowna - powiedziała Judith. - Duże włosy i duże cycki. Niezupełnie tandetna, ale nie pozostawiała nic dla wyobraźni. Byłam zaskoczona. Robbie zawsze wydawał się cichy. Nie nieśmiały, ale nieporadny towarzyszko. Nawet zimny. Nigdy nie starał się nawiązać ze mną kontaktu. Spodziewałam się, że zacznę ją traktować z góry, ale w gruncie rzeczy naprawdę ją polubiłam. Rozśmieszała nas wszystkich. Nie piłam, bo właśnie dowiedziałam się, że jestem w ciąży. To był pierwszy raz i wszystko wydawało się bardzo ekscytujące i wyjątkowe. Powiedziałam o tym tylko Johnowi. Inni pili bardzo dużo. - Przerwała i Vera zdała sobie sprawę, że znów jest w tej małej restauracji, delektując się tajemnicą swojej ciąży. - Miała na imię Elaine. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek podano mi jej nazwisko. Pracowała w jednym z klubów w Whitley.

- Czy John i Robbie znali ją stamtąd? Z jej pracy? - Vera zastanawiała się, czy Elaine mogła być tajemniczą informatorką Johna, osobą, z którą spotkał się w noc zniknięcia Robbiego.

- Możliwe - powiedziała Judith. - Ale Elaine nie obsługiwała klientów. Była kimś w rodzaju asystentki właściciela. Opowiedziała kilka genialnych historii o tym, co się tam działo.

– Elaine. Na pewno nie pamięta pani nazwiska?

– Na pewno. Jak już mówiłam, chyba nigdy go nie poznałam. I to był jedyne raz, kiedy ją spotkałem. John wspomniał o niej kilka razy później, w związku z Robbiem, ale wątpię, czy nadal byli parą, kiedy Robbie zniknął.

– Wie pani może, w którym klubie pracowała? – Vera zaczęła dochodzić do wniosku, że mimo wszystko warto było wybrać się do Ponteland.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy.

– Nazywał się „Mewa” – powiedziała w końcu Judith. – Już nie istnieje. Został zburzony dawno temu. Wybuchł tam pożar. Nie spłonął doszczętnie, ale nigdy go nie odbudowano. Skończyło się na tym, że tylko straszyl swoim wyglądem.

Vera pamiętała „Mewę” między innymi dlatego, że Hector szydził z tej nazwy. „*Mewa?*” *Co to jest „mewa”? Są mewy srebrzyste, mewy czarnogłowe, mewy siwe. Ale nie ma czegoś takiego jak po prostu „mewa”.* A jednak, pomyślała, bywał tam, mimo że szydził z tej nazwy. Nie regularnie, ale przy specjalnych okazjach z tym jego Gangiem Czterech. Wyobrażała go sobie w domu, ubierającego się elegancko na wyjątkowe nocne imprezy, wracającego następnego dnia, prawdopodobnie wciąż zbyt wstawionego, by móc legalnie prowadzić samochód. Pewnego razu pachniał damskimi perfumami, a na jego jedynej dobrej białej koszuli były plamy po szmince.

Judith wciąż mówiła.

– Myślę, że planują tam teraz budowę luksusowych apartamentów. To było tuż nad brzegiem morza, więc byłby wspaniały widok. – Zapadła cisza i znów wydawało się, że cofnęła się w czasie do pierwszych lat swojego małżeństwa, kiedy wciąż wierzyła w Johna Brace’a i wszystko wydawało się możliwe. – Ale wtedy to miejsce było wspaniałe. Nieco bardziej wyrafinowane niż niektóre lokale w mieście. Nie przyciągało niepełnoletnich pijaków ani ludzi, którzy chcieli po prostu spędzić szaloną noc. Serwowano tu klasyczne koktajle i prawdziwe jedzenie. Była też muzyka na żywo – głównie jazz – i taras, na którym można było usiąść i obserwować przypyły.

– Pamiętam. – Vera przywołała obraz budynku lśniącego bielą, jego krzywizn rodem z lat trzydziestych i niebieskiej neonowej mewy na bocznej ścianie. Wyglądał bardziej jak z Kalifornii niż z rzeki Tyne. Ale nigdy nie była w środku. W przeciwieństwie do Hectora, nie miała z kim tam pójść.

18.

Holly znalazła Laurę Webb dzięki przyjacielowi Charliego, który kiedyś pracował w obyczajówce i miał jej adres. Wciąż mieszkała w Whitley Bay, ale kiedy Holly zapukała do drzwi jej małego szeregowego domu, nikt nie odpowiedział. Przed domami znajdowały się małe ogródki wychodzące na wąską ulicę, a w sąsiednim siedziała na trawie jakaś kobieta, przyglądając się zabawie swojego malucha.

- O tej porze jest w pracy. - Kobieta wydawała się dość przyjazna.

- Tak? - Holly nie była pewna, co na to odpowiedzieć. Laura miała listę wyroków za nagabywanie długą jak jej ręka, choć od lat nic nowego się na niej nie pojawiało. Z pewnością była już za stara, by pracować na ulicy w dzisiejszych czasach. Poza tym, ta dzielnica wydawała się bardzo przyzwoita.

- Tak, prowadzi szkołę jogi na stacji metra. Powinna ją pani tam złapać, choć może akurat prowadzi zajęcia. Jeśli trzeba będzie poczekać, zawsze może pani pójść na kawę obok.

Holly pojechała z powrotem nad morze, zostawiła tam samochód i poszła w głąb lądu szeroką aleją, która prowadziła w kierunku dworca. Nawet ona pamiętała czasy, kiedy ta ulica była pełna ludzi, szczególnie w dni świąteczne. Zaczynali pić z samego rana i tankowali przez cały dzień, zataczając się od jednego baru do drugiego. W porze lunchu pojawiali się striptizerzy, a obsługa barów była tak skąpo ubrana, jakby sami mieli robić striptiz. Whitley było wtedy ulubionym miejscem na wieczory panięskie i kawalerskie - kobiety w aureolach i skrzydłach, mężczyźni w gorsetach i kabaretkach; przyjeżdżali minibusami i zatrzymywali się w tanich pensjonatach. Niektórzy z jej kolegów nazywali South Parade „Aleją piczek” i specjalnie nadkładali drogi, by przejechać wzdłuż niej i popatrzeć na nastolatki, które imprezowały po raz pierwszy, w spódnickach, które nie pozostawiały nic dla wyobraźni, chwając się na wysokich obcasach, jak dziewczynki przebierane w stroje swoich matek.

Teraz większość barów i klubów pozamykano, okna były zasłonięte lub zakryte płytami. Miasto straciło energię i pocztówkowy humor, a także obleśny, kiczowaty styl. Na ulicach było więcej ogłoszeń „Na sprzedaż” niż neonów. Przed Błękitną Laguną leżała na ziemi plastikowa palma, a wszystkie pensjonaty ogłaszały, że mają wolne miejsca i że najemcy są mile widziani. Holly przypuszczała, że wkrótce pojawią się deweloperzy, którzy zamienią puste bary i hotele w atrakcyjne mieszkania. Na innych ulicach już postępowała gentryfikacja. Nawet na South Parade od strony morza znajdowała się już elegancka włoska restauracja i coś, co nazywało się gastro-pubem.

Stacja metra miała szklany dach, który kiedyś musiał być bardzo okazały i osłaniał tory i oba perony, ale teraz wiele szyb usunięto, a na wszystkich metalowych rozpórkach znajdowały się kolce odstraszające gołębie. Bilety można było obecnie kupić w automatach, ale budynki poczekalni i mieszkań dla pracowników stacji pozostały. Była tam wieża zegarowa i łuk prowadzący do miasta, zdjęcia przedwojennych tłumów spływających z peronów w kierunku morza. Teraz tylko kilka starszych pań czekało na pociąg w kierunku Newcastle i rozmawiało o wczorajszym programie telewizyjnym.

Część niepotrzebnej kasy biletowej przerobiono na kawiarnię ze stolikami i krzesłami na zewnątrz. Jakaś duża kobieta piła latte, a pies obok niej chleptał wodę z miski. Szkoła jogi znajdowała się tuż obok, a gdy Holly podeszła bliżej, drzwi otworzyły się i grupa ludzi w legginsach i t-shirtach wysypała się z nich na peron. Kobieta, którą Holly wzięła za Laurę, stanęła w drzwiach i pomachała im na pożegnanie, po czym odwróciła się, by powitać Holly.

– Chce się pani zapisać? Zajęcia dla początkujących zaczynają się za pół godziny. Mamy sporo osób, ale jestem pewna, że uda nam się panią wcisnąć. – Sprawna i przyjazna. Była dojrzałą osobą, ale jej uroda wciąż rzuciła się w oczy: kości policzkowe, za które można by dać się zabić, posągowa twarz i bardzo krótkie włosy. Kiedy Holly nie odpowiedziała od razu, kontynuowała: – Ćwiczenia są bardzo łatwe, przynajmniej na początku. Nie ma się czym denerwować.

– Laura Webb?

– Tak.

– Chciałbym zadać pani kilka pytań. – Holly pokazała legitymację, starając się zachować dyskrecję. Wciąż znajdowały się w drzwiach między centrum a peronem, więc kobieta z psem mogła usłyszeć każde słowo. – Mam nadzieję, że będzie mogła mi pani pomóc.

– O co chodzi?

Holly zawahała się, ale kobieta w kawiarni wydawała się nie zwracać uwagi na rozmowę.

– O ciała, które znaleźliśmy w pobliżu St Mary's. Słyszała pani?

Laura skinęła głową.

– Wszystkie grupy mówią tylko o tym, odkąd rozeszła się wiadomość. Zaprowadziła Holly do budynku, który nagle wydał się jej mroczny i chłodny po jasnym słońcu, które świeciło przez szklany dach. Drewniana podłoga była wypolerowana, światło sączyło się przez matowe szyby okien na dwóch przeciwnych ścianach. Laura rozwinęła kilka mat do jogi i usiadła na jednej, podwijając nogi na bok. Wskazała na drugą, więc Holly usiadła na niej, zastanawiając się przez chwilę, co powiedziałyby na to Vera i czy byłaby w stanie stanąć na nogi po tej rozmowie. Nadjechał hałaśliwy pociąg i zatrzymał się na stacji.

– Próbuję odnaleźć kobietę o imieniu Mary-Frances Lascuola. Wygląda na to, że zniknęła pod koniec lat osiemdziesiątych.

– Myśli pani, że to może być jej ciało? – Laura odwróciła głowę w bok, więc nie patrzyła bezpośrednio na Holly. Siedziała bez ruchu z głową obróconą w jedną stronę i nogami

w drugą, jakby w pozycji jogi.

– Możliwe. Nie wiemy jeszcze nic na pewno.

– Znałam Mary-Frances – powiedziała Laura. – Musi pani wiedzieć o mojej przeszłości, inaczej by pani tu nie było. Przez jakiś czas mieszkaliśmy i pracowaliśmy razem. Wie pani, jak to jest, że czasem człowiek wkracza w życie innych i z niego znika. Spotkałyśmy się w hostelu dla osób pod nadzorem w Shields, a potem wynajęłyśmy mieszkanie niedaleko stąd. Obu nam zależało, by wyjść z nałogu. – Przerwała na chwilę. – Przez jakiś czas miałyśmy nawet dobrą pracę, kelnerowałyśmy w klubie nad morzem. W „Mewie”.

– Cóż, przynajmniej pani się udało. – Holly z trudem wyobrażała sobie tę silną i kompetentną kobietę jako uzależnioną mewkę, podrywającą mężczyzn na ulicach, by zapłacić za kolejny narkotyk.

– Nie wtedy. Nie na długo. To Mary zaczęła układać sobie życie, kiedy mieszkaliśmy w Whitley. Ja nie mogłam przestać. – W głosie kobiety nie było żadnych emocji. Równie dobrze mogła mówić o kimś obcym. – Bardzo szybko straciłam pracę w „Mewie” – byłam zbyt niesolidna. Mary wytrzymała trochę dłużej, a potem miała ogromny nawrót choroby i też została zwolniona. Potem jeszcze razem chodziłyśmy do ośrodka odwykowego w Bebington. Był to ośrodek dzienny, a nie stacjonarny, i nadal mieszkaliśmy razem. Ich program sprawdził się w moim przypadku. Ale nie pomógł Mary. Zrezygnowała i nigdy więcej jej nie widziałam.

– Kiedy to było?

Laura wzruszyła ramionami, jakby daty nie miały znaczenia. Holly pomyślała, że pewnie wspomina przyjaciółkę, która zniknęła z jej życia.

– Czy sprawdziła to pani w klubie, w którym wcześniej pracowała? – Holly próbowała wyobrazić sobie tę chaotyczną nadmorską egzystencję przelotnych znajomych: pracowników sezonowych, włóczęgów, byłych przestępców. Nic dziwnego, że Mary-Frances tak łatwo udało się zniknąć.

– Nie. Nie starałam się zbytnio jej znaleźć. Uzależnieni to samolubne istoty, a ja skupiałam się na tym, by wyjść na prostą.

– Jak nazywał się ten ośrodek odwykowy?

– Shaftoe House. Duża wiktoriańska budowla w środku miasta. Kiedyś należała do właściciela kopalni, potem stała się częścią szpitala psychiatrycznego. Ośrodek wciąż tam jest, wciąż pomaga ludziom w powrocie do zdrowia, ale teraz zarządza nim organizacja charytatywna. – Laura zrobiła pauzę. – Chodzę tam raz w tygodniu na popołudnie, by prowadzić zajęcia z jogi i medytacji.

– Powiedziano nam, że Mary-Frances zmarła – powiedziała Holly – ale nie możemy znaleźć żadnego potwierdzenia. Czy używała innych nazwisk?

Laura potrząsnęła głową.

– Nie, kiedy ją znałam. Była bardzo dumna z tego, że jest pół-Włoszką. Nam wszystkim wydawało się to bardzo egzotyczne.

– Urodziła dziecko w osiemdziesiątym trzecim roku. Czy znała pani Mary-Frances, kiedy była w ciąży?

– Nie, kiedy ją poznałam, dziecko było już w placówce opiekuńczej. Czasami o niej mówiła. Wie pan, te sentymentalne rozmowy, które prowadzi się późno w nocy. Wyobrażała sobie, jak mogłoby wyglądać dziecko, kiedy pójdzie do żłobka. Czasami udawała, że czuje się winna, ale w głębi duszy wiedziała, że oddanie jej do adopcji było słuszną decyzją.

– Czy mówiła pani coś o ojcu?

Laura powoli odwróciła głowę, by po raz pierwszy spojrzeć na Holly.

– Ma pani na myśli tego przekupnego gliniarza.

Holly wiedziała, że to niedorzeczne, ale poczuła, że się rumieni. Jakby oskarżenie dotyczyło jej samej i całej profesji.

– Znała go pani?

– Parę razy przyszedł do mieszkania, błysnął pieniędzmi i zabrał Mary do jakiegoś eleganckiego hotelu. – Znowu zatrzymał się pociąg, a na zewnątrz rozległy się głosy pasażerów: jacyś nastoletni chłopcy przeklinali. – Zawsze się popisywał, zawsze udawał, że panuje nad sytuacją i jest lepszy od nas wszystkich. Słyszał z tego, że w zamian za seks obiecywał wycofanie zarzutów. Wszystkie dziewczyny go znały.

– Jak traktował Mary-Frances? Czy kiedykolwiek był agresywny?

Odpowiedź była natychmiastowa.

– Nie! John Brace był draniem dla reszty świata, ale wie pani, naprawdę myślę, że mu na niej zależało.

– Pomimo tego, że chciał uprawiać seks z innymi kobietami?

– Och, nie widziałby w tym żadnej sprzeczności. – Laura zdawała się szukać właściwych słów. – Miał poczucie, że mu się to należy. Ponieważ jest facetem i policjantem. Władza go dziwnie oszołamiła, jak narkotyk. To były inne czasy, wie pani?

Holly pomyślała, że tak naprawdę wcale nie wie.

– Więc ostatni raz widziała pani Mary-Frances, zanim zniknęła z Shaftoe House?

– Zgadza się. Od czasu do czasu wydawało mi się, że gdzieś mi mignęła. Raz szłam Northumberland Street w Newcastle i wydawało mi się, że rozpoznałam ją w oddali. Ale to było tuż przed Bożym Narodzeniem i wszędzie panował taki tłok, że ledwo można było się ruszyć. Nie udało mi się jej dogonić. Innym razem jechałam metrem. Ktoś wysiadł na Cullercoats i to mogła być ona, ale widziałam tylko jej plecy. Bardziej prawdopodobne, że śniłam na jawie. Pozwoliłam duchom przeszłości powrócić, by mnie nawiedzały. – Laura uśmiechnęła się. – Przeszkadzają mi mniej niż kiedyś.

– Poznała pani kiedyś Robbiego Marshalla? Był przyjacielem Johna Brace'a, pracował w Swan Hunters.

Laura zdawała się zastanawiać przez chwilę, zanim się odezwała.

- Być może. Nazwisko jest znajome. To było dawno temu. Znałam wtedy wielu mężczyzn.

- Czy jest ktoś jeszcze, z kim mogłabym porozmawiać? Inne kobiety, które mogą mieć więcej informacji o Mary-Frances? Rodzina?

- Jej rodzice zmarli, gdy miała dwadzieścia kilka lat. Nie sądzę, by miała jakąkolwiek inną rodzinę. - Spojrzała na zegarek. - Niedługo przyjdzie następna grupa. Powinnam otworzyć im drzwi.

- A może jacyś przyjaciele? Może ludzie, z którymi pracowała w „Mewie”?

Laura była już rozkojarzona.

- Nigdy nie należałam do tego towarzystwa. Jak już mówiłam, zostałam zwolniona po kilku miesiącach. Poza tym nie pasowałam do nich. - Zrobiła pauzę. - Nawet pijana czy naćpana nie akceptowałam niektórych rzeczy, które się tam odbywały. Szpanerzy, zachowujący się jak gwiazdy filmowe, myślący, że za pieniądze mogą kupić wszystko, czego chcą. - Kolejna pauza. - Mogłaby pani zapytać faceta, który był właścicielem tego miejsca, czy Mary zaprzyjaźniła się z kimś z personelu. To Szkot, nazywa się Sinclair. Kręci całym Whitley, jeśli wierzyć jego własnym szumnym słowom. Teraz zmienił się, został działaczem społecznym, członkiem wszystkich komitetów w okolicy. - Chwila przerwy. - Zawsze uważałam, że jest trochę dziwny. - Poderwała się na nogi jednym zgrabnym ruchem. - Wątpię, by coś pamiętał po tak długim czasie, ale warto zapytać.

Holly również wstała.

- Jakiś pomysł, gdzie mogę go znaleźć?

- Może w jego biurze w Dome. Jest konsultantem przy projekcie rewitalizacji nabrzeża. Próbuje wybielić przeszłość tego miasta - W jej głosie dało się wyczuć lekceważenie. - Albo swoją własną.

19.

Vera stała w kostnicy obok Paula Keatinga i wdychała specyficzny zapach środka dezynfekującego i rozkładu. Nigdy nie była wrażliwa, a kości, rozłożone na dwóch stołach, były tak odległe od żywego, oddychającego człowieka, że trudno jej było odczuwać wobec nich emocje. Gdzieś leżały skrawki ubrań, ale były już tak zniszczone, że Vera uznała, że niewiele im powie. Keating nie był sam w pokoju, gdy weszła. Rozmawiał z kobietą, która była równie wysoka jak on, nieco przygarbiona, jakby dorastała, przepaszając za swój wzrost. Nosła okulary w grubych oprawkach, które dodawały jej akademickiej surowości.

– To jest Valerie Malcolm, antropolog sądowy z uniwersytetu.

Vera słyszała o niej i wiedziała, że ma dobrą reputację. W Wielkiej Brytanii ciała zazwyczaj nie pozostawały w ziemi zbyt długo, więc antropolodzy sądowi mieli niewielkie doświadczenie, chyba że pracowali za granicą. Malcolm przez lata mieszkał w Stanach Zjednoczonych. Tam, ze względu na rozległe przestrzenie między społecznościami i niezbadane obszary dzikiej przyrody, łatwiej było sprawić, by ludzie zniknęli, a ciała pozostawały w ukryciu przez dłuższy czas. Drzwi otworzyły się ponownie i do środka wpadł Billy Cartwright, jej ulubiony technik kryminalny.

– Myślałam, że będziesz na wakacjach jeszcze przez kilka dni. – Wbrew tym słowom, była zachwycona jego widokiem; teraz jej drużyna była w komplecie.

– Samolot przyleciał dziś rano i wiedziałem, że nie poradzisz sobie bez moich talentów.

– Mielicie siebie dość z twoją młodą laseczką, prawda? – Vera pozwoliła aluzji wybrzmieć. Billy wzruszył ramionami i uśmiechnął się, wiedząc, że lepiej nie odpowiadać. Malcolm wpatrywał się w kości na pierwszym stole i chyba nie słyszał tej wymiany zdań.

– Pierwszy egzemplarz to zdecydowanie dorosły mężczyzna – zaczął Keating.

– Niemłody. – Valerie Malcolm podniosła wzrok znad stołu. – Młode kości łatwo poznać. Są bardziej elastyczne i wilgotne.

Ten opis kości wydawał się nieco dziwny, ale Vera nie skomentowała tego i antropolożka mówiła dalej.

– Nie mamy tu do czynienia z sportowcem. Ale brak też śladów artretyzmu czy innych poważnych uszkodzeń. Niewielkie zmiany degeneracyjne na kręgosłupie. Powiedziałabym, że to mężczyzna w średnim wieku. W miarę zdrowy, ale nie super wysportowany.

– Skąd pani wie, że to mężczyzna? – Vera nie kwestionowała osądu kobiety; pytała z ciekawości. – Zdarzają się przecież duże kobiety. Takie jak ja. I pani.

– Po wielkości kości. Oczywiście zawsze istnieje pewien margines wspólny dla obu płci, ale w tym przypadku powiedziałabym, że mamy pewność. Proszę spojrzeć na czaszkę i te

wyraźne grzbiety oczodołów. Rysy twarzy są większe, niż można by się spodziewać u kobiety. – Antropolożka pochylała się nad stołem, więc jej twarz była bardzo blisko kości. Wyglądało to prawie tak, jakby je wąchała, ale po chwili Vera uświadomiła sobie, że nawet w okularach jest krótkowzroczna. Po prostu badała je bardzo dokładnie. – Jest tu mała nieregularność. Ten mężczyzna kiedyś złamał rękę. Jeśli ma pani podejrzenia co do tożsamości denata, powinno to wystarczyć do potwierdzenia. Pod warunkiem, że uda nam się znaleźć zdjęcia rentgenowskie, które zostały wykonane w tym okresie.

Vera pomyślała, że Eleanor, troskliwa matka Robbiego, z pewnością będzie w stanie jej pomóc. Na pewno pamięta nazwisko lekarza rodzinnego Marshalla, szpital, w którym składano złamaną rękę. Wydawało się to czymś w rodzaju magii: wszystkie te informacje ze sterty kości. Alchemia, jak zamiana słomy w złoto. Valerie wyjęła z torby przyrząd i zmierzyła jedną z większych kości.

– Będę mogła powiedzieć pani w przybliżeniu, ile mierzył. Długość kości udowej to zwykle około dwudziestu siedmiu procent całego wzrostu. – Nastąpiła przerwa, podczas której zdawała się obliczać w pamięci. Vera podziwiała tę umiejętność jeszcze bardziej niż sposób, w jaki kobieta tworzyła dokładny fizyczny obraz ofiary z tak niewielkiej ilości danych. Ona sama z trudem radziła sobie z jakąkolwiek matematyką, nawet z długopisem i kartką papieru.

– Powiedziałabym, że miał nieco ponad sześć stóp – Valerie podniosła wzrok. – Czy to pasuje?

– Nie wiem, ale mogę to sprawdzić u kogoś z rodziny. Mamy już kontakt z matką.

– Są też plomby w zębach. To powinien być ostateczny dowód, jeśli dokumentacja dentystryczna nadal istnieje.

– Jego matka też będzie mogła w tym pomóc. – Vera zrobiła pauzę. – Czy jest szansa, że poda nam pani przyczynę śmierci? Ale może nie powinnam oczekiwać aż tak wiele?

– Aha. – Antropolożka na chwilę oderwała swoją uwagę od szkieletu. – Oczywiście musimy być ostrożni. Nawet jeśli znajdziemy ślady urazu, nie ma absolutnej gwarancji, że spowodował on śmierć. Na przykład nacięcie żebra może oznaczać, że nóż wbił się w kość w drodze do serca. Mogła to być jednak stosunkowo powierzchowna rana, a prawdziwą przyczyną śmierci był uraz tkanki miękkiej. Czasem też po śmierci dochodzi do znacznych uszkodzeń. Ale w tym przypadku... – Vera zaczynała lubić tę kobietę, jej entuzjazm i pasję do pracy. Jej dyscyplinę. I to, że nie traktowała jej jak sześciolatki albo kretynki. – Myślę, że w tym przypadku możemy być całkiem pewni, że śmierć nastąpiła w wyniku uderzenia tęym narzędziem w tył czaszki.

– Facet dostał w głowę czymś ciężkim. – Vera nie była pewna, czy to pasuje do ich teorii na temat tego, co mogło się wydarzyć w czerwcową noc ponad dwadzieścia lat wcześniej. Pomyślała, że jeśli John Brace nie był w to zamieszany, to było to typowe morderstwo w gangsterskim stylu: poważni przestępcy wyrównujący stare porachunki. Ale Robbie nie odwróciłby się do takich ludzi tyłem, a oni chętniej użyliby broni palnej lub noża. Czegoś bardziej klasycznego i pewnego. Odepchnęła te myśli na bok i zwróciła się do technika.

– Więc co dla nas masz, Billy? Oświeć nas swoją mądrością.

– Zostało na nim bardzo mało ubrań. Zgaduję, że nosił głównie naturalne włókna, bawełnę i wełnę, które szybko się zniszczyły. Ale mamy jego buty. Skórzane, rozmiar 10. Dobrej jakości, ale myślę, że były dość stare, nawet w momencie śmierci. Widać startą podeszwę. Jest też pasek. Z klamrą w kształcie statku. Charakterystyczną. Podejrzewam, że ktoś z rodziny by ją rozpoznał.

Vera skinęła głową. Doszła do wniosku, że pójdzie zobaczyć się z Eleanor zaraz po tym, jak tu skończą, dzięki czemu uzyskają wszystkie potrzebne potwierdzenia. Będzie nad czym pracować, czekając na zdjęcia rentgenowskie i dokumentację dentystyczną. Pomyślała, że Eleanor ucieszy się, że jej syn nie uciekł i jej nie zostawił. Będzie szczęśliwa, że ma chociaż te kości do pochowania. Być może pozwoli jej to zaznać trochę spokoju w ostatnich latach życia.

Billy przeniósł uwagę na drugie ciało.

– Ta osoba miała na sobie głównie włókna sztuczne, które są znacznie mniej podatne na rozkład. W tamtych czasach producenci nie obawiali się, że materiały będą zalegać na wysypiskach przez pokolenia, a niektóre z nich przetrwają wieki, nawet w takich warunkach jak nasze miejsce zbrodni. Wiele z tego oczywiście zniknęło. Kawałek nylonu to dla szczurów idealny materiał na gniazdo. Ale zostało wystarczająco dużo, aby dać nam trochę pojęcia o tym, co miała na sobie.

– Ona? Mówisz, że to na pewno kobieta? – Vera spojrzała na Valerie Malcolm szukając potwierdzenia.

Antropolożka skinęła głową.

– Jak najbardziej. Obejrzałam ją wcześniej. Kość miednicy jest w miarę nienaruszona, a cechy czaszki są drobniejsze. W sumie jest to znacznie delikatniejsze ciało.

– Poza tym – uzupełnił Billy – o ile nie mamy do czynienia z transwestytą, nie wyobrażam sobie faceta wychodzącego na wieczór w koronkowej czarnej bieliźnie. Zostało tylko kilka fragmentów, ale są one dość oczywiste, gdy wiadomo, czego się szuka.

Więc może to jest Mary-Frances Lascuola, pomyślała Vera. *Ale nie mamy żadnych informacji o niej od końca lat osiemdziesiątych, niedługo po tym, jak oddała swoją córkę do adopcji. Nie ma żadnych zapisów o wykroczeniach, ani o pracy. Gdzie więc ukrywała się przez te wszystkie lata, zanim trafiła do kanału ściekowego w pobliżu St Mary's? A może została tam umieszczona w momencie, gdy zniknęła z pola widzenia i leżała tam nadal, gdy Brace wepchnął za nią ciało Robbiego Marshalla?*

– Da się ustalić, czy zmarła w tym samym czasie co mężczyzna?

Malcolm i Keating niemal jednocześnie potrząsnęli głowami.

– Wiesz przecież, że określenie daty śmierci jest trudne, nawet jeśli ciało znaleziono stosunkowo niedawno. – W głosie Keatinga zabrzmiała dezaprobata.

– Więc mogła leżeć w przepuście przez dziesięć lat, zanim wrzucono do niego drugie ciało?

– Absolutnie nie ma żadnego przeciwwskazania.

Verze zrobiło się przykro, że w głosie antropolożki zabrzmiało rozbawienie.

– Myślałam, że dzięki entomologii uda się pani zawęzić zakres czasowy. – Teraz chwyciła się brzytwy.

– Może pani porozmawiać z entomologiem sądowym, ale powiedziałabym, że to mało prawdopodobne, by po tak długim czasie dowiedziała się pani czegoś pomocnego.

– Kobieta nie ma obuwia – powiedział Billy – i to wydaje się trochę dziwne. Pewnie miała na sobie albo skórzane, albo plastikowe buty i można by pomyśleć, że powinny być nienaruszone.

– Być może nie zginęła tamtej nocy na wybrzeżu. Jeśli przywieźli ją na przykład w bagażniku samochodu, jej buty mogły zostać gdzie indziej.

– I wrzucili ją do tego samego przepustu, co pierwsze ciało, ale później? – powiedziała Valerie Malcolm. – Bo uznali, że to przyzwoita kryjówka?

– Być może. John Brace przyznaje się do umieszczenia tam Marshalla, ale twierdzi, że nic nie wie o drugim ciele. Jeśli mówi prawdę, a to cholernie duże „jeśli”, to być może ktoś go widział.

– I ktoś, kto chciał pozbyć się zwłok jakiejś kobiety, pomyślał, że będzie to doskonała kryjówka. Wydaje mi się, że jest w tym jakaś dziwna logika. Gdyby Brace był zamieszany w pierwsze morderstwo, moglibyśmy założyć, że popełnił też drugie. – Billy podniósł wzrok i uśmiechnął się. – Co ty masz w sobie takiego, Vera, że zawsze trafiają ci się skomplikowane okoliczności przestępstwa? Jakim sposobem je przyciągasz?

Vera zignorowała pytanie.

– Wie pani może, ile miała lat?

– Była młodsza od mężczyzny – powiedziała Valerie Malcolm – i znacznie niższa. Pięć stóp pięć cali. Coś w tym stylu. – Spojrzała na Verę. – Żadnych śladów leczenia dentystycznego.

– Co nam to mówi? – Vera spodziewała się takiego samego bogactwa informacji jak w przypadku mężczyzny i zaczynała się niecierpliwić, rozczarowana, że nie byli w stanie ożywić kobiety w ten sam sposób.

– Może po prostu miała lepsze zęby. Pasta do zębów z fluorem zrobiła wiele, by ograniczyć próchnicę. Albo nie miała dostępu do opieki dentystycznej.

– Przyczyna śmierci?

– Obawiam się, że z tym też nie mogę pomóc. W tym przypadku jest po prostu mniej kości. Zakładam, że zostały rozrzucone przez drapieżniki, a te mniejsze mogły zostać wypłukane przez szczeliny w głazach podczas przyływu. – Valerie podniosła wzrok. – Przykro mi, ale tylko tyle jestem w stanie powiedzieć.

– Nie pani wina, kotku. I tak dokonała pani cudu z pierwszymi zwłokami. – Vera spojrzała na Billy'ego. – Czy twoi ludzie natknęli się na miejscu zdarzenia na coś, co mogłoby pomóc w identyfikacji? Może jakaś biżuteria?

- Wiesz, że powiedzielibyśmy od razu gdybyśmy natknęli się na coś przydatnego. - Billy udał urażonego.

- Ty tak, ale nie jestem pewna co do tego gościa, który dowodził, gdy ciebie nie było.

- Zespół wciąż tam jest - powiedział Billy. Rozszerzyli poszukiwania w górę rury i w naokoło, wzdłuż brzegu. Właśnie tam jadę. Jeśli cokolwiek znajdziemy, dowiesz się pierwsza.

Vera się rozpromieniła.

Wychodząc, zatrzymali się z Billym na chwilę przed kostnicą.

- Potrzebuję pomocy, Billy. - Oparła się plecami o samochód, rozkoszując się słońcem na twarzy. - Cokolwiek, by zidentyfikować tę kobietę. Powiedz swojemu zespołowi, żeby dał z siebie wszystko.

- Nie muszę im tego mówić. Na pewno nie moim chłopakom.

Odszedł bez pożegnania, a nagle zrozumiała, że go uraziła i miała ochotę kopnąć się w kostkę za ten nietakt.

20.

Eleanor Marshall spodziewała się Very. Vera pomyślała, że starsza pani oczekiwała na nią w swoim schludnym domu w Wallsend, odkąd wiadomość o ciałach koło St Mary's trafiła na pierwsze strony gazet. Usadowiła się w salonie, obok okna z wykrochmalonymi frankami i przez cały dzień spoglądała w dół ulicy, aż zobaczyła, jak samochód Very podjeżdża pod dom. W kuchni była nawet przygotowana taca: dwie filiżanki na spodkach od kompletu, słoik kawy rozpuszczalnej i miseczek z torebkami herbaty, czekoladowe ciasteczka w opakowaniu na talerzyku, pusty dzbanek na mleko czekający by go napełnić. Czajnik z pewnością był pełen, trzeba go było tylko włączyć. Miała w sobie zbyt wiele dumy, by sama zadzwonić na posterunek policji – w przeszłości zbyt wiele razy ją zlekceważono – ale ufała Verze na tyle, by wiedzieć, że przyjedzie, gdy tylko będzie miała coś konkretnego do powiedzenia. Vera zaparzyła herbatę, zanim zaczęły rozmawiać. Wydawało się to częścią niezbędnego rytuału. Po tych długich latach nie trzeba było z niczym się śpieszyć, a Eleanor nie domagała się informacji, gdy tylko Vera stanęła w progu.

– Znalazła go pani – powiedziała staruszka.

Taca stała na małym okrągłym stoliku przykrytym haftowanym obrusem. Vera naląła herbaty i mleka.

– To jeszcze nic pewnego. – Vera wzięła ciastko. Podczas śledztwa człowiek jadł, kiedy tylko nadarzała się okazja. – Mam nadzieję, że będzie pani mogła w tym pomóc.

– Oczywiście.

Wydawała się być wdzięczna. W końcu ktoś jej potrzebował. Wreszcie mogła coś zrobić.

– Czy Robbie złamał kiedyś rękę?

– Tak. To było zimą, kilka lat przed jego zaginięciem. Wychodząc z domu, poślizgnął się na lodzie i upadł niefortunnie, powiedział, że mu głupio że był taki niezdarny. Przez kilka tygodni nosił gips, ale mimo to chodził do pracy i robił w stoczni tyle, ile mógł.

Vera skinęła głową, by docenić jego sumienność.

– Będziemy potrzebować nazwiska jego lekarza rodzinnego. Do kogo poszedł z tym złamaniem?

– Do szpitala Rake Lane. Jego lekarz rodzinny nazywał się dr King. Myślę, że przeszedł na emeryturę lata temu. Przychodnia wciąż tam jest, to po drugiej stronie parku.

Vera ponownie skinęła głową.

– A gdzie chodził do dentysty? – Przerwała. – Rozumie pani, że to wszystko pomoże go zidentyfikować?

– Wiem. – Kobieta uśmiechnęła się lekko. – Oglądam te wszystkie programy detektywistyczne w telewizji. Jestem od nich uzależniona. To naprawdę głupie, przecież

podejrzewałam, że jemu też musiało się przydarzyć coś strasznego, ale pomagają mi jakoś uciec od rzeczywistości. A policja w telewizji zawsze w końcu łapie zabójcę. Jego dentystką była Moira Armstrong z Howden. Postarzała się, ale wciąż prowadzi praktykę.

– Znaleźliśmy pasek – powiedziała Vera.

Twarz kobiety rozjaśniła się.

– Wiem, który. Zawsze go nosił. Kupił go, gdy był w Teksasie na jednej z wypraw z Johnem Brace'em żeby obserwować ptaki. Na klamrze był statek i zawsze wydawało mi się, że to do niego pasuje. Wie pani, dlatego, że pracował w stoczni.

– Właśnie taki pasek znaleźliśmy. – Vera odczekała chwilę, aby informacja dotarła do Eleanor, ale ona, odkąd obejrzała lokalne wiadomości, była pewna, że znaleźli jej syna. – Sprawdzimy zdjęcia rentgenowskie w szpitalu i dokumentację dentystyczną, ale myślę, że znaleźliśmy Robbiego. – Kolejna pauza. – Został zamordowany, Eleanor, ale jestem pewna, że już się tego domyśliła. Nie wrzucił się sam do tej dziury w ziemi. Czy przychodzi pani do głowy pomysł, kto mógł chcieć go zabić?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Myślę, że musiał mieć drugie życie, o którym nic nie wiedziałam. W domu był kochającym synem, człowiekiem, którego nikt nie chciałby skrzywdzić.

– Widziała pani w wiadomościach, że w miejscu jego pochówku znaleziono dwa ciała. Wydaje się pewne, że drugie należało do kobiety. Czy wie pani, kto to mógł być? Wiem, że pytałam panią wcześniej o dziewczyny, ale może miała pani czas, by się nad tym zastanowić. Nawet jeśli nie przyprowadził nikogo do domu, to może o kims wspominał.

– Myślałam o tym – powiedziała Eleanor. – Wpatrywała się w okno. – Chciałam, żeby się ożenił i miał dzieci. Mówiłam pani, że przed ślubem byłam nauczycielką. Żartowałam z nim na ten temat, mówiłam mu, żeby szybko sobie kogoś znalazł, zanim będzie za późno, a ja będę za stara, żeby bawić się z wnukami. Powtarzał, że jestem jego jedyną dziewczyną. Nie wierzyłam w to. Nie do końca. Może uważał, że nie zaakceptuję kobiet, z którymi się spotykał. Zastanawiałam się, czy może znalazł kogoś podczas swoich zagranicznych podróży; nie miałabym nic przeciwko cudzoziemce, gdyby tylko był z nią szczęśliwy. Ale nigdy nie przyprowadził nikogo do domu. Czasami nocował poza domem. Mówił mi, że był z Johnem i Hectorem, ale mógł być wtedy z kobietami.

– Jakiś czas przed Robbiem zaginęła kobieta. Możliwe, że to jej ciało jest tym drugim. Nazywała się Mary-Frances Lascuola. Czy to nazwisko coś pani mówi? – Vera przyglądała się Eleanor w poszukiwaniu jakiejś reakcji, ale ona tylko wyglądała na zdziwioną.

– Więc spotykał się z cudzoziemką? Nie, Robbie nigdy nie wspominał, że spotykał się z kobietą o tym imieniu. Zapamiętałabym je.

– Mary była Brytyjką – powiedziała Vera. – Nie domyśliłaby się pani jej pochodzenia, gdyby ją pani zobaczyła.

Ale kobieta tylko ponownie potrząsnęła głową. Wydawała się bardziej zmartwiona tajemnicami, które ukrywał przed nią syn, niż potwierdzeniem jego śmierci.

Po powrocie na komisariat, zespół spotkał się przy herbacie i bułeczkach, aby porównać notatki. Oficjalna odprawa miała odbyć się później, ale to była główna grupa: Vera, Joe, Holly i Charlie. Czyli, według Very, wszyscy, którzy się liczyli.

– Więc oboje natrafiłście na to samo nazwisko. – Skinęła w stronę Joego i Holly, a okruchy z polukrowanego palca rozsypały się po biurku. – Szkot o nazwisku Sinclair. Coś ci to mówi, Charlie?

Skinął głową.

– Prowadził klub o nazwie „Mewa”. Klub cieszył się dobrą reputacją. Drinki, na które trzeba było zaciągnąć kredyt hipoteczny, miejsce, gdzie można było spotkać sławnych piłkarzy i ich kobiety, gwiazdy rocka, aktorów. W weekendy przejmowała je mafia biznesowa z Newcastle.

– Judith Brace też wspomniała mi o „Mewie”. – Vera ponownie wyobraziła sobie klub w czasach jego świetności. Szczyt przepychu. Kiedy była dzieckiem, marzyła o tym, żeby tam z kimś pójść i pić koktajle na tarasie z widokiem na morze. Wyobrażała sobie Hectora z Johnem Brace'em i jego kumplami. Trudno jej było uwierzyć, że ojcu by się tam podobało – podobnie jak ona, nie przepadał za eleganckim towarzystwem – ale i tak poczuła irracjonalne ukłucie urazy.

Holly przerwała jej rozmyślenia.

– Według kobiety, z którą rozmawiałam, Mary-Frances pracowała tam przez jakiś czas.

Vera uniosła brew.

– Najwyraźniej była kelnerką – powiedziała Holly. – Nie kręciła nic na lewo. Była wtedy czysta. To miał być nowy początek. Nowe życie.

– Wierzymy w to? Może po prostu awansowała do wyższej kategorii w swoim zawodzie?

– To byłoby możliwe tylko za zgodą Sinclaira – powiedział Charlie. – Nie zgodziłby się na wolnych strzelców na swoim terenie. Gus Sinclair trzymał wszystko w garści. Potrafił być czarujący, jeśli chciał – to właśnie widzieli jego klienci – ale jednocześnie był bezwzględny.

– Mary-Frances była tam tylko przez krótki czas – dodała Holly. – Coś sprawiło, że wróciła do narkotyków w wielkim stylu i trafiła do Shaftoe House, dziennego ośrodka odwykowego w Bebington. Najwyraźniej nadal działa, a ja wybieram się tam, jak tylko tu skończymy.

– Podobno Gary Keane zainstalował w klubie system bezpieczeństwa – powiedział Joe. – W każdym razie mówił, że instalował je w kilku lokalach Sinclaira, więc zakładam, że jednym z nich była „Mewa”.

– Co teraz wiemy o Sinclairze? „Mewa” nie istnieje od lat.

– Spaliła się – powiedział Charlie. – Wszyscy uważali, że to oszustwo ubezpieczeniowe. Whitley się zmieniało, a dzieciaki z Newcastle, i goście wieczorów kawalerskich i panieńskich z Glasgow, nie byli zainteresowani koktajlami z szampanem czy wykwintnymi daniami. Krążyły plotki, że Sinclair kazał podpalić lokal, gdy ten jeszcze na siebie zarabiał, bo widział, jak się sprawy mają.

– Na pewno było dochodzenie w tej sprawie. – Vera zastanawiała się, dlaczego nie pamięta pożaru. Jej marzenia o wytworności dosłownie poszły z dymem. Prawdopodobnie była zajęta czymś na drugim końcu hrabstwa.

Ale oczywiście Charlie znał szczegóły.

– Sinclair miał alibi. Oczywiście, że miał. I tak nie zrobiłby tego sam.

– A to alibi?

Na twarz Charliego wypłynął powolny uśmiezek.

– Był na charytatywnej imprezie na rzecz policji, a świadkami była połowa komendy.

– Och, ma poczucie humoru – ucieszyła się Vera. – Lubię złoczyńców z poczuciem humoru. – Nastąpiła przerwa, podczas której wzięła ostatniego herbatnika, zanim ktoś inny zdążył go zgarnąć. – A co się stało z panem Sinclairem po upadku „Mewy”?

– Dostał solidne odszkodowanie. – Charlie zmarszczył brwi, jakby próbował przypomnieć sobie dokładne szczegóły i był rozczarowany, że nie potrafił podać dokładnej kwoty. – W końcu to była działająca firma, a ostatnie sprawozdanie finansowe wykazało spory zysk. Potem zniknął na jakiś czas. Może uznał, że taktownie będzie trzymać się z daleka.

– Czy znamy datę pożaru? – Vera pomyślała, że to jak przedzieranie się przez najgęstszą morską mgłę. Musieli jakoś powiązać tę sprawę z zabójstwami.

– Musiałbym to sprawdzić. Wiedziała jednak, że Charlie się z nią droczy. Wiedział, co chciała usłyszeć.

– Nie ty! – Czasami trzeba było mu schlebiać. – Nie ty, człowieku z pamięcią lepszą niż słoń.

– To był tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty rok. – Charlie uśmiechnął się. – Środek lata. Początek lipca. Początek sezonu, co było kolejnym powodem, dla którego śledczy uznali podpalenie za mało prawdopodobne. Po co ktoś miałby podpalać klub, gdy zbliżał się najbardziej dochodowy okres w roku?

– Żeby uspić podejrzenia? – Holly czasami nie wiedziała, kiedy siedzieć cicho. To było pytanie retoryczne. Wszyscy wiedzieli, jak działa umysł Charliego i że teraz trzeba było tylko poczekać na dalsze wyjaśnienia.

Wydawał się jednak nie przejmować jej słowami.

– Ano dlatego, że słaby sezon letni dałby lepszy motyw do pożaru. Lepiej było ograniczyć straty, gdy sprawy wciąż wyglądały dobrze i uzyskać wypłatę ubezpieczenia bez zbytecznego zamieszania. – Wypił resztkę herbaty.

– Jakies plotki z ulicy o tym, kogo Sinclair mógł namówić do podpalenia?

Charlie potrząsnął głową.

– Wiele sugestii. Nic konkretnego.

– Mamy więc Robbiego Marshalla, który był znany jako nieformalny werbownik chłopaków z osiedli. Wynajdywał ich do brudnej roboty dla gajowych i właścicieli ziemskich, ale nie ma powodu, dla którego nie mógłby znaleźć kogoś chętnego do

podpalenia. Mamy też Mary-Frances, która swego czasu pracowała jako kelnerka u Sinclaira i na pewno знаła klub. Ona również mogła przydać się podpalaczom. Niecały miesiąc przed pożarem Marshall zniknął i mamy dwa ciała. Nikt mi nie powie, że to zbieg okoliczności. – Wstała i narysowała wykres na białej tablicy. Nazwiska i daty oraz faliste linie tworzące połączenia.

– Mamy też Gary’ego Keane’a. – Joe milczał przez całą rozmowę, ale teraz też wydawał się podekscytowany. Widział powiązania, podążał za jej logiką. – Skoro zainstalował tam systemy bezpieczeństwa, wiedziałby, jak je wyłączyć, aby nie zarejestrowały podpalaczy. Może nawet potrafiłyby wywołać awarię instalacji elektrycznej i spowodować pożar.

– Jak myślisz, porozmawiałbyś z nami?

– Dwie osoby, które mogły być zamieszane w podpalenie, nie żyją – powiedział Joe. – Może być ciężko go przekonać.

Zapadła chwila ciszy. Słyszeli ruch uliczny na zewnątrz i dzieci z pobliskiej szkoły, które wyszły na długą przerwę na boisko.

– Potrafię być bardzo przekonująca – powiedziała Vera. – Wolałabym jednak mieć trochę więcej informacji, zanim z nim porozmawiam.

– Sinclair wrócił do Whitley Bay. – Holly robiła notatki na własną rękę, ale podniosła wzrok znad komputera. – Według Laury Webb, która znała Mary-Frances, jest tam niezłą szychą, kręci projektem rewitalizacji wybrzeża.

– To nazwisko obilo mi się o uszy w związku z rewitalizacją, ale nie skojarzyłem go z Sinclairem, który był właścicielem „Mewy” – powiedział Charlie. – Myślałem, że po pożarze na stałe wyjechał na północ, a poza tym nie wydawał mi się typem, który zajmowałby się zbieraniem funduszy i działalnością społeczną. – Nastąpiła chwila przerwy. – W dzisiejszych czasach ludzie bardzo dobrze mówią o Sinclairze. Ma biuro w pobliżu Dome, niedaleko miejsca, gdzie kiedyś była „Mewa” i pozwala z niego korzystać różnym lokalnym organizacjom. Powinienem był to połączyć.

– Według Judith Brace, na miejscu „Mewy” budują luksusowe apartamenty – powiedziała Vera. Ciekawe, czy Sinclair nadal jest właścicielem tego terenu.

– Myślisz, że bardziej zależy mu na dużych zyskach niż na rewitalizacji miasta? Charlie uśmiechnął się lekko.

– To mi bardziej przypomina Gusa Sinclaira, którego znałem niegdyś.

– Może przeszedł przemianę wewnętrzną. – Vera powiedziała to lekkim głosem, może nawet na poważnie. – Powiedziano mi, że to się zdarza. – Kolejna pauza. – Nawet John Brace twierdzi, że się zmienił. Jest teraz współczującym, rodzinnym człowiekiem.

21.

Ośrodek Shaftoe House znajdował się przy cichej ulicy otoczonej nowoczesnymi domami szeregowymi i wyglądał nie na miejscu. Niczym zaniedbana, podstarzała kobieta otoczona przez zuchwałych nastolatków. Na drzwiach widniała mała tabliczka z nazwą domu i informacją, że jest on prowadzony przez New Lives Project. Był tam dzwonek i Holly go nacisnęła. Bezcielesny męski głos zapytał o jej nazwisko.

– Holly Jackman, Policja Northumberland.

– Proszę wejść.

Pchnęła drzwi, które się otworzyły. Wewnątrz panowała atmosfera opuszczenia, jak w każdej instytucji po godzinach pracy. Widać było, że za dnia sporo tu się działo: w niektórych pokojach wisiały tablice z nabazgranymi notatkami, w koszach tkwiły skrawki papieru, na tacach stały brudne kubki, ale teraz panowała cisza. Wszystko wydawało się bezcelowe. Po drewnianych schodach zszedł mężczyzna, by ją powitać. Był wysoki i krępy, ubrany w dżinsy i luźną bawełnianą koszulę w paski. Wyciągnął rękę, a gdy koszula zsunęła się z jego nadgarstka, zobaczyła na jego ramieniu tatuaż przedstawiający węża. Wyglądało to dziwnie niestosownie.

– Jestem Ian. Zapraszam na górę do biura. Napije się pani kawy?

Sądząc po akcencie był miejscowy, ale dobrze wykształcony. Poprowadził Holly po szerokich schodach, które kiedyś mogły być okazałe, do pokoju z biurkiem zavalonym papierami.

– Nie, dziękuję. – Holly usiadła na skórzanym fotelu i wyjrzała przez wysokie, przesuwne okno.

Biuro wychodziło na dziki ogród. Ktoś podjął próbę zagospodarowania przestrzeni w pobliżu domu, dzięki czemu na nierównym patio stał stół i pół tuzina krzeseł. Podążył za jej spojrzeniem.

– Tam przesiadują palacze. Z niektórymi nałogami trudno się rozstać.

– Jak długo pan tu jest?

– Jako pracownik od pięciu lat, ale pierwszy raz trafiłem tu jako klient, gdy byłem nastolatkiem. – Musiał wyczuć jej zaskoczenie. – Większość tutejszych pracowników to osoby uzależnione po odwyku. Rozumiemy, przez co przechodzą klienci.

– Może pan dać tym ludziom tak bardzo im potrzebne współczucie.

– Często współczucie jest ostatnią rzeczą, jaką należy im dawać, choć oczywiście możemy udzielić wsparcia. Najważniejsze, że potrafimy być twardzi. Powrót do zdrowia nie polega tylko na zaprzestaniu picia lub odstawieniu narkotyków; chodzi o przyjęcie

odpowiedzialności. Nie jest to łatwe, jeśli uciekało się od tego przez całe życie. Być może jesteśmy uczciwsi niż profesjonaliści.

– Przyszłam zapytać o waszą byłą klientkę – powiedziała Holly. Było coś w tym mężczyźnie, co ją pociągało. Jego długie palce i intensywna twarz. Pełna kontrola. Ten uśmiech. W innej epoce mógłby być księdzem.

– Oczywiście możemy mieć problemy z poufnością. – Pochylił się do niej i zmarszczył brwi.

– Podejrzewamy, że ta kobieta nie żyje – powiedziała Holly. Ian był teraz bardzo blisko niej i odkryła, że patrzy na jego dłonie, splecione, jakby się modlił. – Została zamordowana. Musimy potwierdzić jej tożsamość, a następnie znaleźć osobę, która ją zabiła.

Zapadła cisza. Mężczyzna wciąż marszczył brwi, rozmyślając. Holly odezwała się pierwsza.

– Była znajomą Laury Webb, która prowadzi tu zajęcia jogi.

Powoli podniósł wzrok. Wszystkie jego ruchy były przemyślane.

– Jak brzmi nazwisko kobiety, która panią interesuje?

– Mary-Frances Lascuola.

Kolejna chwila ciszy.

– Kiedy była tu klientką?

– Pod koniec lat osiemdziesiątych lub na początku dziewięćdziesiątych. – Holly zdała sobie sprawę, że nie wypytała Laury o dokładną datę. Duży błąd. Ale może życie Laury było wtedy tak chaotyczne, że i tak tego nie pamiętała.

– Trzydzieści lat temu Shaftoe House wyglądał zupełnie inaczej – powiedział Ian. – Znajdował się na terenie dużego szpitala psychiatrycznego. Chociaż nadal był to ośrodek dzienny dla osób cierpiących na uzależnienia, model był medyczny, a personel stanowili lekarze, psychologowie i pielęgniarki specjalizujące się w zdrowiu psychicznym. Szpital został zamknięty i zburzony w dwa tysiące szóstym roku, większość terenu została sprzedana pod zabudowę, ale ten budynek przejęła organizacja charytatywna New Lives. Uznano, że Bebington to obszar, gdzie powszechnie nadużywa się substancji psychoaktywnych, więc placówka była nadal potrzebna. Jeśli kobieta, o którą się pani pyta, była pacjentką w Shaftoe przed dwa tysiące szóstym, wszelkie dokumenty będą znajdować się w placówce służby zdrowia. Mielibyśmy do nich dostęp tylko wtedy, gdyby została tu ponownie skierowana.

– Czy mógłby pan to sprawdzić? – Holly pomyślała, że to strata czasu. Była przekonana, że Mary-Frances leżała w przepuście już od dziesięciu lat, kiedy organizacja charytatywna przejęła Shaftoe House. A gdyby przypadkiem żyła jeszcze w dwa tysiące szóstym roku, używałyby innego nazwiska.

Ian włączył komputer na swoim biurku. Holly wpatrywała się w okno, podczas gdy komputer się ładował. W końcu mężczyzna odezwał się.

– Nikt o tym nazwisku nigdy nie był klientem New Lives. Ani tutaj, ani w naszym ośrodku w Kimmerston.

Holly podejrzewała, że nie dowie się od niego nic więcej. Mogła wrócić do Very i powiedzieć jej, że podjęła trop. Ale nie ruszyła się z miejsca.

– Co dokładnie tu oferujecie? Poza jogą?

– Stosujemy program dwunastu kroków. Chodzi o wspólnotę, o to, by współzależnieni wspierali się nawzajem. Są też warsztaty. Doradztwo indywidualne. Niektórym klientom zapewniamy edukację w zakresie podstawowych umiejętności. Chodzi o to, aby pomóc ludziom nabrać pewności siebie i większej samodzielności, a trudno jest czuć się pewnie, jeśli nie umie się czytać ani pisać. – Uśmiechnął się. – Powinna pani przyjść, gdy będą tu nasi klienci. Pogadać z nimi na przerwie. Uzależnieni stanowią dużą część osadzonych. W pewnym sensie działamy w tej samej branży. Zapobieganie przestępczości.

Holly w końcu wstała. Przeliczyła coś w myślach. Ian wyglądał na czterdziestolatka. Jeśli jako nastolatek był tu leczony odwykowo, mógł trafić do Shaftoe House w tym samym czasie, co Mary-Frances i Laura.

– Czy spotkał pan Mary-Frances, gdy był pan tu jako młody człowiek? Może pamięta pan to niezwykle imię. Wszyscy mówią, że była bardzo piękna.

Ian podążył za nią do drzwi. Zatrzymała się na chwilę, by spojrzeć na niego, gdy odpowiedział, ponownie zastanawiając się, co jest w nim takiego atrakcyjnego.

– To było dawno temu i naprawdę nie pamiętam.

Ale umknął wzrokiem, mówiąc te słowa i Holly nie była pewna, czy mu uwierzyła.

W więzieniu Warkworth John Brace obudził się nagle i zdał sobie sprawę, że śniła mu się Mary-Frances Lascuola. Sen był tak żywy, że miał wrażenie, iż wciąż czuje jej zapach, jej skórę i silne kończyny pod palcami. We śnie też był silny, może zbliżał się do wieku średniego, ale był sprawny po tych wszystkich długich spacerach po wzgórzach. Nie stary, bezwładny i uwięziony na wózku inwalidzkim. W chwili przebudzenia sen i prawdziwe wspomnienie pomieszały się w jego umyśle, pamięć uległa rozkładowi, podobnie jak ciało kobiety, które Vera Stanhope znalazła w przepuście w pobliżu St Mary's. Miał wrażenie, że wszystko się teraz zmienia i nic nie jest pewne. Stracił wiarę we własny osąd.

To była późna wiosna i jeden z dobrych okresów. Tych, kiedy Mary-Frances nie brała i była zdrowa, wdzięczna mu za swoje zdrowie psychiczne i gotowa dać mu wszystko. Pracowała w „Mewie” i kiedy przyjechał po nią do mieszkania po skończonej zmianie, nie zdążyła wziąć prysznic. Miała na sobie dzinsy i bluzę, w których wróciła do domu – nigdy nie nosiła uniformu poza klubem. Sinclair nie musiał zamawiać dla niej taksówki, jak to robił dla innych dziewczyn. Mieszkała zaledwie dwie minuty drogi od klubu. Tej nocy wciąż pachniała pracą, dymem papierosowym i perfumami. Było bardzo wcześnie. Jeszcze nie całkiem jasno, ale wciąż ciepło.

Zawiózł ją do miejsca, na które natknął się z Hectorem. Kawałek lasu obok płytkiej rzeki; Hector i jego gang znaleźli tam gniazda muchołówek, pluszczy i pełzaczy. Brace splądrował je na potrzeby swojej prywatnej kolekcji. Pewnie działała tam grupa obrączkarzy, bo znaleźli słupki do rozciągania siatki oraz cienkie sieci zwinięte i związane tak, by ptaki nie mogły się w nie zaplątać, gdy obrączkarzy nie było na miejscu. Las należał do dużego feudalnego majątku, ale jego właściciele pozwolili mu rosnąć dziko i wpuścili przyrodników, żeby zyskać uznanie wśród obrońców środowiska naturalnego. Kiedyś podjazd prowadził przez drzewa do stajni na tyłach domu, ale teraz ścieżka zarosła, a po bramie pozostała tylko para rozpadających się filarów. Nikt już nie jeździł do dworu tą drogą.

Brace zostawił samochód na poboczu przy jednym z filarów, wziął ją za rękę i poprowadził przez drzewa. Niektóre były pokryte białymi kwiatami, świecącymi w cieniu. W mlecznym świetle świtu kochał się z nią przy śpiewie ptaków. Pochwyciła go w swoje sidła, i pomyślał, że wie, jak czują się małe ptaszki zaplątane w miękkich zwojach sieci. Nie potrafił wtedy wyobrazić sobie życia bez niej. Wkrótce potem Mary-Frances Lascuola zniknęła.

23.

Vera przybyła do biura wcześniej i usiadła przy biurku, aby sprawdzić wszystkie telefony i e-maile, które przyszły w ciągu nocy. Po drodze kupiła kawę i pogawędziła z obsługą linii telefonicznych. Nie było żadnego przełomu. Żaden z mieszkańców nie pamiętał niczego niezwykłego, co wydarzyło się w pobliżu St Mary's w gorącą czerwcową noc ponad dwadzieścia lat wcześniej. Wszystko wydawało się względnie spokojne. To było jak cisza przed burzą.

Zadzwoił jej osobisty telefon komórkowy. To była Patty, jej głos pełen paniki, zdyszany.

– Musi pani przyjechać. Było włamanie. Nie wiem, co robić. Może w domu dalej ktoś jest?

Vera spojrzała na telefon. Było dwadzieścia po dziewiątej.

– Kiedy się włamali? Wczoraj w nocy? Dopiero teraz zauważyłaś?

Ale Patty nie słuchała.

– Proszę, Verol! Potrzebuję pani!

Vera zawahała się. Miała ważne rzeczy do zrobienia tego ranka i co innego było dać Patty trochę wsparcia, a co innego stać się osobą, do której zwracała się za każdym razem, gdy w domu coś się działo. Ale do kogo innego ta kobieta miała się zwrócić? Poza tym, po odkryciu dwóch ciał powiązanych z Johnem Brace'em, włamanie wydawało się zbyt dużym zbiegiem okoliczności, by je zignorować.

– Będę za dwadzieścia minut.

Znalazła Patty przed domem. Miała na sobie coś, co mogło być spodniami od piżamy i bluzą dresową. Chociaż nie było zimno, obejmowała się ramionami i drżała. Kiedy zobaczyła Verę, podbiegła do niej i przytuliła się. Dalej się trzęsła i wydawała się tak krucha, jakby jej kości mogły pęknąć pod wpływem dotyku. Ten fizyczny kontakt zaniepokoił Verę. Nie pamiętała, kiedy ostatnio ktoś wziął ją w ramiona. Delikatnie uwolniła się z uścisku Patty.

– Może powiesz mi, co się stało?

– Musieli się włamać, kiedy odprowadzałam Archiego do szkoły. Wróciłam i zobaczyłam, że ktoś wybił okno w kuchni. Sięgnął do środka i otworzył kłamkę, bo teraz jest otwarte na oścież.

– W takim razie wejdźmy zobaczyć, co się stało, dobrze?

Vera przeszła na tył domu. Było dokładnie tak, jak opisała Patty. Na kuchennej ławie leżało szkło, kłamka była przekręcona, a okno całkowicie otwarte. Było wystarczająco duże, by mógł się przez nie przedostać dorosły mężczyzna.

– A więc to nie robota jakiegoś dzieciaka grającego w piłkę – powiedziała. – Nie zawracałby sobie głowy otwieraniem okna. – Umilkła na chwilę. – Może otworzysz drzwi i wpuścisz mnie do środka? Sprawdźę czy nikogo tam nie ma.

W mieszkaniu panował chaos, ale nie większy niż podczas ostatniej wizyty Very. Nikogo nie było widać. Zawołała Patty do siebie.

– Co zabrali?

– Na pierwszy rzut oka nic. – Patty wciąż pośpiesznie wyrzucała z siebie słowa. – Telewizor jest nadal na miejscu, tablety dzieci też.

– Może im przeszkodziłaś. – Vera nie miała pojęcia, co mogło łączyć to włamanie z dwoma ciałami, które od lat leżały w odpływie na mokradłach koło wyspy St Mary's. – Poproszę miejscowego policjanta, żeby przyszedł i obejrzał szkody. I koniecznie dopilnuj, by okno zostało naprawione, zanim się ściemni. – Nie chciała, by Patty pomyślała, że ona rzuci wszystko, i przyjedzie gdy tylko pojawi się jakiś problem. To by jej nie pomogło.

– Dobrze.

W głosie Patty zabrzmiało rozczarowanie i Vera poczuła ukłucie winy, prawie jakby Patty była jej córką, a nie Brace'a. Jakby znowu ją zostawiła w potrzebie.

– OK, jasne. Dzięki.

Zanim dotarli z Charliem na wybrzeże, był już późny poranek. Gus Sinclair urzędował w swoim biurze niedaleko Dome. Zobaczyli go, gdy przechodzili obok, robiąc rekonesans przed wykonaniem pierwszego ruchu. Biuro miało dużą szklaną witrynę jak sklep, a on siedział za dużym biurkiem z jasnego drewna, które stało bokiem do okna, dzięki czemu mógł wyglądać na zewnątrz i jednocześnie widzieć co się działo w pomieszczeniu. Naprzeciwko niego siedziały dwie kobiety, które z uwagą słuchały każdego słowa. Nawet po tym jednym szybkim spojrzeniu z chodnika Vera wiedziała, że to on mówi. Był jednym z tych mężczyzn, którzy potrzebowali publiczności. Pomyślała, że kiedy prowadził „Mewę”, musiał być młody, bo teraz nie wyglądał zbyt staro. Opalenizna wskazywała na żeglarza lub golfistę. Albo kogoś z posiadłością na południu Hiszpanii. Pospieszyła za Charliem, który najwyraźniej nawet nie zerknął przez okno; szedł skupiony, z ręką wciśniętą w kieszenie marynarki, aż musiała podbiec kilka kroków, żeby go dogonić.

Zbliżał się wiosenny przypyływ i woda sięgała aż do Esplanady, nie było widać piasku. Spacerowicze z psami musieli zadowolić się betonem. Było już późne popołudnie, a dzieciaki jeździły na deskorolkach, skupione, bardzo poważne, gdy wykonywały swoje ewolucje, a potem relaksowały się i żartowały, gdy siadały na trawie, by napić się gazowanego napoju z puszki. Vera zastanawiała się, jak to musi być – ten nagły dreszcz prędkości, a potem kontrola nad zakrętami i skokami. Stała i patrzyła przez chwilę, szczerze podziwiając ich umiejętności. Za nimi rozciągała się zatoka i cypel wyspy St Mary's, latarnia morska świeciła bielą na tle błękitnego nieba.

Zabrała ze sobą Charliego, ponieważ chciała pokazać młodszym członkom zespołu, że czasem liczy się doświadczenie. Charlie spędził dwie godziny w porze lunchu, opracowując

raport na temat Sinclaira. Podczas gdy wszyscy inni swoje kanapki, on siedział zgarbiony przy biurku, mamrocząc do telefonu, rozmawiając ze swoimi kolegami z Glasgow, emerytowanymi oficerami, przyjaciółmi, którzy przenieśli się do innych służb. Robił notatki tęnym ołówkiem w notatniku A4, jakiego używali studenci. Zniknął na pół godziny i wrócił, by powiedzieć Verze, że właśnie rozmawiał z dziennikarzem z BBC Look North, który miał większe aspiracje.

– Prowadzi własne śledztwo w sprawie naszego przyjaciela Sinclaira, ale BBC nawet nie chce tego tknąć. Najwyraźniej nie ma wystarczających dowodów. Myśli, że się przestraszyli.

Potem nie chciał już z nią więcej rozmawiać na ten temat, dopóki nie wyjdą z biura.

– Popadasz w paranoję na starość, Charlie? – zażartowała, ponieważ Charlie był najmniej paranoiczną osobą, jaką znała. Brakowało mu do tego wyobraźni.

Spojrzał w jej stronę i wymamrotał coś zagadkowo o zachowaniu bezpieczeństwa.

Na wybrzeżu i świeżym powietrzu Vera nagle poczuła głód i zaciągnęła go do restauracji rybnej „Pantrini’s” obok salonu gier na łupacza z frytkami. W restauracji oboje byli zbyt zajęci jedzeniem, by rozmawiać, a poza tym Charlie wciąż zachowywał się nerwowo, bojąc się, że ktoś ich podsłucha. Vera przyłapała go jak przyglądał się innym klientom. Dopiero kiedy ruszyli na północ, z dala od Dome i biura Sinclaira, obserwując chudych, maniackalnych chłopaków na deskorolkach, Charlie zaczął mówić, i wtedy nie potrzebował już żadnych notatek. Jakby nie mógł przestać.

– Gus Sinclair pojawił się w północno-wschodniej Anglii na początku lat osiemdziesiątych. Wydawało się, że wziął się znikąd, ale musiał mieć kontakty, bo wkrótce zaczęto go widywać w towarzystwie lokalnych polityków, biznesmenów i przywódców związkowych. Tych podejrzanych. Tych otwartych na perswazję, jeśli chodzi o planowanie i licencje. Zaczął też nawiązywać znajomości z funkcjonariuszami policji. Na przykład z naszym Johnem Brace’em. – Charlie spojrzał na morze. Fale, równe i nieustępliwe, rozbiły się o opaskę brzegową. – Pomyślałem, że musiał mieć mocne plecy. Był zbyt młody, by samemu zdobyć takie wpływy, bez żadnego zaplecza politycznego. Niedawno skończył uniwersytet, przez kilka lat pracował w hotelarstwie w dużym obiekcie w Glasgow, pomagając organizować imprezy i konferencje. Dlaczego najważniejsi ludzie na północnym wschodzie mieliby zawracać sobie nim głowę?

– Co skończył na uniwersytecie? – Vera zastanawiała się, czy stopień naukowy wystarczy, by nadać Sinclairowi przydomek „Profesor”.

– Studia biznesowe. Czy to ma znaczenie?

– Prawdopodobnie nie. Co dalej? Wyjaśnij mi, dlaczego grube ryby z Tyneside w ogóle zwróciły uwagę na młodego Szkota.

Charlie patrzył, jak chmurna dziewczynka wyczynia cuda na deskorolce i mówił dalej.

– Dowiedziałem się, kim był jego ojciec i wszystko nabrało sensu.

Teraz niecierpliwość wzięła nad nią górę.

– Kim był ojciec? Dawaj Charlie, chcemy porozmawiać z tym człowiekiem, a o siódmej jest odprawa. Nie mam ochoty siedzieć tu cały dzień.

– Alexander Sinclair, znany jako Alec. Dorastał w Aberdeen i zarobił wystarczająco dużo na platformach wiertniczych, by osiedlić się w Glasgow i założyć własną firmę. Budowniczy i deweloper, zanim zajął się barami i klubami. Wywiad wiązał go z tamtejszymi gangami – przemycającymi narkotyki i dziewczyny – ale był zbyt sprytny, by kiedykolwiek postawiono mu zarzuty.

– I chciał rozszerzyć swoje imperium, więc wysłał syna do północno-wschodniej Anglii. Zawsze istniały powiązania między Glasgow i Tyneside. – Vera widziała, dokąd to zmierza, ale zaczynała czuć się zagubiona. Jej zawodowy świat wyglądał zupełnie inaczej. Rozumiała dramaty rodzinne i małych ludzi walczących z przeciwnościami losu. Mordercy, których ujęła, nie byli potworami z gangów, ale raczej żalonymi małymi mężczyznami, pozbawionymi kontroli lub inteligencji, aby rozwiązać swoje problemy bez uciekania się do przemocy. Dopóki nie doprowadziła do zamknięcia Johna Brace’a, nie miała do czynienia z przestępczością zorganizowaną, a zresztą nawet wtedy jego nikczemność miała charakter lokalny. Był grubą rybą w bardzo małym akwenu. Zabójstwa dokonywane przez gangi w celu zdobycia władzy lub wyrównania porachunków kojarzyły jej się z kiepskimi programami w telewizji, a nie z prawdziwym życiem. – Co się teraz dzieje z papą Sinclairem?

– Nie żyje – powiedział Charlie. – Zawał serca. Zawsze za dużo pił i palił jak komin fabryczny. – Spojrzała na nią. – Miał nadwagę.

– Więc co tam się działo, Charlie? Rozumiem, dlaczego Gus Sinclair zwał na północ, gdy spłonęła „Mewa”, ale co go tu sprowadziło z powrotem?

– Wieść niesie, że na północy zrobiło się trochę gorąco. Nikt nie odważył się tknąć Aleca, nawet gdy umierał. Jego reputacja odstraszała ludzi. To było prawie jak przesąd... – Charlie starał się znaleźć odpowiednie słowa. – Albo jak jakaś klątwa. Jeśli tkniesz Aleca Sinclaira, zginiesz. To był pewnik. Ale kiedy odszedł, sprawy przybrały inny obrót. Na rynku pojawiła się luka, którą każdy chciał zappełnić. Gus nie jest taki jak jego ojciec. Nie ma jaj do walki. Ucieczka do Szkocji, gdy „Mewa” zaczęła tracić pieniądze i zniknęła w płomieniach, była przyznaniem się do porażki i potem nigdy tak naprawdę ojciec nie dopuścił go do biznesu. Kiedy Alec zmarł, Gus postanowił przejść na emeryturę z wdziękiem i pozostawić walczące frakcje w Glasgow samym sobie. Może z Whitley Bay wiązały się miłe wspomnienia. Mieszka w jednym z tych dużych apartamentów nad brzegiem morza w Tynemouth, według moich źródeł kupił go za gotówkę.

Vera przez chwilę zastanawiała się nad źródłami Charliego, armią sprzątaczy, sekretarek, agentów nieruchomości i księgowych, którzy zdawali się dostarczać mu informacji.

– Jak ją zdobył? Odziedziczył po ojcu? Nawet jeśli nie był w centrum jego biznesu?

– Alec miał znaczny pakiet legalnych nieruchomości, kiedy zmarł. Gus jest jedynym żyjącym krewnym, o ile mi wiadomo.

Na pewno ci wiadomo, pomyślała Vera.

– Dlaczego po prostu się nie uspokoi? Dlaczego po cichu nie zarobi kupy forsy na zabudowie terenu po „Mewie”? Po co kreować się na bohatera rewitalizacji Whitley?

Charlie wzruszył ramionami.

– Może lubi podziw. Plotka głosi, że ma ambicje polityczne, że chciałby zostać wybrany na burmistrza północno-wschodniej części miasta. Może naprawdę lubi to miejsce. Ma żonę, która stąd pochodzi. Pracowała z nim w „Mewie”.

Vera przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Judith Brace.

– Czy przypadkiem nie chodzi o Elaine?

– Zgadza się. – Wydawał się zaskoczony, że Vera ma równie dobry dostęp do informacji co on.

– Najwyraźniej przyjaźniła się kiedyś z Robbiem Marshalllem. Żona Brace’a pamięta kolację, na której cała czwórka była razem. Może to kolejny potencjalny motyw jego zabójstwa. Robbie miał romans z kobietą Sinclaira i Sinclair nie mógł tak po prostu odpuścić.

Ale to nie wyjaśniało drugiego ciała w pobliżu St Mary’s, a według Charliego, Gus Sinclair bał się otwartej walki. Ale być może wynajął kogoś do odwalenia brudnej roboty, tak jak wynajął kogoś do podpalenia klubu.

Zaczynał się odpływ, jakiś spaniel uganiał się za piłką w płytkiej wodzie, a rozpryskujące się krople wody odbijały światło. Vera opierała się o mur plecami do morza i teraz wyprostowała się. Pomyślała, że nadszedł czas, aby osobiście porozmawiać z Gusem Sinclairem.

Gdy dotarli na miejsce, Sinclair był sam w biurze i otworzył im drzwi. Wewnątrz znajdowała się tablica z projektem proponowanej rewitalizacji, wygenerowane komputerowo obrazy przedstawiające szczęśliwych ludzi spacerujących po placu, na którym występował klaun na szczudłach. Restauracja na wyspie St Mary’s była cudem ze szkła i jasnego drewna.

– Proszę się rozejrzeć – powiedział Sinclair – i zajrzeć do mnie, jeśli będą mieli państwo jakieś pytania.

Miał lekki szkocki akcent, ale jego głos był raczej łagodny i wyrafinowany. Czy ten człowiek mógł być Profesorem, brakującym członkiem czteroosobowego gangu Hectora? Sinclair byłby jedynym absolwentem w grupie, a określenie to mogło być nieco ironiczne. Był młodszy od reszty. Ale z tego, co pamiętała, Hector postrzegał Profesora jako kogoś budzącego respekt, a nie rozbawienie. Kogoś, kogo należało się trochę bać. Ten sympatyczny mężczyzna z opalenizną i rozpiętą koszulą nie wydawał się szczególnie przerażający.

– Sam pan to zaprojektował?

– No, nie osobiście! – Uśmiechnął się lekko. – Należę do konsorcjum, które zbiera fundusze na nową inwestycję.

– Pan jest Angusem Sinclairem? Widziałam pańskie zdjęcie w „Chronicle” tamtego dnia.

– Zgadza się. – Uśmiechnął się, zadowolony, że go rozpoznała.

– Czy mogłabym zadać panu kilka pytań?

– Oczywiście, dlatego tu jestem. Żeby odpowiadać na wszelkie pytania. Wszystkim nam zależy na tym, by społeczność miała jak największy wpływ na przyszłość miasta.

Usiadła naprzeciwko Sinclaira. Charlie pozostał na swoim miejscu, wpatrując się w projekty, z rękami wciąż w kieszeniach kurtki, gotowy by wyprosić wszelkie przypadkowe osoby postronne. Odkąd go poznała, zawsze nosił tę samą kurtkę lub jej kopię. Wiedziała, że będzie się przysłuchiwał rozmowie i wyłapie znaczenie każdej informacji, które mogłoby jej umknąć.

Vera przedstawiła się oficjalnie. Sinclair najpierw spojrzął na nią z niedowierzaniem, jakby nie był w stanie zaakceptować faktu, że ta kobieta może być starszym detektywem, a potem z obawą.

– Czy potrzebuję adwokata? – Powiedział to żartobliwie, ale oczekiwał poważnej odpowiedzi.

– Ależ skąd! – Rozciągnęła „ą” dla podkreślenia, jak bardzo niedorzeczny to był pomysł. – To tylko pogawędka, bo rozumiem, że jest pan wpływowym człowiekiem w mieście. Również dlatego, że prowadzone przez nas śledztwo przenosi nas w przeszłość, do lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Mieszkał pan tu wtedy?

Przytaknął.

– Wspaniałe czasy.

– Słyszał pan o dwóch ciałach, które znaleźliśmy w pobliżu St Mary’s?

Ponownie skinął głową, zainteresowany, ale nie zaskoczony.

– Uważamy, że jednym z nich był Robbie Marshall. Kiedyś się pan z nim zadawał. Chłopak z Wallsend. Użyteczny.

– Pamiętam Robbiego. – Sinclair był zbyt inteligentny, by zaprzeczyć powiązaniu, które i tak byli w stanie udowodnić. – Przychodził do „Mewy”, załatwiał tam wiele swoich spraw.

– Pamięta pan nazwiska ludzi, z którymi się spotykał?

Sinclair potrząsnął głową. Jego odpowiedź padła zbyt szybko.

– Przykro mi, to było dawno temu.

– Drugą ofiarą była kobieta. Ma pan jakiś pomysł, kto to może być?

Zapadła chwila ciszy. Vera nie potrafiła powiedzieć, czy ta informacja była nowa dla Sinclaira, czy nie. Jeśli miał przecieki od kogoś z policji, jak sugerował Charlie, to prawdopodobnie już o tym wiedział, nawet jeśli nie był zamieszany w przestępstwo.

– O ile wiem, Robbie przyjaźnił się kiedyś z pańską żoną – dodała.

Sinclair uśmiechnął się cierpko.

– Moja żona ma wielu przyjaciół. I jest aktualnie w domu, w moim mieszkaniu w Tynemouth, a nie na stole w kostnicy.

– Czy nazwisko Mary-Frances Lascuola coś panu mówi?

Zapadła chwila ciszy.

– Pamiętam tę dziewczynę. Zatrudniłem ją w ramach przysługi. Przez jakiś czas była kelnerką w barze. To był błąd. Może robienie tego rodzaju przysług przyjacielom zawsze jest błędem. W końcu zaczyna się ich nienawidzić. – Sinclair pochylił się nad biurkiem. – Dokąd to zmierza, pani inspektor? Zwykle o tej porze zbieram się do domu.

Vera zignorowała pytanie.

– Jak nazywał się ten przyjaciel?

– Jeden z waszych ludzi. John Brace.

– Więc Mary-Frances pana zawiodła?

– Znowu zaczęła brać i uprawiać swój zawód. Nie mogłem na to pozwolić. „Mewa” była szanowanym lokalem. Pozwoliłem jej odejść.

– To było sporo przed tym, jak lokal spłonął? – Vera wciąż próbowała sobie pouklądać w głowie wydarzenia. Pomyślała, że byłoby o wiele łatwiej, gdyby Mary-Frances zniknęła w tym samym czasie, co Robbie Marshall.

– Taa, ładnych parę lat. Pracowała u mnie tylko przez kilka miesięcy.

Na ulicy za oknem panował coraz większy ruch. Zamykano sklepy, a ludzie wracali do domów.

– Pamiętam „Mewę” – powiedziała Vera. – Była częścią historii tego miasta. Zbudowano ją w latach trzydziestych, prawda? A pięćdziesiąt lat później wciąż była pełna młodych, bystrych ludzi.

– Uwielbiałem ją. – Wydawał się szczerze poruszony, sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął zdjęcie klubu. Słońce wschodziło nad morzem, odbijając się od szkła i krzywizn białych ścian, neonowego wizerunku ptaka. Zdjęcie zrobiono z plaży, a Vera nigdy nie widziała tego budynku pod takim kątem.

– Oprawię to zdjęcie do biura. Na pamiątkę dawnej świetności Whitley Bay.

– Może powinien pan odbudować ten klub.

– Proszę nie myśleć, że się nad tym nie zastanawiałem – powiedział. Odłożył zdjęcie na biurko i nadal się w nie wpatrywał. – Ale w dzisiejszych czasach luksusowe apartamenty mają większy sens z komercyjnego punktu widzenia.

To nie było pytanie i nie odpowiedział na nie.

Vera kontynuowała.

– Czy pańska żona byłaby w stanie pomóc nam zidentyfikować kobietę, która została pochowana z Robbiem?

– Być może. – W jego głosie zabrzmiała niepewność. – Troszczyła się jak kwoka o kobiety, które dla mnie pracowały. Ktoś mógł się jej zwierzyć. Zapytam, dobrze?

– Proszę to zrobić. – Vera uśmiechnęła się. – Ale sama też chciałabym z nią porozmawiać, więc kiedyś do niej zadzwonię. Zawsze zastanawiałam się, jak te eleganckie mieszkania w Tynemouth wyglądają w środku. Proszę dać mi jej numer, a zadzwonię i sprawdzę, czy jest w domu, zanim się pojawię.

Przez chwilę myślała, że odmówi, ale wzruszył ramionami i nabazgrał numer telefonu komórkowego na kartce papieru. Vera wstała i sięgnęła po nią przez biurko. Była już prawie przy drzwiach, gdy zatrzymała się i odwróciła. Zidentyfikowanie Profesora było teraz najpilniejsze; nie licząc Brace'a, był on jedynym żyjącym członkiem gangu czterech.

– Co pan robi w wolnym czasie, panie Sinclair?

– Jestem trochę pracoholikiem – odpowiedział. – Nie mam zbyt wiele wolnego czasu.

– Więc nie jest pan ptasiarzem, jak pański przyjaciel John Brace? – Wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź. – Nie lubi pan wiejskich rozrywek?

– Nie, jedynym ptakiem, którym się interesowałem, była „Mewa”.

Zaśmiał się lekko i spojrział na zdjęcie klubu. „Mewa” nieprzerwanie lśniła w blasku poranka.

24.

Vera przykleiła zdjęcie „Mewy” na białej tablicy przed wieczorną odprawą, a Joe Ashworth spojrział na nie i przypomniał sobie młodość. Nigdy nie był w „Mewie” – to miejsce odwiedzali dorośli, ludzie z kasą i z klasą – ale przez kilka lat spędzał większość piątkowych nocy w Whitley Bay. Dojeżdżał tam autobusem z bandą kolegów z wioski położonej dalej na północ, gdzie wtedy mieszkał z rodzicami, a potem wracał z nimi nad ranem jedną taksówką na spółkę. Dla nastolatków wyprawa do Whitley była czymś w rodzaju rytuału przejścia. Większość młodych ludzi upijała się tam po raz pierwszy w życiu i zdobywała pierwsze doświadczenia seksualne w alejkach na tyłach sklepów i domów. Młodzi odwiedzali liczne bary i kluby, spotykając znajomych ze szkoły lub pracy, grupy mieszały się jak w skomplikowanym wiejskim tańcu, a potem topniały gdy nadchodził świt. Próbował przypomnieć sobie nazwę klubu na South Parade, gdzie barmani nosili kąpielówki i bikini, a muzycy grali na congach najpierw w lokalu, potem na ulicy i w końcu padali na chodnik, rozchichotani, upojeni alkoholem i hormonami. Podejrzywał, że w Whitley sprzedawano wtedy narkotyki, ale sam nie natknął się na żadnego dilera. Choć prawdopodobnie był wtedy zbyt naiwny, by ich rozpoznać. Gdy reszta zespołu zebrała się na wieczorną odprawę, przypomniał sobie nazwę klubu. „Idole”. Tak się nazywał. Wypowiedział to słowo na głos.

Vera opowiadała o miasteczku, którego Joe zupełnie nie znał. O Whitley Bay z czasów „Mewy”. O gangach i celebrytach. Sławnych sportowcach: bokserach i piłkarzach. O ludziach z pieniędzmi, którzy inwestowali w miejsce, do którego z ajego czasów przyjeżdżały tylko dzieciaki, by się odstresować.

– Jesteśmy więc całkiem pewni, że szkielet mężczyzny to Robert Marshall – jego matka opisała pasek, który przy nim znaleźliśmy, zanim dałam jej jakiegokolwiek wskazówki. Najbardziej prawdopodobną ofiarą płci żeńskiej wydaje się Mary-Frances Lascuola, matka Patricii Keane i kochanka Johna Brace’a. Wygląda jednak na to, że zniknęła z pola widzenia co najmniej pięć lat przed Robbiem. Więc to jest teraz nasz priorytet – dowiedzieć się, co robiła od końca lat osiemdziesiątych, kiedy Brace twierdzi, że stracił z nią kontakt, do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku. Holly, czy sprawdziłaś ten ośrodek odwykowy w Bebington?

– Tak, pojechałam tam i rozmawiałam z jednym z pracowników. Obecnie ośrodek prowadzi organizacja charytatywna, ale do dwa tysiące szóstego był on częścią dużego szpitala NHS. Skontaktuję się z nimi rano. – Holly brzmiała przeprasząco. – Kiedy wróciłam z Bebington, w archiwum nie zastałam nikogo, kto mógłby mi pomóc.

– Przejdźmy się po schroniskach dla kobiet i porozmawiajmy z opieką społeczną i lekarzami rodzinnymi. Hol, czy możesz zrobić to także? Mary-Frances była znaną

narkomanką i chociaż nie brała przez kilka miesięcy, kiedy związała się z Brace'em, zakładamy, że powróciła do nałogu. Nie znamy przyczyny śmierci tej ofiary, więc możliwe jest nawet, że zmarła z przedawkowania lub się sama zabiła.

– Ale chyba sama się nie pogrzebała, prawda? – Joe zdał sobie sprawę, że zachowuje się nonszalancko, gdy tylko się odezwał, ale Vera potraktowała to pytanie poważnie.

– Może po śmierci stanowiła taki sam problem jak za życia – powiedziała – więc ktoś postanowił pozbyć się jej ciała.

– Czy to prowadzi nas z powrotem do Brace'a?

Vera zastanowiła się nad tym przez chwilę.

– Być może. I musimy namierzyć jego przyjaciela, faceta, którego nazywali Profesorem. Należał do gangu, którego członkiem był również Robbie Marshall i może mieć cenne informacje. Ale Brace niekoniecznie jest w to zamieszany i powinniśmy zachować otwarty umysł. Powiedział mi, że stracił kontakt z Mary-Frances na wiele lat przed śmiercią Marshalla i jest szansa, że chociaż raz mówi prawdę. Wiemy na przykład, że Mary-Frances pracowała w tym miejscu. – Zamilkła na chwilę i wskazała na zdjęcie „Mewy”.

– Ten klub wydaje się łączyć wszystkich zamieszanych w tę sprawę. Właścicielem jest Gus Sinclair, który powrócił do Whitley Bay, i dał się poznać jako dobroczyńca i ogólnie miły facet, zaangażowany w rozwój terenów wzdłuż wybrzeża i na St Mary's. Syn Aleca Sinclaira, twardziela z Glasgow. Gus zatrudnił Mary-Frances. Gdyby przedawkowała na jego terenie, kiepsko by to świadczyło o klubie.

Ponownie przerwała i machnęła w kierunku tablicy drewnianą linijką, wyglądającą jakby używała jej jeszcze w szkole. Stukając w plastik, wymieniała nabazgrane tam nazwiska.

– Robbie był stałym bywalcem. Podobnie jak John Brace. Jediną kobietą, którą widziano tam z Robbiem, była menedżerka „Mewy”, niejaka Elaine. Elaine jest teraz żoną Gusa Sinclaira. Były mąż Patty Keane, Gary, również czasami pracował dla Sinclaira i prawdopodobnie zainstalował w klubie system bezpieczeństwa.

Vera nagle wpadła na pewien pomysł i zwróciła się do Joego.

– Czy możesz jeszcze raz porozmawiać z Garym Keane'em? Był młody, kiedy pracował dla Sinclaira i być może rozmawiali przy nim, nie widząc w nim żadnego zagrożenia. Może nawet jego użyli do podłożenia ognia.

– Jasne.

– Czy ktoś wpadł na jakiś przydatny pomysł? Billy? Masz coś nowego z miejsca zbrodni? Billy Cartwright znów przyjął postawę obronną.

– Wiesz, że powiedziałbym ci, gdybyśmy znaleźli coś istotnego, Vero. Zaufaj moim ludziom i daj nam pracować.

– Dobra, dobra, nie możesz winić kobiety za to, że ma nadzieję. Zaczynam wpadać w desperację.

Ale Joe wcale nie uważał, że Vera wygląda na zdesperowaną. Wyglądała młodziej – jasnooka i energiczna – tak jak w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy była początkującą policjantką, walczącą z o swoją pozycję wśród mężczyzn.

Postanowił zadzwonić do Gary’ego Keane’a w drodze do domu. Jeśli tego wieczoru uda mu się zdobyć nowe informacje dla Very, będzie zachwycona. Wbrew sobie, był zazdrosny, że poszła na rozmowę z Sinclairem z Charliem, a nie z nim i chciał udowodnić swoje zaangażowanie. Poza tym nadszedł czas kąpeli najmłodszego dziecka, odrabiania lekcji dla starszych, a godziny przed snem zawsze były nieco nerwowe. Kochał swoje dzieci, ale czasami praca była od nich odskocznią.

Kiedy zaparkował na ulicy, jakaś para w średnim wieku pracowała w społecznym ogrodzie działkowym, więc przystanął na chwilę żeby popatrzeć. Niewiele rozmawiali, ale pracowali w równym rytmie; Joe wyczuwał spokojne porozumienie między nimi i znów ogarnęła go zazdrość. Może nie mieli dzieci, może cały ich związek był swobodny i bezstresowy. Odepchnął od siebie tę myśl, bo wydała mu się zdradą. Kawiarnia była nadal otwarta, obsługiwała ją teraz wesoła młoda kobieta ze środkowoeuropejskim akcentem. Powiedziała, że miał szczęście, że ją złapał, bo właśnie zamyka. Wziął dwa cappuccino na wynos, a następnie zadzwonił do drzwi obok sklepu. Tym razem okiennice były otwarte i mógł zobaczyć starannie uporządkowane półki z naprawionymi komputerami, laptopami i akcesoriami, niezbędnymi dla miłośników zaawansowanych technologii. Ogłoszenie w oknie reklamowało zajęcia z kodowania dla dzieci i kurs komputerowy dla początkujących seniorów. Zdaje się, że Gary Keane rozszerzył swoją działalność.

Okno na piętrze było otwarte, i muzyka wylewała się na ulicę. Jakiś instrumentalny jazzowy kawałek, który Joe niejasno rozpoznał, ale za nic nie potrafiłby nazwać. Pomyślał, że może taką muzykę grano w „Mewie”, gdy była u szczytu popularności i pożałował, że nie był na tyle dorosły, by pójść tam choć raz i docenić romantyzm tego miejsca. Sal byłaby zachwycona, spędziłaby całe popołudnie zastanawiając się, w co się ubrać. Muzyka wydawała się bardzo głośna, więc Joe uznał, że Keane nie usłyszał dzwonka. Zadzwonił jeszcze raz, a potem zapukał do drzwi. Wciąż nie było odpowiedzi, a saksofonowe riffy zagłuszyły jego stukanie. Przekręcił klamkę i drzwi się otworzyły. Wszedł na górę po schodach, niosąc w jednej ręce kawy w tekturowym uchwyście.

– Panie Keane! – zawołał, ponieważ muzyka brzmiała uwodzicielsko, i nie chciał wpakować się w krępującą sytuację, gdyby gospodarz akurat miał jakieś intymne spotkanie.

Łatwo go było zawstydzić, teraz cały czas wyobrażał sobie jak natrafia na Gary’ego Keane’a z jakąś kobietą, mniej lub bardziej rozebranych.

Schody prowadziły do salonu Keane’a, przez lekko uchylone drzwi widział małą kuchnię. W salonie panował taki sam porządek, jak wtedy, gdy Joe był tam po raz ostatni. Żadnej zwiewnej bielizny. Żadnych śladów kobiety, poza tym, że na stoliku kawowym stała butelka Chablis w pojemniku i dwa kieliszki. Była do połowy pełna, ale oba kieliszki były

puste. Ze staromodnego gramofonu płynęła muzyka, płyty były starannie ułożone i czekały na swoją kolej. Lekki wietrzyk z otwartego okna poruszał firankami.

– Panie Keane! – Głos Joe’go zabrzmiał nienaturalnie głośno, ponieważ płyta dobiegła końca. Rozległo się kliknięcie, gdy igła podniosła się automatycznie, a następnie na talerz gramofonu zsunął się kolejny krążek. Tym razem był to wokal. Ella Fitzgerald. Joe rozpoznał ją, ponieważ była ulubienicą jego ojca. Przeszedł przez pokój i zastukał w drzwi naprzeciwko. Wciąż bez odpowiedzi. Założył lateksowe rękawiczki, zanim je otworzył. Śmiesznie by to wyglądało, gdyby Keane pojawił się nagle z kartonem mleka, po który wyskoczył do sklepu, ale sytuacja zaczynała sprawiać dziwne wrażenie.

Była to jedyna sypialnia, wystarczająco duża, by pomieścić podwójne łóżko, z sosnową szafą we wnęce po jednej stronie pionu kominowego. Łóżko było pościelone – nie tylko zmięta pościel przykryta kołdrą, ale porządnie posłane, a poduszki wygładzone. Ani śladu Keane’a. Joe zaśmiał się i pomyślał, że przesadził. Keane i jego przyjaciel wypili wino, a potem wyszli na posiłek lub do pubu, zostawiając przez pomyłkę otwarte drzwi. Ale skoro już tu był, może powinien się rozejrzeć. Być może znajdzie się coś, co mógłby ofiarować Verze, coś, co sprawi, że znów stanie się jej ulubieńcem. W sypialni nie znalazł nic interesującego – ubrania ułożone w szufladach i w szafie. Wszystko schludne. Ubrania wysłużone, ale dobrej jakości. Ile pieniędzy może zarabiać ten człowiek na naprawie i sprzedaży używanych komputerów? Z pewnością ma jakieś inne źródło dochodu.

Za sypialnią znajdowała się mała łazienka z prysznicem. Joe znów odniósł wrażenie, że jest tam nienaturalnie schludnie, jakby Keane specjalnie się postarał, by to miejsce wyglądało porządnie. Białe ręczniki złożone na stalowym relingu, błyszczące krany, wybielacz wciąż w muszli klozetowej. Na kim chciał zrobić wrażenie?

W salonie stał kredens z wąską szufladą i dwiema szafkami. W jednej z nich znajdowały się kieliszki, a w drugiej wybór alkoholi. Znów nic taniego. Duża butelka ginu Islay The Botanist i słodowa whisky. W szufladzie leżały papiery i zdjęcia. Joe wyjął je wszystkie, cały czas nasłuchując głosów na ulicy, kroków na schodach. W tle słychać było tylko głos Elli. Usiadł na sofie z papierami rozłożonymi na stoliku do kawy. Paszport Keane’a, wszystko w porządku, pozostało osiemnaście miesięcy ważności. W ciągu ostatnich dwóch lat dwukrotnie podróżował do USA. Dokumenty związane głównie z działalnością gospodarczą. Ostatnie zeznanie podatkowe. Sklep przynosił zyski, ale tylko niewielkie, więc skąd Keane wziął pieniądze na dwa urlopy w Stanach? Joe zanotował wszystko i pomyślał, że to zainteresuje Verę. Odłożył papiery do szuflady i zajął się zdjęciami.

Pierwsze od razu przykuło jego uwagę. Zostało zrobione na tarasie „Mewy”. Pięciu mężczyzn zebrało się wokół kobiety, ponętnej blondynki z różową szminką i błyszczącymi, niebieskimi powiekami. Keane był tam również, wyglądał na niewiele więcej niż chłopca, obejmował ramionami dwóch mężczyzn, którzy już pojawili się na białej tablicy w pokoju operacyjnym: Robbiego Marshalla i Gusa Sinclaira. Po drugiej stronie kobiety stało jeszcze dwóch mężczyzn. Jednym z nich był John Brace. Drugiego Joe nigdy nie spotkał, ale znał go tak dobrze z opowieści i legend, że stał się ważną częścią jego życia: Hector Stanhope, który

wciąż nawiedzał Verę z za grobu. Mężczyźni byli ubrani w stroje wieczorowe, a kobieta w długą, niebieską jedwabną sukienkę, która więcej odsłaniała niż zakrywała. Wszyscy trzymali w dłoniach kieliszki i najwyraźniej była to jakaś uroczystość. Joe zrobił zdjęcie telefonem i poszedł dalej.

Pozostałe zdjęcia były rodzinne, głównie zrobione w parku i na plaży. Było też jedno studyjne zdjęcie nieśmiało wyglądającej kobiety, prawdopodobnie młodej Patty Keane z dzieckiem w ramionach; sam Keane stał za nimi, odgrywając rolę dumnego ojca. Później zdjęcia przedstawiały głównie dzieci. Jeśli Patty w ogóle się pojawiała, to w tle, wyglądała albo na nieobecna, albo na znużoną. John Brace pojawił się na jednym, ponownie bardziej formalnie skomponowanym. Musiało zostać zrobione tuż przed jego aresztowaniem. Tym razem Patty trzymała malucha na kolanach, a Gary Keane tulił noworodka owiniętego w niebieski kocyk. Brace stał za nimi, wyglądając raczej surowo, jak wiktoriański dziadek. Joe sfotografował wszystkie zdjęcia telefonem, a następnie odłożył je do szuflady. Pomyślał, że nie ma szczęścia. Keane pewnie wróci za chwilę, by dokończyć wino.

Idąc w stronę schodów, pod wpływem impulsu otworzył drzwi do kuchni, myśląc, że może być tam więcej zdjęć, przyklejonych do lodówki lub na tablicy, którą dostrzegł, gdy wszedł do salonu. Drzwi stawiały opór. Za nimi było coś, co uniemożliwiało ich pełne otwarcie. Joe przecisnął się przez szczelinę do pomieszczenia, które było tak wąskie, że stojąc mógł dotknąć obu ścian. Zobaczył, że i tu panował porządek, jak w kambuzie na jachcie. Garnki wyszorowane, wszystko na swoim miejscu. Z wyjątkiem tego, że za drzwiami, skulony niemal w pozycji embrionalnej, leżał Gary Keane. W jego brzuchu tkwił cienki nóż, a na laminowanej podłodze pod nim zbierała się krew.

25.

Po znalezieniu ciała Gary'ego, Joe Ashworth pozostał na miejscu zbrodni. Wykonał niezbędne telefony, po czym wybiegł z powrotem na ulicę. Kawiarnia była już zamknięta, a na drzwiach wisiała tabliczka z informacją, że zostanie ponownie otwarta o siódmej rano następnego dnia. Nie zdążył porozmawiać z baristką o pogodnym uśmiechu, ale ogrodnicy wciąż tam byli, pakując swoje narzędzia na tył samochodu kombi. Joe pokazał im swoją legitymację, więc poszli za nim z powrotem do ogrodu, gdzie mógł mieć oko na wejście do mieszkania Keane'a. W powietrzu czuć było chłód, pierwsze oznaki jesieni, ale nie miał gdzie ich zabrać. Usiedli na jednej z drewnianych ławek, wszyscy w rzędzie, więc musiał pochylić się do przodu, aby porozmawiać z kobietą, która była najdalej od niego.

– O której państwo przyjechali?

Spojrzeni na siebie. Nazywali się Miller, Philip i Becky. Oboje byli nauczycielami, bezdzietni, nie mieli nikogo, do kogo mogliby się spieszyć, z wyjątkiem psa, który mógł spokojnie poczekać nieco dłużej na wieczorny spacer.

– Około szóstej. – Mówiła głównie Becky. Philipowi chyba wystarczało przytakiwanie. – Tylko wypiliśmy herbatę i przebraliśmy się do pracy. O tej porze roku nie ma zbyt wiele do roboty w ogrodzie, ale przychodzimy raz w tygodniu, żeby mieć na niego oko. Żeby utrzymać porządek.

– Czy Keane był jeszcze wtedy w sklepie?

Becky potrząsnęła głową.

– Miałam nadzieję, że tam będzie, bo zazwyczaj opuszcza okiennice, kiedy zamyka. Zniosłam mu niedawno laptopa, żeby rzucił na niego okiem. Musiałam ściągnąć jakiegoś wirusa i Gary powiedział, że będzie w stanie to naprawić. Ale drzwi były zamknięte.

– Nie próbowała pani pójść do niego na górę?

– Nie. To nie byłoby w porządku, skoro skończył już pracę. My też nie lubimy, kiedy rodzice zaczepiają nas na ulicy, żeby porozmawiać o swoich dzieciach. Poza tym, to nic pilnego. – W jej głosie była ta sama spokojna akceptacja, którą Joe wyczuł, obserwując ich pracę.

– Czy zauważyli państwo, że miał jakichś gości? Może ktoś pukał do drzwi mieszkania?

Zamilkli na kilka sekund. Joe przeżył chwilę napięcia, nakłaniając ich w duchu do odpowiedzi. Byliby dobrymi świadkami. Gdyby zauważyli, kto był u Gary'ego, mogłoby to oznaczać przełom w sprawie. Ale potem zgodnie potrząsnęli głowami.

– To nie znaczy, że nie było nikogo – powiedziała Becky. – Gdybyśmy akurat byli odwróceny plecami do ulicy, nie widzielibyśmy nikogo. – Dopiero wtedy okazała ciekawość. – Czy ktoś się do niego włamał?

Joe pomyślał, że nie zaszkodzi im powiedzieć. Nie należeli do osób, które wpadają w histerię lub plotkują.

– Nie – zaprzeczył. – Gary Keane nie żyje.

Wziął od nich numery telefonów, gdy zobaczył Verę podjeżdżającą samochodem służbowym. Podziękował parze i powiedział, że musi iść. Poszli razem z nim z powrotem na ulicę i do samochodu. Kiedy odwrócił się, by się z nimi pożegnać, zobaczył, że wciąż tam są, patrząc na niego, najwyraźniej w końcu zaciekawieni.

Vera zakładała kombinezon ochronny. Oparła się o słup latarni i wciągała nogawki. Kiedy skończyła, rzuciła mu drugi.

– Doktor Keating jest już w drodze, Billy Cartwright i jego zespół. Lepiej zostań tutaj, dopóki nie przyjadą mundurowi, by zabezpieczyć dostęp. Potem chodź na górę i dołącz do mnie.

Kiedy ją znalazł, stała w kuchni i patrzyła na Gary'ego Keane'a. Usłyszała jak wchodzi po schodach i krzyknęła, by dać mu znać, gdzie jest.

– Obawiam się, że nie był przyzwoitym człowiekiem, ale nikt nie zasługuje na coś takiego, prawda? – Odwróciła się z powrotem do Joego. – Jak myślisz, co tu się wydarzyło?

– Wpuścił kogoś, kogo znał. Może kogoś, komu chciał zaimponować. W mieszkaniu panował porządek. Było dość czyste, kiedy przyszedłem ostatni raz, ale powiedziałbym, że tym razem specjalnie się postarał. I kupił butelkę dobrego wina.

– Przypuszczamy, że to kobieta?

– Możliwe, że tak. Albo mężczyzna, dla którego chciał popracować. Albo się z nim dogadać.

– To nie może być przypadek. Vera stała na szeroko rozstawionych nogach, opierając ręce na biodrach. W kuchni nie było już prawie miejsca dla Joego, więc został w drzwiach. – Dwa ciała i teraz to.

– Są dowody na to, że znał Marshalla, Brace'a i Sinclaira. Miałem okazję rozejrzeć się po mieszkaniu, zanim znalazłem ciało. – Joe zaprowadził ją z powrotem do salonu i pokazał zdjęcia.

Rozłożyła je na stoliku do kawy, tak jak on to zrobił, gdy był tam sam, i wskazała na zdjęcie studyjne Gary'ego i jego rodziny, z Johnem Brace'em stojącym za nimi. Musiało zostać zrobione tuż przed aresztowaniem Brace'a. Ciekawe, że Gary znał go wcześniej, zanim ożenił się z Patty. Przeniosła wzrok na zdjęcie zrobione przed „Mewą” i wpatrywała się w nie. Joe pomyślał, że jej uwaga skupiła się na Hectorze.

– Nigdy nie widziałam go we fraku. – Mówiła do siebie, pogrążona we wspomnieniach. – Ciekawe, gdzie go trzymał.

Okno było nadal otwarte i słychać było głosy na chodniku na dole; umundurowany funkcjonariusz notował nazwiska przybyłych.

- To Paul Keating. - Vera jakby się ocknęła. - Zejdę im z drogi, zanim zaczną. I tak ciasno tu jak w ulu. Poprosiłam Hol, żeby przyszła i zaczęła zbierać zeznania od mieszkańców. Podejrzewam jednak, że nie uda nam się wiele zdziałać tego wieczoru. Tu są prawie same sklepy, prawda?

- Myślę, że gość prawdopodobnie przybył przed szóstą. Joe zastanawiał się nad tym od chwili rozmowy z Millerami. - Keane zwykle opuszczał rolety w sklepie pod koniec dnia pracy, ale kiedy przyjechałem, były podniesione. To sugeruje, że wciąż był w zakładzie, gdy pojawił się jego gość i nie miał czasu, żeby go porządnie zamknąć. Rozmawiałem z parą, która pracowała w ogródku od szóstej. Sklep był już wtedy zamknięty i nie widzieli, żeby ktoś tam wchodził.

Kiwnęła głową, na znak, że akceptuje jego rozumowanie i poszła w stronę schodów.

- Dokąd pani idzie? - Jeśli miała jakiś pomysł, który mógłby coś zmienić w tej sprawie, to chciał brać w tym udział.

- Zobaczyć się z Patty Keane - powiedziała - żeby powiedzieć jej, że jej były, ojciec jej dzieci, nie żyje.

26.

Właśnie skończyli herbatę, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. W progu stała Freya. Zwykle opiekunka społeczna spieszyła się, bo wpadała do nich w drodze z pracy do domu. Pytała, czy wszystko w porządku, zadawała dzieciom kilka pytań na temat szkoły, a potem odjeżdżała swoim eleganckim samochodem. Wyglądało to tak, jakby wizyta była dla niej comiesięcznym obowiązkiem i wystarczała jej wiedza, że wszyscy jej podopieczni żyją. Jakby Patty była podpunktem na liście, który należało odhaczyć.

Dziś miała jakby więcej czasu i Patty zastanawiała się, czy to sprawka Very. Pewnie Vera powiedziała jej o rozbitym oknie.

– Słyszałam, że miała pani włamanie – powiedziała Freya. – Czy wszystko w porządku?

Patty wyjaśniła, że nic nie zginęło i że szklarz był już wymienić szybę.

– Prawdę mówiąc, myślimy, że to mogły być dzieci. Taki bezmyślny wandalizm. – Te słowa zabrzmiały bardzo dorośle i spokojnie, jakby zapomniała o panice, która ogarnęła ją tamtego dnia, gdy wróciła do domu i zobaczyła szkło na podłodze.

Potem Freya – o dziwo – usiadła i zagrała z Archiem. W Snapa. Wygrywał z nią za każdym razem, a Patty widziała, że Freya wcale nie dawała Archiemu forów.

– Ma tu pani bystrą iskierkę – powiedziała Freya. Musi panią naprawdę męczyć. Potem powiedziała, że jest pewien klub, do którego mógłby chodzić podczas przerwy semestralnej. Był przeznaczony dla zdolnych i utalentowanych dzieci, i pewnie łatwiej by jej było z Archiem w domu, gdyby cały dzień był czymś zajęty.

– Rozmawiałam z jego nauczycielką i powiedziała, że czyta najlepiej w klasie.

Patty poczuła przyływ dumy i pomyślała, że to najwspanialsza rzecz, jaka jej się przytrafiła od wieków. Poza tym Jonnie i Jen byliby o wiele łatwiejsi do opanowania, gdyby Archie był poza domem. Kiedy Freya wyszła, Patty położyła chłopców do łóżek i sprawdziła, czy Jen nie ogląda niczego nieodpowiedniego na swoim tablecie. Dopiero gdy w domu zapanowała cisza, znów pojawiło się poczucie winy. Patty wiedziała, że powinna być lepszą matką. Dobra matka zawsze kontrolowałaby, co oglądają jej dzieci, grałaby z nimi w gry planszowe i zachęcałaby je do wyjścia na świeże powietrze, gdy wieczory były jeszcze jasne. Tylko, że przygotowywanie jedzenia i pranie pochłaniało większość jej energii i przygniatało ją poczucie winy, że nie potrafi lepiej sobie radzić.

Tego wieczoru byli cicho, co przyniosło jej ulgę. Spojrzała na stertę naczyń w zlewie i zastanawiała się, czy zmywanie może poczekać do jutra. Ale gdyby je zostawiła, nie byłoby misek na jutrzejsze śniadanie, więc naląła wody do zlewu i zabrała się do pracy. Właśnie skończyła i myślała o filiżance herbaty i kilku odcinkach Come Dine With Me, przed pójściem do łóżka, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Poszła do salonu i wyjrzała przez

szare firanki, zanim otworzyła. To była Vera, ta potężnie zbudowana policjantka więc Patty pospieszenie ją wpuściła, ciesząc się, że ją widzi, bo fajnie byłoby spędzić trochę czasu w dorosłym towarzystwie. Nie mogła się doczekać, aż przekaże Verze dobre wieści o postępach Archiego w szkole.

– Późno pani kończy pracę. – Ponieważ było już ciemno i na całym osiedlu paliły się światła uliczne. – Okno jest w porządku. Nie trzeba było przychodzić i sprawdzać.

– Jest coś, co chciałam ci powiedzieć. – Vera weszła do domu i przeszła do kuchni, po czym włączyła czajnik, jakby była właścicielką tego mieszkania. Patty nie miała nic przeciwko. – Zanim prasa się o tym dowie.

– Co? – Patty wiedziała już o dwóch ciałach z okolic wyspy St Mary's. To było już w wiadomościach. – Czy to moja mama została pochowana w przepuście na wybrzeżu? Czy to właśnie przysłała mi pani powiedzieć?

Przez chwilę Vera wyglądała na nieco zdezorientowaną.

– Przykro mi, ale nie możemy zidentyfikować obu tych osób. Jeszcze nie. Jeśli jedna z nich jest twoją matką, przyjdę ci powiedzieć, jak tylko się dowiemy. Nie, to coś innego. Chodzi o Gary'ego.

– Co zrobił tym razem? – Ponieważ Patty wiedziała, że Gary zawsze zawsze coś kręcił, zawsze kombinował na lewo. Kiedy mieszkali razem, pieniądze nagle pojawiały się znikąd, a kiedy pytała, stukał się w nos i mówił, że zrobił mały interes. I żeby się nie martwiła.

– On nic nie zrobił. – Vera zaparzyła herbatę, najpierw wycierając czyste kubki z ociekacza. Przeniosła je do salonu i postawiła na parapecie, po czym poczekała, aż Patty usiądzie, zanim ponownie się odezwała. – Nie żyje, kotku. Został pchnięty nożem. Przypuszczamy, że dziś wieczorem.

Pierwszą myślą Patty było to, że nie będzie już wspaniałych snów o tym, że znowu są razem. Nie będzie mogła leżeć w łóżku rano, gdy w domu wciąż jeszcze jest cicho i tylko Archie wstaje i schodzi na dół, a ona patrzy na słońce na suficie, wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby zebrała się na odwagę i znów spotkała Gary'ego. Podniosła słuchawkę telefonu i porozmawiała z nim. Czasami tylko te marzenia trzymały ją przy życiu. Wiedziała, że Gary nie wróci do niej, jeśli będzie w rozsypce, więc musiała doprowadzić się do porządku. A teraz, po co? Zdała sobie sprawę, że płacze, a łzy i smarki spływają jej po twarzy. Vera poszperała w torebce i wyjęła porządną chusteczkę, dużą i przeznaczoną dla mężczyzn, niezbyt czystą, ale suchą.

Patty wytarła twarz.

– Przepraszam.

– Nie bądź głupia, kotku, to musiał być szok. – Chwila przerwy. – Ucieszyłby się, gdyby wiedział, że ktoś po nim płacze.

Patty spojrzała na nią.

– Kto go zabił? Jakiś facet w barze? Potrafił wkurzyć ludzi, gdy wypił trochę za dużo. Ale przez większość czasu był uroczy.

Vera potrząsnęła głową.

– Został zamordowany w domu.

– Przez kogo? – Patty zastanawiała się, czy był to ktoś, kogo знаła, ale wątpiła w to. Gary zawsze oddzielał dom od spraw służbowych, a kiedy pytała, dokąd idzie, bo większość wieczorów spędzał poza domem, odpowiadał tak samo: „W interesach”. W końcu przestała pytać. Być może nie chciała wiedzieć.

– Nie wiemy tego i dlatego muszę ci zadać kilka pytań. Dasz radę?

Patty skinęła głową. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła, była samotność.

– Tylko pójdę i zgaszę światło Jen. W przeciwnym razie nie będzie mogła zasnąć przez całą noc. – Przy drzwiach do salonu zatrzymała się. – Jak pani myśli, czy powinnam jej powiedzieć? Tylko ona go dobrze pamięta.

– Może nie dzisiaj – powiedziała Vera. – Szczególnie, jeśli już prawie zasnęła. Z samego rana, i może niech nie idzie do szkoły, żeby miała czas na oswojenie się z sytuacją.

Patty ponownie skinęła głową i weszła na górę. Jen spała, jej tablet leżał na poduszce obok. Patty wyłączyła go, wygładziła poszewkę, pogłaskała córkę po włosach i znów poczuła się jak prawdziwa mama. Zgasiła światło i wróciła do Very. Kiedy nie było jej w pokoju, kobieta wrzuciła wszystkie należące do Archiego figurki Octonautów do pudełka z zabawkami w rogu, zaciągnęła zasłony i włączyła lampę. W półmroku nie było widać kurzu ani plam na dywanie, a pokój wydawał się przytulny.

– Co chce pani wiedzieć? – spytała Patty. – Nie widziałam się z nim, odkąd odszedł.

– Mamy tu całkiem niezły zbieg okoliczności. – Vera piła herbatę, ale jej oczy były utkwione w twarzy Patty. – Znajdujemy te ciała na wybrzeżu, a potem Gary zostaje zasztytowany. Zastanawiam się, czy coś o nich wiedział. Może groził, że coś powie, albo żądał pieniędzy za milczenie. Co ty na to?

Patty, teraz już spokojniejsza, zastanowiła się nad jej słowami.

– Skąd miałby wiedzieć cokolwiek o tych zmarłych? Czy ciała nie zostały pochowane lata temu?

– Sądźmy, że jednym z nich był Robbie Marshall. – Głos Very był spokojny. – I wiemy, że Gary się z nim zadawał. Są obaj na zdjęciu, które Gary miał u siebie w mieszkaniu. Zrobiono je przed klubem „Mewa” w Whitley. Prawdopodobnie zanim się poznaliście. – Uśmiechnęła się lekko. – Nie wydaje mi się, żebyś należała do dziewczyn, które chodzą do klubów. Na tym samym zdjęciu jest też twój ojciec i niejaki Angus Sinclair. – Wyglądała, jakby chciała dodać jeszcze jedno nazwisko, ale chyba się rozmyśliła. – Czy Gary kiedykolwiek wspominał o Sinclairze?

Patty potrząsnęła głową, nie starając się zbyt przywołać żadnych wspomnień. To wszystko nie miało dla niej sensu.

– Albo o kimś, kogo nazywano Profesorem? – Vera zmarszczyła brwi i Patty domyśliła się, że pytanie było ważne. Ponownie potrząsnęła głową.

– Gary nigdy nie chodził do college’u. Nie znał takich osób.

– Wiedziałaś, że Gary znał Johna Brace'a, twojego ojca, zanim namierzyłaś go przez ludzi zajmujących się adopcją? – Vera odstawiła kubek na podłogę obok siebie, po czym ponownie spojrziała na Patty.

Tym razem Patty coś sobie przypomniała. Byli w małym domku, który wynajmowali w North Shields. Dowiedziała się, że jest w ciąży z Jonnym, a Jen właśnie zaczęła chodzić. Wydawało się, że to było wieki temu.

– Wróciłam z opieki społecznej i powiedziałam, że namierzyli mojego tatę. Gary'emu to nie interesowało. Nie bardzo. Dopóki nie powiedziałam mu nazwiska.

– A potem?

– Powiedział: „John Brace, ten glina?”. Nie wiedziałem wtedy, jaką pracę wykonywał mój ojciec, więc nie mogłem odpowiedzieć. Wtedy Gary dodał: „Założę się, że tak, że to ten stary drań”. Pomyślałem, że być może mój tata kiedyś go aresztował. Gary miał trochę kłopotów, gdy był młodszy. Do głowy mi nie przyszło, że mogli się znać.

– Gary miał niezły temperament. – To nie było pytanie. – Czy kiedykolwiek wyżywał się na tobie i dzieciach?

– Nie! – Patty rozzłościła się na samą myśl, ale potem przypomniała sobie nastroje Gary'ego, to, jak krążył po domu, krzycząc na wszystkich. – Nie fizycznie. Myślę, że wpadł w depresję, a potem nie był zbyt miły dla otoczenia.

– Czy kiedykolwiek poszedł do lekarza z powodu depresji?

Patty potrząsnęła głową.

– Raz mu to zasugerowałam, ale nie chciał. Myślę, że jego mama miała problemy ze zdrowiem psychicznym. Stracił kontakt z rodziną, ale opowiadał o niej, gdy zaczęliśmy się spotkać. Skończyła w szpitalu, a on powiedział, że nigdy mu się to nie przytrafi.

– Kiedy widzieliście się po raz ostatni?

Patty przypomniała to sobie bez trudu.

– Jakiś miesiąc po tym, jak nas zostawił. Archie był jeszcze mały, więc to było jakieś pięć lat temu. Gary pojawił się tu, w domu.

W głowie odtworzyła sobie tę scenę. Stała w kuchni, właśnie wróciła po odprowadzeniu starszych dzieci do szkoły. Była zima i na wszystkich kaloryferach wisiały dziecięce ubranka. Wszędzie panował bałagan. Zaczęła już odpuszczać sobie to i owo. Wtedy otworzyły się drzwi wejściowe. Bez ostrzeżenia. Bez pukania. Stał w nich Gary, wyglądając po prostu odjazdowo, ubrany w skórzaną kurtkę, której nigdy wcześniej nie widziała i szalik Burberry. Pomyślała wtedy, że wraca i wszystko znów będzie dobrze. Będą prawdziwą rodziną, a on będzie leżał w jej łóżku każdej nocy i będzie jej z nim cudownie. Zamiast tego spojrział na nią z góry, jakby była psim gównem na jego bucie. „Przyszedłem tylko po parę rzeczy”.

Słyszała, jak poruszał się na górze a potem zszedł na dół, niosąc stertę ubrań. Archie zaczął grymasić, a ona trzymała go w ramionach, próbując go uspokoić. Myślała, że Gary będzie chciał zobaczyć przynajmniej jego. Zawsze lubił dzieci, kiedy były małe i nie umiały się odszczeknąć. To było tak, jakby w jakiś sposób wciąż były częścią Gary'ego, dopóki nie

rozwinęły własnych osobowości. Ale on tylko rzucił klucze na kuchenną ławę. „Nie będą mi już potrzebne”. Potem odwrócił się i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

– Nie widziałaś Gary’ego od tamtego czasu? – Głos Vera wdarł się w jej wspomnienia.

Patty potrząsnęła głową.

– Dał mi wtedy jasno do zrozumienia, że nie wróci. – Zrobiła pauzę. – To była moja wina. Był starszy ode mnie i lepiej sobie radził. Pewnie traktował mnie jak kolejne dziecko. Rozumiem, dlaczego działałam mu na nerwy.

– Naprawdę tak myślisz? A może to on ci to powiedział? – Vera zamilkła na chwilę. – Według mnie, to on był dużym dzieckiem z tymi swoimi napadami złości. W dodatku nie wziął żadnej odpowiedzialności za własne dzieci.

– Kochałam go – powiedziała Patty. – Naprawdę go kochałam.

– Wiem, kotku.

Patty pomyślała jednak, że Vera nie mogła tego wiedzieć, ponieważ nie wyobrażała sobie, by ta duża kobieta mogła zrezygnować ze swojej niezależności dla kogokolwiek. Poza tym była silna, a nie potrzebująca jak Patty. Nie pragnęła miłości.

– Muszę o to zapytać. Rozumiesz, prawda? Będziemy rozmawiać ze wszystkimi, którzy go znali. – Vera niezręcznie poklepała Patty po ramieniu. – Gdzie byłaś dziś wieczorem około piątej? Wiemy, że do tego czasu Gary był w swoim sklepie i sądzimy, że później miał gościa. Kogoś, kogo znał i wpuścił do mieszkania.

– Byłam tutaj – powiedziała Patty. – Tak jak zawsze. Dałam dzieciom herbatę, usiadłam i pooglądałam z nimi telewizję.

– Czy ktoś cię tu widział? Sąsiad lub znajomy?

Patty nie chciała jej mówić, że tak naprawdę nie ma znajomych, że mamuśki na placu zabaw śmiertelnie ją przerażają. Wtedy sobie przypomniała. Przecież przyszła Freya!

– Freya, opiekunka społeczna. Wpadła po drodze do domu a my zdążyliśmy już wypić herbatę, więc musiało to być około szóstej. Chciała porozmawiać z dziećmi indywidualnie, a potem bawiła się z Archiem, więc była tu przez prawie godzinę. – Patty chciała powiedzieć Verze o czytaniu Archiego, ale przechwalanie się tym, gdy Gary nie żył, wydało jej się trochę bezduszne.

Vera rozpromieniła się, a Patty wyczuła, że jej ulżyło. Pewnie na myśl, że może skreślić ją z listy podejrzanych.

– Czy ktoś tu był i szukał Gary’ego? – zapytała Vera. – Albo próbował dodzwonić się do niego?

Patty potrząsnęła głową.

– Nie, odkąd odszedł. Jego koledzy czasami dzwoniли, kiedy jeszcze tu mieszkał, ale nie zostawali na herbatę. Wpadali tylko po to, by go zabrać na miasto.

– Jakieś nazwiska?

– Przykro mi, ale Gary nie mówił zbyt wiele o swoim życiu poza domem.

- Czasami myślę, że chodziło o pracę. Jeździł do domów i biur, by naprawiać ich komputery. Był genialnym komputerowcem.

Vera skinęła głową.

- Dasz sobie radę, kotku? Wiem, że nie byliście razem od jakiegoś czasu, ale najwyraźniej darzyłaś go sympatią. Czy jest ktoś, kto mógłby z tobą posiedzieć?

- Nic mi nie będzie! - Ponieważ nie było nikogo, do kogo Vera mogłaby zadzwonić, aby dotrzymał Patty towarzystwa. A poza tym, to była prawda. Nic jej nie będzie.

27.

W mieszkaniu Keane'a na Anchor Lane, Joe próbował nie zwracać uwagi na pracę zespołu oględzinowego, starając się odtworzyć w myśli przebieg wydarzeń. Znalazł pęk kluczy na haczyku w kuchni i kiedy upewnił się, że Keating i Cartwright mają wszystko, czego potrzebowali, zszedł na dół. Funkcjonariusz, który przybył zaraz po nim, wciąż tam stał, na skraju kordonu oznaczonego policyjną taśmą. W bardziej zamieszkałej dzielnicy przyciągnęłoby to tłum gapiów, poszukiwaczy wrażeń pragnących zobaczyć kryminalistykę na własne oczy, ale tu ulica była pusta. Jakiś starszy mężczyzna spacerował z psem na działkach, ale zdawał się nie zauważać obecności policji i zniknął w uliczce po przeciwnej stronie placu.

– Jak długo tu stoisz, kolego? – Joe wiedział, jakie to uczucie. Nuda i głód, i coraz większa potrzeba, żeby się odlać.

Policjant uśmiechnął się. Wyglądał bardzo młodo.

– Ktoś już jedzie, żeby mnie zwolnić. Powinienem jeszcze zdążyć do pubu przed zamknięciem. Mniej więcej.

Joe pomyślał, że optymista z niego, ale nic nie powiedział i pomachał kluczami. – Zobaczą tylko, czy uda mi się dostać do sklepu, jeśli chcesz to odnotować.

Policjant skinął głową.

Do otwarcia drzwi sklepu potrzebne były dwa klucze. Keane spieszył się, ale nie aż tak bardzo, żeby nie zamknąć drzwi. Joe znalazł kontakt tuż za drzwiami i pomieszczenie nagle zalało jasne, neonowe światło. Panowały w nim kontrasty: ostry cień i blask. Joe przeszedł obok półek, ale nie był pewien, czego szuka. Lepiej sobie radził z komputerami niż Vera, ale to niewiele mówiło. Sal była bardziej obyta niż on, zawsze siedziała na Facebooku lub robiła zakupy online.

Sklep składał się z dwóch części, przedzielonych cienką ścianką działową. Za drzwiami były półki z najnowszymi zabawkami technicznymi do obejrzenia, potem lada, a następnie przesuwne drzwi prowadzące do czegoś, co wyglądało na pomieszczenie biurowe, magazyn i warsztat. Na biurku stał komputer i kilkupoziomowa tacka na papiery. W rogu znajdowała się mała szafka na dokumenty, a pod ścianą – stół warsztatowy ze skrzynką z narzędziami i zestawem małych śrubokrętów i kombinerek. Nad stołem wisiała półka z urządzeniami, które wyglądały na już naprawione. Każde z nich było oznaczone brązową etykietą. Joe poszukał nazwiska Millerów, ale wyglądało na to, że Becky będzie musiała znaleźć kogoś innego do naprawy swojego laptopa.

Wiedział, że lepiej nie dotykać komputera. Zabierze go technik od informatyki, a zespół Billy'ego Cartwrighta przeniesie się tutaj, gdy tylko skończą w mieszkaniu na górze. Zaczął

przeglądać dokumenty z tacek na biurku. Wszystko było w idealnym porządku. Faktury od dostawców zostały zapłacone, a paragony zachowane. Joe zastanawiał się, gdzie Gary Keane się tego nauczył. Dokumenty były o wiele lepiej zorganizowane, niż można by się spodziewać po chłopaku z temperamentem, który od najmłodszych lat zadawał się z przestępcami. Joe doszedł do wniosku, że być może Keane potrzebował porządku, kontroli, a jego gniew brał się z chaosu i sytuacji, z którymi nie potrafił sobie poradzić. Trójka małych dzieci i niezaradna żona mogą tak wpłynąć na każdego. Po raz pierwszy poczuł współczucie dla zmarłego mężczyzny.

Otworzył szafkę na akta. Wyglądało na to, że na dolnej półce znajdowały się dokumenty archiwalne. Być może Keane nie lubił niczego wyrzucać. Znowu ta potrzeba kontroli. Znalazł faktury sprzed wielu lat. Były zamazane, na cienkim papierze, kopie rachunków wysyłanych do różnych pracodawców i przechowywane w dużych brązowych papierowych kopertach z rokiem wypisanym na wierzchu. Joe znalazł rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty, i nagle ogarnęło go podniecenie. Wydawało mu się, że wszędzie panuje porządek i nic tu nie znajdzie; teraz mógł odkryć dowody na to, że Sinclair zapłacił Keane'owi za podpalenie jego klubu. Może nawet na to, że Keane był zamieszany w morderstwo Robbiego Marshalla.

Rzucił cienkie kartki na biurko i przejrzał je. Większość wydawała się legalna i została wysłana do osób o nazwiskach, które nic dla Joego nie znaczyły. Za zainstalowanie systemu bezpieczeństwa w barze „Amazon”. Za ogólną konserwację elektryki w „Hotelu przy Plaży”. W każdym przypadku Keane nabazgrał na rachunku, że zapłacono. Potem Joe natknął się na jeden, w którym nazwisko na górze faktury rzuciło mu się w oczy. Hector Stanhope. Opis pracy wykonanej przez Keane'a nie był konkretny. Za wykonane usługi. Ale Hector musiał zapłacić, ponieważ to samo słowo było nabazgrane na kopii rachunku. Joe włożył wszystkie kartki z powrotem do koperty. Będzie musiał o tym powiedzieć Verze, ale ta rozmowa może poczekać do rana.

Już miał wychodzić, gdy pod wpływem impulsu podniósł słuchawkę telefonu. Usłyszał sygnały dźwiękowe oznaczające wiadomość. Wybrał 1571 i czekał. Mężczyzna po drugiej stronie linii mówił arystokratycznym, ale przyjaznym głosem. „Cześć Gary, tu Profesor. Myślę, że powinniśmy się spotkać, prawda? Myślę, że powinienś mi coś do powiedzenia. Spróbuję zadzwonić na twoją komórkę”.

Joe odłożył słuchawkę. Prawie przestał wierzyć, że Profesor istnieje. Teraz oprócz tytułu mieli jeszcze głos i wiedział, że Vera będzie zachwycona. Ale to też mogło poczekać do rana.

28.

Spotkali się wcześniej następnego dnia, cały zespół stłoczył się w sali odpraw. Verę, która stała przy drzwiach i czekała, aż wszyscy zajmą miejsca, ogarnęła na moment klaustrofobia i panika, spowodowana nie tylko tłokiem, ale też nadmiarem informacji i stresem, jak wiele pozostało jeszcze do zrobienia. Watkins siedział jej na plecach, domagając się odpowiedzi, których nie mogła mu udzielić. Wyczuwała, że chce, by poniosła porażkę.

Nadal sprawdzali kontakty Robbiego Marshalla, ale teraz musieli też przyjrzeć się klientom i przyjaciołom Gary'ego Keane'a. Ściągnęli personel z całego regionu; minie jednak trochę czasu, zanim nowi ludzie nabiorą skuteczności. Trzeba było zrobić odprawę dla wszystkich. Próbowwała uporządkować priorytety w swojej głowie, gdy po schodach wbiegł Joe i dołączył do niej.

– Czy jest szansa na krótką rozmowę, zanim zaczniemy? – Wydawał się zdenerwowany, trochę skrępowany.

Spojrzała na zegarek. Zostało jeszcze pięć minut.

– Bardzo krótką.

– Chciałem tylko powiedzieć, że Gary wykonał jakąś pracę dla pani taty. Przechowywał rachunki sięgające wiele lat wstecz. Wczoraj wieczorem pobieżnie obejrzałem jego biuro.

– Który to był rok?

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci, czyli przed zaginięciem Robbiego Marshalla.

Vera próbowała sobie przypomnieć, co wtedy robiła. Przed trzydziestką próbowała wyrobić sobie reputację w policji, jako konstabl. Hector wciąż był sprawny, tylko czerwona twarz i wybuchowy temperament wskazywały na problemy z sercem, które dopadły go w późniejszym życiu.

– Może pani tata zatrudnił go do jakiejś roboty związanej z elektroniką? Może zrobił mu system bezpieczeństwa w domu? Niewiele osób miało wtedy prywatne komputery.

Joe Ashworth starał się być pomocny, ale niepotrzebnie przerywał jej tok myślenia. Chciała wyobrazić sobie siebie z tamtych lat, była wtedy młodsza i miała przed sobą prawie całe życie zawodowe. Nie tak jak teraz, prawie wypalona, zmuszona do odpowiadania przed niesympatycznym szefem.

– Nie widywałam wtedy ojca zbyt często – powiedziała. – Był ciągle zajęty.

I nie podobało mi się to, co robił, dodała w myślach.

Pomyślała, że Hector prędzej zatrudniłby Gary'ego do unieszkodliwienia systemu bezpieczeństwa, niż do jego zainstalowania. Podejrzewała swojego ojca o kradzież jaj

rybołowa ze słynnego miejsca łęgowego w Highlands. RSPB zainstalowało tam kamerę i zatrudniło strażników, ale jaja i tak zniknęły.

– Jest coś jeszcze.

– Mów. – Kilku spóźnialskich przepchnęło się obok niej do pokoju. Ludzie, którzy dotarli tam wcześniej i czekali, robili się niespokojni. Wiedziała, że już czas zaczynać.

– Na jego automatycznej sekretarce była wiadomość od Profesora. A przynajmniej od kogoś, kto się tak przedstawił. Nasz zaginiony członek Gangu Czterech. Nagrałem to na swój telefon. To kolejna rzecz, która łączy te sprawy.

– Prawda? – Pomyślała, że ma teraz swój priorytet. Bezwzględnie musieli namierzyć tajemniczego mężczyznę, który był częścią życia Hectora i pojawił się na miejscu zdarzenia w tym samym czasie, gdy Gary Keane został pchnięty nożem.

Joe odtworzył nagranie pod koniec zebrania. Vera miała nadzieję, że od razu rozpozna głos. Możliwe przecież że kiedyś poznała tego mężczyznę, a przynajmniej odbierała od niego wiadomości przez telefon, gdy Hectora nie było w domu.

– Głos brzmi znajomo – powiedział Joe – ale bez kontekstu nie mogę sobie przypomnieć, gdzie go słyszałem.

Verze nie przychodziło nic do głowy; nie miała nawet mglistego poczucia, że skądś go zna. Mężczyzna miał dystyngowany, ale staromodny akcent, którego używali starsi politycy z Partii Torysów i lektorzy wiadomości telewizyjnych z dawnych czasów. Chyba nikt już teraz tak nie mówił. Być może przerysowywał okrągłe samogłoski, aby zrobić wrażenie na Keane'ie. Może była w tym nawet nutka autoparodii. Ale za to mogli od razu odrzucić podejrzenie, że to Sinclair był Profesorem. Jego głos był bardziej miękki i nawet gdyby potrafił naśladować taki akcent, na pewno nie udałoby mu się to tak dobrze.

– Niech technicy jak najszybciej wyciągną wszystko, co się da z tego nagrania – powiedziała. – Powinno się udać zidentyfikować numer, a to da nam nazwisko. – Przyszło jej do głowy, że prawie cała ta sprawa kręci się wokół tematu tożsamości. Nadal nie wiedzieli, kim była kobieta ukryta w przepuście. Nie było dowodu na to, że była Mary-Frances Lascuola. Teraz próbowali namierzyć potencjalnego podejrzanego, który miał tylko pseudonim. Odesłała większość grupy do pracy ze słowami zachęty, które brzmiały fałszywie nawet w jej uszach i pozostali tylko główni członkowie jej własnego zespołu. Usiedli w kącie pokoju. Charlie zniknął i wrócił niemal natychmiast z kawą w tekturowych kubkach, w kieszeni kurtki miał po tabliczce czekolady dla każdego.

– Ale się uwinąłeś. – Vera była pod wrażeniem. – Czy ostatnio dorabiasz jako magik?

Zrobił zakłopotaną minę i powiedział, że spotyka się z szefową stołówki.

– Odważna babka! – Ale Vera była zadowolona. Kiedy odeszła żona Charliego, podupadł na zdrowiu; teraz tryskał energią, bardziej niż kiedykolwiek.

Tak jak Vera podejrzewała, Holly nie dowiedziała się niczego ciekawego podczas wieczornego obchodu okolicznych sklepów.

– Kawiarnia obok firmy Keane'a będzie już otwarta – powiedział Joe. – Dziewczyny mogły zauważyć, czy ktoś wchodził do mieszkania lub sklepu. Gdy wczoraj wieczorem

dotarłem do Bebington, była jeszcze czynna.

– Pojedź tam jeszcze raz, Hol. Przewietrzysz się trochę po tylu godzinach spędzonych przed komputerem. Skoncentruj się na sklepach i kawiarni. Tamtejsi przedsiębiorcy na pewno się znają i mogli rozpoznać nieznanego, zwłaszcza późno, w porze zamykania sklepów. – Vera zrobiła pauzę. – Charlie, potrzebuję poznać tożsamość naszych dwóch zagadek – denatki i tego faceta, który nazywa siebie Profesorem. To już przestaje być zabawne. Jeśli nasi przyjaciele z prasy dowiedzą się, że wciąż nie mamy nazwiska zmarłej kobiety z pobliza St Mary's, załatwią nas na cacy. Ktoś musi znać nazwisko Profesora. Czy on jest prawdziwym profesorem? Zadzwoń do lokalnych uczelni, porozmawiaj z pracownikami administracyjnymi, a nie akademickimi, zobacz, czy ktoś z nich rozpoznaje ten głos. – Kolejna pauza. – Zastanawiałam się, czy profesor może być Sinclairem, ale Gus wyglądał na zdezorientowanego, kiedy zapytałam go, czy lubi przebywać na wsi, a do tego głos w telefonie w niczym go nie przypomina.

– A co ja mam zrobić? – Joe wydawał się urażony, że jest ostatni na liście. Vera o mało nie zaproponowała, by poszedł razem z nią – najbardziej lubiła pracować razem z nim – ale mógł lepiej spożytkować swój czas.

– Ty zajmiesz się sprawami technicznymi. Na komputerze Keane'a będą różne rzeczy: kontakty biznesowe, prywatne e-maile. Sprawdzaj wszystko, co może być istotne. Sam sobie wyznacz priorytety, ale tak jak powiedziałam na odprawie, myślę, że na szczycie listy jest namierzenie numeru, z którego dzwonił Profesor, kiedy zostawił wiadomość na biurowym telefonie Keane'a. – Vera uśmiechnęła się, omiatając wzrokiem wszystkich po kolei, niczym promieniem latarni morskiej. – Pierwsza osoba, która poda mi to nazwisko, otrzyma bardzo ekskluzywną butelkę szkockiej. – Zaczęła zbierać notatki. – Jeśli ktoś będzie mnie potrzebował, to wybieram się nad morze, ale najpierw muszę zadzwonić.

Wyszła z pokoju i udała się do swojego pokoju, zamknęła drzwi i przeżyła kolejną chwilę paniki. Takie uczucie braku pewności siebie, jakby pod jej stopami za chwilę miała otworzyć się przepaść, a ona nie miała nic, na czym mogłaby się oprzeć; żadnych odczuć poza pędem powietrza, gdy spadała w dół, ku nieuchronnej katastrofie. Nienawidziła zamętu, jaki panował w tym śledztwie i braku pewności. Nie było tu logicznego ciągu wydarzeń, nie miała się czego trzymać. Usiadła przy biurku, przytrzymała się blatu z braku innych punktów oparcia i wmówiła sobie, że pozostało jej tylko jedno: działać dalej, aż wszystko się wyjaśni.

Gdy zadzwoniła do biura projektu rewitalizacji Whitley Bay, natychmiast odebrano telefon i rozpoznała miękki szkocki głos Sinclaira. Oznaczało to, że przy odrobinie szczęścia Elaine będzie sama w swoim eleganckim nadmorskim apartamencie w Tynemouth. Vera, nie odzywając się, odłożyła słuchawkę i wyszła z komisariatu.

Sinclairowie mieszkali na najwyższym piętrze wiktoriańskiego budynku w kształcie półksiężyca, który okalał prywatny ogród i zwrócony był w stronę morza. Parking był zastrzeżony dla mieszkańców, więc Vera zostawiła swojego land rovera przy Spanish Battery i przeszła się spacerem obok klubu żeglarskiego i ruin klasztoru, ciesząc się

ruchem i słońcem, próbując uporządkować myśli. Tynemouth zawsze było eleganckim nadmorskim miasteczkiem. Szła, mijając mamy z małymi dziećmi i beztroskich emerytów. Kiedy nacisnęła dzwonek przy głównym wejściu, bardzo szybko odpowiedział jej zniekształcony domofonem głos.

– Kto tam? – Kobieta brzmiała pogodnie, wcale nie podejrzliwie.

– Vera Stanhope. – Chwila przerwy. – Córka Hectora. Przyszłam w sprawie ciał znalezionych w pobliżu St Mary's.

Zapadła chwila ciszy.

– Proszę wejść na górę. Najwyższe piętro. Mam nadzieję, że schody to nie problem. – Potem kliknięcie drzwi, które otworzyły się automatycznie.

Elaine czekała na nią przy wejściu do mieszkania. Vera wolałaby się bez tego obejść. Postawiło ją to w niekorzystnej sytuacji już na początku spotkania: była zdyszana, zasapana, spocona po spacerze przez miasteczko i wspinaczkę po schodach. W przeciwieństwie do niej, Elaine wyglądała elegancko. To była pierwsza rzecz, jaka przyszła Verze do głowy. I to, że ładnie się postarzała. Miała starannie ufarbowane i zakręcone włosy, kwiecistą sukienkę, która podkreślała jej krągłości, krótki różowy kardigan, który odwracał uwagę od wydatnej talii i dużych bioder. Dużo złota: grube łańcuszki na szyi i bransolety na nadgarstkach. Pierścionki na większości palców. Złote sandały, które odsłaniały pomalowane paznokcie w tym samym kolorze co kardigan. Wszystko to sprawiło, że Vera pomyślała o Elaine jak o przedstawicielce innego gatunku. Nie była pewna, czy byłaby w stanie dosięgnąć swoich paznokci, by je pomalować, a poza tym nigdy nie przyszło jej do głowy, by spróbować.

Elaine odsunęła się, by wpuścić ją do mieszkania. Był tam mały, raczej ciemny hol, a potem salon. Słońce wpadało przez duże okna wprost na wypolerowaną drewnianą podłogę. Być może Elaine nadal lubiła nosić błyskotki, ale jeśli kiedyś była zuchwała i pospolita, to teraz najwyraźniej nabrała dobrego smaku.

– Piękne miejsce. – Vera opadła na zielono-niebieską sofę, nie czekając, aż gospodyni poprosi ją, by usiadła. – Kiedy się wprowadziliście?

– Jak tylko wróciliśmy z Glasgow. Ojciec Gusa zmarł i zostawił nam trochę pieniędzy. Zawsze chciałam wrócić na północny wschód. – Elaine była na tyle bystra, by wiedzieć, że Vera wcześniej sprawdziła te informacje, więc nie potrzebowała szczegółowych wyjaśnień. Zajęła miejsce naprzeciwko Very. Nie zaproponowała herbaty ani kawy. Pracowała z Sinclairem wystarczająco długo, by uważać policję za wroga.

– Więc nadal jest pani policjantką? Hector nie przypuszczał, że wytrwa pani w tym zawodzie.

Vera zignorowała to.

– Jesteśmy prawie pewni, że jedno z ciał w przepuście to Robbie Marshall.

Przez chwilę chciała udać, że nie rozpoznaje tego nazwiska, po czym spojrzała na Verę i się rozmyśliła.

– Tak? Zastanawiałam się nad tym.

– Chodziła z nim pani przez jakiś czas.

Elaine odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem.

– Nie, kolegowaliśmy się, to wszystko. Jeśli czasem potrzebował kobiecego towarzystwa, to z nim wychodziłam. – Zamilkła na chwilę. – Tak naprawdę nie jestem nawet pewna, czy to było koleżeństwo. Raczej relacja biznesowa. Wzajemna wymiana przysług.

– Czy Robbie Marshall był gejem?

– Możliwe, że tak. Nie sądzę, by wtedy się do tego przyznawał. To były inne czasy. Nie jestem pewna, czy w ogóle uprawiał seks; jedyną osobą, którą naprawdę kochał, była jego matka. Był nią oczarowany. Poza tym był zimnym facetem. Drugie miejsce w jego uczuciach zajmowały ptaki. – Spojrzała na Verę. – Nie tak jak Hector. U niego ptaki zawsze były na pierwszym miejscu. Zastanawiałam się, jak się pani z tym czuła.

– Czy Robbie pracował dla stoczni Swan Hunters, kiedy go pani poznała? – Rozmowa o Hectorze przerażała Verę; czuła, jak powraca atak paniki. Ale nie pozwoliła, by ta kobieta ją pokonała.

– Zgadza się. – Elaine zaśmiała się lekko. – Był kierownikiem działu zaopatrzenia. To pasowało do niego jak ulał. Robbie potrafił zdobyć wszystko dla każdego. Miał z tego tyle samo frajdy, co z nowego ptaka.

Vera zapamiętała tę informację.

– Pracowała pani w „Mewie”. Czy tak poznała pani Gusa?

– Tak – Elaine spojrzała na swoje paznokcie. Były o ton jaśniejsze niż paznokcie jej stóp. – Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Na początku zatrudnił mnie jako administratorkę, a potem zostałam asystentką kierownika. Przejęłam codzienne prowadzenie klubu. Gus miał inne interesy.

– Założę się, że tak. W Tyneside i w Glasgow. Zajmowała się pani sprawami kadrowymi?

– To brzmi bardzo górnotnie. – Elaine znów się roześmiała.

Vera miała wrażenie, że jej rozmówczyni bardzo dużo się śmieje. Może tak zachowują się ludzie, którzy nie muszą się niczym martwić poza malowaniem paznokci i kupowaniem ubrań, i mieszkają w pięknym apartamencie z widokiem na morze.

– Ale to pani zatrudniała i zwalniała pracowników?

– Tak. Gdy już trochę tam popracowałam, Gus zaczął ufać mojemu osądowi.

– Mary-Frances Lascuola. . .

– Co z nią?

– Pracowała w „Mewie”.

Elaine spojrzała na morze.

– Pamiętam ją. To było zanim Robbie zagaął. Przynajmniej kilka lat wcześniej. Przyjęliśmy ją w ramach przysługi dla Johna Brace’a. Powiedział, że wyszła na prostą i trzeba dać jej szansę. – Zwróciła wzrok z powrotem na Verę. – Na pewno zna pani Johna Brace’a. To jeden z waszych.

Vera kiwnęła krótko głową.

– Czy Mary-Frances zachowywała się jak należy?

– Przez jakiś czas była w porządku. Dałam jej pracę w restauracji jako kelnerka. Była świetna i klienci ją lubili. Drobna ślicznotka, jeśli ktoś lubi chude i uduchowione kobiety. Potem zaczęła się staczać. Nie mogłam na niej polegać. Gus chciał podtrzymać kontakt z Brace'em, więc przeniosłam ją do kuchni, na zmywak. Najwyraźniej uznała, że to poniżej jej ambicji i odeszła.

– Wie pani, dokąd poszła?

Elaine wzruszyła ramionami.

– Zakładam, że z powrotem na ulicę. Tam skończyła większość z nich. Duma nie pozwalała im zmywać naczyń, ale nie przeszkadzała w sprzedawaniu swojego ciała.

– Co na to Brace? – Ponieważ według Patty była miłością jego życia, dodała Vera w myśli.

– A co mógł zrobić? Przecież nie z winy Gusa zakochał się w ćpunce o dziwnym nazwisku.

W ciszy, która nastąpiła, Vera miała wrażenie, że słyszy fale rozbijające się o plażę poniżej.

– Profesor też należał do tego towarzystwa, prawda?

– Tak? Nie przypominam sobie nikogo, kto by się tak nazywał. – W oczach Elaine pojawiło się jednak na moment wahanie, która powiedziało Verze, że na pewno słyszała o Profesorze.

– A co z młodym chłopakiem o nazwisku Gary Keane? Czy to coś pani mówi? – Jak dotąd udało im się utrzymać nazwisko Keane'a z dala od mediów. W porannych nagłówkach lokalnych mediów przestępstwo zostało opisane bardzo ogólnie; w komunikacie prasowym nie podano nawet, że ofiara zmarła. Pchnięcie nożem w Bebington nie było codziennym wydarzeniem, ale nie było też tak godne uwagi, by dziennikarze nie czekali na oświadczenie policji, by poznać nazwisko ofiary.

– Tak! – Elaine wyraźnie poczuła się znacznie swobodniej, mówiąc o Keane'ie. – Gary był geekiem, zanim zaczęto ich tak nazywać. – Uśmiechnęła się. – Ale jeśli wyciągnęło się go z jego strefy komfortu, to potrafił być piekielnie porywczy.

– Czy pan Sinclair też go zatrudniał? Tak jak Mary-Frances?

– Nie należał do personelu – przypuszczam, że był samozatrudniony – ale Gus czasami zlecał mu różne prace. Głównie chodziło o bezpieczeństwo. „Mewa” miała sporo luksusowego wyposażenia i potrzebowała porządnego alarmu.

– Gary założył własną firmę zajmującą się doradztwem i naprawą komputerów.

– Naprawdę? – Jakby w ogóle nie obchodziło jej, co stało się z tym człowiekiem. – To wszystko było tak dawno temu.

– Czy pan Sinclair kontaktował się z Keane'em, odkąd wróciła pani do Tyneside?

– Nie sądzę. – Elaine udało się przemycić do swojego głosu nutę zaskoczenia. – Dlaczego miałby to robić? Gus obecnie nie prowadzi żadnych interesów.

– Wygląda na to, że projekt rewitalizacji Whitley Bay zajmuje mu dużo czasu.

– Wkłada w to mnóstwo sercea – powiedziała Elaine. – Gus pragnie, by Whitley znów rozkwitło. Tak naprawdę nie ma finansowego udziału w tym projekcie.

– A co z zagospodarowaniem terenu „Mewy”?

– Zajmuje się tym konsorcjum. Gus jest bardzo małym inwestorem i oni przejęli wszystkie szczegółowe decyzje. Tak bardzo lubił to miejsce, że nie wyobraża tam sobie niczego innego poza klubem. Nie potrafi wykrzesać z siebie entuzjazmu dla nowego projektu.

Vera spojrzała na północ przez wysokie, eleganckie okno. Widziała stamtąd wyspę St Mary's, ale Esplanade, gdzie niegdyś znajdował się słynny klub Sinclaira, była ukryta za krzywizną zatoki.

– A może pani mąż mógłby odbudować „Mewę” – powiedziała. – Mógłby nazwać klub „Feniksem”, ponieważ odrodziłby się z popiołów.

– Czas na tego rodzaju kluby już dawno minął – odparła energicznie Elaine. Ani cienia sentymentu. – Poza tym, jak już mówiłam, jest on tylko niewielkim inwestorem. Inni ludzie podejmują teraz decyzje dotyczące tego miejsca.

Vera odwróciła się z powrotem do pokoju.

– Pewnie pani wie, co się stało tamtej nocy, kiedy spłonął. A przynajmniej domyśla się pani.

Elaine uśmiechnęła się lekko i potrząsnęła głową.

– Strażacy niespecjalnie się tym interesowali. To mogła być usterka elektryczna, ale powiedzieli, że nie mogą wykluczyć podpalenia. Gus zdołał zrobić sobie kilku wrogów w mieście.

– Gary Keane zajmował się tam elektryką, prawda?

– O co chodzi z Garym po tylu latach? Czemu się pani nim interesuje?

Vera nie odpowiedziała.

– Czy wie pani, że ożenił się z córką Johna Brace'a?

Elaine przez chwilę zastanawiała się, co powiedzieć.

– Wydaje mi się, że słyszałam.

– Wygląda na to, że dziewczyna była córką Mary-Frances.

– Też słyszałam taką plotkę.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Vera nagle się zniecierpliwiła. Cała ta zabawa słowami była stratą czasu.

– Gary Keane nie żyje. Został pchnięty nożem w swoim mieszkaniu w Bebington wczoraj wczesnym wieczorem.

– Nie! – Wydawało się, że to szczerza odpowiedź, natychmiastowa i pełna emocji.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

Elaine wzruszyła ramionami.

– Nie widziałam go, odkąd się wyprowadziliśmy.

– Po pożarze „Mewy”?

- Zgadza się. - Przerwała na chwilę. - Nigdy nie wiedziałam, co myśleć o Garym. Był trochę dziwny. Myślałem, że jest szczęśliwszy ze swoją elektroniką niż z ludźmi, choć potrafił być czarujący, jeśli chciał. Był jak jedna z tych jaszczurek, które zmieniają kolor w zależności od otoczenia. Dla każdego coś miłego.

- A co z Angusem? Czy widział ostatnio Keane'a?

- Nie wiem - powiedziała Elaine. - Jeśli tak, to o tym nie wspominał.

- Co za dziwny zbieg okoliczności. - Vera podniosła się z sofy i stanęła przy oknie. Światło było z tyłu i jej cień padał na wypolerowaną podłogę.

- Znajdujemy kości w pobliżu St Mary's, a kilka dni później zostaje zamordowany Gary Keane. Co łączy wszystkie zamieszane w to osoby? „Mewa”. Ten biały, błyszczący pałac, który prowadziła pani z mężem. A jednak twierdzi pani, że nic o tym nie wie.

Skierowała się do drzwi.

- Proszę powiedzieć Gusowi, żeby się odezwał, jeśli będzie miał dla nas jakieś informacje. Lepiej, żeby przyszedł z własnej woli, niż żebyśmy my musieli go szukać.

Elaine wstała. Zabrzęczały bransoletki na jej nadgarstkach i łańcuszki na szyi. Verze, znajdującej się w stanie podniecenia, skojarzyły się z kajdankami i stryczkiem.

29.

Zgodnie z poleceniem Very, Holly wróciła do Bebington. Już wcześniej pracowała tam nad pewną sprawą, ale wtedy odwiedziła centrum miasta, gdzie większość sklepów była zabita deskami, i okolica zrobiła na niej przygnębiające wrażenie. Potem była w Shaftoe House, wiktoriańskim neogotyku uwieczonym w nowoczesnym osiedlu małych pudełek. Ten mały zakątek na obrzeżach miasta różnił się od obu poprzednich miejsc. Anchor Lane sprawiała wrażenie zamkniętej społeczności, niemal wioski. Szeregowe domy po drugiej stronie placu wyglądały na zadbane – od frontu miały ogrody wychodzące na wspólną przestrzeń. Wyglądało na to, że wprowadziły się tu młode rodziny – w jednym stały drewniane drabinki do wspinaczki, a w innym kobieta wieszała na sznurku dziecięce ubranka. Holly podejrzewała, że mieszkańcy przeprowadzili się tu z miasta, ponieważ domy były tanie, a sklepy podążyły za nimi.

Okolice miała w sobie coś z bohemy.

Chodnik przed sklepem Keane'a wciąż był odgradzony, a znudzony umundurowany funkcjonariusz stał obok taśmy zabezpieczającej miejsce zbrodni. Holly pokazała mu swoją legitymację.

– Przeprowadzam wywiad wśród mieszkańców.

W kawiarni niedaleko firmy komputerowej Keane'a panował spory ruch. Lokal był niewielki, a większość miejsca zajmowały dwa wózki ze śpiącymi maluchami. Ich matki dyskutowały o najlepszych żłobkach w dzielnicy i wygórowanych kosztach opieki nad dziećmi. Holly, która nie czuła jeszcze potrzeby zostania matką i nie spotkała do tej pory nikogo, z kim mogłaby rozważyć rodzicielstwo, poczuła się jak outsiderka w ekskluzywnym klubie. Zamówiła kawę flat white i zbyt późno zastanowiła się, czy nie powinna kupić czegoś dla policjanta na służbie. Powinna była zapytać go, czego sobie życzy. Kobieta za ladą była młoda i sprawna. Angielski nie był jej ojczystym językiem, ale mówiła nim doskonale.

– Czy była pani wczoraj wieczorem w pracy?

– Tak, na późniejszej zmianie. Zostawiła pani coś? Nie przypominam sobie pani.

Holly wyjaśniła najciszej jak potrafiła, o co jej chodzi. Kobiety z wózkami zamilkły i wpatrywały się w nią.

– Czy ktoś może panią na chwilę zastąpić, żebyśmy mogły porozmawiać na zewnątrz?

Baristka skinęła głową i zawołała młodego mężczyznę z zaplecza, by zajął jej miejsce.

Na zewnątrz Holly znów poczuła ukłucie winy i podała kawę posterunkowemu.

– Przepraszam, nie wiedziałam, jaką pan lubi.

– Miło, że pani o mnie pomyślała.

Wydawał się bardzo młody – uczeń w mundurze dorosłego – i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Obie weszły do ogrodu działkowego.

– Słyszałam, co się tam stało – powiedziała baristka. – Że Gary nie żyje. Czy to prawda, że ktoś go zabił?

– Dobrze go pani znała?

– Tylko z pracy, ale był stałym bywalcem. Przychodził przynajmniej raz dziennie. Potrzebował dawki kofeiny, żeby się rano rozruszać.

Być może ona też była kofeinowym ćpunem, ponieważ wydawała się pełna energii. Ciężko jej było ustać w miejscu podczas rozmowy. Przeszły obok podniesionych grządek warzywnych, posprzątaných teraz na jesień.

– Widziała go pani wczoraj?

– Zaczęłam dopiero w porze lunchu. Zawsze przychodził przed dziewiątą, kiedy otwierał sklep. Duża flat white i migdałowy croissant. – Na kratce rosły staromodne róże, których kwiaty już wyblakły, ale wciąż były czerwonobrazowe, w kolorze zaschniętej krwi. Pochyliła się, by je powąchać.

– Widziała go pani później? – Holly wiedziała, że nie najlepiej sobie z tym radzi. Brakowało jej cierpliwości, by szczególnie wysłuchać opowieści świadka. Musiała od razu przejść do istotnych informacji.

Kobieta zastanowiła się.

– Nie wszedł do kawiarni, ale widziałam go. Wyszłam do ogrodu na papierosa. – Wciąż się kręciła, jak dziecko, które nie może ustać w miejscu. – Pozwoli pani, że teraz też zapalę?

Holly skinęła głową. Nienawidziła kiedy ktoś palił przy niej, ale lepiej, żeby kobieta była skupiona.

– Która to była godzina?

– Piąta. – Zapaliła papierosa i zaciągnęła się, mrużąc oczy.

– Jest pani pewna godziny?

– Tak, zawsze wtedy robię sobie przerwę.

– Co robił Gary? – Holly pomyślała, że to powinno zawęzić czas śmierci mężczyzny. Vera będzie zadowolona z tej informacji.

– Stał w drzwiach swojego sklepu. Może interes szedł wolno, bo zwykle, gdy nie miał klientów, pracował na zapleczu. – Baristka zrobiła pauzę. – Ale myślę, że raczej czekał na kogoś. Tak to wyglądało. Wciąż rozglądał się po ulicy, jakby wypatrywał samochodu.

– Widziała pani kogoś?

– Nie, zobaczyłam, że w kawiarni jest duży ruch, więc pomachałam Gary'emu i wróciłam do pracy.

– Może zauważyła pani później jakiś samochód zaparkowany na zewnątrz?

Potrząsnęła głową.

– Miałam obłąd w robocie. W ogóle nie wychodziłam na zewnątrz. – Chwila przerwy. – Myślę, że w pewnym momencie w ogrodzie pracowała jakaś para. Sporo później pojawił się jakiś facet, gdy zamykałam lokal. Zaparkował przed domem Gary’ego i widziałam, jak pukał do drzwi mieszkania.

– Może go pani opisać?

– Mniej więcej w pani wieku. Ciemne włosy. Garnitur. – Przerwała. – Chyba dziecko zwymiotowało mu na krawat.

Joe Ashworth.

– Nikt poza tym?

– Nie przypominam sobie. – Zgasiła papierosa i wyrzuciła go do kosza. – Czas wracać.

Holly popatrzyła, jak kobieta przechodzi przez ulicę do kawiarni i ruszyła dalej. W tym samym rzędzie domów znajdowały się jeszcze dwa inne sklepy: delikatesy sprzedające lokalne sery, piwo i mięso, rzemieślniczy chleb i ekologiczne wina, a na drugim końcu ulicy mała księgarnia. Nigdy by nie pomyślała, że napotka takie miejsca w Bebington. Mało prawdopodobne, aby którekolwiek z nich przetrwało dłużej niż rok.

Kobieta prowadząca delikatesy była w średnim wieku i miała matczyne usposobienie. Delikatesy nazywały się „U Celi”, a kobieta nosiła plaketkę z tym samym imieniem. Była w środku, przyklejając na oknie plakat o degustacji wina. Holly zatrzymała się, by na niego spojrzeć.

– Może pani wpadnie? – Celia wyszła z okna na chodnik i stanęła obok niej. Jak na pulchną kobietę poruszała się bardzo żwawo i Holly drgnęła z zaskoczenia. – To dobra zabawa. W takich miejscach jak Bebington najlepsze jest to, że podczas degustacji nikt nie zachowuje się jak nadęty snob. Ludzie po prostu mówią, co im smakuje.

– Jak długo pani tu pracuje?

– Prawie rok.

– Musi być ciężko w takiej dzielnicy.

– Skądże znowu! To miejsce jest na dobrej drodze. Czynnosc i opłaty są niskie, a mieszkańcy mnie wspierają. Tu ma się prawdziwe poczucie wspólnoty. – Skinęła głową w stronę policjanta i taśmy zabezpieczającej miejsce zbrodni. – Przyszła pani z tego powodu? Prasa?

– Nie! – Holly nie była pewna, czy to ją uraziło, czy trochę jej pochlebiło. – Jestem z policji.

– Zechce pani wejść? Pewnie ma pani jakieś pytania. – Umilkła na chwilę. – Mam nadzieję, że szybko znajdziecie zabójcę. Niewyjaśnione morderstwo źle wpływa na interesy. – Uśmiechnęła się nieco ironicznie, by pokazać, że tak naprawdę jej na tym nie zależy.

Sklep był ciemny, chłodny i pachniał serem, czosnkiem i drożdżami. Celia oparła się o ladę.

– Właściwie nie znałam Gary’ego. Przychodził od czasu do czasu po butelkę wina. Raczej nie przepadał za jedzeniem. Przynajmniej nie takim, które trzeba gotować.

Holly przypomniała sobie opis wnętrza mieszkania, który przedstawił Joe.

– Czy kupił wczoraj butelkę wina?

Kobieta skinęła głową.

– Po południu. Chablis. Droższe, niż zwykle. Zapytałam, czy znalazł sobie kobietę.

Celia była plotkarką. Najlepszym rodzajem świadka.

– Nie miał więc stałej dziewczyny?

– Nie sądzę. W każdym razie nikogo na stałe. Celia uśmiechnęła się. – Zastanawiałam się, czy nie łączyło go coś z Felicity.

– Felicity?

– Pracuje w księgarni. „Anchor Books”. Jej tata jest właścicielem. Zawsze myślałam, że jest trochę za młoda dla Gary’ego, ale czy to kiedykolwiek przeszkadzało mężczyznom w średnim wieku? – Znów przerwała na chwilę i roześmiała się. – Ale ja jestem cyniczna. Mój mąż uciekł z córką mojej najlepszej przyjaciółki, a byliśmy małżeństwem przez prawie trzydzieści lat.

Felicity miała długie rude włosy, dzikie i kręcone, przypominające Holly plakat z prerafaelskim obrazem, który miała na ścianie jako studentka. Księgarnia była długa i wąska, z półkami na każdej ścianie. Felicity siedziała na wysokim stołku i czytała, upozowana jak modelka jakiegoś artysty. Miała na sobie długą, zieloną sukienkę z haftowanej bawełny i lakierowane martensy.

– Na pewno widziała pani, że na ulicy miał miejsce pewien incydent. – Holly uznała, że incydent to właściwe słowo. Niewiele zdradzało. – Czy mogę zadać pani kilka pytań?

– Czy to prawda, że Gary został zamordowany? – W głosie Felicity nie było żadnego akcentu. Holly założyłaby się o dwadzieścia funtów, że dziewczyna chodziła do prywatnej szkoły. Jeśli Gary miał na nią ochotę, to z pewnością planował awans w towarzystwie. Felicity zdecydowanie różniła się od Patty Keane.

– To była podejrzana śmierć. Rozmawiam ze wszystkimi na ulicy na wypadek, gdyby coś słyszeli lub widzieli. Była tu pani wczoraj po południu?

– Tak, przez cały tydzień. Tata wyjechał na konferencję niezależnych księgarzy. To dość łatwe, bo mieszkam nad księgarnią. – Felicity przeniosła wzrok na sufit. – Moje nieśmiałe podejście do niezależności. Nie można wiecznie siedzieć u rodziców, a to całkiem przyzwoite mieszkanko.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Gary’ego?

– Przedwczoraj na spotkaniu grupy czytelniczej. Mamy ich tutaj kilka. W dzisiejszych czasach trzeba, jeśli chce się przetrwać. To gromadzi publiczność na nasze wydarzenia. Jest jedna grupa dla nastolatków, jedna dla dzieci i kilka dla dorosłych. Gary należy do grupy

zajmującej się literaturą faktu. – Zrobiła pauzę. – Głównie faceci. Kupujemy na spotkania piwo u sąsiadów.

Holly próbowała wyobrazić sobie jak Gary Keane, który dorastał na obrzeżach zorganizowanej przestępczości, spłodził trójkę dzieci, a następnie porzucił rodzinę, siedzi w kręgu i dyskutuje o biografii i narracji historycznej. Sprawilo to, że zmieniała podejście i zaczęła się zastanawiać, czy na pewno był takim złoczyńcą, za jakiego wszyscy go uważali.

– Przyjaźniliście się?

– Tu na ulicy wszyscy się przyjaźnimy. Musimy. – To nie była żadna odpowiedź i Felicity dobrze o tym wiedziała.

– Ale słyszałam, że miał wobec pani romantyczne zamiary. – Holly skrzywiła się, gdy tylko wypowiedziała te słowa. Zabrzmiały jak z romansu historycznego. Co powiedziałyby Vera? – Słyszałam, że kręcił się koło pani?

Felicity nie zakpiła z jej słów. Usiadła z powrotem na stołku i uśmiechnęła się pogodnie.

– Właściwie to był całkiem interesujący facet. Samouk. Wie pani.

Holly zastanawiała się, czy ten związek był kolejną formą buntu, sposobem Felicity na zdystansowanie się od jej eleganckich rodziców, tak jak wybór mieszkania w Bebington.

– Kilka razy zrobiłam mu kolację – powiedziała Felicity. – Obejrzelismy razem parę filmów.

– Nie wygląda pani na zmartwioną jego śmiercią. – Jak dotąd młoda kobieta nie okazywała żalu, a jedynie beznamiętną ciekawość.

Felicity zastanowiła się nad tym.

– Byłam w szoku, gdy się dowiedziałam, ale on nie był miłością mojego życia. Gdyby go pani знаła, wiedziałaby pani, że nie mielibyśmy przed sobą przyszłości. Po pierwsze, był stary. Dogadywalismy się dobrze, ale to była tylko przyjaźń z rozsądku. Rozumie pani, co mam na myśli?

Holly zrozumiała. Ona również nie potrafiła znaleźć nikogo, z kim chciałaby dzielić życie. Była pewna, że w końcu Felicity wybierze kogoś odpowiedniego, kogoś z tego samego środowiska i z podobnym wykształceniem co ona.

– Nie widziała się pani wczoraj z Garym?

– Nie, umówilismy się luźno, że wyjdziemy późnym wieczorem, gdy skończę pracę, ale napisał SMS-a, że coś mu wypadło. Interesy.

– Nic bardziej konkretnego nie powiedział?

Felicity potrząsnęła głową.

– Widziała pani jakichś nieznajomych na ulicy? Wczesnym wieczorem?

– Nie, ale nie miałam okazji. Nie udało mi się wyjść na zewnątrz aż do zamknięcia. Rano miałam dostawę towaru i zajmowałam się tym przez większość dnia. Przyszło kilku stałych klientów i kilka nowych osób, ale to było w porze lunchu. – Przeczesła palcami włosy. – Musiałam zamknąć wcześniej, ponieważ sprzedawałam książki na imprezie w bibliotece w Morpeth. Znany autor książek dla YA na spotkaniu z młodzieżą. Zaczęło się

o szóstej, więc musiałam wcześniej dojechać i się rozłożyć. Parkowanie to często koszmar. – Odłożyła książkę i zeszła z wysokiego stołka. Napije się pani kawy? Miałam zamiar sobie zrobić.

Holly poczuła pokusę, ale potrząsnęła głową. Czowała, że ta rozmowa do niczego nie prowadzi.

– YA?

– Young adults, młodzi dorośli. – Felicity powiedziała to jakby każdy powinien znać ten skrót.

– O której pani stąd wyszła?

– Około czwartej trzydzieści. Późnym popołudniem nie ma zbyt wielu klientów. Zdarzają się mamy i dzieci wracające ze szkoły do domu, ale większość zarobków mamy na imprezach.

– Zauważyła pani może nieznane samochody na ulicy?

Felicity potrząsnęła głową.

– Nie zauważyłam. – Wyglądała na znudzoną. Na blacie stała taca z czajnikiem, kubkiem i słoikiem kawy rozpuszczalnej, a ona włączyła czajnik.

– Poznała pani kiedyś jego znajomych? Mam na myśli kogoś z dawnych lat. Nie ludzi, których poznał dzięki grupie książkowej.

Pytanie chyba ją rozbawiło; lekko wzruszyła ramionami.

– Jak już mówiłam, nie łączyły nas takie relacje.

– Jak się czuł Gary, gdy widziała go pani po raz ostatni? – Holly zapytała o to niemal po namyśle. To było pytanie w stylu Very. Zawsze bardziej interesował ją nastrój niż fakty.

Felicity stała wyprostowana, z czajnikiem w dłoni, gotowa do nalania wrzątku.

– Ostatnio był trochę dziwny. Podekscytowany, ale też trochę roztrzęsiony. Kiedy zapytałam, o co chodzi, zaśmiał się i powiedział, że przeszłość wróciła, by go prześladować.

Vera opuściła okazały budynek, w którym Gus i Elaine Sinclair stworzyli swoje ognisko domowe i ruszyła ulicą wzdłuż brzegu morza. Z wysiłkiem podeszła pod górkę do samochodu, zadowolona, że oddała się od eleganckiego apartamentu i kobiety, która zdradziła jej tak niewiele. Poza uwagą o tym, że Robbie Marshall był w stanie zdobyć wszystko, czego tylko ludzie zapragnęli. Dla Very sugerowało to seks, a jej umysł pracował na wysokich obrotach, tworząc przedziwne skojarzenia. Robbie był podróżnikiem. Z tego właśnie sływał według Hectora i gangu. Żądza przygód wydawała się sprzeczna z jego niechęcią do wyprowadzenia się z domu i od matki. Podróżował samotnie do egzotycznych miejsc w poszukiwaniu ptaków i wracał z listą gatunków, która miała wzbudzić zazdrość Hectora i reszty. W domu na wzgórzach odbywały się pokazy slajdów, a potem Hector szydził ze słabej jakości zdjęć, z obsesji Robbiego na punkcie oglądania nowych dla niego gatunków. To nie jest prawdziwa historia naturalna, mawiał. To ptasia turystyka najgorszego możliwego rodzaju.

Ale mniej więcej w tym czasie wielu samotnych obserwatorów ptaków w regionie znalazło sobie żony – cudzoziemki. Kobiety, które wydawały się uległe, przynajmniej na początku. Vera pomyślała, że Robbie mógł naganiać te kobiety podczas swoich wędrówek. Przypomniała sobie, że jednym z jego ulubionych miejsc była Tajlandia. A jeśli świadczył takie usługi, to czy mógł być zaangażowany w ten sam biznes w Wielkiej Brytanii? Pozyskiwanie kobiet dla klientów o specyficznych gustach i potrzebach. Charlie powiedział, że ojciec Gusa Sinclaira, Alec, zajmował się przemytem kobiet. Być może Robbie Marshall brał w tym udział.

Vera zatrzymała się w połowie drogi pod górkę, by popatrzeć na pontony ściąające się u ujścia Tyne i złapać oddech. Jej umysł jednak się nie zatrzymał. Wciąż gonił za szalonymi pomysłami i teoriami. Robbie Marshall był przerażony tuż przed swoim zniknięciem. W Whitley Bay w tamtych czasach była duża konkurencja w prostytucji i gdyby Robbie wszedł w paradę tamtejszym grubym rybom, mógłby je zdenerwować. Gdyby to Mary-Frances okazała się drugim ciałem w przepuście, można by racjonalnie wytłumaczyć, że byli razem. Czy jej stały alfons zabił ich oboje, aby dać przykład innym kobietom, zastanawiającym się, czy nie zwrócić się do Robbiego, aby je ochraniał i organizował im pracę? To były daleko idące przypuszczenia. Z wieloma znakami zapytania. Ale miało to jakiś sens.

Kiedy Vera wróciła na komisariat, Holly wciąż była w Bebington, ale Joe już wrócił, więc wezwała go do swojego dusznego biura.

– Czy ktoś sprawdzał finanse Marshalla, po jego zaginięciu?

Joe wzruszył ramionami.

– Zakładam, że zbadali, czy nie wypłacił żadnej gotówki. To by świadczyło, że wciąż żyje i dałoby jakąś wskazówkę, gdzie może przebywać.

– Wezwałam śledczego od finansów, żeby przyjrzał się jego sprawom, ale to będzie trudne, bo to rozliczenia sprzed wielu lat. Chciałabym wiedzieć, czy otrzymywał pieniądze z innych źródeł. – Vera wyjaśniła teorię, którą wymyśliła podczas spaceru po Tynemouth. Kiedy przedstawiła ją Joe, wydała jej się nieco mniej wiarygodna.

– Od dziecka mieszkał z mamą – odpowiedział Joe. – W Wallsend. To nie jest raczej profil typowy dla handlarza ludźmi na dużą skalę.

– Dlatego musimy przyrzeć się jego kontom bankowym. Jeśli miał jakieś niewyjaśnione pieniądze, musimy je znaleźć. – Spojrzała na Joe. – Czy udało ci się namierzyć Profesora? Masz jakieś informacje o numerze telefonu, z którego dzwonił do Gary’ego Keane’a?

– Dzwonił z telefonu na kartę. Nie zarejestrowano żadnego nazwiska, a jeśli Profesor miał coś wspólnego z morderstwem Keane’a, to przypuszczam, że wyrzucił ją zaraz po zakończeniu rozmowy.

Vera usiadła na chwilę i sięgnęła pamięcią wstecz, próbując przypomnieć sobie mężczyznę, którego wszyscy nazywali Profesorem. Pamiętała, jak Hector o nim mówił, ale nie była pewna, czy rzeczywiście go spotkała. W końcu pojawił się przebłysk wspomnienia. Była późna noc, a ona miała szesnaście lat. Ostatni rok w szkole, zanim wstąpiła do policji jako kadet. Zima. Przygotowała kolację dla Hectora i zjedli ją razem przy kominku, ponieważ reszta domu była lodowata. Posprzątała i położyła się do łóżka, nie dlatego, że była zmęczona, ale dlatego, że Hector pił. To sprawiało, że stawał się kłótlivy, a jej po prostu nie chciało się z nim sprzeczać. Usłyszała podjeżdżający samochód i wyjrzała przez okno, wciąż owinięta prześcieradłem i kocami z łóżka. Lód na szybie rozmywał obraz, ale dom był parterowy i wszystko działo się bardzo blisko niej. Skrawek księżycy rzucał wystarczająco dużo światła, by mogła dostrzec cienie i sylwetki. To był duży samochód. Mężczyzna, który z niego wyszedł, też był duży, wysoki i energiczny. Młody, jak wydawało się młodej wówczas Verze. Nie tak stary jak Hector. Wtedy, w tym wieku, interesowała się każdym młodym mężczyzną.

Załomotał w drzwi.

– Wyłaź, Hector, ty stary draniu. Wiem, że tam jesteś. Wpuść mnie. Jest kurewsko zimno.

Oczywiście słyszała to słowo na boisku, ale nigdy w ustach dorosłych, więc była nim dziwnie zszokowana.

Słyszała, jak jej ojciec porusza się w salonie, gdzie był kominek. Potknął się, gdy dotarł do drzwi wejściowych a potem majstrował przy zamku. Może i mieszkali na odludziu, ale Hector zawsze dbał o bezpieczeństwo. Miał zbyt wiele sekretów. Usłyszała skrzypienie drzwi.

– Profesorze, spodziewałem się ciebie dopiero jutro.

– Przecież mnie znasz. Zawsze kuję żelazo, póki gorące. Nasi arabscy przyjaciele potrzebują towaru na już.

Vera uznała, że „towar” oznacza jaja sokoła wędrownego w inkubatorze w przybudówce. Sokolnicy na Bliskim Wschodzie bardzo cenili sobie ptaki z tradycyjnych miejsc, a podobno już królowa Elżbieta I polowała z ptakami z pogranicza Szkocji.

Teraz, w ciasnym i zagraconym biurze w komisariacie w Kimmerston, odtwarzała w głowie tamtą rozmowę. Hałaśliwego młodszego mężczyznę na progu i Hectora, otepiałego od alkoholu i snu. Czy to mógł być głos, który pamiętała z automatycznej sekretarki Gary’ego Keane’a? Całkiem możliwe, pomyślała. Na nagraniu był starszy, bardziej wyważony, ale brzmiała w nim ta sama pewność siebie, ta sama nuta arogancji.

Joe wciąż siedział po drugiej stronie biurka i przyglądał jej się uważnie. Zastanawiała się, co sądzi o jej nagłych zanikach koncentracji, momentach, w których odrywała się od rzeczywistości. Być może tłumaczył to wiekiem.

– Sprowadź tu Charliego! – Jej głos zabrzmiał dziwnie dla niej samej. To przez przeniesienie się w czasie, przez marzenia na jawie. Czyżby spodziewała się usłyszeć szesnastoletnią siebie?

Joe wiedział, że lepiej nie zadawać pytań i nie kwestionować jej poleceń. Wstał. Vera podniosła stertę akt z jedyne wolnego krzesła w pokoju i położyła ją obok krzesła Joego.

– Udało ci się namierzyć Profesora? – Pomyślała, że kiedy dobijał się do ich drzwi w środku nocy, nie był jeszcze profesorem. Być może robił magisterkę lub doktorat, i jego przewisko było przyjacielską kpina. Żaden z pozostałych – ani Hector, ani Robbie Marshall, ani John Brace – nie miał żadnego stopnia naukowego. Ale teraz rzeczywiście mógł zostać profesorem. Prawdopodobnie w dziedzinie nauk przyrodniczych.

Charlie potrząsnął głową.

– Nie mam nic pewnego. Tak jak pani zasugerowała, puściłem nagranie pracownikom administracji na miejscowych uczelniach. Kilka osób uznało, że może brzmieć znajomo, ale wie pani, jak to jest z dochodzeniem w sprawie morderstwa. Ludzie chcą się angażować, chcą myśleć, że mogą pomóc. Zanotowałem nazwiska i właśnie miałem umówić się na kilka spotkań.

Vera skinęła głową z zadowoleniem, ale była zniecierpliwiona. Jest jedna osoba, która zna tożsamość Profesora. Prawdopodobnie wie też, czyje są te kobiece zwłoki. Siedzi w Warkworth i przygląda się, jak się męczymy, rozkoszując się każdą chwilą.

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do więzienia, żądając widzenia z Johnem Brace’em tego popołudnia i nie przyjmując do wiadomości żadnych sprzeciwów.

Pokoje przesłuchań były zajęte, więc umówiono ją na spotkanie z byłym policjantem w sali oddziału dla seniorów i osób niepełnosprawnych, tej samej, gdzie prowadziła prelekcję. Funkcjonariusz poprowadził ją obok bloku edukacyjnego. Ta sama nauczycielka z krótkimi siwymi włosami prowadziła zajęcia dla młodszych więźniów. Jedna z osadzonych stała i czytała na głos tomik poezji. Wszędzie unosił się ten sam instytucjonalny zapach

rozgotowanych warzyw i środków dezynfekcyjnych. Vera pomyślała, że w więzieniach nic się nie zmieniło i być może to nuda była przyczyną bójek i zamieszek, uzależnienia od legalnych narkotyków, narastającej desperacji.

Ponownie zaprowadzono ją do kaplicy. Tym razem pomieszczenie było urządzone jak świetlica. Na małych stolikach porozkładano gry planszowe. Połowa obecnych tam osób zdawała się drzemać. Po raz kolejny kapelan użył swojego biura, aby Vera mogła porozmawiać z Johnem Brace'em.

– Słyszałeś o Garym Keane'ie?

Bo chociaż nazwisko zmarłego nie zostało ujawnione organizacjom prasowym, Vera przypuszczała, że Brace będzie o tym wiedział. Może i wyglądał na niedołęznego staruszka na wózku inwalidzkim, ale jej to nie przekonywało. Na pewno miał lewy telefon komórkowy i co najmniej jednego strażnika więziennego na liście płac.

Brace skinął głową.

– Żyjemy w strasznie brutalnych czasach. Czasami myślę, że policja po prostu nie radzi sobie z tym wszystkim.

– Nigdy go nie lubiłeś. Według ciebie, nie był dość dobry dla twojej córki.

– Ja siedzę, pani inspektor. Raczej nie dałbym rady go zabić.

Ale masz pieniądze. Kontakty.

– Tuż przed śmiercią do Gary'ego zadzwonił Profesor – powiedziała na głos. Jej oczy były utkwione w mężczyźnie siedzącym tak blisko niej, że mogła dostrzec miejsca, które maszynka ominęła podczas porannego golenia. Nie było żadnej reakcji.

– To zaszczości z przeszłości. – Brace uśmiechnął się lekko. Zimny i twardy jak stal. – Dawne dzieje, funta kłaków niewarte.

– Ale przez wiele lat byłeś w kontakcie z Profesorem. Wszyscy byliście ze sobą tak blisko. Gang Czterech.

– Wszystko się zmienia. Ludzie się rozchodzą.

– Muszę z nim porozmawiać. – Vera starała się utrzymać równy ton głosu. Nie mogła okazać Brace'owi, jak bardzo potrzebowała tej informacji. – Mam trochę kłopotów z namierzeniem go.

– Nie mogę ci pomóc. Straciłem kontakt z Profesorem lata temu. Gdy Hector odszedł, nasze drogi się rozeszły. Profesor zawsze był raczej nieuchwytny. Cenił sobie prywatność.

– Ale przecież był na pogrzebie. Na pogrzebie Hectora. – Stwierdzenie, a nie pytanie. Oczywiście, że był tam, by złożyć wyrazy szacunku. To była kwestia honoru. Robbie Marshall był oczywiście nieobecny. Leżał martwy w przepuszczeniu w pobliżu mokradeł koło St Mary's w Whitley Bay. Ale idea czteroosobowego gangu była romantyczna. Ten hałaśliwy młodzieniec, który pojawił się w domu w środku nocy, nazywając Hectora draniem, na pewno zjawił się by zobaczyć, jak go kładą do grobu. Sęk w tym, że Vera niewiele pamiętała z tego dnia – poprzednią noc spędziła na picciu ulubionej słodowej whisky Hectora – a na pogrzeb przybyło wielu nieznanym, którzy wypełnili z różnych zapadłych kątów, by

zapełnić ławki w wiejskim kościele. Byli nawet członkowie rodziny Hectora, pomniejsi właściciele ziemscy, którzy wyparli się go za życia. Być może chcieli sprawdzić, czy w końcu pozbyli się go na dobre.

Brace nie odpowiedział, a jego głowa lekko opadła, jakby ciężko było mu ją utrzymać w pionie.

– Muszę mieć jego nazwisko – powiedziała Vera. – Profesora.

– Nie jestem pewny, czy w ogóle je znałem. Używaliśmy tylko tego tytułu. Hector oczywiście by wiedział. Był nieco starszy od reszty z nas. Trochę nam ojcował. To on zwerbował nas wszystkich.

Jakbyście byli siatką szpiegowską! Oczywiście, że znałeś to nazwisko, fuknęła w myśli.

– Powinieneś mi pomóc, Brace, jeśli chcesz się kiedyś stąd wydostać. Jeśli chcesz uciec od tego smrodu i nudy. – Zauważyła, że dotarło to do niego. – Wkrótce czeka cię zwolnienie warunkowe.

Zapadła cisza. Zdawało jej się, że słyszy chrapanie jednego ze starszych mężczyzn w kaplicy, mimo że drzwi były zamknięte.

– Pomógłbym ci, gdybym mógł, Vero.

– Kogo się boisz?

Potrząsnął głową, urażony.

– To nie tak. John Brace nikogo się nie obawia.

– A jak?

– Czasami trzeba po prostu trzymać stronę swoich ludzi. Chyba to rozumiesz.

Znowu cisza, bo nie miała co na to odpowiedzieć, poza tym, że jej ludzie nie byli złoczyńcami, a gdyby byli, to by z nimi nie trzymała.

– Byłam dziś rano u Elaine Sinclair – powiedziała. – Na pewno pamiętasz Elaine. Mają z Gusem bardzo elegancką rezydencję nad brzegiem morza w Tynemouth. Wygląda na to, że znowu są za szykowni jak na Whitley. Gus jest teraz mocno zaangażowany w rewitalizację okolicy. Podobno ma ambicje zostać politykiem. – Umilkła na chwilę. – Elaine powiedziała coś bardzo interesującego. Mówiła, że Robbie Marshall potrafił załatwić wszystko dla każdego. Wiesz może, co miała na myśli?

Brace uniósł lekko głowę.

– Robbie nagrywał kontakty, kiedy sprzedawaliśmy sokoły na Bliski Wschód. Profesor nas reprezentował, ale to Robbie znał się na ludziach. Czasami trafiał na kupców dzięki swojej pracy w Swan. Prowadziliśmy wiele transakcji z zagranicznymi kontrahentami. Robbie zawsze robił dobre interesy. Potrafił się ostro targować.

Vera wiedziała, że Brace cały czas myśli o tym zwolnieniu warunkowym i przekazuje jej tyle, ile może, nie podając nazwiska Profesora.

– Co jeszcze kupował, John? Kobiety? Narkotyki?

Uśmiechnął się cierpko, zaciskając wargi.

- Elaine miała rację. Robbie mógł załatwić wszystko, czego dusza zapagnie. Za odpowiednią cenę.

- Co zrobił ze swoimi pieniędzmi?

Kolejna pauza.

- Powinnaś porozmawiać na ten temat z Gusem.

- Robbie zainwestował w biznes Gusa Sinclaira?

Vera pomyślała, że powinna wcześniej wziąć to pod uwagę. Być może morderstwo było wynikiem konfliktu między partnerami w interesach. Albo chciwości Sinclaira, kiedy sytuacja w „Mewie” zaczęła się pogarszać. Ten wielki, lśniący budynek nad brzegiem morza w Whitley Bay był przykrywką dla wszelkiego rodzaju transakcji.

- Co stało się z udziałem Robbiego Marshalla po jego śmierci?

Vera wątpiła, czy jego matka zobaczyła jakąkolwiek gotówkę, ale z drugiej strony mogłaby jej nie chcieć, gdyby wiedziała, w jaki sposób jej syn zarobił wszystkie swoje pieniądze.

- Wątpię, czy znajdziesz w księgach nazwisko Robbiego jako współnika - powiedział Brace - ale tak, był głównym udziałowcem.

- A ty, John, też byłeś inwestorem?

Podniósł wzrok i uśmiechnął się powoli.

- Ja byłem tylko biednym gliną. Skąd miałbym wziąć takie pieniądze?

31.

Vera siedziała w samochodzie i myślała o gangu czterech mężczyzn, których łączyła lojalność i wspólne sekrety, ten dziwny rodzaj męskiej przyjaźni, która wydawała się im ważniejsza niż małżeństwo czy rodzina. Dwóch z nich nie żyło, a John Brace siedział w więzieniu. John milczał, więc musiała znaleźć kogoś innego, kto znałby tożsamość Profesora. Teraz żałowała, że nie zwróciła większej uwagi na gości odwiedzających chatę Hectora. Jako nastolatka lekceważyła ich wszystkich jako samotników i dziwaków: mężczyzn, którzy pojawiali u ojca, żeby wypychał świeżo zabite przez nich zwierzęta, kolekcjonerów o płonących chciwością oczach, którzy płacili duże pieniądze za jajka, które dla nich kradł. Teraz oddałaby wszystko, by przypomnieć sobie nazwisko kogokolwiek, kto mógłby ujawnić tożsamość Profesora.

Wróciła myślami do pogrzebu Hectora. Czy był tam wysoki nieznajomy o eleganckim akcencie, pewny siebie, jakby wiedział, że zawsze będzie górą, zawsze wyjdzie na swoje? Ale jej wspomnienia wciąż były mgliste. Padał deszcz, delikatna szara mżawka, która kapiała z drzew na cmentarzu, twarze żałobników zakryte parasolami i kapturami. Choćby nie wiem, jak bardzo się starała, wiedziała, że nie przypomni sobie kim byli ci wszyscy mężczyźni, którzy spotkali się razem po pogrzebie. Nie tyle gawędzili, co porozumiewali się urywanymi monosylabami. Nie czuło się, żeby łączyła ich przyjaźń, raczej była to znajomość i wspólna obsesja. Byli bardziej jak koledzy z pracy, niż jak przyjaciele Hectora. Vera chciała mieć to wszystko jak najprędzej za sobą i nie zwracała uwagi na nazwiska, zwłaszcza gdy przedstawiano ją nieznanym.

Ale na deszczu stali też znajomi. Ludzie, którzy przyszli ją pocieszyć. Davy i Norma, starsi państwo, którzy byli sąsiadami Hectora odkąd Vera sięgała pamięcią. Mieszkali na farmie przylegającej do domku Hectora, aż do czasu, gdy zmarli w odstępnie kilku tygodni od siebie; potem ich miejsce zajęli Jack i Joanna. Norma była jedną z niewielu osób, które znały matkę Very. Hector całkowicie się zamykał, gdy tylko pytała o Mary Stanhope, ale Norma opowiadała historie, które sprawiały, że matka stała się dla niej żywą postacią, a zdjęcia pozwalały ją sobie wyobrazić. Dorastająca Vera była zbyt dumna, by skarżyć się Normie na Hectora i zaciekle broniłaby swojego ojca, gdyby ta kobieta wygłosiła jakikolwiek komentarz lub krytykę, ale kuchnia Normy była jej przystanią. Schronieniem, w którym mogła w spokoju odrobić lekcje i zjeść porządny posiłek. Sąsiedzi nie mieli dzieci i teraz Vera zastanawiała się, czy zaopiekowała się nimi równie dobrze, jak oni nią, gdy traktowali ją jak przybraną córkę.

Ogarnęło ją nagle poczucie winy, gdy uświadomiła sobie, że jej więź z tą parą była całkowicie jednostronna. Nie dała nic w zamian. Davy i Norma zestarzelili się, całkowicie pozbawieni wsparcia rodziny, a ona ich ignorowała, tylko dlatego, że nie była w stanie

przebywać z Hectorem. Nawet kiedy wróciła, by z nim zamieszkać w ostatnich miesiącach jego życia, trzymała się jak najdalej od domu, wymawiając się pracą, i oczywiście nie zadała sobie trudu, by odwiedzić sąsiadów.

Potem pomyślała, że znowu dramatyzuje. Zawsze tak robiła. W każdej historii musiała odgrywać główną rolę; tym razem była to rola bezdusznej przyjaciółki. Przecież Davy i Norma musieli mieć jakąś rodzinę, przynajmniej siostrzenicę, ponieważ nie byli sami na pogrzebie Hectora. Obok nich w kościele stała jakaś młodsza kobieta, wspierając ich oboje. Teraz Verę ogarnęła irracjonalna mieszanka urazy, poczucia winy i zazdrości wobec nieznanegoj: *To powinnam być ja. To ja byłam pierwszą przybraną córką. Zajęłaś moje miejsce.*

Wciąż siedząc w samochodzie, uświadomiła sobie, że Profesor nie mógł tak naprawdę zajmować się kradzieżą jaj i ptaków dla pieniędzy. Nawet sprzedając drapieżne ptaki arabskim szejkom, nie osiągnęłyby wielkich zysków. Hector zmarł, mając więcej długów niż majątku; został po nim tylko stary land rover i rozpadający się domek bez żadnych udogodnień. John Brace i Robbie Marshall dorobili się na współpracy z ludźmi takimi jak Gus Sinclair. Nawet organizowanie najemników właścicielom wielkich majątków przynosiło niewielkie zyski w porównaniu z ich majątkami. Nie, Gang Czterech powstał tylko dla zabawy. Dla dreszczyku emocji. Z sentymentalnego przywiązania do ziemi i dziwacznych ziemiańskich tradycji. Być może Profesor wciąż brał udział w grze. Być może nadal zbierał jaja i handlował nimi, zabijał błotniaki zbożowe na łowiskach pardw, dla zysku i sportu. I choć Charlie miał kontakty i informatorów w mieście i nadmorskich miejscowościach, tereny wyżynne należały do Very. To było jej terytorium. Wciąż miała kontakty i mogła je wykorzystać.

Wtedy przyszło jej do głowy, że gdyby Davy i Norma wciąż żyli, mogliby wskazać jej właściwy kierunek. Davy zatrudniał się jako naganiacz na polowaniach okolicznych posiadłościach i mógł natknąć się na Profesora. Znał wszystkie plotki, zbierał je w pubie „Pod Owcą”, w dolinie u podnóża ich wzgórze. To podsunęło jej kolejny pomysł.

Uruchomiła silnik i pojechała w głąb łądu, kierując się na północny zachód wąskimi uliczkami, najpierw przez pola uprawne, a następnie stromo wspinając się na otwarte wrzosowiska. Nie musiała zastanawiać się nad trasą, ponieważ jechała do domu.

Zastała swoich sąsiadów, Jacka i Joannę, pijących kawę w dużej, nieposprzątej kuchni w gospodarstwie obok chaty Hectora. Nie byli zbyt dobraną parą. Jack pochodził z Liverpoolu i wciąż miał ten akcent, tę szczerłość i ciepłe serce. Był włóczęgą, dopóki nie związał się z Joanną, ale zawsze ciężko pracował. Joanna pochodziła z zamożnej rodziny i przeszła przez wszystkie etapy życia arystokratki: szkołę publiczną, szkołę średnią, małżeństwo z dupkiem. Zawsze powtarzała, że Jack ją uratował. Vera też ją kiedyś uratowała, w każdym razie przed oskarżeniem o morderstwo; teraz Joanna pisała książki o morderstwach; zrobiła z tego formę rozrywki. Vera nie była pewna, co o tym myśleć.

Vera otworzyła drzwi bez pukania, ale zawołała, by dać im znać, że wchodzi. Kuchnia była duża i zagracona, słabo oświetlona, więc zawsze wyglądała, jakby na zewnątrz było ciemno. Border collie Jacka leżał skulony na dywaniku obok węglowej kuchni, a na płycie

stał dzbanek z kawą, której przepyszny aromat górował nad zapachem psa. Wśród jaśniepańskich upodobań Joanny było upodobanie do dobrej kawy. Mówiła, że odziedziczyła je wraz z zamiłowaniem do dobrego czerwonego wina. Zanim Vera przekroczyła próg, Jack sięgnął po kubek z zakurzonej półki i skinął na nią, by się poczęstowała. Był w roboczym ubraniu, brudnym kombinezonie i grubych wełnianych skarpetach. Buty zostawił przy drzwiach. Joanna również pracowała; na stole przed nią leżał stos zadrukowanego papieru. Wskazała go skinieniem głowy.

– Korekta. Koszmar. – Ale Vera widziała, że jest z siebie dumna: to właśnie robili prawdziwi pisarze, a Joanna dopiero po dłuższym czasie uwierzyła, że jest prawdziwą pisarką.

– W czym możemy ci pomóc, Vee? – Akcent Jacka był tak samo mocny, jak wtedy, gdy po raz pierwszy przeprowadził się do tego hrabstwa.

Zwykle Vera pojawiała się w ich domu, ponieważ potrzebowała pomocy – land rover się zepsuł lub niepewna elektryka w domu spowodowała zwarcie i Vera nie była w stanie naprawić awarii.

– Przyszłam tylko na pogawędkę – powiedziała. – Zwykła rozmowa towarzyska.

– W środku dnia?

Uznała, że znają ją zbyt dobrze i lekko skinęła głową.

– Cóż, może mam parę pytań.

– Praca, Vee? Myślisz, że możemy pomóc ci w pracy? – Jack był zaskoczony. Vera nigdy nie przynosiła pracy do domu.

– Pomagasz przy polowaniach, prawda? W Standrigg i innych posiadłościach w hrabstwie?

Uśmiechnął się.

– Czasami trzeba skumać się z diabłem, żeby związać koniec z końcem. Nie żebyśmy zadawali się ze strzelcami. Kłaniam im się nisko i robię, co mi każą. Odgrywam wieśniaka. Tego właśnie oczekują od naganiaczy, zwłaszcza nuworysze.

Joanna spojrzała na Verę i przewróciła oczami.

– Ale z niego snob.

– A wielu jest takich nowobogackich?

– To oni mają kasę. Szlachta wszystkie swoje pieniądze utopiła w ziemi.

Vera puściła wodze fantazji. Wyobraziła sobie Gusa Sinclaira w tweedach i skórzanych butach, ze strzelbą na ramieniu.

– Czy kiedykolwiek spotkałeś człowieka o nazwisku Angus Sinclair? Mieszka w eleganckim apartamencie w Tynemouth. Jest ważną postacią w rewitalizacji wybrzeża.

– Owszem. Należy do konsorcjum, które strzela w Standrigg. Oślizły typ. Nie jest taki bystry, za jakiego się uważa. – Jack zrobił pauzę. – Miły człowiek, dopóki coś nie pójdzie nie tak. Albo ktoś potraktuje go bez szacunku, który według niego mu się należy. Potrafi chować urazę, jeśli ktoś go zlekceważy. Czy przypadkiem nie zajmuje się

nieruchomościami? Tak słyszałem. Podobno wykupuje większość Whitley Bay i czeka, aż to miejsce przyciągnie bogatszych mieszkańców. Wtedy zacznie sprzedawać i zarobi krocie. Wynajmuje swoje nieruchomości na krótki okres, więc będzie mógł pozbyć się najemców, kiedy tylko zechce. – Kolejny uśmiech. – Ale taki jest wolny rynek, Vee. Nie ma w tym nic złego. Przynajmniej nie z prawnego punktu widzenia.

Vera nie odgryzła się. W dyskusje polityczne z Jackiem wdawała się tylko późną nocą, kiedy za dużo wypija.

Jack wciąż mówił.

– Gus lubi strzelać, ale dla niego liczy się tylko biznes. Ma gadane i przyciąga inwestorów, gdy poluje na ptaki. Widziałem go w akcji. Prawie przekonał mnie, że Whitley Bay stanie się najbardziej pożądanym miejscem do życia na północnym wschodzie.

– A znasz kogoś, kogo nazywają Profesorem? – zapytała Vera. – Był przyjacielem mojego ojca. Mam wrażenie, że zadaje się z ludźmi z tego hrabstwa. I z pewnością kiedyś znał Sinclaira.

Jack zastanowił się przez chwilę.

– Wydaje mi się, że słyszałem, jak wspominali o nim tutejsi ziemianie, ale na pewno nigdy go nie spotkałem osobiście.

– W jakim kontekście o nim mówili, Jack? – Vera pochyliła się nad blatem stołu.

– To ważne, prawda, Vee?

– O tak. Sprawa życia i śmierci. – Powiedziała to lekkim i beztroskim głosem, ale jak najbardziej serio. Pies zachrapał i łapy mu zadrgały.

Jack odchylił się na krześle, zamknął oczy i przez chwilę wyglądał, jakby też spał.

– Mówią o nim jakby był papieżem i Paulem McCartneyem w jednym. A drugim po cholernym Bogu Wszechmogącym. – Po chwili odezwał się ponownie, naśladowując falsetem akcent ziemianstwa. – Słyszałaś już, kochanie? Zgadnij no tylko, kto do nas dołączy w przyszłym tygodniu? Nie kto inny, tylko sam Profesor!

– Możesz o nim coś więcej powiedzieć? – Vera zastanawiała się, co takiego było w Profesorze, że wzbudzał taki szacunek wśród grupy, która zwykle uważała się za najważniejszą na świecie.

– Przykro mi, Vee. Nie należę do tego grona. Wyłapuję tylko urywki rozmów.

Joanna odłożyła swój maszynopis.

– Nie tak dawno słyszałam coś podobnego. Ale sytuacja była zupełnie inna. Prawdopodobnie chodziło o innego profesora.

– Ale może mi się to przydać, kotku. – Vera pomyślała, że nie ma nic do stracenia. Profesor był jak cień we mgle dryfujący tuż przed nią, zawsze poza zasięgiem. – Gdzie to było?

– Dwóch pisarzy rozmawiało na spotkaniu autorskim, które prowadziłam w bibliotece „Lit and Phil” w Newcastle. Jedna z tych podsłuchanych rozmów, które można wychwycić w zatłoczonym pomieszczeniu. To było po wykładzie i podpisywaniu książek. Ludzie kręcili

się wokół, popijając resztki wina. Jeden z nich wspomniał o Profesorze. Takim tonem, jak opowiadał Jack. Jakby był jakimś celebrytą, tak sławnym, że nie trzeba było używać jego nazwiska.

– Mogłabyś je dla mnie sprawdzić? Porozmawiać z którymś z twoich znajomych literatów?

– Jasne – powiedziała Joanna. – Ale na świecie jest wielu profesorów. Nie sądzę, że chodzi o tego samego człowieka. – Jej uwaga powróciła już do maszynopisu leżącego przed nią na stole.

– Czy kiedy się tu wprowadziliście, zostało coś po poprzednich mieszkańcach? – Vera wciąż myślała o Normie i Davym Kerrach. – Chodzi mi o jakieś rzeczy.

– Mnóstwo – powiedział Jack. – Kupiliśmy wszystkie meble razem z domem i po prostu pozbyliśmy się tego, co nie było nam potrzebne. Dostaliśmy to miejsce tak tanio między innymi dlatego, że nic nie było tu ruszane od śmierci starszych państwa.

Vera skinęła głową i pomyślała, że to dlatego czuje się tu jak w domu. Nic się nie zmieniło od czasu, gdy jako dziecko uciekała do kuchni Normy.

Joanna podniosła wzrok znad swojej pracy.

– Co masz na myśli? – Jej głos był łagodny, zdawała sobie sprawę, że to ważne.

– Zastanawiałam się, czy nie natknęliście się na jakieś zdjęcia.

– W drewnianym pudełku?

– Tak! – Vera znowu siedziała z Normą przy stole w kuchni. Kiedy Norma otworzyła pudełko, poczuła zapach. Drzewo sandałowe? Potem rozłożyły fotografie na stole, jak karty do gry. Przejrzały wszystkie rodzinne zdjęcia Normy, jej ojca w mundurze, Davy'ego w mundurze. Zdjęcia wyblakły i zbrązowiły. Ale Verę tak naprawdę interesował tylko zapis jej własnej historii. W pudełku były zdjęcia ze ślubu jej rodziców. Nie oficjalne zdjęcia ślubne, ale kilka zrobionych przez Davy'ego. Jej matka w bieli, trzymająca bukiet czerwonych róż. Hector, który wyglądał na szczęśliwego. Vera pomyślała, że rzadko widywała go tak szczęśliwym. Było też późniejsze zdjęcie jej matki, siedzącej przed domem na białej drewnianej ławce, która wciąż tam stała. Najwyraźniej w ciąży. Ręce złożone na brzuchu. Uśmiechnięta.

Zgodnie z poleceniem Very, Joe próbował zagłębić się w finanse Robbiego Marshalla. Notatki ze sprawy wykazały, że żadna z kart kredytowych lub debetowych nie została użyta po zgłoszeniu jego zaginięcia. Telefony do banku Marshalla nie przyniosły żadnych rezultatów. Najpierw zmarnował dwadzieścia minut, próbując odpowiedzieć na automatyczne pytania, a potem odbył rozmowę z osobą obsługującą połączenie, która zdenerwowała i sfrustrowała ich oboje. To było tak dawno temu. Kobieta po drugiej stronie linii nie wiedziała od czego zacząć i niechętnie przekierowała go do kogoś, kto mógłby mu pomóc. W końcu połączenie się urwało. Joe wiedział, że są sposoby na przebrnięcie przez ten labirynt – mógł przekazać zadanie funkcjonariuszom specjalizującym się w oszustwach i przestępstwach finansowych – ale szkoda mu było czasu. Potrzebował takich materiałów, jakie znalazł w biurze Gary’ego Keane’a: zapisów, które potrafiłyby zrozumieć i do których miałby natychmiastowy dostęp.

To sprawiło, że pomyślał o Eleanor Marshall w jej schludnym domu z widokiem na park Wallsend. Jeśli nie miała dowodu na to, że Robbie zmarł, to może zachowała jego pokój w takim stanie, w jakim go zostawił, na wypadek gdyby pojawił się niespodziewanie? Joe był ciekaw, czy Robbie wtedy, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, miał komputer. On sam miał wtedy bardzo podstawowego Amstrada, tylko do gier. Ale być może Gary kupił dla Robbiego coś bardziej zaawansowanego i skonfigurował go specjalnie dla niego. Być może ten komputer wciąż znajdował się w pokoju Robbiego, wśród innych skarbów, takich jak jego zapiski podróżne, notatki finansowe, zapisy wszystkich interesów z Gangiem Czterech i Gusem Sinclairem. Joe chwycił kurtkę i kluczyki i ruszył na południe w kierunku Tyne.

Kiedy dotarł na miejsce, zdziwił się, widząc, że Eleanor ma gościa. Wyobrażał sobie, że prowadzi samotne życie, czekając na syna, ale na ulicy przed domem stał mały samochód, a drzwi otworzyła mu nieznajoma osoba. Drobna, zapracowana kobiecina, członkini kościoła Eleanor, przybyła, by udzielić jej wsparcia w tym trudnym czasie. Wszystkiego tego dowiedział się jeszcze na progu. Kiedy się przedstawił, Eleanor rozpoznała jego głos i krzyknęła z salonu.

– Proszę wejść, sierżancie. Doreen właśnie wychodziła.

Wyjście było najwyraźniej ostatnią rzeczą, o jakiej myślała Doreen; chętnie zostałyby, zaspokoić ciekawość. Ale głos Eleanor nie dopuszczał sprzeciwu i kobieta nie miała innego wyjścia, jak tylko zebrać swoje rzeczy i wyjść. Joe popatrzył w ślad za odjeżdżającym samochodem.

– Proszę wybaczyć, że przeszkodziłem. – Joe usiadł na krześle, które Vera zajmowała podczas ich poprzedniej wizyty.

– Proszę się nie przejmować. – Eleanor przerwała na chwilę. – Doreen to porządna kobieta, ale trzeba jej ciągle powtarzać, jaka jest dobra. Nie mam już do niej cierpliwości. Ani do innych, które odwiedziły mnie w ciągu ostatnich kilku dni. Ale przyniosły ciasto, sierzancie, jeśli ma pan ochotę na herbatę.

– Zastanawiałem się, czy ma pani jeszcze jakieś rzeczy Roberta.

– Oczywiście. Nie byłam w jego pokoju, odkąd wyjechał. Nawet po to, by go posprzątać. Zawsze był bardzo stanowczy w tej kwestii. Poczucie prywatności. Jeśli mieliśmy mieszkać razem, każde z nas musiało mieć własną przestrzeń. – Zawahała się. – Kiedy pani inspektor powiedziała mi, że nie żyje, miałam ochotę tam wejść. W końcu ta umowa już nie obowiązywała i Robert nigdy by się o tym nie dowiedział, ale jakoś nie mogłam się na to zdobyć. A już na pewno nie sama.

– Czy nie miałyby pani nic przeciwko, gdybym tam zajrzał? – Co powinien powiedzieć, by ją przekonać? Raczej nie to: Mogą tam być dowody na to, że handlował kobietami i narkotykami. – Może tam być coś, co pomoże nam odkryć, kto go zabił.

– Byłoby mi to bardzo na rękę. – Znowu na chwilę zamilkła. – Myślę, że samo otwarcie drzwi by mi pomogło. Były zamknięte przez tyle lat.

– Czy Robert je zamykał na klucz?

– O nie! Poprosił mnie, żebym tam nie wchodziła i ufał, że nigdy tego nie zrobię.

– Czy zechciałaby pani pójść ze mną? Tylko proszę niczego nie dotykać. Jeszcze nie teraz. Ale jeśli chciałaby pani zajrzeć do środka...

Przez chwilę milczała.

– Wolałabym, żeby pan tam wszedł sam, sierzancie. Potrzebuję trochę czasu, by się przygotować. Nieswojo się czuję na myśl, że będę oglądać jego rzeczy.

– Na pewno pani tam zajrzała, kiedy Robert zniknął – powiedział Joe. – Pewnie martwiła się pani, że zachorował, i leży w pokoju.

Przytaknęła skinieniem głowy.

– Otworzyłam drzwi, ale nie weszłam do środka. Z podestu widziałam, że pokój jest pusty, a w łóżku nikt nie spał. Ale obawiam się, że dałam się ponieść wyobraźni i teraz boję się, jak zareaguję na to miejsce. Jego miejsce. Czekanie na wieści o nim doprowadziło mnie chyba do szaleństwa.

– Myślę, że każdego doprowadziłoby to do szaleństwa – powiedział Joe. – Ale wydaje mi się pani całkiem normalna. Na pewno chce pani, żebym poszedł na górę?

– Tak, proszę się rozejrzeć. Bardzo wolno wchodzić po schodach.

– Porządne przeszukanie może mi zająć trochę czasu.

– Mam mnóstwo czasu, sierzancie, a kiedy pan skończy, napijemy się herbaty i zjemy ciasto od moich dobroczyńców. – Uśmiechnęła się lekko. – A potem może będzie pan na tyle uprzejmy, by pójść ze mną na górę i towarzyszyć mi, kiedy wejdę do środka. Jego pokój jest na tyłach domu, obok łazienki.

Hol i podest były ponure, pokryte boazerią w stylu Tudorów. Joe pomyślał, że pewnie niewiele się tu zmieniło od czasu wybudowania domu w latach trzydziestych. Światło wpadało przez witrażowe okno na półpiętrze. Schody były kręte, więc nie miał pojęcia o układzie piętra, dopóki tam nie dotarł. Wszystkie drzwi wyglądały tak samo i zapewne też pochodziły z czasów budowy. Sześć paneli z bakelitowymi klamkami. Drzwi do łazienki były uchylone: rzucił okiem na czarno-białe kafelki na ścianach i podłodze oraz dużą emaliowaną wannę. Zatrzymał się na chwilę przed pokojem, w którym od dzieciństwa mieszkał Robbie Marshall. Opory Eleanor przed wejściem do tego pomieszczenia sprawiły, że i jego ogarnął niepokój. Założył lateksowe rękawiczki, które zabrał ze sobą, przekręcił gałkę i zajrzał do środka.

Od razu uderzyło go jasne światło. Był to duży pokój z wielkim oknem wykuszowym wychodzącym na ogród i park. Do środka wpadały promienie słońca. Joe zrobił krok i zamknął za sobą drzwi. Pomijając kurz zalegający na płaskich powierzchniach i zaduch, miejsce wyglądało tak, jakby Robbie Marshall opuścił je tego ranka. Chociaż mieszkał tu od czasów, gdy był nastolatkiem, nie było tu żadnych pamiątek po jego dzieciństwie. Wszystkie plakaty i modele zniknęły. Pod jedną ścianą stało podwójne łóżko, a w szerokim wykuszu biurko. Komputera nie było. Jeśli z niego korzystał, trzymał go w pracy, co oznaczało, że zniknął dawno temu, wraz z resztą majątku stoczni. We wnękach po obu stronach komina stały półki z mapami i notatnikami. Były też przewodniki turystyczne i terenowe, ale Joe nie zauważył żadnej lekkiej lektury. Mały telewizor wydawał się teraz dziwnie staroświecki, kwadratowy i pudełkowaty; stał na jednej z półek, a do jego oglądania służył wygodny fotel. Joe zastanawiał się, ile czasu Robbie spędzał sam w swoim pokoju, a ile w towarzystwie matki. Ciekawe, czy wielbiła go tak samo za życia, jak po jego zniknięciu.

Zeszyty ułożono w porządku chronologicznym; Robbie zaczął je prowadzić, gdy był jeszcze uczniem. W pierwszych z nich zapisywał ptaki widziane podczas wycieczek szkolnych w Bebington Grammar School. Były tam małe szkice, które dziwnie poruszyły Joego. Późniejsze zeszyty opisywały dalsze podróże Robbiego. Był w wielu krajach Afryki i Ameryki Południowej, o których Joe słyszał tylko w wiadomościach BBC, ale zdawał się też regularnie odwiedzać Europę Wschodnią, Tajlandię i Indonezję. Były tam skróty i symbole, które nic nie znaczyły dla Joego; pomyślał, że może Vera da radę je rozszyfrować. W końcu wychowała się z obserwatorem ptaków. Zastanawiał się czy warto zabierać te wszystkie materiały na komisariat, po czym zdecydował się wziąć kilka późniejszych notatników a wcześniejsze zostawić tam, gdzie były. Uznał, że wycieczka statkiem do słynnych latarni morskich, jaką Robbie odbył w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku, nie będzie miała większego znaczenia dla śledztwa.

Pod ścianą po obu stronach wnęki stały solidne, pomalowane na biało szafy. W jednej z nich Robbie trzymał swoje ubrania: dwa garnitury i kilka eleganckich koszul na wieszakach, a oprócz tego turystyczne ciuchy, które nosił podczas wypadów na wieś z Hectorem. W drugiej szafie znajdowały się półki wypełnione teczkami. To było jego domowe biuro i Joe przeżył chwilę triumfu; wśród tych wszystkich papierów powinny

znaleźć się informacje na temat tajnych interesów Robbiego. Przerzucił teczki, patrząc na odnośniki z przodu i od razu znalazł jedną z etykietą „Mewa”. Wyciągnął ją i zdał sobie sprawę, że dokładne przeczytanie i sprawdzenie zawartości zajmie sporo czasu. Były tam umowy, skrawki papieru, które służyły jako pokwitowania, coś, co wyglądało jak formalna umowa partnerska. Pomyślał, jak bardzo Vera ucieszy się z jego znaleziska i jak bardzo będzie zła, że sama nie wpadła na to, że pokój Robbiego został nienaruszony od chwili jego zaginięcia.

Wyciągnął teczki i ułożył je na łóżku. Postanowił, że zabierze je wszystkie na komisariat, żeby zespół mógł się nimi zająć, podobnie jak najnowszymi notatnikami. W ostatniej teczce znajdowały się wyciągi bankowe i ze spółdzielni mieszkaniowej Marshalla. Robbie miał odłożone pięćdziesiąt tysięcy funtów. Joe pomyślał, że w połowie lat dziewięćdziesiątych to była fortuna, z pewnością przekraczająca zarobki menedżera średniego szczebla lub dochody z handlu jakimiś tam ptasimi jajami. Miał nadzieję, że w górze papierów na łóżku znajdzie się wyjaśnienie źródła tych dochodów, a potem zaczął się zastanawiać, ile będą wynosić odsetki. Podejrzewał, że pieniądze należały teraz do Eleanor i że dzięki nim matka Robbiego spędzi ostatnie lata życia w dostatku.

Wyciągi bankowe były przechowywane oddzielnie w plastikowej kopercie w kartonowym segregatorze. Podobnie jak w biurze Gary’ego Keane’a, wszystko było uporządkowane i Joe zastanawiał się, czy Marshall był dla chłopaka kimś w rodzaju mentora. W ich rodzinie finansami zajmowała się Sal i była całkiem niezła w utrzymywaniu porządku, ale ich domowe rachunki nie wyglądały tak fachowo jak tutaj. Sal trzymała paragony i rachunki w starym pudełku po butach. Joe przejrzał kilka ostatnich wyciągów. Wiedział, że Eleanor czeka na dole, wiedział, że zbiera się na odwagę, by wejść do tego pokoju po ponad dwudziestu latach trzymania się z daleka i nie chciał zwlekać dłużej, niż było to konieczne.

Regularne dochody pochodziły od likwidatorów Swan Hunters i z jednej dużej comiesięcznej płatności, która była oznaczona jedynie numerem referencyjnym. Śledczy sprawdzą to później. Joe zastanawiał się, czy te pieniądze napływały od Gusa Sinclaira i jakie usługi Marshall mógł świadczyć temu człowiekowi, aby zasłużyć na takie wynagrodzenie. Kolejną – jedyną – godną uwagi pozycją była płatność czekiem z konta w banku Marshalla na rzecz Hectora Stanhope’a. Opiewała ona na pięćset funtów. Patrząc na poprzednie zestawienie, Joe zauważył, że taka sama suma została zapłacona tej samej osobie miesiąc wcześniej. I jeszcze miesiąc wcześniej. Nie było to polecenie przelewu, ale regularna płatność. Dlaczego Robbie regularnie wypłacał swojemu staremu przyjacielowi kwotę, która w tamtym czasie była znaczna? Jaką usługę świadczył Hector? W innych okolicznościach Joe podejrzewałby szantaż. Ale przecież oni byli przyjaciółmi, prawda? Z pewnością Hector nie zniżyłby się do szantażowania swojego przyjaciela.

Joe zniósł teczki na dół na dwa razy i zamknął je od razu w bagażniku swojego samochodu. Kiedy wychodził od Eleanor, zamknął za sobą drzwi do salonu, a teraz, nawet jeśli słyszała jego kroki na schodach, nie wyszła do niego. Z początku chciał poprosić ją

o pozwolenie na wyniesienie teczek, ale potem pomyślał, że byłoby jej przykro, gdyby zobaczyła jak wynosi z domu całe naręczce rzeczy jej syna. Po powrocie zastukał do drzwi salonu.

– Skończył pan już, sierżancie? Znalazł pan coś przydatnego? – Wstała z pomocą chodzika.

– Zabrałem trochę dokumentów. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko.

– Przyniesie je pan z powrotem?

– Oczywiście, choć to może trochę potrwać. Upewnię się, żeby jak najszybciej zwrócono pani książeczkę oszczędnościową. Będzie jej pani potrzebować, by uzyskać dostęp do pieniędzy Robbiego.

– Robbie miał pieniądze? – Wydawała się zaskoczona. – Oczywiście zawsze był hojny, ale wątpię, czy zostało po nim dużo. Tak wiele podróżował. – Umilkła na chwilę. – Mówił, że przecież nie zabierze ich ze sobą do grobu.

– Wygląda na to, że miał oszczędności. Nie wie pani, skąd mogły się wziąć?

– Zawsze był bardzo oszczędny, nawet jako chłopiec.

– Pani mąż nie zostawił mu nic po śmierci? – Choć Joe wątpił, by rzeźnik mógł zapisać swojemu synowi pięćdziesiąt tysięcy. Nawet w latach dziewięćdziesiątych, kiedy Robbie zniknął, byłaby to ogromna suma.

Potrząsnęła głową.

– Nie było tego wiele i to wszystko przypadło mnie.

– Czy spotkała pani kiedyś mężczyznę o nazwisku Hector Stanhope?

Musiała się chwilę zastanowić.

– Oczywiście, że znałam to nazwisko. Robert chodził z nim obserwować ptaki. – Przerwała na chwilę. – Przyjechał tu raz, mniej więcej rok przed zniknięciem mojego syna. Pamiętam, bo Robert nie przyprowadzał do domu wielu przyjaciół. Nawet kiedy był chłopcem. Był tylko John Brace. Robert nigdy nie potrzebował towarzystwa.

– Ale Hector przyszedł?

– Tylko raz i nie został zbyt długo. Zaproponowałam, że zrobię im coś do jedzenia, ale powiedział, że się spieszy i Robert zabrał go do swojego pokoju. Wyglądało to na spotkanie w interesach. Kiedy wrócili na dół, uścisnęli sobie dłonie. Wyglądało to bardzo formalnie, jakby właśnie zawarli umowę. Wcale nie jak przyjacielska pogawędka. – Eleanor Marshall spojrzała w stronę schodów.

Joe wspinał się za nią powoli, krok za krokiem, aż dotarli do podestu, po czym objął ją ramieniem i podeszli do drzwi pokoju Robbiego.

– Chciałaby pani wejść tam sama?

Eleanor zebrała siły. Ostatnim razem, gdy zaglądała do środka, była już w podeszłym wieku, ale była sprawna i szczęśliwa, że może dzielić swój dom z synem, którego uwielbiała.

– Jeśli nie miałby pan nic przeciwko, proszę tu poczekać.

Joe stanął na pólpiętrze, plecami do balustrady i patrzył, jak wchodzi do środka.

33.

Siedzieli całym zespołem w domu Very, wokół stołu, na którym niegdyś Hector wypychał ptaki i zwierzęta. W komisariacie odbyła się formalna odprawa, a Holly z trudem nadążała za wszystkimi nowymi informacjami, które napływały, uciekając się w końcu do długopisu i papieru, aby tworzyć linie i powiązania, a mimo to czuła, że wiele jej umyka. Vera była w terenie przez całe popołudnie i wróciła do biura w dziwnym nastroju. Wyraźnie rozkojarzona. Holly nieśmiało zapytała, czy Vera czuje się dobrze i zamiast zwykłej cierpkiej odpowiedzi, jej szefowa uśmiechnęła się tylko i powiedziała: „Ach kotku, zawędrowałam w krainę wspomnień. Nie zawsze bywa tam przyjemnie”.

W biurze zaczęli przeglądać teczki, które Joe znalazł w domu Eleanor, ale było to frustrujące, ponieważ każde znalezisko rodziło pytania, zamiast przynosić odpowiedzi. Joe wyraźnie nie miał ochoty zagłębiać się w szczegóły – powiedział, że wszyscy powinni zostawić to do rana, kiedy spojrzą na sprawę świeżym okiem – a Vera wciąż wydawała się niezdecydowana i rozkojarzona. W końcu zaprosiła najbliższych współpracowników do siebie. „Będzie mi łatwiej to wszystko ogarnąć poza biurem i po paru piwach”, powiedziała. Czterooosobowy gang Very rozgościł się więc w domu na wzgórzach, a na stole rozrzucone były kserokopie wyciągów bankowych Robbiego Marshalla. Vera piła piwo Wylam z butelki, a kiedy pozostali odrzucili propozycję dołączenia do niej, zrobiła im zaskakująco dobrą kawę. Na stosie papierów leżała otwarta paczka czekoladowych herbatników.

Wyglądało na to, że piwo i czekolada dały Verze zastrzyk energii i pozwoliły jej skupić się z powrotem na sprawie.

– Więc co dla nas masz, Joe? Musiałeś dojść do jakichś wniosków. Przejrzałeś te wszystkie rzeczy w domu Marshalla. Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób Brace, Marshall i profesor byli powiązani finansowo z Gusem Sinclairem. Wiemy, że utrzymywali kontakty towarzyskie, ale musiało być coś więcej. Dowiedziałam się dziś, że Sinclair wkręcił się w środowisko ziemiańskie, więc też pewnie pomagał Brace’owi w rekrutowaniu najemników dla drobnej arystokracji. Ale nie mam na to twardych dowodów.

Joe poruszył się niespokojnie na krześle. Holly zastanawiała się, o co chodzi. Joe był przecież ulubieńcem Very. Nie miał się czego obawiać z jej strony.

– Na konto Marshalla regularnie wpływały pieniądze. Na wyciągu jest tylko numer referencyjny, ale śledczy finansowy już go namierzył. Pochodziły z konta biznesowego „Mewy”.

– Co o tym sądzimy? – Vera rozejrzała się po swoim zespole. – Czy byli partnerami biznesowymi i Marshall otrzymywał zwrot z inwestycji, udział w zyskach?

Charlie przyglądał się kopii wyciągu.

– Nie sądzę, by „Mewa” kiedykolwiek osiągała tak duże zyski.

– Co w takim razie? – Głos Very był teraz podekscytowany. Prawie dziewczęcy. Holly pomyślała, że w tym nastroju wygląda co najmniej dziesięć lat młodziej niż w rzeczywistości. – Czy to była zapłata za jakąś usługę?

– Być może – powiedział Charlie. Dopił resztę swojej kawy. – Ale wiemy, że Marshall był człowiekiem do wszystkiego. Zapewnienie sprawnego funkcjonowania imperium biznesowego Sinclaira wiązało się z pewnymi kosztami. Policjanci do opłacenia. Radni. Być może Marshall świadczył Sinclairovi właśnie takie usługi, a te pieniądze były dla niego czymś w rodzaju funduszu obrotowego.

Zapadła chwila ciszy. Wszyscy czekali na reakcję Very.

– Myślę, że to możliwe – powiedziała w końcu. – Nie jestem jednak pewna, czy stanowiłoby to motyw do zabicia Robbiego Marshalla.

– Chyba, że oszukiwał Sinclaira. – Holly też chciała się wykazać. – I zatrzymywał wszystkie pieniądze dla siebie.

– Ano, może. – Ale w głosie Very zabrzmiało powątpiewanie. – Nie jestem jednak pewna, czy Marshall należał do tego typu ludzi. Lubił załatwiać sprawy, utrzymywać kontakty z wpływowymi graczami. Myślę, że to dawało mu więcej radości niż pieniądze. Jak powiedział Charlie, był od załatwiania spraw. Taka była jego reputacja. – Znów zapadła cisza. – Dobrze byłoby namierzyć niektóre osoby, którym Marshall płacił w imieniu Sinclaira. Sprawdzić teorię. Jakies pomysły, Charlie? Jakiś były policjant, który brał pieniądze, ale po tylu latach może go dręczyć sumienie?

Skinął głową.

– Za nic się nie przyznają. Wyrok na Brace’a wystraszył wszystkich.

– W tym momencie chodzi mi o informacje, stary. Nie o sprawiedliwość.

Charlie ponownie skinął głową.

Vera mówiła dalej.

– Zastanawiam się, czy Sinclair działa teraz w ten sam sposób. Używa kogoś innego do odwalania brudnej roboty, przekupywania planistów i radnych, by pozwolili mu zbudować nowe, wspaniałe Whitley Bay. Według mojego sąsiada wykupuje połowę miasta pod wynajem. I to nie licząc zagospodarowania dawnego terenu „Mewy”.

– Myśli pani, że mógł wykorzystać Gary’ego Keane’a? – Joe milczał przez całą wieczór, słuchając i wpatrując się w ogień. Teraz odwrócił się do nich.

– To ma sens, prawda? – Policzki Very były czerwone od żaru. – Założyliśmy, że Profesor był zamieszany w jego śmierć, ponieważ zostawił wiadomość na poczcie głosowej Keane’a, umawiając się na spotkanie. Ale czy zabójca, którego znamy jako inteligentnego człowieka, naprawdę zostawiłby wiadomość, wiedząc, że ją znajdziemy? Poza tym, jaki miałby motyw? Ale jeśli obaj ludzie Sinclaira od brudnej roboty zostali zabici, to byłby niezły zbieg okoliczności. – Przerwała na chwilę, a Holly widziała, w jakim tempie pracuje jej umysł. – Rozmawiałaś z sąsiadami Keane’a, Hol. Czy odniosłaś wrażenie, że mógł należeć do świata Sinclaira? Do jego imperium biznesowego albo do grupy nowobogackich myśliwych?

– Na nic takiego nie natrafiłam – odpowiedziała Holly. – Z pewnością miał aspiracje, ale były one bardziej miejskie. Dobre jedzenie i dobre wino. Dołączył nawet do grupy czytelniczej. I spotykał się z młodszą od siebie kobietą. Nazywa się Felicity, jest córką księgarza. – Holly pomyślała o domu Patty, bałaganie i dzieciach. – Wyglądało to tak, jakby próbował wymyślić siebie na nowo.

– Więc może okradał Sinclaira. Żeby zapłacić za swój nowy styl życia. Według mnie, nie kręciło go załatwianie spraw tak jak Marshalla. – Vera w roztargnieniu wzięła kolejnego herbatnika. – To może być motyw.

– Gdzie John Brace mieści się w tej teorii? – Holly spojrzała na twarz Very i pospiesznie kontynuowała. – Nie twierdzą, że to nie ma sensu, bo ma. Chcę tylko zobaczyć, czy uda nam się dopasować wszystkie elementy do siebie.

– Ech, kotku, nie wszystko da się idealnie poukładać. Ale założę się, że John Brace dostawał pieniądze od Sinclaira, kiedy „Mewa” jeszcze działała. Prawdopodobnie przez Marshalla. I myślę, że wciąż ma gdzieś ukryte pieniądze. Ktoś daje Patty pieniądze na gry komputerowe i bajeranckie telefony dla dzieciaków. Może uda nam się dowiedzieć, czy nadal prowadzi interesy z Sinclairem i jego współnikami? Może być inwestorem lub współnikiem. I mogą być w to zamieszani inni ludzie. Ludzie, którzy nie chcieliby, aby ich relacje z Sinclairem, Brace’em lub Keane’em wyszły na jaw. Wiemy, że Brace’a posadzono za werbowanie najemników dla wiejskich właścicieli ziemskich. W sądzie nie ujawniono żadnych współników, ale przecież mógł wciągnąć w to kolegów. To kolejna sprawa dla ciebie, Charlie.

Vera podniosła się na nogi i poszła do kuchni po piwo i kawę. W przerwie, która nastąpiła, Holly wyjęła telefon, by sprawdzić maile. Brak sieci. Nie była nawet pewna, czy Vera ma wifi.

Vera wróciła do pokoju, wzięła jeszcze kilka herbatników z paczki i kontynuowała rozmowę, jakby wcale nie wychodziła.

– Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy porozmawiać? A może już czas, żebyście się odwalili i pozwolili mi się wypać?

– Jest coś jeszcze. – To był Joe, mówił cicho. – Regularna płatność czekiem na rzecz osoby fizycznej. – Wyciągnął kopię wyciągu i podkreślił jedną z transakcji, po czym pchnął ją przez stół w stronę Very.

Podniosła gwałtownie wzrok.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, gdy tylko to zobaczyłaś?

Znowu poprawił się na krześle. Mały chłopiec przyłapany na kłamstwie.

– Nie ukrywałem tego!

– Więc Marshall zapłacił Hectorowi pięćset funtów. Mogła to być kasa za wypchanie jakiegoś okazu. Albo udział ze sprzedaży jaj drapieżnych ptaków.

Teraz oboje wyglądali jak dzieci, walczące na placu zabaw, żeby zachować dumę i nie stracić twarzy. Holly ogarnęło zażenowanie. Ta rozmowa powinna się odbyć bez świadków.

– To nie była jednorazowa płatność – powiedział Joe. – Przejrzałem wyciągi i każdego miesiąca wystawiał czek na tę samą kwotę.

Znowu zapadła cisza. Ogień strzelił iskrami, a na zewnątrz rozległ się słaby warkot samochodu jadącego na sąsiednią farmę.

– To pewnie nic nie znaczy – powiedział Joe. – To było dawno temu.

– Owszem, to znaczy, że Hector był oszustem. – Teraz Vera wyglądała na swój wiek, na każdy jego miesiąc. – Oczywiście zawsze wiedziałam, że nim jest. Ptaki i wypychanie zwierząt. Jedno i drugie nielegalne. Ale ta płatność łączy go z Sinclairem. Ze wszystkim, co działo się w „Mewie”. Z pracownikami seksualnymi, takimi jak Mary-Frances.

– Przykro mi.

– Nie wygłupiaj się. To nie twoja wina. Mój błąd, że mimo wszystko chcę o nim dobrze myśleć. – Wstała, bardzo zwinnie trzymając się na nogach pomimo swojej wagi. – Czas, żebyście już poszli. Muszę się położyć.

Na zewnątrz było ciemno i jasno zarazem. Więcej gwiazd niż widywało się w mieście. Joe i Charlie wracali razem, ale Holly miała własny samochód. Stała przez chwilę i patrzyła, jak odjeżdżają. W domu Very wciąż paliły się światła, a zasłony nie były zaciągnięte. Holly patrzyła, jak jej szefowa siada z powrotem przy stole Hectora. Kusiło ją, żeby wrócić i zaproponować Verze rozmowę o jej ojcu, ale wiedziała, że nie byłoby to mile widziane. Vera zaczęła porządkować leżące przed nią papiery. Potem odsunęła je i wstała, wzięła z półki na kominku drewniane pudełko i otworzyła je. Holly patrzyła, jak wyciąga stertę zdjęć i przegląda je po kolei. Musiała znaleźć to, czego szukała, ponieważ zatrzymała się i wpatrywała w jedno z nich. Holly była zbyt daleko, by zobaczyć zdjęcie i obawiała się, że Vera przyłapie ją na wścibstwie, więc nie podeszła bliżej do okna. W końcu Vera włożyła wszystkie zdjęcia do pudełka. Sięgnęła po czekoladowego herbatnika, ale opakowanie było puste, więc tylko zwinęła je w kulkę i wrzuciła do kominka.

34.

Vera dotarła na komisariat wczesnym rankiem, zmęczona i skacowana, mimo że poprzedniej nocy wypła tylko kilka butelek piwa. Wszystko przez komplikacje związane z tą sprawą. Cała ta plątanina i bałagan sprawiły, że prawie do rana walczyła, szukając jednego wątku, spójnego wyjaśnienia łączącego trzy ofiary. Tęskniła za prostotą i porządkiem, za liniami czystymi jak krzywizny „Mewy” z jej wspomnień. We wspólnym dużym biurze nadal pracowali detektywi, ale członkowie jej gangu byli nieobecni, i brakowało jej ich obecności. Nie miała się z kim podzielić chaosem, który panował w jej głowie. Gdyby mogła z nimi porozmawiać, pozbyłaby się go. W tle całego tego zamieszania był Hector, powiązany ze stertą ukrytych w ziemi kości. Musiała wziąć go pod uwagę, jako potencjalnego mordercę. Zaczęła przeglądać telefony i wiadomości, które napłynęły w nocy, starając się zepchnąć wszystkie myśli o Hectorze na dalszy plan.

Rozległo się pukanie do drzwi i Charlie zajrzał do środka. Najwyraźniej on też wcześniej zaczął robotę.

– Wejdz, stary. – Wiedziała, że zabrzmiało to aż nazbyt entuzjastycznie, ale była zbyt zdesperowana, by to ukryć.

– Rozmawiałem z kilkoma osobami, które były blisko Brace’a. Jest ktoś, z kim chyba chciałyby pani porozmawiać.

– Tak? Podasz mi jego nazwisko?

– Nie jego – powiedział Charlie. – Jej. Nazywa się Janice Gleeson.

Vera pamiętała Gleeson. Była od niej starsza i była w pewnym sensie bohaterką. Otworzyła drzwi do awansu, a potem przytrzymała je, by Vera mogła przejść. Nie wszystkie kobiety w policji działały w ten sposób. Skończyła służbę na stanowisku zastępcy komendanta głównego w mniejszym hrabstwie na południu, a po przejściu na emeryturę wróciła do Northumbrii.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że Brace ją też kupił?

– Ale nie pieniędzmi. Myślę, że go podziwiała. Uwierzyła mu zbyt łatwo. Myślała, że stoi po stronie aniołów, że jest trochę szorstki, ale że jest jednym z tych dobrych.

Vera skinęła głową. Brace urobił sobie w ten sposób wielu oficerów.

– Chce z nami rozmawiać?

– Tak, ale tylko z panią.

Janice Gleeson mieszkała z mężem w smaganym wiatrem domu w niemodnej części wybrzeża Northumbrii. Z okien roztaczał się widok na morze, ale także na pylony, morską farmę wiatrową i teren nieczynnej elektrowni. Verze się to podobało. Fakt, że Gleeson

trzymała się realiów, a nie mieszkała w domku w wiosce jak z obrazka, która mogłaby znajdować się w Surrey lub Somerset. Dom był zbudowany ze starej czerwonej cegły i szarego łupka i otoczony wysokimi drzewami. Liście już zaczynały opadać i kiedy Vera przyjechała na miejsce, kobieta zgarniała je z nieposprzątanego trawnika. Była wysoka, kanciasta, o uderzającej urodzie w stylu Glendy Jackson.

– Miło, że zgodziła się pani ze mną spotkać. – Vera powstrzymała się od dalszych uprzejmości, ale nie przyszło jej to łatwo.

Gleeson wyprostowała się i oparła o grabie.

– Może wejdziemy do środka? Edward pojechał do Morpeth na zakupy. Będziemy miały dom tylko dla siebie.

Vera próbowała przypomnieć sobie, co robił mąż tej kobiety. Czy był prawnikiem? Księgowym? Zdaje się, że coś w tym stylu. Gleeson wciąż mówiła.

– Nie byłam pewna, czy emerytura będzie mu służyć, ale on to uwielbia. Zajął się domem, zwłaszcza gotowaniem. Dobrze mu idzie.

Zaprowadziła Verę do kuchni, która mogłaby pochodzić z wiejskiego magazynu. Kuchenka „Aga”, wyszorowany sosnowy stół, doniczki z ziołami. Na bujanym fotelu obok kuchenki siedział kot, dopełniając obrazka. Gleeson zepchnęła go na podłogę i zaprosiła Verę, żeby usiadła, po czym zniknęła, by zdjąć kurtkę, którą założyła do pracy w ogrodzie. Na drzewach było pełno gniazd i Vera słyszała nawoływania ptaków przez otwarte okno.

– Charlie powiedział, że chce pani porozmawiać o Johnie Brace’ie. – Popijały kawę, chrupiąc domowe ciasteczka roboty Edwarda Gleesona.

Vera pomyślała, że takie domowe zacisze jest bardzo urokliwe, ale sama oszalałaby z nudów, gdyby tak wyglądało jej życie. I być może właśnie dlatego Gleeson zgodziła się z nią spotkać. Bo też była znudzona.

– Czy Charlie zdradził pani kulisy sprawy? Powiedział pani o tym, jak Brace naprowadził nas na zwłoki pochowane w pobliżu St Mary’s? Wiemy, że część z nich to kości Robbiego Marshalla, a podejrzewamy, że reszta należy do Mary-Frances Lascuoli. Inny współpracownik Brace’a, Gary Keane, został zamordowany w swoim mieszkaniu.

Gleeson skinęła głową.

– Ale nie jestem pewna, jak mogę pani pomóc.

– Była pani wtedy blisko tej sprawy. Jako współpracowniczką Johna Brace’a.

Zapadła cisza.

– Dałam się wciągnąć – powiedziała w końcu kobieta. – Brace to potrafił. Sprawiał, że człowiek czuł się wyjątkowo. Należał do wspólnoty. Brace był moim szefem, a ja byłam jedyną kobietą w zespole. Dbał, żeby nikt mnie nie lekceważył.

– Wspólnym ogniwem łączącym Marshalla i Keane’a był klub „Mewa” w Whitley Bay. Już go tam nie ma. Pamięta go pani?

Gleeson spojrzała prosto na Verę i zdawała się podejmować decyzję.

– Bywałam tam regularnie.

– Jako klientka? Nie w ramach pracy? – Vera była zaskoczona. Nie pomyślałaby, że Janice Gleeson jest typem bywalczyni klubów.

– Edward był księgowym Gusa Sinclaira.

Cisza, podczas gdy Vera próbowała przetrawić znaczenie tej informacji.

– Dałam się porwać urokowi tego miejsca. – Gleeson odwróciła się teraz od Very i patrzyła przez okno na rozkołysane drzewa i gawrony. – Uwiodło mnie, w pewnym sensie. Gwiazdy, muzyka, designerskie sukienki. Nigdy nie bywałam w takich klubach. Przekonałam samą siebie, że nie chodziłam tam jako policjantka, ale jako żona Edwarda. Darmowe kolacje i butelki szampana przysłane do naszego stolika były prezentem dla niego, a nie dla mnie. Wmawiałam sobie, że nie jestem w żaden sposób przekupywana.

– Ale może pani mąż był? – Vera ściszyła głos. W pytaniu nie było potępienia. W końcu jakie miała prawo osądzać? Jej ojciec brał pieniądze od Marshalla.

– Edward to dobry człowiek. Porządny.

– Ale jak pani powiedziała, trudno było nie dać się wciągnąć.

Gleeson odwróciła się z powrotem do pokoju.

– Ucieszył się, gdy Sinclair opuścił okolicę i wrócił do Glasgow. Dzięki temu Edward zyskał wymówkę, by zrezygnować z pracy i wszelkich kontaktów.

– Co się tam działo, Janice? Ile może mi pani powiedzieć?

– Nic, co by miało charakter przestępstwa. W każdym razie nic, co można by udowodnić.

– Nie pytam o dowody, kotku. Proszę, by wskazała mi pani właściwy kierunek. Mamy tu trzy zgony. Trzy ofiary.

Po dłuższej chwili, Gleeson zaczęła mówić, wyraźnie starając się dobierać właściwe słowa. Vera widziała ją kiedyś zeznającą w procesie o gwałt; zachowywała się tak samo. Spokojna. Zdeterminowana, by dokładnie opisać, co się wydarzyło.

– Na koncie firmy było więcej pieniędzy, niż klub w Whitley Bay był w stanie wygenerować.

– Skąd pochodziły?

– Edward oczywiście o to zapytał. Sinclair utrzymywał, że ma kilka nieruchomości na wynajem i mogło to być prawdą, ale kwoty wciąż się nie zgadzały.

– Więc co to było? – Verę ogarnęło rosnące zniecierpliwienie i starała się nad nim zapanować. – Pieniądze z przemytu? Narkotyki? Prostytycja?

– To była moja pierwsza myśl.

– Ale? – Ponieważ ton Janice Gleeson sugerował, że będzie jakieś ale.

– Edward uważał, że bardziej prawdopodobne jest pranie brudnych pieniędzy.

– Z działalności Sinclaira seniora w Szkocji? – Nagle model biznesowy „Mewy” stał się dla niej jasny. Ten klub nie powstał po to, by przynosić zyski. Jak coś tak wyrafinowanego i eleganckiego mogło odnieść sukces w tandetnym nadmorskim miasteczku, takim jak

Whitley Bay? „Mewa” miała przejmować zyski szkockich gangów i wprowadzać je do legalnego obiegu. – W takim razie, dlaczego klub został spalony?

Gleeson powoli skinęła głową.

– Czyżby ktoś inny domyślił się, co się tam dzieje? – Vera pomyślała, że w końcu mają motyw, przynajmniej jeśli chodzi o morderstwo Robbiego Marshalla. Być może Robbie chciał udziału w zyskach. Może miał dość bycia człowiekiem do wszystkiego u Sinclaira i postanowił zostać graczem.

– Ojciec Gusa, Alec, zaczął spędzać więcej czasu w Tyneside. Mówił, że odwiedza syna, ale może ktoś zorientował się, że bardziej interesował się biznesem niż rodziną. – W głosie Gleeson słychać było znużenie. Wypalenie. – I przypuszczam, że kobiety też mogły się zorientować.

– Kobiety?

– Partnerki biznesowe Sinclaira, przynajmniej na papierze. Elaine, która została jego żoną, i Judith Brace.

Vera wyprostowała się nagle, aż bujany fotel skrzypnął, a kot wymknął się ze swojego miejsca przy kuchence.

– Judith Brace była partnerką biznesową Sinclaira?

Judith, która wskazała im Elaine jako przyjaciółkę Marshalla? O co chodziło?

– Nie jestem pewna, czy faktycznie zainwestowała w to miejsce jakieś pieniądze. Ale pochodziła z szanowanej rodziny, a jej ojciec był sędzią magistrackim. To było dla Sinclaira ważniejsze niż jakiegokolwiek względy finansowe. Zdobył coś w rodzaju akceptacji. – Gleeson zwróciła się do Very z krzywym uśmiechem. – Oczywiście nie zaszkodziło też to, że była żoną starszego oficera policji.

Znowu zapadła cisza. Vera myślała o następnym spotkaniu z Judith Brace. Rozkoszowała się perspektywą konfrontacji, kiedy zażąda odpowiedzi na pytanie, dlaczego Judith nie przekazała jej tej drobnej informacji. Gleeson wciąż mówiła.

– Kiedy Edward powiedział mi, że Judith jest związana z Sinclairem, zaczęłam odsuwać się od Johna Brace’a, najpierw przenosząc się do innego zespołu, a potem, kiedy Edward się od nich uwolnił, oboje przeprowadziliśmy się na południe.

Vera wciąż myślała o Judith.

– Ciekawe, czy zainwestowała też w nowe przedsięwzięcie Sinclaira.

– Nie mam dostępu do takich informacji. – Gleeson wstała i zaczęła zbierać kubki. – Ale założę się, że Elaine wciąż jest tam szarą eminencją.

– Co ma pani na myśli?

– Na drzwiach „Mewy” widniało nazwisko Gusa Sinclaira, ale to Elaine stworzyła to miejsce. On ukończył studia uniwersyteckie, ale to ona miała mózg i smykałkę do interesów. Według Edwarda była urodzoną bizneswoman.

Vera również wstała. Widać było, że Janice Gleeson robi się nerwowa. Najwyraźniej nie powiedziała mężowi o rozmowie z Charliem ani o wizycie Very. Stały przez chwilę razem

przy drzwiach, po czym uściśnięły sobie dłonie; nie należały do pokolenia, które wymieniało uściski i pocałunki. Kiedy Vera dotarła do swojego samochodu, Janice już była z powrotem na trawniku, grabiąc martwe liście na kupki.

Gdy Vera wracała do Kimmerston, zadzwonił jej telefon więc zjechała na pobocze, by odebrać połączenie. To była jej sąsiadka, Joanna.

– Namierzyłam twojego tajemniczego Profesora. A przynajmniej mojego profesora. Tego, o którym mówili ci czytelnicy w „Lit and Phil”. – Głos kobiety był tak czysty, jakby siedziała obok Very, z akcentem szlifowanym na boisku hokejowym w prywatnej szkole dla dziewcząt.

– No i?

– To Profesor Stephen Bradford. Jest poetą. Bardzo znanym poetą. Ma obsesję na punkcie wsi. Ale nie w romantycznym stylu Wordswortha. Raczej interesuje go natura pełna krwi, zębów i pazurów. Rozumiesz.

Vera nie była pewna, czy rzeczywiście rozumie, ale kiedy skończyła rozmowę, posiedziała chwilę i uznała, że to może mieć sens.

Gdy wróciła na posterunek, Charlie czekał na nią, kręcąc się przed jej biurem. Myślała, że chce usłyszeć przebieg rozmowy z Janet Gleeson, ale wyglądało na to, że miał też informacje.

– Zrobiłem to, co pani kazała i sprawdziłem uniwersytety. Wysłałem wszystkim lokalnym uniwersytetom pocztę głosową pozostawioną na telefonie Gary’ego. Żadna z uczelni w Newcastle nie rozpoznała głosu, ale dostałem odpowiedź z Durham.

– I co? – Pchnęła drzwi i wpuściła go pierwszego. Jej myśli gnały przed siebie, ale starała się zachować spokój, nie robić sobie nadziei.

– To Profesor Stephen Bradford.

– Yes! – Zboksowała powietrze jak uczestniczka drugorzędnego teleturnieju. I rzeczywiście to było jak rozbicie banku niedorzecznym zbiegiem okoliczności, Charlie i Joanna wymieniający to samo nazwisko niemal w tym samym momencie.

– Słyszała pani o nim? – Charlie wydawał się być pod wrażeniem, ale jednocześnie nieufny, jakby zadziałała jakaś magia. – Sądzi pani, że to facet, którego szukamy? A ja myślałem, że to mało prawdopodobne. Nie pracuje teraz w Durham więc wydawało mi się dziwne, że ktoś pamiętałby głos człowieka, którego nie widzieli od trzech lat.

– Dopiero co podano mi to nazwisko i miło jest dostać potwierdzenie. Nasz profesor jest poetą. Sławnym. Interesuje się naturą, ale nie w romantyczny sposób.

– Nie dostałem takich informacji. – Teraz był pod jeszcze większym wrażeniem. – Tylko tyle, że jakiś czas temu przeszedł na emeryturę.

– Czy wiemy, co on teraz porabia? – Vera poczuła się lżej, jakby opadło z niej kilka kilogramów i mogła wbiec po schodach bez przerwy na zaczerpnięcie oddechu. Brak nazwiska profesora dręczył ją niemal od początku śledztwa. Mając nazwisko, mogli go

namierzyć. Zaczęła tracić zaufanie do swoich wspomnień, zastanawiając się nawet, czy ten człowiek w ogóle istniał.

– Ta kobieta z uniwersytetu nie umiała mi nic powiedzieć. Wspomniała tylko, że zawsze trzymał wiele srok za ogon. – Charlie zrobił pauzę. – Twierdzi pani, że ten słynny poeta, były wykładowca literatury angielskiej na Uniwersytecie Durham, zabił dwie osoby w latach dziewięćdziesiątych, a następnie zadźgał Gary’ego Keane’a w jego własnym domu? Bo ja tego nie widzę. Czemu miałby to zrobić?

– Nie wiem. – Prześledziła fakty w myślach ale nie potrafiła ich zmusić, by ułożyły się w logiczną całość, będącą motywem działania Bradforda. – Ale mamy wystarczająco dowodów, by go zatrzymać. Wiemy, że skontaktował się z Garym Keane’em dzień przed zabójstwem i chciał się z nim spotkać. Wiemy, że był przyjacielem Robbiego Marshalla i jednym z członków Gangu Czterech. Elaine na pewno wiedziała, o kim mówię, kiedy jej o nim wspomniałam, więc zgaduję, że był też stałym bywalcem „Mewy”. Jest w to wszystko zamieszany w taki czy inny sposób i chcę z nim porozmawiać. Proszę jechać do Durham i zabrać ze sobą Holly. Uczęszczała na dobrą uczelnię, więc będzie wiedziała, o czym mówią.

– Chce pani powiedzieć, że jestem burakiem? – Szeroki uśmiech na twarzy świadczył, że nie poczuł się urażony.

– Nie, ale to inny świat, prawda?

Jak „Mewa”, pomyślała, z jej migoczącymi światłami, muzyką unoszącą się w powietrzu nad Morzem Północnym. To też był inny świat, a teraz wiedziała już, że był równie nietrwały, jakby ktoś zbudował go z piasku na plaży w Whitley Bay.

35.

Podczas gdy Holly i Charlie wyruszyli do Durham w poszukiwaniu Profesora, Vera usiadła przy biurku i pozwoliła swoim myślom błądzić w czasie. Nie sądziła, że Hector jest zdolny do morderstwa, ale teraz do jej głowy wkradły się wątpliwości i podejrzenia. Jak korzenie bluszczu wciskające się w ścianę. Z początku pozornie niewinne, a potem wszechobecne i niemożliwe do zignorowania lub usunięcia.

Podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer Judith Brace. Kobieta natychmiast odebrała. W tle słyhać było odgłosy ruchliwej ulicy.

– Zastanawiam się, czy mogłaby pani przyjść na posterunek policji w Kimmerston, pani Brace. Mam do pani jeszcze kilka pytań. Dziś rano, jeśli ma pani czas.

Zapadła chwila ciszy.

– To naprawdę nie jest mi na rękę. Nie mogłaby pani przyjść do mnie do domu? Może dziś wieczorem.

Vera poczuła przyływ ożywczego gniewu; nie była służącą, której można rozkazywać.

– Jeśli nie chce pani, by powiązano pani nazwisko z trzema morderstwami, pani Brace, sugeruję, by przysłała pani na posterunek i wyjaśniła swoje powiązania biznesowe z przynajmniej jedną z ofiar.

Znów zapadła cisza, zanim kobieta ponownie się odezwała.

– Jestem teraz w Kimmerston w drodze na spotkanie. Przypuszczam, że mogłabym je odwołać, jeśli naprawdę uważa pani, że to takie ważne. – Lodowatym głosem dodała: – Zawsze uważałam, że należy wspierać policję.

Rozmawiały w jednej z sal konferencyjnych. Była surowa i funkcjonalna, ale nie tak nieprzyjemna jak pokój przesłuchań blisko cel. Vera nie chciała zrazić do siebie Judith Brace bardziej, niż już to zrobiła. Kobieta usiadła, wyprostowana i spięta.

– Przepraszam, że panią ściągnęłam, Judith. – Vera zaproponowała już kawę, a wraz z przeprosinami kobieta zaczęła mięknąć. – Chodzi o to, że otrzymaliśmy ważną informację i oczywiście chcę sprawdzić jej dokładność przed podjęciem działań.

– Informację związaną ze mną? – Zmarszczyła brwi.

– Rozumiem, że wraz z Elaine Sinclair była pani jednym z głównych udziałowców „Mewy”. Nie odniosłam takiego wrażenia, gdy po raz pierwszy rozmawialiśmy o klubie. W rzeczywistości zasugerowała pan, że prawie nie zna Elaine, kiedy zapytałam o przyjaciółki Robbiego Marshalla. – Vera uśmiechnęła się uspokajająco. – Jestem pewna, że istnieje dobre wytłumaczenie, ale rozumie pani, dlaczego musimy porozmawiać.

– Byłam udziałowcem tylko z nazwy – powiedziała Judith. – John to wszystko ustawił. Żeby zdystansować się od Sinclaira i tej działalności.

– A więc moi informatorzy mylili się, mówiąc, że to pani była mózgiem operacji? – Kolejny uśmiech.

– Całkowicie się mylili, pani inspektor.

– Czy miała pani jakiś kontakt z państwem Sinclair, odkąd wrócili do Tyneside? Zakładam, że obecnie obracają się państwo w tych samych kręgach.

Vera widziała, że Judith miała ochotę skłamać, ale potem się rozmyśliła.

– Oczywiście, że popieram próby pana Sinclaira, by zregenerować północno-wschodnie wybrzeże. Od czasu do czasu spotykamy się na zebraniach. Ale nie spotykamy się towarzysko.

Vera zastanawiała się, co powiedziałby na to Sinclair ze swoimi aspiracjami, by wkupić się do środowiska ziemian.

– Czy ma pani udziały finansowe w którymś z jego programów rewitalizacji?

Judith dobrze się zastanowiła, zanim odpowiedziała.

– Mam skromną inwestycję w jedno z jego przedsięwzięć. Wierzę w koncepcję odnowy wybrzeża. – Wydawała się nabierać pewności siebie. Być może zdawała sobie sprawę, że Vera ma bardzo niewiele dowodów, by powiązać ją z zabójstwami. – Pani inspektor, jeśli nie ma pani więcej pytań, to naprawdę powinnam już iść.

Po powrocie do biura Vera pomyślała, że zadziałała zbyt pochopnie. Powinna była poczekać, aż będzie miała konkretne szczegóły dotyczące związku Judith Brace z wydarzeniami rozgrywającymi się wokół „Mewy.” Gdy zadzwonił telefon, była tak pochłonięta domysłami, że aż podskoczyła na jego dźwięk. Odbierając, poczuła jak jej mięśnie napinają się pod wpływem nagłego przyływu adrenaliny.

– Tak.

To był Paul Keating, patolog.

– Drugi komplet kości, który znaleźliśmy w przepuście. Ta kobieta.

– Zidentyfikowałeś ją?

Byłby jeden nierozwiązany problem mniej.

– Nie do końca.

– Przestań się ze mną bawić, człowieku. Nie jestem w nastroju.

Choć oczywiście Keating nigdy nie bawiłby się cudzym kosztem. Był solidnym i bardzo religijnym Irlandczykiem z Ulsteru i najmniej zabawnym człowiekiem, spośród wszystkich jej znajomych.

– To nie jest Mary-Frances Lascuola.

Vera chciała zapytać, czy jest pewien, ale powstrzymała się. Keating nie zadzwoniłby do niej, jeśli by tego nie potwierdził.

– Skąd wiesz?

– W końcu dotarliśmy do dokumentacji medycznej Lascuoli. Niedługo przed zniknięciem została przyjęta na ostry dyżur z kilkoma złamaniami kości. Lekarz przypuszczał, że to wynik brutalnego ataku, choć opowiedziała im jakąś bajeczkę o upadku ze schodów.

– Była pracownicą seksualną. Jedną z dodatkowych atrakcji tej pracy są okazjonalne pobicia.

Ale czy nie była wtedy chroniona przez Johna Brace'a? dodała w myśli. A może dał sobie z nią spokój, bo znowu zaczęła brać? Może to on był napastnikiem?

Keating milczał przez chwilę.

– Kości denatki nie nosiły śladów złamań. A na pewno by je miały, gdyby to była Lascuola.

– Więc dalej nie wiemy, kim ona jest?

– Przykro mi Vera. Jestem patologiem, a nie cudotwórcą. Nie mam pojęcia, co jeszcze możemy zrobić, by pomóc ci ją namierzyć. – Czekał chwilę, aż Vera się odezwie, ale nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć, więc się rozłączył.

Usiadła przy biurku. Joe twierdził, że lubiła skomplikowane sprawy. Mówił, że im trudniejsza sprawa, tym bardziej ją to bawiło. Skąd więc ten nawrót paniki, poczucie, że tonie w natłoku informacji? Wiedziała, że nie poczuje się lepiej, siedząc tu i rozmyślając: to nie był czas na pobłażanie emocjom. Wstała i otworzyła drzwi do pokoju operacyjnego.

– Nowe informacje od patologa – krzyknęła, by przebić się przez stukanie w klawiatury i szeptane rozmowy. Zapadła cisza, gdy funkcjonariusze przerwali swoje czynności i przenieśli uwagę z ekranów na nią. – Kobieta w przepuście zdecydowanie nie jest Mary-Frances. Mamy więc nowy priorytet: identyfikację drugiej ofiary. Proszę zacząć od dwudziestego piątego czerwca dziewięćdziesiątego piątego roku. Wtedy zniknął Robbie Marshall. Przejrzyjcie akta wstecz od tej daty. Szukamy osoby, której zaginięcie zgłoszono w tym samym okresie. Młodej kobiety. Proszę zacząć od wybrzeża i przenieść poszukiwania w głąb łądu. – Przerwała. – Chcę mieć listę potencjalnych ofiar na biurku przed lunchem.

Chciała powiedzieć coś więcej. Że młoda kobieta może mieć krewnych, którzy wciąż cierpią, ale mają nadzieję, że żyje. Przeprosić, że zamknęła inne linie śledztwa, ponieważ była tak przekonana, że to Mary-Frances była denatką. Ale to wymagałoby czasu, a Vera chciała, żeby wszyscy się skupili. Potrzebowała natychmiastowego wyniku. Wróciła do swojego biura, zabrała torbę i wyszła z budynku.

Na osiedlu Hastings, Patty Keane wydawała się zadowolona z jej wizyty, dumna z tego, że dom jest bardziej uporządkowany niż podczas poprzednich odwiedzin.

– Nie zapomniałam o porannym lunchu! – Przelotny uśmiech. – A pranie jest już rozwieszona. – Skinęła w stronę ogrodu i suszarki obrotowej, która stała na zaniedbanym trawniku.

– Ech, kotku, nie jestem opiekunką społeczną, żeby cię oceniać. – Dopiero po chwili zrozumiała, że Patty potrzebuje pochwały. – Świetnie, że tak dobrze sobie radzisz i że czujesz się lepiej. Włączysz czajnik?

Piły herbatę w salonie z ogromnym telewizorem na jednej ścianie. Przypominał Verze weneckie lustra, które mieli w kilku pokojach przesłuchań.

– Chodzi o twoją mamę.

– Przyszła pani powiedzieć mi, że nie żyje – powiedziała Patty. – Tak, jak Gary.

– Nie wiem, czy jest żywa, czy martwa. Ale wiem, że to nie jej ciało znaleźliśmy w pobliżu St Mary's.

Patty milczała przez chwilę, zszokowana.

– Ale jeśli ona żyje, to dlaczego nigdy się ze mną nie skontaktowała? – Zabrzmiało to jak szloch.

Vera z trudem wymyśliła odpowiedź. Co ona wiedziała o rodzinach i przyzwoitym rodzicielstwie?

– Być może uznała, że lepiej ci będzie bez niej, że najrozsądniej będzie pozwolić ci żyć na własną rękę.

Po policzkach Patty spływały łzy.

– Jestem naprawdę kiepską matką, ale nigdy nie porzuciłabym swoich dzieci. Nawet Archiego, choć czasem mam ochotę go udusić.

– Nadal nie mamy pewności, że ona żyje. Wiemy tylko, że nie jest kobietą, którą znaleźliśmy w przepuście.

Siedziały obok siebie na skórzanej sofie, trzymając kubki. W sąsiednim ogrodzie starszy mężczyzna porządkował swój i tak już nieskazitelny ogród, usuwając umierające rośliny z ziołowych obwódok.

– Pamiętasz ją chociaż trochę? – zapytała w końcu Vera.

Patty potrząsnęła głową.

– Pamiętam, że byłem jakiś czas w rodzinie zastępczej. Ale bardzo słabo. Potem poznałam moją rodzinę adopcyjną. Miałam własny pokój w domu, który wydawał się ogromny. Byłam wtedy wystarczająco duża, by rozumieć, co się dzieje.

– Moja matka zmarła, gdy byłem dzieckiem – powiedziała Vera. – Nie jestem pewna, czy moje wspomnienia o niej są prawdziwe, czy też zmyśliłam sobie jakąś historię na jej temat.

– Widziałam zdjęcie mojej. – Patty wciąż płakała. Wyjęła z rękawa brudną chusteczkę i otarła oczy. – Było w moich aktach z opieki społecznej. Nadal czasem o niej śnię, ale wiem, że to moje wymysły. Gdy trafiłam do opieki, byłam zbyt mała, by ją pamiętać.

– Czy wciąż masz to zdjęcie?

– Tak, jest w pudełku na górze.

– Pozwolisz mi je zobaczyć? To może nam pomóc ją namierzyć. – Vera nie chciała mówić, że jedynymi zdjęciami Mary-Frances, jakie mieli, były te zrobione po jej aresztowaniu, a na policyjnych zdjęciach każdy wygląda jak postać z horroru.

– Jasne.

Wróciła z małym kartonowym pudełkiem, w którym kiedyś znajdowały się fantastyczne czekoladki, być może podarowane przez Gary'ego. Położyła je na sofie między nimi i otworzyła. W środku było kilka drobiazgów. Tania biżuteria.

– Mój pierścionek zaręczynowy. Śliczny, prawda?

Skany dzieci, kiedy była z nimi w ciąży. Zdjęcie jej matki. Ujęła je ostrożnie za krawędź i podała Verze.

Kobieta opierała się o niską, drewnianą bramę jakiegoś pastwiska na wsi. Jej nagie ramiona wydawały się przerażająco chude; zaciskała dłonie przed sobą. Miała na sobie niebieską sukienkę, z dużym dekoltem, ale mimo to skromną. To nie była sukienka do pracy na ulicy. Jej twarz – skóra i kości – była mimo to zniewalająco piękna. Twarz modelki z wysokimi kośćmi policzkowymi i wielkimi oczami. Długie ciemne włosy. Vera zrozumiała, dlaczego John Brace zwrócił na nią uwagę.

– Wow!

– Jest cudowna, prawda? Szkoda, że nie jestem do niej podobna.

– Ależ tak! – Odpowiedź była szczera, ponieważ Vera naprawdę widziała podobieństwo. Nie było wątpliwości, że kobiety są ze sobą spokrewnione. Nadal wpatrywała się w fotografię, przenosząc uwagę z kobiety na pierwszym planie na wiejski pejzaż za nią i na przestwór letniego nieba.

Patty wciąż mówiła.

– Opiekunka społeczna skontaktowała się z moją matką tuż przed oficjalną adopcją i poprosiła o coś dla mnie na pamiątkę. Myślę, że to zdjęcie musiało zostać zrobione kilka lat wcześniej, ale może jej się spodobało. Chciałabym dostać list. Coś osobistego. Ale jedyne, co do mnie dotarło, to to zdjęcie i medalion.

– Jaki medalion?

Patty zaczęła przeszukiwać pudełko.

– Kiedyś nosiłam go cały czas, ale potem przestraszyłam się, że mogę go zgubić, więc trzymałam go tutaj. Przejrzała biżuterię, kolczyki i bransoletki. – Nie ma go. – W jej głosie brzmiało niedowierzanie.

– Może pozwolisz mi spojrzeć? – Vera wzięła pudełko na kolana i delikatnie ułożyła wszystkie przedmioty na szklanym stoliku przed sobą. Było tam kilka sznurków szklanych paciorków i złoty łańcuszek, ale żadnego medalionu. – Jesteś pewna, że był tutaj, kotku? Może któreś z dzieci zabrało go, żeby się pobawić?

Patty potrząsnęła głową.

– Wiedzą, że nie wolno im wchodzić do mojego pokoju. Poza tym trzymam pudełko wysoko na półce. Nawet ja nie dosięgnę go bez wejścia na stół.

– Kiedy widziałas go po raz ostatni?

– Nie jestem pewna. Wie pani, jaka ostatnio jestem, niczego nie jestem pewna. Mogły minąć lata, odkąd ostatni raz go wyjmowałam.

Chusteczka rozpadła się już na strzępy, ale wciąż ocierała nią oczy.

– A widziałaś go od czasu włamania?

Vera nie widziała, dlaczego medalion mógłby być ważny dla kogokolwiek poza Patty, ale próbowała znaleźć inne wytłumaczenie jego zniknięcia.

Patty spojrzała na nią jak na wariatkę.

– Dlaczego złodziej miałby ukraść akurat ten medalion, a nie telewizor czy komputer? Był srebrny, ale ani stary, ani wartościowy.

– Czy w środku były zdjęcia?

– Nie. Tylko pukiel włosów mojej matki.

Vera objęła Patty ramieniem i krótko ją przytuliła, po czym znalazła w torebce czystą chusteczkę i podała jej.

– Zastanów się dobrze, kotku. Czy pamiętasz, kiedy ostatni raz go widziałaś?

– To było wieki temu! Nie pamiętam dokładnie.

Brzmiała teraz jak nadąsane dziecko, więc Vera spróbowała ją uspokoić.

– Nie, oczywiście, że nie możesz sobie tego przypomnieć, biorąc pod uwagę wszystko, co zaszło w twoim życiu. Czy Gary wciąż miał klucze do tego domu?

Patty potrząsnęła głową.

– Rzucił je na ławę, kiedy przyszedł odebrać resztę swoich rzeczy. – Nagle podniosła wzrok. – Myśli pani, że włamał się tu tylko po medalion? Dlaczego miałby to zrobić? Był ważny tylko dla mnie. Był częścią mojej przeszłości. Częścią mojej matki.

– Nie wiem i prawdopodobnie niepotrzebnie zawracam sobie tym głowę. Ale sprawdzimy to. Przeszukano już mieszkanie Gary’ego, więc zapytam, czy znaleźli go wśród jego rzeczy. – Patrzyła, jak Patty wkłada swoje skarby z powrotem do pudełka, a potem ponownie spojrzała na zdjęcie Mary-Frances.

Na zdjęciu nie było żadnych budynków, nic nie wskazywało na to, gdzie mogło zostać zrobione. Musiała być późna wiosna, ponieważ na polu za bramą kwitła koniczyna i jaskry. Verze przypomniało się zdjęcie jej własnej matki, stojące przy jej łóżku, w starej ramce, która nie do końca pasowała. Spojrzała jeszcze raz na zdjęcie Mary-Frances. Gdyby nie pomyślała o matce, nie zauważyłaby, że kobieta obejmuje dłońmi niewielką wypukłość na brzuchu. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że na tym zdjęciu Mary-Frances jest w ciąży.

36.

Vera wyszła od Patty i pojechała prosto do budynku urzędu miasta, w którym mieściły się biura opieki społecznej. Zaparkowała na miejscu z napisem „tylko dla personelu”, ponieważ tylko ono było wolne, a potem stanęła przed lśniącą ladą w recepcji.

– Chcę rozmawiać z Freyą Samson.

– Czy jest pani umówiona? – Głos recepcjonistki był wrogi i pełen wyższości. Otaksowała Verę spojrzeniem od stóp do głów, wyceniając jej ubranie i uznała, że przyszła po zasiłek, a nie służbowo.

– Jestem z policji. Inspektor Vera Stanhope. Przyjmie mnie.

Kobieta spiorunowała ją wzrokiem. Nie była przyzwyczajona do takiego traktowania. Klienci opieki społecznej byli zwykle ulegli i łatwo było ich zastraszyć.

– Proszę usiąść, sprawdzę.

Vera nadal stała, w zasięgu wzroku kobiety i wystarczająco blisko, by słyszeć rozmowę telefoniczną:

– Przepraszam. – Westchnienie. – Mówi, że jest inspektorem policji. Wygląda na bardzo natarczywą. – Recepcjonistka odłożyła słuchawkę. – Pani Samson zaraz zejdzie.

Freya miała na sobie inną sukienkę, ale w identycznym stylu. Kwiecisty nadruk na rajstopach i płaskie buty. Była wściekła, ale starała się opanować.

– Powinna była pani najpierw zadzwonić. Właśnie idę do sądu.

– To nie potrwa długo. – Vera oddaliła się od recepcji, bo widziała, że kobieta tam siedząca wyteża słuch. – Kobieta, którą znaleźliśmy w przepuście przy St Mary's, nie jest matką Patty. Zakładam, że ona wciąż żyje i muszę ją namierzyć. Jeśli służby socjalne oddały Patty do adopcji, muszą istnieć jakieś akta.

– Ale to było wieki temu. – Freya spojrzała na zegarek.

– Na pewno są jakieś akta. Ludzie próbują odnaleźć swoich biologicznych rodziców wiele lat po tym, jak zostali umieszczeni w rodzinach adopcyjnych. Patty też tak zrobiła.

– Musi pani porozmawiać z kimś z działu opieki zastępczej i adopcji. – Freya przesuwiała się w stronę wyjścia. – Proszę porozmawiać z Alison Mackie. Pracuje tam od wieków.

I już pobiegła dalej, z rozwianym włosom. Vera próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek robiła wszystko w biegu i doszła do wniosku, że nigdy nigdzie nie biegała, nawet jako dziecko.

Alison Mackie była mniej więcej w tym samym wieku co Vera, ale dbała o siebie i była wręcz elegancka. Nosiła dzianinową sukienkę w kolorze jeżynowym, a jej włosy były asymetrycznie ostrzyżone i wycieniowane, co prawdopodobnie kosztowało fortunę.

Wyglądało na to, że zajmowała podobne miejsce w tej organizacji, co Vera w swojej, ponieważ także miała własne małe biuro, szklane pudełko w rogu ogromnej otwartej przestrzeni. Na ścianie wisiały obrazki narysowane przez dzieci: patykowe ludziki w rodzinnych grupach. Wstała, gdy Vera weszła do środka i wyciągnęła rękę. W czym mogę pomóc, pani inspektor? Bez pośpiechu i nacisku. Bez urazy, że Vera uparła się, by natychmiast się z nią zobaczyć.

– W połowie lat osiemdziesiątych kobieta o imieniu Mary-Frances Lascuola oddała swoją córkę Patricię do adopcji. Próbuje ją namierzyć w ramach śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa. – Vera poczuła, że się odprężyła. Rozmawiała z kompetentną osobą.

– Pamiętam Mary-Frances. – Proste stwierdzenie bez dramatyzmu ani ciekawości. – Jedną z moich pierwszych spraw dotyczących adopcji i opieki zastępczej. W tamtych czasach byliśmy głównie zwykłymi pracownikami socjalnymi, pracującymi w biurze rejonowym, ale nawet wtedy adopcja była naszą specjalnością. Uwielbiałam pracować z dziećmi i nadal to robię. Chociaż teraz prawie wyłącznie pracuję w biurze.

Nic z tego nie miało dla Very większego znaczenia. Rozumiała tylko, że w organizacji nastąpiła restrukturyzacja. Podobnie jak w policji. Więcej niż raz.

– Proszę mi opowiedzieć o Mary-Frances.

– Została skierowana do opieki społecznej przez położną, z którą po raz pierwszy spotkała się, gdy była w ciąży. Była uzależniona od heroiny i świadczyła usługi seksualne, a oni chcieli mieć na nią oko. Dziecko najwyraźniej nie było planowane i podjęła decyzję, że powinno zostać oddane do adopcji. Uczestniczyłam w tym, dopóki dziecko nie zostało oddane pod opiekę i umieszczone w rodzinie zastępczej, a następnie nadzorowałam Mary-Frances podczas całego procesu adopcyjnego.

– Była uzależniona? Czy była czysta, kiedy dziecko trafiło pod opiekę?

– Nie wtedy, gdy Patricia została objęta opieką, ale przez całą ciążę tak. Jak tylko dowiedziała się, że spodziewa się dziecka, przestała brać. Nie było to łatwe, więc była godna podziwu. Chociaż później nastąpił nawrót.

– Po tylu latach pamięta to pani bardzo dobrze.

Alison uśmiechnęła się.

– Jak już mówiłam, opieka zastępcza i adopcje były dla mnie nowością. Więc pamiętam większość z nich. Głównie te bardzo smutne. Jestem samotną kobietą i praca zawsze była najważniejszą rzeczą w moim życiu.

– Czy może mi pani o niej opowiedzieć? Mamy o niej bardzo mgliste wyobrażenie.

Alison wstała. Na półce nad jej biurkiem znajdował się rząd teczek, każda z rokiem wypisanym czarnym długopisem na grzbiecie. Wyciągnęła kilka, zanim wybrała właściwą.

– To nie są oficjalne akta – powiedziała. – Raczej coś w rodzaju osobistego pamiętnika. Notatki, które zbierałam przed napisaniem raportów dla sądu. Ale proszę zobaczyć, może coś z tego się przyda. Każdy z moich klientów ma oddzielną stronę i dodawałam luźną kartkę za każdym razem, gdy widziałam daną osobę. Każda jest opatrzona datą. –

Przerwała na chwilę. – Nie mogę pozwolić pani ich zabrać, ale jeśli nie ma pani nic przeciwko, jest tu salka konferencyjna, w której może je pani przejrzeć. Tu nie może pani niestety zostać. Muszę wykonać kilka telefonów, a niektóre rozmowy będą poufne.

Zaprowadziła Verę przez główne biuro do małego pokoju z ośmiokątnym stołem z jasnego drewna i ośmioma krzesłami. Proszę do mnie wrócić, gdy pani skończy, a jeśli będzie miała pani jakieś pytania, odpowiem na nie.

Vera odmówiła modlitwę dziękczynną, że istnieją na tym świecie sensowne kobiety i zabrała się za czytanie.

16 sierpnia

Wizyta domowa. Mary-Frances mieszka w prywatnym mieszkaniu w Whitley Bay. Skąpo umeblowane, ale czyste. Sprawia wrażenie inteligentnej i samoświadomej – opisuje siebie jako osobę uzależnioną i mówi, że w przeszłości prowadziła chaotyczne życie. „Nie ma gwarancji, że wytrzymam bez brania po urodzeniu dziecka. Teraz daję radę, bo mam granicę czasową. Mam nadzieję, że uda mi się trzymać z dala od narkotyków, ale nie mogę tego obiecać i nie chciałabym zrobić niczego, co mogłoby zaszkodzić mojemu dziecku. Lepiej, żeby trafiła do rodziny, która będzie w stanie ją pokochać i odpowiednio się nią zaopiekować”. Zapytałam, skąd wie, że dziecko jest dziewczynką. Czy powiedziano jej o tym podczas badania? Powiedziała, że nie, ale takie ma przeczucie. Taką ma nadzieję.

Zapytałam, czy rozważała aborcję. Powiedziała, że została wychowana jako katoliczka i chociaż rozważała przerwanie ciąży, czuła, że nie może tego zrobić. Zapytałam o ojca – czy są w długotrwałym związku? Na początku niechętnie o nim mówiła. Potem powiedziała, że jest żonaty. Miał zbyt wiele do stracenia, by uznać dziecko za swoje. Spytałam, czy on też bierze narkotyki, a ona roześmiała się i powiedziała, że nie. Że przez całe życie zamykał narkomanów. Nie wiedział o ciąży, a ona nie była pewna, czy powinna mu powiedzieć. Może byłoby lepiej, gdyby się wyprowadziła. Może do Londynu. Zasugerowałam, że powinniśmy uzyskać jego zgodę na adopcję, ale powiedziała tylko, że się nad tym zastanowi.

19 sierpnia

Umówiłam się na wizytę w biurze, ale M-F się nie pojawiła. Później odwiedziłam ją w domu. Była zmęczona i blada, ale twierdziła, że nadal nie bierze. Powiedziała, że wywierano na nią presję, by dokonała aborcji. Nie ze strony ojca. Zapytałam, czy chodzi o mężczyznę, dla którego pracowała. Nie o mężczyznę, powiedziała. To była kobieta. One są najgorsze. Zaniepokoiłam się, że może mieć anemię i umówiłam ją z położną.

Następnie pojawiło się wiele wpisów opisujących rutynowe wizyty domowe. M-F regularnie chodziła na wizyty przedporodowe. Wszystko wydawało się

w porządku. Nie było już mowy o jej wyjeździe do Londynu. Nadal wyglądało na to, że najbardziej odpowiada jej adopcja.

24 listopada

Wizyta domowa. Mary-Frances jest teraz duża, ale wydaje się bardzo zdrowa i pozytywnie nastawiona. Przyjechałam bez umawiania się i zastałam w mieszkaniu mężczyznę. Miał na sobie garnitur, jakby właśnie wrócił z pracy. Mówiła do niego John. Na początku pomyślałam, że może być krewnym, ale przedstawiła go jako ojca dziecka. Nie tego się spodziewałam. Wyglądał na czulego i troskliwego, więc ponownie zapytałam, czy są zdecydowani na adopcję. Wydawało mi się, że z jego wsparciem mogłaby być bardzo dobrą matką. Zawahał się i powiedział, że z powodu trudnej sytuacji osobistej nie może opuścić żony.

W tym momencie Vera przerwała lekturę. Rzeczywiście, trudna sytuacja osobista! Można to i tak nazwać. Cyniczna część jej osobowości była przekonana, że Brace nigdy nie zostawiłby Judith ze względu na jej pieniądze i pozycję społeczną. Ta bardziej życzliwa zastanawiała się, czy może Brace'owi jednak zależało na żonie, może uznał, że okrucieństwem byłoby porzucić kobietę, która desperacko pragnęła własnego dziecka, dla uzależnionej od heroiny kochanki, która niedługo miała urodzić. Vera pominęła resztę notatek opisujących bardziej rutynowe spotkania z Mary-Frances w jej mieszkaniu. Wyglądało na to, że Alison spotkała się z Johnem Brace'em ponownie dopiero później, po narodzinach Patty.

26 stycznia. Wizyta w szpitalu.

Widziałam się z Mary-Frances na oddziale położniczym szpitala North Tyneside General. Zgodnie z planem, dziecko powinno zostać oddane pod opiekę natychmiast po porodzie, ale pomyślałam, że może coś się zmieniło. Nie jest niczym niezwykłym, że przywiązanie kobiety do dziecka okazuje się silniejsze, niż się spodziewała. Dziecko to dziewczynka, której dano na imię Patricia. Wszystko w porządku. Ojciec był na miejscu, gdy przyjechałam i najwyraźniej był obecny przy porodzie. Położna powiedziała o nim, że jest wspierający i kochający. Mary karmiła dziecko i było dla mnie jasne, że nawiązała już z nim więź. Zapytałam, czy chce kontynuować procedurę adopcyjną. Powiedziała, że potrzebuje czasu, aby wszystko przemyśleć. Brace wyszedł za mną na korytarz i powiedział, że spróbuje wesprzeć Mary-Frances, jeśli zdecyduje się zatrzymać dziecko, jednak nie będzie w stanie z nią zamieszkać, a z uwagi na charakter jego pracy, wsparcie będzie ograniczone. Wygląda na to, że jest wyższym oficerem policji.

Wizyta domowa 30 stycznia

M-F nadal niezdecydowana co do adopcji, zabrała dziecko do domu. Położna odwiedza ją codziennie, a w przyszłym tygodniu przejmie ją pielęgniarka środowiskowa. Brace kupił łóżeczko i wózek. Sprawia wrażenie oddanego ojca. Ze względu na moje

wcześniejsze relacje z klientką zdecydowano, że powinna ona pozostać w moim zespole, nawet jeśli adopcja nie nastąpi natychmiast.

28 lutego

Rutynowa wizyta domowa. M-F nadal dobrze sobie radzi. Według pielęgniarki dziecko dobrze się rozwija.

15 marca

Rutynowa wizyta domowa. M-F miała gościa, inną kobietę. Sprawdziłam, czy wszystko w porządku i zostawiłam je same. Wydawało się, że to dobry znak, że ma wsparcie przyjaciół.

Przez następne sześć miesięcy, od czasu do czasu pojawiały się wizyty i notatki od pielęgniarki środowiskowej. Vera uważała, że Mary-Frances otrzymała bardzo mało profesjonalnego wsparcia. Dlaczego Alison nie dołożyła większych starań, aby je zapewnić? To była bezbronna, samotna kobieta z małym dzieckiem. Potem Vera pomyślała, że prawdopodobnie pod opieką Alison były setki kobiet w trudnej sytuacji i że pewnie wymagały większego zaangażowania.

20 września

Wizyta domowa. Brak kontaktu.

27 września

Wizyta domowa. Brak reakcji. Spojrzałam przez okna mieszkania, które wydaje się bardziej zaniedbane niż wcześniej. Stosy nieumytych talerzy w kuchni. Puste puszk i butelki po winie w koszu. Skontaktowałam się z pielęgniarką środowiskową, która również wielokrotnie nie mogła się skontaktować z M-F przy różnych okazjach. Powiedziała, że zajrzy do niej jutro z samego rana.

28 września

Telefon od pielęgniarki środowiskowej. Bardzo martwiła się o Mary-Frances, która wydawała się przygnębiona i ospała. Podejrzewam, że znów zażywa heroinę. Dziecko nadal ma się dobrze i wydaje się rozwijać normalnie.

Wizyta domowa. Na początku M-F nie otworzyła drzwi, chociaż wiedziałam, że jest w środku, bo słyszałam dziecko. Kiedy mnie wpuściła, byłam zszokowana zmianą, jaka w niej zaszła. Bardzo wychudzona i poszarzała. Zapytałam, czy John nadal ją odwiedza, a ona odpowiedziała, że nie było go od jakiegoś czasu. Być może dlatego wróciła do heroiny. Kiedy zapytałam o narkotyki, odpowiedziała wymijająco. Patricia też się zmieniła! Raczkuje i wkrótce będzie chodzić. Była czysta i wyglądała na zadbaną. Sprawdziłam jej pokój. Pościel na łóżeczku i odpowiednie ubrania w szufladach. M-F może nie dba o siebie, ale najwyraźniej dba o swoją córkę.

29 maja

Telefon do lekarza rodzinnego w sprawie M-F. Nie miał ostatnio kontaktu.

30 maja

Nadzwyczajna konferencja z zespołem ds. ochrony dzieci. Obecna Mary-Frances, ale bez Johna Brace'a, chociaż powiadomiłam go o spotkaniu. Podjęto decyzję, że powinnam być główną opiekunką i odwiedzać dziecko codziennie na zmianę z pielęgniarką środowiskową.

30 maja

Wizyta domowa. Brak odpowiedzi, chociaż M-F wiedziała, że planuję wizytę. Wróciłam tam wieczorem. Drzwi zamknięte na zasuwkę. Znalazłam M-F nieprzytomną na sofie w salonie. Patricia spała w swoim łóżeczku. Pielucha brudna, ale poza tym wszystko w porządku.

Vera przestała czytać i zamknęła oczy. Suchy opis faktów wzruszył ją niemal do łez. Było jej żal matki, która próbowała opiekować się dzieckiem i zawiodła. Vera wyobraziła sobie jaki wstręt do samej siebie i obrzydzenie, musiała czuć ta kobieta, gdy następnego dnia obudziła się w szpitalnym łóżku. I było jej smutno z powodu Patty Keane, która dorastała czując się niekochana i niegodna miłości. Twoja mama cię kochała, pomyślała. Nawet gdy nie potrafiła zadbać o siebie, dopilnowała, żebyś ty znalazła się pod dobrą opieką.

Pozostałe notatki opisywały procedurę postępowania opiekuńczego. Mary-Frances nie zakwestionowała decyzji. Patricia została umieszczona w doświadczonej rodzinie zastępczej i świetnie się rozwijała. Później Mary-Frances zgodziła się na adopcję, ale Patricia dopiero w wieku trzech i pół roku trafiła do rodziny adopcyjnej. W tym czasie nie było żadnego kontaktu z jej biologiczną matką. Alison napisała tylko jeden komentarz na ten temat: *Mary-Frances powiedziała, że będzie lepiej dla niej i dla Patricii, jeśli nie będzie miała z nią żadnego kontaktu.*

Vera zamknęła teczkę, z powrotem przeszła przez zatłoczone biuro i zapukała do drzwi Alison. Opiekunka właśnie skończyła rozmowę telefoniczną i pomachała do niej.

Vera usiadła.

– Ech, my policjanci myślimy, że mamy ciężko, ale za nic w świecie nie zamieniłabym się z panią miejscami pracy.

– Są też i dobre strony. – Alison wskazała na rysunki dzieci na ścianie swojego biura. – Czy ma pani jakieś pytania?

– Czy Mary-Frances pracowała, kiedy ją pani знаła?

– Nie wtedy, gdy wychowywała dziecko w domu. W okresie, gdy sąd rodzinny rozpatrywał sprawę adopcji, próbowała znów przestać brać. Pracowała wtedy jako kelnerka w nocnym klubie nad brzegiem morza.

– W „Mewie”.

– Zgadza się! – Kobieta uśmiechnęła się. – Przypomniały mi się dawne czasy.

- Bywała tam pani? - Vera poczuła ukłucie zazdrości.

- Nieczęsto. Nie byłam wystarczająco efektowna, by należeć do tego towarzystwa. Ale zaglądałam tam przy wyjątkowych okazjach, wie pani.

- Czy utrzymywała pani kontakt z Mary-Frances po adopcji?

- To nie była moja rola, ale widziałem się z nią jeszcze raz, całkiem przypadkiem na nabrzeżu Whitley Bay. To było trochę później. Byłyśmy dość blisko „Mewy” i zapytałam ją, czy jest w drodze do pracy. - Alison siedziała z łokciami na biurku i głową w dłoniach, jakby próbowała odtworzyć to spotkanie. - Powiedziała, że już tam nie pracuje. Nie było to dobre miejsce dla osób, które próbowały wyjść na prostą. - Spojrzała na Verę. - Wyglądała naprawdę dobrze. Lepiej niż kiedykolwiek. Powiedziała, że wyjeżdża, opuszcza na jakiś czas okolicę, porzuca ludzi, którzy znali ją tylko jako ćpunkę. Może nawet w końcu zdobędzie wykształcenie. „Nigdy nic nie wiadomo. Może nawet zostaną opiekunką społeczną, tak jak pani”.

- Czy mówiła, dokąd się przenosi?

Alison potrząsnęła głową.

- Wtedy widziałam ją po raz ostatni. Powiedziałam, że będzie wspinała opiekunką społeczną i życzyłam jej wszystkiego najlepszego.

Po powrocie do biura Vera próbowała nadać temu wszystkiemu sens. Pomyślała, że jeśli Mary-Frances nie umarła, to prawdopodobnie nie bierze. Nie przeżyłaby, gdyby nadal zażywała heroinę w takich ilościach, jak kiedyś. Musiała wymyślić sobie na nowo, jak jej przyjaciółka, ta, która uczyła jogi przy stacji metra w Whitley Bay. A jeśli żyła, musiała przybrać nową tożsamość, ponieważ po starej nie było żadnego śladu od połowy lat osiemdziesiątych. Alison Mackie była prawdopodobnie ostatnią osobą, która widziała ją w jej pierwotnym wcieleniu.

37.

Była dopiero pora lunchu, choć Vera miała wrażenie, że przepracowała już cały dzień. Brakowało jej pozostałych członków zespołu. Charlie i Holly byli w Durham, próbując zdobyć dane kontaktowe Stephena Bradforda. Joe pojechał do urzędu miasta w North Tyneside. Chodził do szkoły z chłopakiem z działu planowania i Vera miała nadzieję, że uda mu się wyciągnąć jakieś plotki na temat projektu rewitalizacji wybrzeża, a może i udziału Judith Brace w tym przedsięwzięciu. Vera była coraz bardziej sceptyczna wobec Gusa Sinclaira w roli filantropa i działacza społecznego i chociaż nie widziała związku między planami rozwoju Whitley Bay a morderstwem Robbiego Marshalla, chciała poznać więcej szczegółów.

Prześladowała ją postać Mary-Frances. Już zbierała się, żeby pojechać do Patty i powiedzieć jej o tym, jak bardzo matka chciała ją zatrzymać, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Wszedł młody, przyszczaty konstabl, wymachując paroma kartkami papieru.

– Prosiła pani o listę osób zaginionych w maju i czerwcu dziewięćdziesiątego piątego roku. – Kiedy nie zareagowała od razu, dodał: – Tożsamość denatki znalezionej w pobliżu St. Mary's.

– Rzeczywiście. – Wyciągnęła rękę po kartki.

– Przejrzałem raporty i okazało się, że to jedyne trzy osoby, których zaginięcie zgłoszono tamtego lata i nigdy ich nie odnaleziono. Pozostali skontaktowali się z rodzinami wkrótce po zgłoszeniu.

– Świetnie. Dzięki. – Nawet nie zauważyła, kiedy wyszedł z pokoju.

Spojrzała na te kartki pół godziny później, po kawie i bułce w stołówce, kiedy dotarło do niej, że nie rozwiąże zagadki Mary-Frances wyłącznie siłą woli i wyobraźni. Matka Patty mogła podróżować, zostać dorosłą studentką, wyjść za mąż i założyć rodzinę. Mogła umrzeć z przyczyn naturalnych. Miała kontakty w szemranym świecie Johna Brace'a i „Mewy” i bez trudności zdobyłaby nową tożsamość. Bez nazwiska jej odnalezienie byłoby prawie niemożliwe. Ale zmarła kobieta z okolic St Mary's mogła mieć bliskich, którzy każdego ranka budzili się, zastanawiając się, co się z nią stało. Vera miała obowiązek ją także zidentyfikować.

Zaparzyła kolejną kawę i przeanalizowała leżącą przed nią listę. Trzy kobiety w wieku od siedemnastu do dwudziestu sześciu lat. Pierwsza na liście była dwudziestosześcioletka. Mieszkała w Wallsend, co budziło skojarzenia z Robbiem Marshalllem, a przed urodzeniem pierwszego dziecka pracowała w firmie inżynierskiej Parsona jako sekretarka. Cierpiała na depresję poporodową i zniknęła wczesnym rankiem po tym, jak zostawiła dziecko

z mężem. Ale podano jej dokładny rysopis: była dużą kobietą, wysoką na prawie sześć stóp, więc odnalezione kości nie mogły należeć do niej.

Oprócz niej były jeszcze dwie nastolatki, jedna siedemnasto-, a druga dziewiętnastoletnia, zupełnie różne od siebie. Młodsza nazywała się Rebecca Murray, i kiedy zaginęła, wciąż jeszcze chodziła do szkoły i mieszkała w domu z najwyraźniej kochającymi rodzicami. W jej odnalezienie włożono wiele wysiłku. Pojawiła się nawet w programie BBC Crime Watch, ale bez rezultatu. Natomiast dziewiętnastolatka Sharon Timlin przebywała w placówce opiekuńczej od dziesiątego roku życia, a w wieku szesnastu lat zostawiono ją na pastwę losu w mieszkaniu komunalnym w North Shields. Verę ogarnął gniew z powodu tej sytuacji. Ludzie tacy jak Alison Mackie wkładali tyle wysiłku w znalezienie alternatywnych rodzin dla niemowląt i młodszych dzieci, ale starsze zdawały się być pozostawione bez żadnego wsparcia. Wygląd fizyczny obu młodych kobiet pasował do ciała odnalezionego w pobliżu St Mary's.

Do rodziny Sharon nie było żadnego numeru kontaktowego, a Vera nie miała ochoty na kolejną przepychankę z opieką społeczną, więc postanowiła porozmawiać z rodzicami Rebekki. Byli po pięćdziesiątce, kiedy ich córka zniknęła, więc teraz powinni być na emeryturze. Numer telefonu wciąż działał. Odebrał mężczyzna.

– Alan Murray.

Vera przedstawiła się.

Na końcu linii zapadła cisza.

– Znalazła pani Rebeccę – powiedział w końcu bez tchu.

– Nie! – odparła. W żadnym wypadku nie chciała dawać im fałszywej nadziei, ani rozwiewać resztek złudzeń, które może jeszcze żywili. – Ale chciałam z panem o niej porozmawiać. Czy mogłabym pana odwiedzić?

Tym razem bez wahania:

– O, tak. Bardzo proszę. Może pani przyjść zaraz?

– Czemu nie? – Wprawdzie była przekonana, że denatką znaną na St. Mary's jest najprawdopodobniej Sharon Timlin, dziewczyna, która opuściła placówkę opiekuńczą, ale mężczyzna tak bardzo chciał się z nią zobaczyć, że nie mogła go rozczarować.

Murrayowie mieszkali w małej posiadłości w wiosce Holywell, na północ od Whitley Bay. Mieszkali tam już w czasach, gdy Rebecca była mała i Vera mogła sobie wyobrazić, że to było świetne miejsce dla rodziny z dziećmi: w pobliżu dolinka, gdzie maluchy mogły się wyszaleć, i plaża na tyle blisko, żeby bezpiecznie dojechać na rowerze, korzystając ścieżek rowerowych. Ale kiedy poznała tych ludzi, stwierdziła, że Rebecca nie miała żadnych szans na szaleństwo na łonie natury.

– Była naszym jedynym dzieckiem, rozumie pani. – Matka próbowała wyjaśnić, usprawiedliwić ograniczenia, jakie nałożyła na dziewczynkę. – To naturalne, że się o nią denerwowaliśmy.

– Więc Rebecca zazwyczaj nie wychodziła z domu wieczorem, tak, jak tamtego dnia?

Murrayowie zaprosili ją do ogrodu, ich dumy i radości, być może zastępczego dziecka. Siedzieli wokół małego stolika z kutego żelaza. W ogrodzie wciąż było kolorowo i unosił się ciężki zapach, który od razu przypomniał się Verze, gdy próbowała później odtworzyć przebieg rozmowy.

– W dzieciństwie była uroczą dziewczynką. – Znowu matka. Kobieta była wyblakła i tak zwyczajna, że Vera z trudem potrafiłaby ją sobie przypomnieć. – Bezproblemową i posłuszną. Zmieniła się, kiedy skończyła gimnazjum i poszła do liceum. Nalegaliśmy, by poszła do Whitley Bay, bo mieli tam najlepsze wyniki, a ona była bystra. Naprawdę bystra. Prawda, Alan? Powiedzieli, że będzie mogła dostać się na każdy uniwersytet, jaki wybierze

Ojciec skinął głową.

– Ale spotkała tam inne towarzystwo. Dzieci z lepszych rodzin. Nad wiek dorosłe. Zmieniła się. Nagle zaczęła z nami walczyć o wszystko. Nie wystarczały jej wieczory w naszym towarzystwie, koniecznie musiała je spędzać poza domem. W każdy weekend wyjeżdżała do Whitley i wracała taksówką nad ranem. – Zamilkła na chwilę. – Pijana.

– No cóż – powiedziała Vera. – Jak większość znanych mi nastolatków. Młodzi gniewni. To nieuniknione w tym wieku, prawda?

Wpatrywali się w nią ze zdziwieniem. Spodziewali się, że policjantka będzie tak samo zgorzorna zachowaniem ich córki jak oni.

– Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło w noc zaginięcia Rebekki.

– To był piątkowy wieczór. Dwudziesty trzeci czerwca. Szkoła się już skończyła, ponieważ tego roku zdawała egzaminy. – Teraz ojciec przejął inicjatywę. – Tydzień wcześniej powiedziała nam, że dostała wakacyjną pracę jako kelnerka. Uznaliśmy to za dobry znak. Widać było, że dorasta i bierze na siebie odpowiedzialność. – Umilkł na moment. – Ale okazało się, że to nie była praca w kawiarni, ale w klubie nad brzegiem morza. Nie uważaliśmy, że to odpowiednie miejsce dla siedemnastolatki. Pomyślałem nawet, że to może być nielegalne. A ona na to, że nie pracuje w barze, ale w restauracji, że jest wystarczająco dorosła, by podejmować własne decyzje i jeśli nam się to nie podoba, to jest to nasz problem, a nie jej.

– Więc to tam poszła w piątek wieczorem?

Matka skinęła głową.

– W poprzedni weekend miała dwie zmiany, ale w ciągu dnia, w porze lunchu i wczesnym wieczorem. Tego wieczoru zaczynała pracę dopiero o ósmej. Podwoziłam ją. Nie chciałam się z nią kłócić. Zapytałam tylko, o której skończy, a ona odpowiedziała, że o północy. Powiedziałam, że ojciec ją odbierze. Zapewniła, że nie ma takiej potrzeby, ponieważ klub zorganizuje taksówkę. Kiedy wysiadła z samochodu, wyglądała na bardzo szczęśliwą. Pomachała do mnie i posłała mi buziaka. Na nabrzeżu nie było parkingu, a za mną stała furgonetka i trąbiła, więc odjechałam, nie patrząc, czy weszła do środka.

– I wtedy widziała ją pani po raz ostatni? – Vera pomyślała, że kobieta powtarzała tę scenę w swojej głowie setki razy, zadreęczając się i karmiąc tym swoje poczucie winy.

– Tak. Oczywiście, nie mogliśmy spać. Nigdy nie mogliśmy zasnąć, dopóki nie wróciła do domu. Kiedy o pierwszej jeszcze jej nie było, Alan wstał i zadzwonił do klubu. Powiedzieli, że to musi być pomyłka, bo nie pracowała tam tej nocy. Nigdy nie przydzielali młodych dziewczyn na nocną zmianę. Pomyśleliśmy, że nas okłamała, i poszła gdzieś na imprezę. Albo była z jakimś chłopakiem, o którym wiedziała, że go nie pochwalamy. Sądziliśmy, że następnego ranka pojawi się w domu i będzie miała mnóstwo wymówek.

– Ale tego nie zrobiła i skontaktowali się państwo z policją.

– Tak. Nie jestem pewien, czy potraktowali nas poważnie, ale kiedy nadal nie było jej w niedzielę wieczorem, nawet oni zaczęli się przejmować. Do tego czasu zdążyliśmy wypytać wszystkich jej przyjaciół. Nikt nie wiedział, dokąd poszła.

– Czy była zdrowa? Nigdy sobie nic nie złamała? – Vera miała nadzieję, że usłyszy, jaka Rebecca była niezdarna, i że złamała kostkę na nartach.

– Nigdy. Żadnych problemów.

– A jej zęby? Czy dbała o nie?

Rodzice zaczęli patrzeć na nią jak na wariatkę. W koronie drzewa rozległo się miękkie, hipnotyzujące gruchanie synogarlicy.

– Miała idealne zęby – powiedziała matka. – Ani jednej plomby.

– Jeszcze tylko ostatnie pytanie, a potem spróbuję wyjaśnić, dlaczego tu jestem i co będziemy robić dalej. – Vera czuła, że ogarnia ich panika, więc zaczęła mówić bardzo cicho, bardzo spokojnie. Dźwięk, który wydobywał się z jej ust brzmiał łagodnie, jak zew synogarlicy. Delikatnie i uspokajająco. – Jak nazywał się klub, w którym miała tej nocy pracować?

– „Mewa” – odpowiedział Alan Murray. – Nazywał się „Mewa”.

38.

Holly uważała, że Vera ma obsesję na punkcie Stephena Bradforda, mitycznego Profesora, członka Gangu Czterech. Vera była przekonana o jego winie, ponieważ w pewnym sensie był on częścią jej dzieciństwa, prześladując ją tak samo jak Hector. To była gonitwa za wiatrem. W normalnej rzeczywistości laureaci nagrody T.S. Eliota za poezję nie popełniali morderstw. Wygooglowała Bradforda i skojarzyła tytuł jego antologii – uczyła się jednego z jego wierszy na egzamin GCSE z angielskiego. W samochodzie, w drodze z Kimmerston na południe, próbowała powiedzieć Charliemu o swoich wątpliwościach, ale on zawsze był wierny Verze.

– Tak, to wydaje się dziwne, ale ona pewnie ma rację, wiesz? Przeważnie tak jest.

Holly zawsze kochała Durham; oglądając z pociągu imponującą panoramę katedry i zamku, nieodmiennie miała wrażenie, że jest już na prawdziwej północy. Na granicy dziwnego i obcego terytorium, które stało się jej domem. Charlie wydawał się dobrze orientować w mieście i wcisnął się na ostatnie miejsce parkingowe na ulicy w pobliżu college'u, do którego zmierzali.

– Zadzwoń tam wcześniej – powiedział. – Christine na nas czeka. – Wysiedli z samochodu, a on nacisnął kluczyk, by go zamknąć. – To ta dziewczyna, która rozpoznała głos profesora na nagraniu.

Kobieta była po czterdziestce, co według Holly nie do końca pasowało do definicji „dziewczyny”. Była smukła, miała proste plecy i bardzo stylowo wyglądała w garsonce i naszyjniku z pereł. Okazało się, że kierowała administracją college'u, będąc jednocześnie pracownikiem naukowym. Niemniej wyglądało na to, że Charlie ją oczarował.

– Może porozmawiamy w sali dla pracowników naukowych? O tej porze jest tam zazwyczaj spokojnie. – Poszli za nią do salonu z widokiem na ogród i rzekę, podano im kawę z ekspresu i talerzyk herbatników. W tym momencie skończyły się ceregiele.

– Zdają sobie państwo sprawę, że nie mogę przekazać informacji o byłym pracowniku bez ważnego powodu? – Jej głos zabrzmiał surowo.

Holly już miała się odezwać, ale Charlie ją ubiegł, mówiąc bardzo spokojnie:

– Ten człowiek jest bezpośrednio powiązany z dwoma morderstwami, Christine.

Holly skrzywiła się, gdy zwrócił się do kobiety po imieniu. Przecież ona też pewnie była profesorką.

– Ale nie ma dowodów na to, że jest w nie w jakikolwiek sposób zamieszany. Chyba nie myślicie na serio, że jest podejrzany? – Kobieta podniosła filiżankę z kawą do ust.

– Mógłby nam dostarczyć użytecznych informacji, które doprowadziłyby do aresztowania niebezpiecznego zabójcy. – Charlie zatrzymał się na chwilę. – Jedną z ofiar

była młoda kobieta. W tym samym wieku, co niektóre z pani studentek. – Kolejna pauza. – Nie chciałyby pani być postrzegana jako osoba utrudniająca nasze śledztwo.

– Nie chciałym, aby nazwisko wybitnego poety, bardzo blisko związanego z tą uczelnią, było eksponowane w mediach. – Jej głos nabrał ostrości. Charlie ją zdenerwował.

– Mogę obiecać, że tak się nie stanie, Christine. Będziemy dyskretni. Oczywiście, jeśli profesor Bradford nie zostanie oskarżony. Wtedy nie da się utrzymać jego nazwiska w tajemnicy przed prasą.

Kobieta trochę przybladła i zamknęła oczy. Holly wyobraziła sobie, jak pośpiesznie kalkuluje w myśli ryzyko i dochodzi do wniosku, że nie może wystąpić w charakterze osoby utrudniającej policyjne śledztwo.

– Muszę pójść do biura, żeby znaleźć aktualny adres Stephena.

– To bardzo miło z pani strony, Christine. – Głos Charliego ociekał szczerością i życzliwością. – Ale zanim to zrobimy, może mogłaby nam pani o nim opowiedzieć. To znaczy, jako o człowieku. Co to za gość? – Rozparł się na krześle, najwyraźniej czując się równie swobodnie tutaj, jak w jednym z tandetnych pubów w Shields, gdzie zwykle spotykał się ze swoimi kontaktami. Holly zastanawiała się, dlaczego przez te wszystkie przepracowane razem lata nie doceniała jego umiejętności.

– Bradford jest świetnym poetą. Jest genialnym piewcą północnego krajobrazu.

– A więc nic, tylko wzgórze i owce?

Spojrzała na niego, podejrzewając, że kpi, ale nie do końca tego pewna.

– W jego dziełach nie ma ani krzty sentymentalizmu, panie konstablu. Oddaje brutalność wiejskiego krajobrazu, kontrasty i ambiwalencję sekretnych kryjówek i przestrzeni. – Wstała i zdjęła z półki cienki tomik. – Proszę to wziąć. Będzie państwu łatwiej zrozumieć, co mam na myśli, jeśli chodzi o twórczość Stephena. – Podała książkę Holly, najwyraźniej uznając, że bardziej doceni poezję.

Holly spojrzała na okładkę, zdjęcie Muru Hadriana rozciągającego się na grani aż po horyzont, z ciemnymi chmurami w tle. Zbiór nosił tytuł „Mury i wolność”. Pamiętała go ze szkoły. Na odwrocie znajdował się pochlebny cytat z „Observera”.

Podniosła książkę, aby Charlie mógł ją zobaczyć. Rzucił na nią szybkie spojrzenie, po czym skierował swoją uwagę z powrotem na rozmówczynię.

– Tak, ale to raczej recenzja jego twórczości, jeśli mogę tak powiedzieć, Christine. A poza tym nie jestem pewien, co to znaczy. Niewiele nam to mówi o człowieku. Jak na przykład odnajdywał się wśród kolegów? Czy był lubiany na uczelni?

– Był wyjątkowo charyzmatycznym wykładowcą – powiedziała kobieta. – Studenci go uwielbiali, zwłaszcza doktoranci.

Charlie milczał. Czekał na więcej. Holly siedziała nieruchomo, bojąc się zakłócić napięcie.

Christine dopiła kawę i ostrożnie odstawiła filiżankę na spodek, stojący na wypolerowanym stole.

– Potrafił być trochę arogancki. Na zebraniach lubił dźwięk własnego głosu. Nie zawsze był przez to lubiany. – Kolejna pauza. – Nie sędzę, żeby miał jakichś bliskich przyjaciół na studiach. Był raczej performerem, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Takim trochę efekciarzem? – Głos Charliego zabrzmiał pytająco.

– Być może. Miałam wrażenie, że większość jego życia toczyła się z dala od tego miejsca. Dla wielu naszych pracowników uczelnia jest centrum wszechświata. W przypadku Stephena było inaczej. Niektórzy koledzy uważali, że jest nazbyt nonszalancki, że nie traktuje swojej pozycji tutaj wystarczająco poważnie. Otrzymywał całkiem przyzwoite wynagrodzenie, ale nie przeszkadzało mu to w odwoływaniu zajęć w ostatniej chwili. – Christine chyba pomyślała, że zdradza zbyt wiele, bo nagle zmieniła ton. – Oczywiście, w świecie literackim jego obecność była bardzo pożądana, bywał na festiwalach, konferencjach, targach książki, co przyczyniało się do renomy naszego college'u. Nie wszyscy zdawali sobie sprawę ze znaczenia jego pracy poza Durham.

Charlie skinął głową, by pokazać, że to przynajmniej rozumie.

– Jakaś rodzina?

– Rozwiódł się, jak sędzę, wiele lat temu. Nigdy nie wspominał o dzieciach, ale jak już wyjaśniłam, niechętnie rozmawiał o sprawach osobistych. Mógł mieć całą gromadkę. Wpadał tu, występował przed oczarowaną nim publicznością, na naradach sprzeciwiał się całkiem rozsądnym propozycjom, podejrzewam, że tylko po to, by narobić zamieszania, a potem znów zniknął. Myślę, że miał mieszkanie gdzieś w Tyneside, ale większość czasu spędzał w Northumbrii, na północy, i praktycznie nie dało się do niego dodzwonić kiedy tam był. – Nagle się uśmiechnęła. – Przepraszam, to chyba niesprawiedliwe. Jak zapewne się pan domyśla, uważałam go za trudnego człowieka.

– Więc nie było pani przykro, gdy przeszedł na emeryturę?

Uśmiech poszerzył się.

– To, panie konstablu, jest niedopowiedzenie roku.

Charlie wstał.

– Zabraliśmy pani mnóstwo czasu. Gdybyśmy tylko mogli dostać te dane kontaktowe do profesora Bradforda.

Ale teraz Christine najwyraźniej nie miała ochoty się z nimi rozstawać. Podniosła się, ale stała przez chwilę, wpatrując się w okno.

– Uwielbiam jesień w Durham. Niedługo wrócą tu studenci. To zawsze obiecujący czas, początek nowego roku akademickiego. – Odwróciła się do nich. – Być może dlatego tak bardzo nie lubiłam Bradforda. Nie dbał o to miejsce. Postrzegał je jako źródło utrzymania. Jak już mówiłam, jego serce było gdzie indziej. Na wsi. Albo w jego książkach. Jego prawdziwe życie nie miało z nami nic wspólnego.

Siedzieli w samochodzie. Za kilka tygodni ulica będzie pełna studentów, ale teraz było cicho. W oddali rozbrzmiewał kościelny zegar. Charlie siedział za kierownicą, a Holly

trzymała w ręku kartkę z adresem i numerem telefonu profesora Stephena Bradforda.

– Co o tym sądzisz? – Charlie obrócił się w fotelu i patrzył na nią. – Mamy wrócić na komisariat i przedstawić to Verze, czy od razu tam pojechać i potem do niej zadzwonić?

To wyglądało niemal jak test lojalności. Nie wiedziała jednak, czy chodzi o jej lojalność wobec Very, czy wobec niego. Postanowiła się zabezpieczyć.

– Jedźmy prosto do niego, ale po drodze zadzwońmy do Very. Nie sądzę, by Christine ostrzegła go, że go szukamy – nie wydawała się jego zbyt wielką fanką – ale ktoś inny na uniwersytecie mógł dowiedzieć się, że wędzimy, a jasne jest, że ma tam swoich wielbicieli. Najlepiej porozmawiać z nim, zanim dadzą mu znać. – Zawahała się i postanowiła być szczerą. – Bałabym się jednak spotkać z nim, nie mówiąc o tym Verze.

– Ha! Ja też. – Uruchomił silnik. – W takim razie zadzwoń do niej, kotku. Przekaż jej radosną nowinę. Będzie skakać z radości.

Dom był wolnostojącą willą na południe od Seahouses. Tylko droga oddzielała go od wydm i widoku na wyspy Farne, a cała okolica wyglądała jak wysmagana piaskiem; wszystkie okna miały okiennice dla ochrony przed sztormami. Kiedy dojeżdżali do willi wzdłuż ogrodzeń podobnych posiadłości, Holly pomyślała, że wygląda raczej konwencjonalnie, niemal podmiejsko, jak na to, co wiedzieli o profesorze, ale kiedy znaleźli się przy samym budynku, zobaczyła, że różni się od reszty. Pierwsza kondygnacja została przebudowana i przedłużona tak, że znajdowały się tam dwa ogromne szklane okna zamontowane pod kątem, wystające w kierunku morza jak dziób łodzi. Wewnątrz zamontowano na statywie teleskop, skierowany w stronę zatoki.

Vera była w dziwnym nastroju, kiedy Holly zadzwoniła, niemal przygnębiona.

– Tu też mamy wieści. Chyba zidentyfikowaliśmy drugie ciało. To na pewno nie jest Mary-Frances. Poinformuję wszystkich wieczorem na odprawie. Przywieźcie Profesora na przesłuchanie. Jego głos na sekretarce Gary’ego Keane’a i fakt, że był jedną z ostatnich osób, które widziały Robbiego Marshalla żywego, daje nam wystarczające podstawy, by to zrobić.

Charlie zaparkował kawałek dalej i poszli z powrotem do domu Profesora. Pod ich stopami zgrzytał piasek na chodniku, a nad głową krzyczały mewy. Pogoda w końcu zaczęła się psuć, a ciężkie chmury nad lądem filtrowały światło słońca, sprawiając, że jego odbicie na wodzie stało się metaliczne, chłodne jak stal. Na podjeździe nie było zaparkowanego samochodu, a kiedy zajrzeli przez małe okienko do garażu, również okazał się pusty.

– Nie ma go tutaj. – Holly pomyślała, że niepotrzebnie tu przyjechali. Trzeba było wrócić prosto na komisariat w Kimmerston. Czuła się prawie tak, jakby Charlie wyprowadził ją na manowce, jakby chciała go obwinić za zmarnowany czas.

– Tego jeszcze nie wiemy. Może z kimś mieszka. Może ten ktoś też korzysta ze wspólnego samochodu. – Charlie zapukał do drzwi.

Nie było odpowiedzi i Holly zajrzała przez okno na parterze do pokoju, który wyglądał bardziej jak biblioteka lub muzeum niż mieszkanie. Wzdłuż wszystkich ścian stały półki

lub gabloty z ciemnego drewna. Wypchane ptaki i zwierzęta sąsiadowały ze zbiorcami poezji Bradforda. Zupełnie jakby uważał, że pasują do siebie. Na jednej z półek leżał rząd czaszek, białych i bielonych, niektóre malutkie, inne na tyle duże, że mogły należeć do znacznie większych zwierząt, być może saren. Holly pomyślała, że Christine miała rację. Bradford postrzegał wiejski świat jako pozbawiony romantyzmu i sentymentalizmu. Nagle stanęła jej przed oczami sterta kości znalezionych w przepuście przy St Mary's i przyszło jej do głowy, że profesor prawdopodobnie z radością przyjąłby ludzką czaszkę do swojej kolekcji. Pod oknem stało biurko z laptopem. Charlie zapukał ponownie. Nadal bez odpowiedzi.

Poszedł na tył domu. Holly podążyła za nim. Między garażem a głównym budynkiem znajdowała się brama ze staromodnym rygłem, która prowadziła do zarośniętego i bujnego ogrodu, sprawiającego wrażenie osobistego rezerwatu profesora. W jednym rogu, znajdował się duży staw, niemal całkowicie zarośnięty. Ogród wychodził na otwarte pola uprawne i był od nich oddzielony żywopłotem z głogu i czarnego bzu. Charlie stał przez chwilę, wpatrując się w dziką przyrodę, po czym skierował uwagę na dom.

Jeśli frontowy pokój był pracownią profesora, to w tylnej części budynku gospodarz pewnie spędzał większość czasu, gdy nie siedział na pierwszym piętrze i nie wpatrywał się w morze. Aby uzyskać więcej światła, wybito jedną ze ścian i wstawiono duże przeszkłone drzwi prowadzące do ogrodu. Wewnątrz znajdowała się kuchnia, sprawiająca wrażenie, że ktoś w domu jest smakoszem i lubi gotować – doniczka z bazylią na parapecie, książka kucharska na ławie – oraz jadalnia ze stołem, przy którym mogło wygodnie usiąść dziesięć osób. Holly zaczynała być ciekawa tego mężczyzny.

– Wygląda na to, że był tu dziś rano – powiedział Charlie. – Na ociekaczu suszą się naczynia po śniadaniu. Mały dzbanek do kawy i kubek, miska na płatki, talerz i nóż. Może się spóźniliśmy i ktoś z uniwersytetu go spłoszył. Ale przynajmniej wiemy, kim jest i gdzie go znaleźć. Bez wątplenia to jest ten człowiek. – Spróbował otworzyć drzwi do kuchni, ale były zamknięte.

Wrócili na front domu i przez chwilę przyglądali mu się z bliska.

– Przepraszam! – Z sąsiedniego ogrodu wyłoniła się kobieta. – Co państwo tutaj robią? – Holly rozpoznała jej elegancki liverpoolski akcent.

– Chcieliśmy porozmawiać z Profesorem. – Charlie wysunął się przed Holly. Wyglądał jak doradca finansowy lub sprzedawca mebli kuchennych. – Byliśmy umówieni.

– Cóż, nie ma go w domu. Wyjechał dziś rano dość nagle, najwyraźniej z powodu jakiegoś kryzysu rodzinnego. – Przerwała. – Mieliśmy przyjść do niego dziś wieczorem na drinka. Cała ulica. Jak zwykle. – Wydawała się rozczarowana. Holly pomyślała, że Profesor pewnie robi dobre imprezy.

– Myśli pani, że wróci niedługo?

– Powiedział, że nie będzie go przez co najmniej kilka dni. Poprosił, żebym powiedziała wszystkim, że musi odwołać dzisiejszy wieczór. Pewnie zostanie w swoim mieszkaniu w Tyneside. – Powiedziała to z wyraźnym niesmakiem. Wyglądało na to, że nie aprobeuje

tego miejsca. Holly pomyślała jednak, że Profesor obrał kierunek podróży niemal jak za podszeptem przeznaczenia. To śledztwo rozpoczęło się w Whitley Bay i tam też się zakończy.

39.

Biuro projektu rewitalizacji Whitley Bay było zamknięte. Vera powstała chwilę na zewnątrz, zastanawiając się, czy to ma jakieś znaczenie. Słyszała od Holly, że Profesor znów zniknął i wyobraziła sobie, jak razem z Sinclairem odlatują z lotniska w Newcastle. Spotkali się w poczekalni dla VIP-ów, rozpiłi butelkę szampana, by uczcić to, jacy są sprytni, a teraz lecą sobie w jakieś ciepłe i nieznane miejsce, gdzie nikt ich nie znajdzie. Potem sprawdziła godziny otwarcia i zobaczyła, że biuro jest zamykane na kilka godzin każdego popołudnia. Skarciła się w duchu, że popada w paranoję i wyobraża sobie teorie spiskowe, nie mając na nie żadnych dowodów.

Pojechała do Tynemouth, do wielkiego zaokrąglonego budynku, gdzie mieszkali Sinclairowie, zignorowała zakaz wjazdu dla osób postronnych i przemknęła przez szlaban za innym pojazdem. Miała niemal nadzieję, że ktoś ją zaczepi, bo ogarnął ją bojowy nastrój. Wciąż przypominała sobie rodziców Rebekki siedzących w ogrodzie w Holywell. Ojca, który pod wpływem szoku stał się gadatliwy. „Zawsze głęboko wierzyłem, że Rebecca uciekła i pewnego dnia do nas wróci. Oczywiście widziałem, że przy St Mary’s znaleziono ciała, ale myślałem, że to dwoje ludzi, jakaś para”. Matkę, która skamieniała z rozpaczy. Nie poruszyła się nawet, by otrzeć łzy, które spływały jej po policzkach.

Sinclair otworzył drzwi mieszkania. Wyglądał sztywnie i swobodnie, a ona miała ochotę strzelić go w twarz.

– Vera. Czemu zawdzięczamy tę przyjemność? – Jego szkocki akcent był delikatny, a głos kpiący. Myślał, że jest nietykalny.

– Rebecca Murray. – Przepchnęła się obok niego do jasnego i gustownego salonu i spojrzała w dół na morze. – Pamięta pan to nazwisko?

– Ta dziewczyna, która zaginęła? Oczywiście, że tak. Jej biedni rodzice byli zrozpaczeni. Wydaje mi się, że była raczej imprezową panienką. Według mediów. Sam nigdy jej nie spotkałem. Uważano, że uciekła do Londynu, by dorobić się fortuny.

– A kto dokładnie tak uważał?

Vera podniosła głos, a w drzwiach do kuchni pojawiła się Elaine z ręcznikiem w dłoni. Zobaczyła Verę i zawróciła.

– Proszę tu zostać, szanowna pani. – Tak apodyktycznej Very jeszcze nie znali. – Pracowała pani wtedy w „Mewie” i prawdopodobnie to pani ją zatrudniła. Słyszałam, że to pani podejmowała wszystkie decyzje. Powiedziano mi, że praktycznie zarządzała pani tym miejscem.

Vera pomyślała, że dostrzegła krótki błysk satysfakcji na twarzy kobiety, zadowolenie, że jej rola w „Mewie” została w końcu doceniona. Jednak nic nie odpowiedziała. Za to odezwał

się Sinclair.

– Nie ma żadnych dokumentów świadczących o tym, że Rebecca Murray dla nas pracowała. – Porzucił pojedynczą postawę i również zaczął tracić panowanie nad sobą.

– Więc teraz jest nie tylko imprezową panienką, ale także kłamczuchą.

Wciąż stali. Elaine spróbowała załagodzić sytuację. Jakby nagle się zaniepokoiła.

– Pani Vera, może pani usiądzie? Właśnie miałam zrobić kawę. Jestem pewna, że Gus odpowie na wszelkie pytania, jakie państwo mogą mieć w związku z tą dziewczyną.

Vera usiadła.

– Dziękuję za kawę, choć to bardzo miłe. – Ona też potrafiła rozgrywać swoje gierki. – Ma pani rację, Elaine. Jestem przekonana, że Gus ma racjonalne wyjaśnienie, dlaczego dwie osoby, obie powiązane z „Mewą”, zmarły i zostały pogrzebane w przepuście przy wyspie St Mary’s.

Zapadła chwila ciszy. Sinclair stał przez chwilę jak sparaliżowany.

– Myślałam, że zidentyfikowaliście drugie ciało jako Mary-Frances.

– Przyjęliśmy takie założenie. Ale wie pan, jak to mówią: „Uważaj co zakładasz, bo po zdjęciu wyjdiesz na głupka”. – Przelotny, zacięty uśmiešek. Usłyszała to powiedzonko kiedyś na szkoleniu i z jakiegoś powodu utkwilo jej to w pamięci.

– Może to jednak tylko kolejne założenie na temat zaginionej uczennicy?

– Wygląda na to, że nie. Zdziwiłby się pan, co w dzisiejszych czasach można wyczytać z kupy kości. – Gdyby miała jakiegokolwiek skrupuły co do tego kłamstwa, skrzyżowałyby palce za plecami, ale nigdy nie była przesadna. Miała pewność, że ciało należało do Rebekki Murray. Nie potrzebowała doktora Keatinga ani jego kumpeli antropolożki, aby to potwierdzić. – Proszę mi teraz powiedzieć wszystko, co pan wie o Rebecce Murray.

Zapadła cisza, a potem w oddali rozległ się słaby dźwięk, który mógł być grzmotem. Był przecież koniec lata.

– Vera! – Uniósł ręce w teatralnym geście bezradności. – To było dawno temu.

– Sprawa pojawiła się w programie Crime Watch na BBC. Wspomniano o „Mewie.” Nie jest to coś, o czym biznesmen taki jak pan łatwo by zapomniał.

– Program Crime Watch wyemitowano dopiero później, w rocznicę zaginięcia dziewczyny, a wtedy było już po pożarze „Mewy.” O zaginięciu było głośno w lokalnych mediach, ale nic na skalę krajową. I o dziwo nie ponieśliśmy żadnych strat. Wręcz przeciwnie. Łowcy sensacji i dramatów przychodzili, żeby zobaczyć, co to za lokal. To było tuż przed pożarem, a my mieliśmy najlepszy miesiąc od lat. – Sinclair uśmiechnął się lekko. Teraz, gdy szok wywołany pierwszym oskarżeniem Very minął, odzyskał spokój.

– Wygodne – powiedziała. – Żeby ubezpieczyciele nie kwestionowali przyczyn pożaru. Przecież zyski rosły.

– Ależ pani jest cyniczna, Vera. – Chwila przerwy. – Hector byłby z pani dumny.

Zignorowała ten komentarz, ale pomyślała, że Hector nigdy nie byłby z niej dumny, bez względu na to, co by zrobiła.

– Proszę mi opowiedzieć o wydarzeniach tamtego tygodnia. Rebecca powiedziała rodzicom, że pracuje u pana jako kelnerka. Przepracowała kilka dziennych zmian w restauracji. Chce mi pan powiedzieć, że to nieprawda? – Obróciła się na krześle. – Elaine?

– Nie mogliśmy znaleźć żadnego dowodu, że akurat wtedy tam pracowała.

– Co to znaczy? – Vera poczuła, że znów wzbiera w niej złość. – Albo dla was pracowała, albo nie. Była u pani na rozmowie o pracę.

Elaine zawahała się przed odpowiedzią.

– Przeprowadziłam z nią rozmowę i zaproponowałam jej pracę. Powiedziałam, że dopiszemy ją do naszego grafiku. Była ładną dziewczyną z odrobiną ikry. Wiedziałam, że albo okaże się genialna i klienci ją pokochają, albo będzie wredna i będzie koszmarem. Zna pani ten typ. – Vera skinęła głową. Skojarzyło jej się to z Holly. Wciąż nie była pewna, do której kategorii zalicza się Holly, genialnej czy koszmarniej, ale pomyślała, że obecnie jej postępowanie ładnie się rozwija.

– Powiedziałam, że jeśli chce, to może przyjść jako wsparcie naszych pracowników. To było w weekend przed jej zniknięciem. Wyłącznie na zasadzie dobrowolności, bez wynagrodzenia, ale za to z lunchem. Pomyślałam, że jeśli uzna, że to zbyt ciężka praca, to nie wróci, a ja nie będę musiała na darmo zakładać konta w PAYE. Ale na tym etapie nie było jej jeszcze na liście płac i oficjalnie u nas nie pracowała.

– Więc powiedziała pani policjantom prowadzącym dochodzenie w sprawie jej zniknięcia, że nie pracowała w „Mewie”. Że to nie miało nic wspólnego z wami i że jeśli sprawdzą wasze księgi, to jej nie znajdą.

Elaine skinęła głową.

– Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowaliśmy, było wmieszenie nas w zaginięcie uczennicy.

– A nie przyszli porozmawiać z innymi dziewczynami pracującymi w restauracji?

Tym razem odpowiedział Sinclair.

– Wtedy jeszcze uważali, że to nastoletnia uciekinierka, która pokłóciła się ze swoimi zbyt wymagającymi rodzicami. Nie chcieli robić z tego wielkiej sprawy. Myśleli, że związała się z jakimś chłopakiem i wróci do domu, gdy będzie potrzebowała wyprać swoje rzeczy.

– Ale teraz jest to śledztwo w sprawie morderstwa i ma pan jeszcze więcej do stracenia niż wtedy, gdy prowadził pan „Mewę”. Obecnie jest pan odpowiedzialny za rewitalizację wybrzeża i rozumiem, że namówił pan do inwestycji swoją starą kumpelę Judith Brace. Pana udziałowcy nie chcieliby usłyszeć, że nie współpracował pan w pełni przy naszym dochodzeniu. Proszę więc powiedzieć mi wszystko, co wie pan o Rebecce Murray, w przeciwnym razie zabierzemy pana na przesłuchanie do Kimmerston, a ja zadbam o to, by prasa zobaczyła pana w drodze na komisariat.

Zapadła kolejna długa cisza. Chmury przesłoniły słońce, a dziwny metaliczny połysk na wodzie przygasł. Ponownie odezwała się Elaine.

– Becca. Tak się nazywała. Było w niej coś wyjątkowego. Była aktorką. Widziałam to nawet podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Potrafiła wyczuć, czego się od niej oczekuje i była gotowa to dać.

– A czego ona chciała? – Vera pochyliła się do przodu, opierając łokcie na kolanach, nie przejmując się tym, że jej spódnica podjechała do góry.

– Rzyzka. Emocji. Dlatego chciałam mieć ją na oku. Była jednym z tych dzieciaków, które balansują na krawędzi. Mogła być wielkim atutem dla firmy. Wyglądała oszałamiająco, nawet w stroju szkolnym, i niewiele brakowało jej do osiemnastki, kiedy moglibyśmy ją zatrudnić w klubie, a nie tylko w restauracji. Ale można było przewidzieć, że zatrudnienie jej może być ryzykowne. Miała w sobie ten błysk. Potrzebowała być w centrum uwagi. Desperacko pragnęła sławy. W dodatku była stłamszona przez rodziców, którzy w ogóle jej nie rozumieli, więc wszystko postrzegała jako walkę. Była przyzwyczajona do wyzwiań, tak działała. – Elaine zamilkła, wzruszyła ramionami. – Przepraszam, to wszystko brzmi trochę niedorzecznie.

– Nie – powiedziała Vera. – Pomaga mi pani ją sobie wyobrazić. Znam takie dzieci. Potrzebują skrajności. Nuda je przeraża. Łatwo wpadają w nałóg. Biegają po torach kolejowych, żeby malować zwariowane graffiti i kradną dla zabawy. Albo stają zostają żołnierzami odznaczonymi za odwagę, słynnymi odkrywcami i nagradzаныmi przedsiębiorcami. Więc była w klubie w weekend przed zaginięciem?

– Tak – powtórzyła Elaine. Vera nie była pewna, czy chroni swojego męża, czy też Gus naprawdę nigdy nie widział tej dziewczyny. Wyraźnie nie miał nic do dodania. – Przyszła w sobotę. Miała tylko obserwować, ale była bystra. Chętna, wie pani, i w końcu zaczęła pracować. W niedzielę w porze lunchu wróciła i zrobiła tyle samo, co stali pracownicy. Daliśmy jej trochę gotówki do ręki i jej udział w napiwkach.

– Co się stało? – Ponieważ Vera wyczuła, że coś się stało. Dlatego Elaine pamiętała to wszystko tak żywo. Dlatego była tak zaniepokojona, gdy Vera zasypała ją pytaniami.

– Wtedy jeszcze nic. – Chwila przerwy. – Tego dnia w restauracji był Robbie Marshall. Czasami umawiał się tam na spotkania, kiedy chciał zaimponować swoim kontaktom z klasą. Czasami przyprawdzał swojego szefa z zarządu komisarycznego ze stoczni.

– Z kim był wtedy? W niedzielę przed zaginięciem Rebekki?

– Nie wiem. Z jakimś mężczyzną. Nie znałam go. Mówię prawdę, Vero! Robbie nie miał wielu przyjaciół. Oprócz pani ojca, Profesora i Johna Brace'a. Ale miał dziesiątki kontaktów. Ludzi, od których kupował i którym sprzedawał. Ten facet wyglądał jak jakiś biznesmen, który się urwał z domu i z pracy. Nadwaga. Pomięty garnitur. Robbie czegoś od niego potrzebował. To było widać. Po tym, jak głośno śmiał się z kiepskich żartów. Po tym, jak szarpnął się na dobre wino. Becca ich obsługiwała.

Vera powoli zaczynała rozumieć.

– Robbie Marshall przecież wszystko potrafił załatwić. Więc temu biznesmenowi z nadwagą spodobała się dziewczyna?

– Praktycznie ślinił się do niej. To było obrzydliwe. – Elaine spojrzała na męża, ale on pozostał niewzruszony. – Gusa nie było w ten weekend. Był na południu w interesach. Prowadziłam to miejsce sama i nie chciałam drażnić żadnego z ważnych klientów.

– Czy Robbie poznał ją z tym mężczyzną? – Gniew, który Vera poczuła wchodząc do mieszkania, powrócił z całą mocą. Miała ochotę krzyknąć. Ale pytanie zabrzmiało spokojnie, rzeczowo.

– Nie wtedy. Skończyła zmianę. Jak już mówiłam, zapłaciliśmy jej i podzieliliśmy się z nią napiwkami, a ja powiedziałam, że jeśli będzie chciała, to znajdzie się tu dla niej praca. Ale Robbie czekał na nią na zewnątrz. Widziałem go, jak opierał się o barierki na Esplanadzie, patrząc na wodę. Jakby statki towarowe wypływające z ujścia Tyne były najważniejszymi rzeczami na świecie. Przez cały czas pilnował wejścia dla personelu do „Mewy”, uważając na Beccę, a ja wiedziałam, że obiecał ją temu grubasowi, któremu kupił lunch.

– Nie ostrzegła jej pani? Nie powiedziała pani czegoś? – Słowa wciąż ciche, wciąż powściągliwe.

– Co miałam jej powiedzieć, Vero? Byłam pewnie w tym samym wieku, co jej matka. Myśli pani, że taka dziewczyna by mnie posłuchała? Potraktowałaby to jako wyzwanie, spotkałaby się z tym facetem, choćby po to, żeby mi dowieść, że sobie z nim poradzi.

A poza tym nie chciałaś wkurzać ważnych klientów, dodała Vera w myśli.

Ale potem skinęła głową. Elaine prawdopodobnie miała rację i Becca nie posłuchałaby głosu rozsądku. Ciekawa była, co jej powiedział Robbie. Że facet jest samotny, nowy w mieście. Chciałby tylko trochę towarzystwa. Ładnej, młodej kobiety, z którą mógłby zjeść posiłek i wypić kilka drinków. „Nic poza tym, a ty zgarniesz za to parę funciaków, panienko”. Prawdopodobnie była na tyle naiwna, by mu uwierzyć.

– Czy Becca i ten grubas spotkali się w „Mewie” w noc, kiedy zaginęła?

– Spotkali się na zewnątrz. Powiedziałam Robbiemu, że jest niepełnoletnia i nie wpuszczę jej do środka. Pewnie znalazł im inne miejsce.

Oczywiście, że tak! Robbie Marshall, organizator cudotwórca, pomyślała Vera. Jak twoja matka mogła tak bardzo cię kochać, Robbie? Kiedy wszystko wyjdzie na jaw, wykończy ją to.

Elaine wciąż mówiła.

– To był błąd. Powinnam była wpuścić ich do klubu. Wtedy mogłabym mieć na nią oko.

– Jak się nazywał ten biznesmen?

Elaine potrząsnęła głową.

– Przykro mi Vero, ale nie wiem. Powiedziałabym pani, gdybym wiedziała.

Vera spojrzała na nią ostro, ale nie potrafiła odgadnąć, czy Elaine mówi prawdę, czy nie. Świetnie potrafiła kłamać. Po mistrzowsku.

– I nigdy nie powiedziała pani o tym policji, gdy prowadzono dochodzenie w sprawie zaginięcia Rebekki, gdy jej rodzice rozpaczliwie chcieli wiedzieć, co się z nią stało?

Milczenie kobiety było wystarczającą odpowiedzią.

Gdy spotkali się na komisariacie, Joe pomyślał, że dawno nie widział Very tak spiętej. Wciąż była wściekła po rozmowie z Sinclairem i jego żoną, ale zmotywowana, bo wreszcie widziała koniec sprawy. Siedząc w pierwszym rzędzie podczas odprawy, Joe martwił się o nią; bał się, że emocje i gniew przyprawią ją o zawał serca. Kobieta w jej wieku i z jej wagą nie powinna się tak denerwować. Lekarze ostrzegali ją, że ma wysokie ciśnienie, brała leki, jeśli tylko o nich pamiętała.

– A więc znamy już tożsamość drugiego ciała z okolic St Mary's. Mimo że dziewczyna miała idealne zęby – założę się, że jej rodzice byli skrupulatni, żadnych słodkich napojów ani niezdrowego jedzenia dla ich ukochanej córeczki – jej dentysta wykonał raz zdjęcie rentgenowskie, a doktor Keating już potwierdził, że jest zgodne z uzębieniem czaszki. – Zrobiła przerwę na oddech i rozejrzała się po pokoju. – Naszą drugą ofiarą jest Rebecca Murray, siedemnastolatka, jedyne dziecko kochających rodziców. Imprezowiczka, nieposłuszna, często przebywająca poza domem do późna, więc chociaż jej zaginięcie zostało bardzo szybko zgłoszone przez zaniepokojonych rodziców, sprawa nie została wówczas potraktowana zbyt poważnie przez naszych kolegów. Bez większego wysiłku dowiedziałem się, że w weekend poprzedzający zaginięcie poznała Robbiego Marshalla w „Mewie” i prawdopodobnie umówił ją na randkę ze znajomym biznesmenem.

Joe pomyślał o swojej córce, Jess, i zastanawiał się, jak by się czuł, gdyby zgłosił jej zaginięcie i nikt nie zwróciłby na to uwagi. Jess miała temperament, była uparta i już walczyła o swoją niezależność. Jeszcze kilka lat i też będzie chciała imprezować, spotykać się z nieodpowiednimi chłopakami. Uciszył tę myśl tak szybko, jak tylko mógł i skupił się na tym, co mówiła Vera.

– Joe rozmawiał ze swoimi kolegami z rady miasta. Co możesz nam powiedzieć o roli Sinclaira w projekcie rewitalizacji?

– Z ich punktu widzenia wszystko jest przejrzyste. Inwestuje w ten projekt w wielkim stylu i przekonuje innych ludzi, by też go poparli.

– Elaine inaczej mi to przedstawiała – powiedziała Vera. – Coś jeszcze?

Joe potrząsnął głową.

– Żadnych śladów korupcji, żadnych plotek o tym, że radni dostają duże prezenty.

– Prawdopodobnie nie musi ich przekupywać. Wszystko, co kojarzy się z rewitalizacją, spełnia ich oczekiwania. A wymogi dotyczące planowania są znacznie łagodniejsze niż kiedyś. Ponieważ Sinclair jest właścicielem tak wielu wynajmowanych nieruchomości w mieście, ma interes w tym, by to miejsce się dobrze rozwijało.

Joe zauważył, że Vera jest już spokojniejsza. Złość na to, jak potraktowano rodzinę Rebekki Murray zniknęła; uwielbiała stawać przed swoim zespołem i przekazywać im swoją wiedzę.

– Holly i Charlie byli na tropie tajemniczego Profesora, a teraz poznaliśmy również jego tożsamość. To profesor Stephen Bradford, wielokrotnie nagradzany poeta i były wykładowca na Uniwersytecie Durham. – Zwróciła się do Holly. – Nie jesteś przekonana, że jest w to w jakikolwiek sposób zamieszany, prawda Hol? – Zabrzmiało to jak wyzwanie.

– Musi być w to zamieszany – odparła Holly. – Przynajmniej w sprawę Gary'ego Keane'a. W przeciwnym razie, po co miałby zostawiać wiadomość na jego telefonie? Ale trudno mi myśleć o nim jako o zabójcy. Ma tak wiele do stracenia.

– Czy mógł być osobą, której spodobała się Rebecca Murray? Biznesmenem, który pił z Robbiem Marshalllem? – Joe pomyślał, że to może być jeden ze sposobów na połączenie tych wszystkich wątków. I tego właśnie potrzebowali – czegoś, co nadałoby temu bałaganowi trochę spójności.

– Nie, Elaine Sinclair dobrze знаła Profesora. Mówi, że nie rozpoznała mężczyzny, który ślinił się na widok jej młodej kelnerki. – Vera przestała chodzić i przysiadła na biurku z przodu sali, machając gołymi nogami. Na stopach kłapały sandały, które zawsze nosiła, z gumowymi podeszwami i paskami na rzepy.

Joe zauważył, że ma brudne nogi i na chwilę zrobiło mu się niedobrze.

– Elaine mogła chronić Profesora, twierdząc, że dziewczyna poszła z nieznanym.

Vera zastanowiła się nad tym.

– Tak, możesz mieć rację. Nie do końca jej uwierzyłam, kiedy twierdziła, że nigdy wcześniej nie widziała tego mężczyzny. – Zwróciła się do Charliego. – Warto sprawdzić u twojego kontaktu na uniwersytecie, czy były jakieś skargi od młodych studentek.

Charlie skinął głową.

– Według mnie tożsamość drugiej ofiary zmienia wszelkie nasze wyobrażenia na temat motywu. – Nogi Very były teraz całkiem spokojne, skrzyżowane w grubych kostkach, napięte. Nie jestem pewna, gdzie pasuje do tego John Brace. Sytuacja wyglądała inaczej, gdy myśleliśmy, że jego kochanka, matka jego dziecka, została pochowana razem z Marshalllem; teraz wydaje się, że nie brał w tym udziału.

– Z wyjątkiem tego, że przyznaje się do ukrycia ciała Marshalla – powiedział Joe. – Musiał być też zamieszany w zabójstwo dziewczyny. Nie wierzę w teorię, że ciała zostały tam złożone w różnym czasie. To wymysły.

– Być może tuszował śmierć Rebekki na zlecenie swoich starych przyjaciół, Marshalla i Sinclaira – powiedziała z wahaniem Holly. – Jeśli Rebecca była mniej sprytna, niż jej się wydawało i dała się wykorzystać Marshallowi, mogła się bronić, gdy nasz nieznajomy zaczął robić jej seksualne awanse. A on mógł ją zabić, by nie puściła farby, że została zgwałcona.

– Więc dlaczego Marshall też musiał zginąć? – Vera wydała jęk pełen frustracji. W pomieszczeniu zapadła cisza. Mówiła dalej, już spokojniejszym głosem. – Nie ma mowy,

żeby Marshall zagroził pójściem na policję. Tak samo zależałoby mu na zatuszowaniu tego incydentu, jak facetowi, który dopuścił się napaści. Joe, z samego rana jedź do Warkworth porozmawiać z Brace'em. Ja jestem z nim zbyt blisko. Pozwoliłam, żeby zalaź mi za skórę. Nie mogę znaleźć żadnej wzmianki, że brał udział w sprawie zaginięcia Rebekki Murray, ale nie znalazłbym jej, nawet gdyby był w to zamieszany. Był zbyt utalentowanym graczem, by zostawić po sobie jakikolwiek ślad. Sprawdźmy, czy będzie chciał ci coś powiedzieć. Może cię nie doceni i wymknie mu się coś przydatnego.

Joe pomyślał, że Vera musi być zdesperowana, skoro chce wysłać go na rozmowę z Johnem Brace'em. Jak dotąd w tym śledztwie zachowywała go dla siebie. Był jej osobistym wrogiem i potyczki z nim dodawały jej energii.

Kiedy następnego dnia rano przyjechał do więzienia, wydarzył się tam jeden z typowych incydentów, które zakłócały rutynę i sprawiały, że osadzeni zostawali w celach: próba samobójcza lub zgon. Kazano mu poczekać w małym pomieszczeniu tuż obok recepcji. Przyprawdzą Brace'a, jak tylko będą mogli. Joe siedział znudzony na twardym plastikowym krześle. Nie miał żadnych rozrywek. Nawet telefonu. Żadnej gazety. Minał kwadrans, ale nikt nie przyszedł mu powiedzieć, co się dzieje i zaczął się zastanawiać, czy o nim nie zapomniano. Krążył po małym pokoju i myślał, że tak właśnie musi wyglądać pobyt w celi, ale tutaj przynajmniej mógł się swobodnie poruszać. Na ścianie wisiała tablica ogłoszeń ze zdjęciami ważnych osób w więzieniu. Wszyscy szczerzyli zęby w uśmiechu, przez co wyglądali nienaturalnie, wręcz okropnie. Gubernator, kapelan i kierowniczka działu edukacji. Nawet szef cateringu. Joe wpatrywał się w nich przez chwilę, rozkojarzony, po czym znowu zaczął spacerować, zastanawiając się nad płataniną przestępstw i motywów, próbując rozwikłać wątki.

Kiedy dziesięć minut później drzwi się otworzyły, aż podskoczył z wrażenia. Był tak zaabsorbowany, że prawie zapomniał, dlaczego tu jest, a kiedy ruszyli do pokoju przesłuchań, oślepiło go dzienne światło. Strażnik przeproszał, że kazano mu czekać, ale nie udzielił żadnych wyjaśnień. Joe wszedł do małego pokoju przesłuchań i zdziwił się, że John Brace już tam na niego czekał, w swoim wózku inwalidzkim. Przez chwilę Joego ogarnęło zakłopotanie i zaczął się jąkać, podając swoje nazwisko. Wciąż był zagubiony w myślach, rozważając różne możliwości, i snując przedziwne spekulacje wokół tych trzech morderstw.

– Aha, katarzyniarz dziś nie przyszedł, co? – powiedział Brace. – Przysłał małpkę w zastępstwie.

– Inspektor Stanhope jest zajęta. – Nie pozwolił, by ta uwaga go ubodła. Właściwie, nawet trochę go ucieszyła. Vera spodziewała się, że Brace go nie doceni, i miał go nie wyprowadzać z błędu. – Ale pomyśleliśmy, że powinniśmy panu powiedzieć, że zidentyfikowaliśmy kobietę, która została pochowana przy St Mary's razem z Robbiem Marshalllem.

Wyraz twarzy Brace'a pozostał niezmienny, arogancki i rozbawiony, ale mężczyzna napiął się nieco w fotelu.

– Tak?

– Ponieważ przez jakiś czas istniała możliwość, że denatką jest pańska była partnerka Mary-Frances Lascuola.

– Nigdy nie była moją partnerką. – Przebłysk złości. – Była kimś, z kim uprawiałem seks.

– I miał pan z nią dziecko.

– To był jej wybór, żeby je urodzić. Nie miałem z tym nic wspólnego.

Joe pomyślał, że Vera i Patty usłyszały od Brace'a zupełnie inną historię. Powiedział im, że Mary-Frances była miłością jego życia.

– Ale zależy panu na Patty? Prosił pan Verę, by się nią zaopiekowała?

– Cóż, może i jestem tutaj, ale wciąż mam poczucie odpowiedzialności.

– Kobieta w przepuście była młodsza od Mary-Frances – powiedział Joe. – Siedemnastoletnia uczennica, która zaginęła tuż przed zniknięciem pańskiego przyjaciela Marshalla. Do tej pory tych zaginięć nie powiązano, ale wiemy, że dziewczyna pracowała w „Mewie” tego samego dnia, kiedy Marshall był tam na lunchu z przyjacielem. Przyjacielem, który zdawał się mieć na nią ochotę.

Zapadła cisza przerywana przekleństwami i śmiechem z dziedzińca po drugiej stronie muru. Grupa młodszych mężczyzn w końcu wyszła z celi do pracy lub na siłownię. Joe kontynuował:

– Nazywała się Rebecca Murray. Czy to coś panu mówi?

Znowu cisza.

– Z Robbiem Marshalllem była taka sprawa... – Brace zawahał się. Być może już pożałował że zaczął mówić. Ale Joe był tylko małpką Very, a Brace lubił się popisywać. Chciał udowodnić, że rozumie ludzi, wszystkich swoich ludzi, zarówno w służbach, jak i poza nimi, oraz to, co ich kręci. – Z Robbiem Marshalllem była taka sprawa, że kochał swoją reputację człowieka do wszystkiego. To dawało mu pozycję. W stoczni pracował jako specjalista od zaopatrzenia i to było jego chluba: „proszę mi tylko powiedzieć, czego pan potrzebuje, a ja to panu załatwię”.

– Więc gdyby ten facet miał ochotę na dziewczynę, Robbie potraktowałby to jako wyzwanie, żeby załatwić dla niego to, czego pragnął? – Joe wczuwał się w sytuację.

– Wyzwanie, owszem. Ale oprócz tego robił lewe interesy z ludźmi, którzy mieli wobec niego oczekiwania. Którzy uważali, że Robbie jest ich dłużnikiem, ponieważ wyświadczyli mu kilka przysług. Mógł czuć się zobowiązany by dać im to, czego chcieli. To coś więcej niż wyzwanie. Raczej wyrównanie rachunków.

– Spłata długu?

– Coś w tym rodzaju. Brace odchylił się w fotelu. – To byli ludzie, z którymi lepiej nie zadzierać. – Zamilkł na chwilę. – Ludzie, z którymi ja nie chciałem mieć do czynienia.

Joe nie odpowiedział. Nie zdradził, że jego zdaniem Brace nie miał żadnych skrupułów, że zadawał się z każdym, kto służył jego celom.

– To może wie pan, z kim Marshall jadł lunch tego dnia w „Mewie”?

Brace nie odpowiedział od razu.

– Wyznaczyli mi termin na komisję do spraw zwolnień warunkowych.

– I myśli pan, że Vera mogłaby szepnąć słówko tu i ówdzie?

Brace wzruszył ramionami.

– Nie zaszkodzi, jeśli powie, że byłem pomocny.

– Więc co z tym facetem z „Mewy”? Klientem Marshalla?

Brace ponownie zignorował pytanie.

– Robbie był roztrzęsiony tamtej niedzieli, którą spędziliśmy razem, zanim znalazłem jego ciało w pobliżu St Mary’s. Powiedziałem to Verze. Był tak przerażony, jak nigdy wcześniej, zupełnie jak nie on. Robbie nie miał na tyle wyobraźni, by się bać.

– A ty się boisz, John? – Celowo użył imienia mężczyzny, przechodząc na tematy osobiste, bo wiedział, że to go zirytuje. John Brace był przyzwyczajony do szacunku. I nie chciałby, aby kwestionowano jego odwagę. – Nawet tutaj? To dlatego nie chce mi pan podać nazwiska?

Mężczyzna podniósł wzrok.

– Nie mam dla pana nazwiska. Nic konkretnego.

– Ale może zechce pan podsunąć mi jakieś domysły?

Kolejna pauza.

– Jak już mówiłem, rozmawiałem z Robbiem, zaoferowałem pomoc, ale on wiedział, że są rzeczy, których nawet ja nie potrafię naprawić. Sinclair może znać tego człowieka. Robbie odbył kilka podróży do Glasgow tamtej wiosny. Wiosny tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku.

– Robbie Marshall pracował z ojcem Sinclaira? – Joe zastanawiał się, co Vera na to powie. – Grał z grubymi rybami?

– To były plotki i nawet ja nie byłem w stanie pociągać za sznurki tak daleko od domu. – Znowu chwila milczenia. – Najwyraźniej była jakaś umowa, która nie wypaliła i Alec Sinclair uważał, że Robbie jest jego dłużnikiem.

– Czy mógłby pan opisać Aleca Sinclaira? – Joe zaczynał zbliżać się do rozwiązania. Jeśli to Alec Sinclair był mężczyzną w restauracji, wyjaśniałoby to niechęć Gusa Sinclaira do pomagania policji, gdy zniknęła Rebecca Murray.

– Otyły. Niesprawny. Zagrożony zawałem serca.

Joe pomyślał, że to pasuje do opisu mężczyzny, który Elaine przekazała Verze. W jego głowie pojawił się kolejny obraz. Jego szefowej. Pomyślał, że to również opis samej Very.

Brace podniósł wzrok.

– On już nie żyje, wie pan. Więc nawet jeśli zabił Robbiego, ten kierunek dochodzenia zaprowadzi was donikąd.

Joe wstał, górując nad starszym mężczyzną na wózku, i przez moment zastanawiał się, czy taką właśnie przewagą rozkoszują się gnębiaciele słabszych.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego nie zauważył pan zwłok dziewczyny, kiedy ukrywał pan ciało Robbiego Marshalla. Ten scenariusz ma sens: Sinclair senior zabija dziewczynę, która nie zgodziła się dać mu tego, co mu obiecano. Wściekłość, frustracja. Może był na granicy wytrzymałości. Mogę przyjąć, że potem zabił Robbiego, żeby uciszyć świadka. Albo za karę, ponieważ nie dostarczył tego, czego chciał Sinclair. Ale dlaczego wszyscy byli akurat koło St Mary's? A jeśli zostali zabici gdzie indziej, dlaczego był tam samochód Robbiego? I dlaczego Gary Keane został zamordowany po tak długim czasie, skoro Alec Sinclair już nie żył?

– To ty jesteś detektywem, chłopcze. Ja już nie.

– Nadal trzyma się pan swojej wersji, że nie widział pan ciała dziewczyny?

– Nic więcej ci nie powiem, małpko. Przyślij mi tu katarzyniarza. – Bracie podniósł głos. – Strażnik, proszę zaprowadzić mnie z powrotem na oddział. Już skończyliśmy.

41.

Vera zamknęła się w swoim ciasnym biurze i zablokowała drzwi, po czym otworzyła wąskie okno, by wpuścić trochę powietrza. Z zachodu wiał wilgotny, porywisty wiatr, który zapowiadał burzę. Powietrze było ciężkie, jakby zaraz miało grzmieć. Znów pomyślała, że to koniec bardzo długiego lata. Miała nadzieję, że sprawa zbliża się do rozwiązania, ale wciąż zmagala się z faktami. Wszyscy zamieszani w sprawę, od eleganckiej Judith Brace w jej wielkim domu w Ponteland, po zagadkowego profesora Stephena Bradforda, byli nieuchwytni i niewiarygodni. Wszyscy, może poza Patty Keane, kłamali.

Znalazła kartkę papieru do drukarki i ołówek i zaczęła spisywać fakty. To, co wiedzieli na pewno, a nie to, co im powiedziano. Trzy osoby nie żyją. Wszystkie w jakiś sposób powiązane z „Mewą”. I być może z wyspą St Mary’s. Cała sprawa rozgrywała się w Whitley Bay. Wstała i stanęła przy oknie, ale powietrze było ciepłe i wilgotne i nie pomogło jej pozbyć się nieproszonych myśli. Otworzyła drzwi do biura i krzyknęła do Charliego, który siedział za biurkiem.

– Mamy numer telefonu Profesora?

– Stacjonarny i komórkowy. Inny niż ten, z którego dzwonił do Gary’ego Keane’a. Nie dzwoniłem na żaden z nich, bo nie chciałem go ostrzegać, że mamy go na celowniku. Poprosiłem techników, by spróbowali namierzyć jego komórkę, ale nie była włączona.

Vera pomyślała, że jest już za późno, by martwić się, że Bradford się sploty. Jego nagły wyjazd z domu na wybrzeżu oznaczał, że ktoś już dał mu cynk. Zadzwoiła na telefon stacjonarny, nie spodziewając się niczego, wyobrażając sobie, że dzwonek rozbrzmiewa w pustym domu z widokiem na morze. Kiedy kliknęła automatyczna sekretarka, miała już przygotowaną wiadomość. „Stephen, tu Vera, Vera Stanhope. Nie jestem pewna, czy mnie pan pamięta, ale na pewno pamięta pan mojego ojca. Musimy porozmawiać. Będę na wyspie St Mary’s od drugiej po południu przez godzinę. Mam nadzieję, że się tam spotkamy”.

Potem spróbowała zadzwonić na komórkę, spodziewając się, że nadal będzie wyłączona i że zostawi tę samą odpowiedź, ale po kilku dzwonekach odebrano. Kobięcy głos, wesoły, biznesowy.

– Halo. Telefon Stephena.

– Czy mogę rozmawiać ze Stephenem? – Vera dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że na końcu linii jest prawdziwa osoba, ale udało jej się powstrzymać zaskoczenie w głosie.

– Proszę chwilę poczekać.

Okrzyk: „Tato!”. Potem rozległ się stłumiony dźwięk i połączenie się urwało.

Vera ponownie spróbowała zadzwonić, ale tym razem nikt się nie odezwał. Ani kobieta, ani automatyczny głos, który kazałby jej zostawić wiadomość. Cisza. Wracając do drzwi, krzyknęła do Charliego, że uzyskała połączenie z komórką Bradforda i że technicy powinni spróbować go zlokalizować, po czym wzięła stary płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz ze stojaka w rogu i wyszła, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera.

Pojechała land roverem Hectora w kierunku Whitley Bay. Miała nadzieję, że samochód posłuży jako coś w rodzaju talizmanu lub amuletu na szczęście, ponieważ był powiązany z Profesorem. Potem przypomniała sobie, że nie jest przesądna. Zaparkowała na nowo uporządkowanym placu obok Dome, ale ominęła biuro Sinclaira, z jego błyszczącymi wizualizacjami nabrzeża w przyszłości. Zapach smażonej ryby przyciągnął ją do pobliskiego baru, więc kupiła torebkę frytek i rybę w panierce, by zjeść je podczas spaceru. Właśnie wyrzucała styropianowy pojemnik do kosza, gdy zadzwonił Joe. Znalazła ławkę przy promenadzie, blisko plaży i wody, ale osłoniętą od wiatru i rozmawiała z nim, obserwując psy goniące za piłką i wysportowane matki, które biegały popychając przed sobą wózki z dziećmi.

– A więc – powiedziała, przekrzykując fale – sądzisz, że to ojciec Gusa Sinclaira był mężczyzną, który spotkał się z Rebeccą Murray tego wieczoru, gdy zniknęła?

Przez jej głowę przelatowały myśli i pomysły: Gusa Sinclaira nie było w okolicy, gdy doszło do pierwszego spotkania z Rebeccą, ale czy Elaine nie rozpoznałaby tego mężczyzny? Może nie. Wtedy tylko pracowała dla Gusa; nie byli parą. Potem: tak czy owak, jeśli to Elaine była szarą eminencją w klubie, jak sugerowała Janice Gleeson, być może знаła Aleca Sinclaira bardzo dobrze, miała własne powiązania z Glasgow i własne powody, by go chronić. W takim razie: Czy Gus wiedział, że Robbie robił interesy z jego ojcem?

– Myślę, że to możliwe – powiedział Joe.

– Czy Brace wyjaśnił, jakim cudem przeoczył martwą siedemnastolatkę w przepuście, kiedy chował tam zwłoki swojego kumpla Robbiego Marshalla? – Mewy srebrzyste skrzeczały nad jej głową, lądując by rzucić się na kawałki frytek, które upuściła na beton.

– W tym momencie przestał odpowiadać na moje pytania. Powiedział, że chce rozmawiać z kataryniarzem, a nie z małpką.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

– Dobra, dobra, może nam nagwizdać. Dość już uganiania się za tym człowiekiem.

– Gdzie pani jest?

– Nad morzem. Kolejna gonitwa za wiatrem. Ale siedzenie w biurze doprowadzało mnie już do szału. Brak świeżego powietrza i przestrzeni dla nowych pomysłów. – Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć mu o wiadomości, którą zostawiła na telefonie Bradforda, ale postanowiła, że nie. Nie było szans, by Bradford ją odebrał, a ona wyjdzie na głupią, gdy Profesor nie pojawi się na spotkaniu. – Czasami warto ponownie odwiedzić miejsce zdarzenia. Mogą się pojawić nowe skojarzenia. No wiesz.

Nie było odpowiedzi i Vera pomyślała, że Joe pewnie o tym nie wie. To nie był jego styl pracy.

– Co mam teraz zrobić? – spytał w końcu.

– To samo, co zawsze. Namierzyć ludzi, z którymi jeszcze musimy porozmawiać. Stephen Bradford. Mary-Frances Lascuola. Nawet jeśli posługuje się fałszywą tożsamością, musi być jakiś sposób, by ją znaleźć. – Przerwała na chwilę. – Porozmawiaj z tą dawną przyjaciółką Mary. Tą, która uczy jogi. Ona może mieć jakiś pomysł. A jeśli była kelnerką w „Mewie”, to można z nią też zamienić parę słów o Rebecce Murray.

– Holly już z nią rozmawiała. – W głosie Joego zabrzmiała niechęć. Może miał nadzieję, że uda mu się wcześniej wrócić do domu, dzięki czemu zdobędzie parę punktów u Sal.

– Tak, ale może tobie uda się ją oczarować. – Vera już miała odłożyć słuchawkę, gdy przyszło jej do głowy coś jeszcze. – Zdobądź aktualne zdjęcie Stephena Bradforda. Musi być coś w sieci. Holly i Charlie nie przywieźli z Durham niczego, co by nam mogło pomóc.

Potem zamknęła kłapkę telefonu i wstała.

Powietrze było wilgotne, ale jeszcze nie padało. Trzy ogromne statki towarowe tkwiły nieruchomo w pobliżu ujścia rzeki Tyne. Stały tam od tygodni; nie były zakotwiczone tylko na chwilę, w oczekiwaniu na wysoką wodę, która pozwoli im przepłynąć w górę rzeki i zacumować w porcie. Vera słyszała plotki, że rosyjska firma, która była ich właścicielem, splajtowała, a one po prostu czekały na nowego nabywcę lub do czasu, aż uda się zebrać pieniądze, aby mogły wpłynąć do portu. Uwięziona na nich załoga czekała na uwolnienie. To sprawiło, że pomyślała o Johnie Brasie, przykutym do wózka inwalidzkiego, zamkniętym w więziennej celi i przez moment zrobiło jej się go żal, dopóki nie przypomniała sobie Fiony Fenwick, wdowy po leśniczym, która też była więźniem – gniewu i rozpacz.

Ruszyła na północ, trzymając się dolnej promenady, i spojrzała na zegarek. Pierwsza piętnaście. Czterdzieści pięć minut do godziny, od której miała czekać na Profesora na wyspie. Minęła kawiarnię „Rendezvous”, gdzie przy kiosku ustawiła się mała kolejka po lody, a w środku starsze pary przywiązywały smycze swoich psów do nóg krzeseł, popijając herbatę. Vera przez kilka sekund czuła pokusę – z chęcią opróżniłaby kubek herbaty – ale obawiała się spóźnienia, więc poszła dalej, teraz górną alejką, z której roztaczał się lepszy widok na zatokę, z płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię.

W rezerwacie przyrody na mokradłach, grupa mężczyzn siedziała w kryjówce najbliższej drogi, z lornetkami skierowanymi na ptaki brodzące w stawie, a po drugiej stronie wody ktoś opierał się o ogrodzenie, przyglądając się temu samemu stadku. Był zbyt daleko, by mogła dostrzec jego rysy, a poza tym pewnie nie rozpoznałaby Bradforda, nawet gdyby się pojawił. Szkoda, że dopiero teraz o tym pomyślała. Powinna była poczekać, aż zobaczy aktualne zdjęcie, zanim umówiła się na to szalone spotkanie. Na swoje własne rendezvous. On z pewnością by jej nie poznał, bo kiedy widzieli się ostatni raz, była młodą dziewczyną. Choć pewnie udałoby mu się znaleźć jej zdjęcie na lokalnej stronie z wiadomościami. Na pewno by o tym pomyślał. Miałby więcej rozsądku niż ona.

Na parkingu najbliższej wyspy zatrzymała się, by jeszcze raz spojrzeć na wielką tablicę, która przedstawiała proponowaną zabudowę tego miejsca. Komputerowo wygenerowany obraz szklano-betonowego budynku. Uświadomiła sobie, że nowa restauracja jest bardzo

podobna do starej „Mewy” i zaczęła się zastanawiać, jak duży wpływ na projekt miał Sinclair. I ile pieniędzy w niego zainwestował.

Teraz czekał ją krótki spacer przez groblę na wyspę. Widziała już domki za latarnią morską. Zanim zadzwoniła do Profesora, sprawdziła godzinę przyływu i wiedziała, że do piątej będzie bezpiecznie. Spodziewała się, że wróci na komisariat dużo wcześniej. To była tylko śmieszna ucieczka od obowiązków, wymówka, by opuścić biuro na pół dnia.

Ruszyła w dół pochylnią w kierunku ścieżki, wybudowanej na skalistym podłożu, żeby połączyć wyspę z lądem, kiedy z tyłu rozległ się hałas. Przenikliwy sygnał karetki jadącej wąską drogą z dwupasmówki zakłócił spokojne popołudnie, a ostrzeżeni nim spacerowicze zaczęli schodzić na bok. Za karetką podążał radiowóz. Oba zwolniły na grobli, aby rodzice mogli sprowadzić dzieci z betonowej ścieżki na skały po obu stronach. Na wyspie umundurowany funkcjonariusz wyskoczył z radiowozu i zaczął kierować zaciekawionych gapiów z powrotem w kierunku lądu:

– Proszę się odsunąć. Niech ratownicy medyczni zrobią swoje.

Vera przepychała się przez tłumek pod prąd. Dzieciaki marudziły, bo przerwano im zabawy w pływowych bajorkach, bo nie zdążyły wspiać się po spiralnych schodach na szczyt latarni morskiej albo wydać pieniędzy w sklepie w centrum dla zwiedzających. Poczula przyływ adrenaliny, niemal podniecenia, bo ogarnęło ją poczucie, że incydent, który wymagał obecności służb ratunkowych, nie był dziełem przypadku. Umówiła się na spotkanie z Profesorem, i nagle wydarzyło się coś takiego. Potrzebowali czegoś nowego, co pomogłoby zakończyć śledztwo i to mogło być to.

Umundurowany funkcjonariusz stanął jej na drodze.

– Przepraszam, kochana pani, zdarzył się wypadek. – Jego głos nie był całkiem niegrzeczny, ale wyraźnie zirytowany, ponieważ niemądra, otyła kobieta nie raczyła zauważyć, że zawracał ludzi z drogi.

Wyciągnęła legitymację, triumfalnie, bo znalazła ją od razu. Spodobało jej się jego zaskoczenie i nagła zmiana nastawienia.

– Jaki wypadek?

– Nic zagrażającego życiu. Dzieciak wspiał się na skały, aby lepiej przyjrzeć się fokom, i niefortunnie upadł. Ratownik w centrum dla zwiedzających podejrzewał złamanie. Jestem tu tylko po to, by utworować drogę dla karetki.

Vera poczuła, jak adrenalina odpływa i zdała sobie sprawę, jak niedorzeczne było przypuszczenie, że wypadek miał cokolwiek wspólnego z jej obecnością. Na tym polegał problem, gdy miało się obsesję na punkcie sprawy: traciło się perspektywę, postrzegało wszystko przez pryzmat śledztwa. Odwróciła się od wyspy i zaczęła iść w kierunku parkingu, omijając groblę. Brodziła przez pływowe baseny, od czasu do czasu tracąc równowagę i prawie upadając. Wyszła na brzeg w pobliżu przepustu i opłukała sandały w najbliższym bajorku, wytrząsając z nich żwir i kawałki wodorostów.

Kiedy się wyprostowała, tłum nieco się uspokoił, wyczuwając, że to już koniec sensacji. Zauważyła, że ktoś przygląda jej się z wysokiego brzegu. Ten sam mężczyzna, który

obserwował ptaki po przeciwnej stronie stawu w rezerwacie na mokradłach, ale teraz był bliżej. Nagle rozpoznała tę sylwetkę. Znowu była nastolatką w domu Hectora na wzgórzach, w mroźną zimową noc, i słyszała jowialny męski głos. „Wpuść mnie, Hector. Jest kurewsko zimno”. Wyrzała wtedy przez oblodzone okno i widziała go przez krótką chwilę, gdy jej ojciec otworzył drzwi, a światło z salonu rozlało się na ścieżkę. To był ten sam człowiek. Profesor Stephen Bradford. Starszy niż wtedy, ale ubrany niemal identycznie. Tweedy, buty i kurtka przeciwdeszczowa. Może nawet założył tę samą czapkę. Miał tę samą, niemal wojskową postawę. W niczym nie sprawiał wrażenia poety. Był masywny i grubokościsty, ale bez śladu nadwagi. Mieli rację: nie było mowy, żeby to on był tym grubym mężczyzną śliniącym się na widok Rebekki Murray w „Mewie”. Był zbyt zadufany w sobie, by się do kogokolwiek ślinić.

Zawołała go, ale był zbyt daleko, by ją usłyszeć. Gdy zaczęła iść w jego kierunku, radiowóz ruszył z powrotem przez groblę z wyjącą syreną. Vera przypuszczała, że toruje drogę dla karetki, ale Bradford musiał pomyśleć, że jedzie po niego. Prawdopodobnie widział Verę rozmawiającą z dyżurnym posterunkowym, a do tego miał podobną obsesję jak ona. Zawsze uważał, że świat kręci się wokół niego. Odwrócił się, i ruszył niemal biegiem. Musiał zostawić samochód na parkingu, ponieważ zanim wyszła na ścieżkę, nie było po nim śladu. Gdy wracała do Whitley Bay po swój samochód, zaczął padać deszcz.

Na drzwiach szkoły jogi przy stacji metra Whitley Bay wisiała tabliczka, że jest nieczynna na resztę popołudnia. Joe kupił sobie kawę w kawiarni obok i usiadł przy jednym ze stolików na zewnątrz, zastanawiając się, co robić dalej. Wciąż chodziła mu po głowie ta wizyta w więzieniu; miał poczucie, że przeoczył coś ważnego. Takie wrażenie, jakby coś go swędziało i nie mógł tam sięgnąć, żeby się podrapać.

W kawiarni przy stoliku siedziała grupka sześciu kobiet robiących na drutach. Para podstarzałych hippisek, jedna z fioletowymi włosami i trzy młodsze, które rozmawiały z powagą do wtóru szczękaniu metalu. Pomyślał, że to niepracujące matki, które kradną godzinę z dala od dzieci. Trudno było je za to winić. W pewnym momencie zebrały rzeczy i wyszły, wołając coś na pożegnanie do dziewczyny za ladą. Na szklany dach stacji spadły najpierw pojedyncze krople, a potem ulewa, deszcz odbijający się od betonu w niezadaszonej części peronu. Kobiety czekały w łukowatym wyjściu do miasta, czekając, aż trochę przejdzie, żeby móc pobiec do swoich samochodów. Gdy wyszedł z kawiarni, zobaczył, że jedna z tych starszych stoi na drodze, z twarzą zwróconą ku niebu, śmiejąc się do rozpuku. Jej koleżanki wiwatowały i klaskały.

Joe zatrzymał się na peronie i zadzwonił do Holly.

– Laury nie ma. Po drodze zajrzałem też do jej domu. Masz jakiś pomysł, gdzie może być?

– Możesz spróbować w Shaftoe House, ośrodka odwykowym. Ma tam zajęcia raz w tygodniu.

Zdecydował, że Shaftoe House i tak jest w drodze powrotnej do Kimmerston, więc nie zawracał sobie głowy wcześniejszym dzwonieniem. Zaparkował samochód w bocznej uliczce w pobliżu stacji metra Whitley Bay, a wody na jezdni było już po kostki. Pojechał do Bebington z włączonym ogrzewaniem, próbując wysuszyć stopy. W to ponure popołudnie, ośrodek odwykowy wyglądał z drogi jak z taniego horroru, najeżony wieżyczkami i spiczastymi szczytami. Wewnątrz było tak gorąco, że jego mokre spodnie zaczęły parować.

Joe dotarł do ośrodka akurat, gdy Laura kończyła zajęcia. Usiedli w jednej z sal warsztatowych. Ian, lider projektu, wprowadził ich do środka i od czasu do czasu pojawiał się na korytarzu, zaglądając przez szklane drzwi. Być może miał kiedyś złe doświadczenia z policją i uznał, że Laura potrzebuje ochrony. Na zewnątrz wciąż padało i było tak ciemno, że musieli włączyć światło.

Laura nie była nieprzyjazna, ale nie była też zbyt życzliwa. Być może po rozmowie z Holly spodziewała się kolejnej wizyty i zrobiła się nieco nieufna.

Joe przedstawił się.

- Wiem, że rozmawiała pani z moją koleżanką, ale obecnie dysponujemy większą ilością informacji i mamy jeszcze kilka pytań. Być może całkiem odmiennych.

- Naprawdę nie wiem, jak jeszcze mogę wam pomóc. Już powiedziałam jej wszystko, co wiem.

Ośrodek już kończył pracę i Joe zobaczył przez okno, jak grupa klientów biegnie ze śmiechem od drzwi wejściowych do przystanku autobusowego. Jakaś para zatrzymała się pod ociekającymi wodą drzewami, by skręcić papierosa.

- Kiedy rozmawiała z panią posterunkowa Jackman, nie zidentyfikowaliśmy jeszcze obu ciał z pobliza St Mary's. Ponieważ Mary-Frances była pani przyjaciółką, pomyśleliśmy, że powinna pani o tym usłyszeć. Jutro wiadomość pojawi się w prasie. Razem z prośbą o informacje.

- Jedno z ciał należało do Mary?

Nie sposób było stwierdzić, o czym myślała, czy przeżywała, że jej dawna przyjaciółka mogła spoczywać w otworze w skale przez tyle lat. Joe pomyślał, że zawsze musi utrzymywać kontrolę. Nad swoim ciałem i nad myślami. Może byli narkomani właśnie tego potrzebowali. Zastanawiał się, czy miała partnera, kogoś, przy kim mogłaby się odprężyć, opuścić gardę.

- Nie - powiedział. - Wiemy, że mężczyzna nazywał się Robert Marshall. Był stałym bywalcem „Mewy”. Młoda kobieta była uczennicą, która zaginęła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku. Właśnie zaczęła pracować jako kelnerka w klubie. Nazywała się Rebecca Murray.

Popatrzył na nią, ale nie zareagowała na to nazwisko.

- Pamięta może pani ją z pracy? Kiedy zniknęła, poszukiwano jej z pomocą mediów, na dużą skalę.

Laura potrząsnęła krótko głową.

- Chce pan powiedzieć, że być może Mary-Frances wciąż żyje? - Ponownie nie sposób było ocenić jej reakcji na tę wiadomość. Joe nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ukrywała jakieś informacje. Powróciło przecucie, które dokuczało mu w więzieniu - połączenie niepokoju i poczucia, że czegoś nie skojarzył.

- Jeśli tak, to przypuszczamy, że zmieniła nazwisko. - Cały się lepił, czuł się trochę jak w gorączce. Nigdy nie czuł się dobrze w taką pogodę, a teraz trudno mu było się skupić. - Czy kiedykolwiek pracowała pod innym nazwiskiem, kiedy ją pani знаła?

Kobieta zastanowiła się przez chwilę. W przeciwieństwie do Joego, wyglądała na opanowaną i doskonale wyluzowaną.

- Pana koleżanka już mnie o to pytała - odparła. - Powiedziałam jej, że Mary zawsze pracowała pod własnym nazwiskiem. Zmyślała różne rzeczy, ale była dumna z włoskiego pochodzenia. To ją wyróżniało.

- Co ma pani na myśli, mówiąc, że zmyślała?

– Zawsze coś pisała w notatniku. Myślałem, że to pamiętnik, ale zajrzałam do niego raz, gdy miała odlot i okazało się, że to nie był pamiętnik. Jakies opowiadania. Kawalki wierszy. – Laura podniosła wzrok. – Zmyślone rzeczy.

– Czy kiedykolwiek o tym mówiła?

Laura potrząsnęła głową.

– Mówiła o tym, co czyta. Zawsze czytała. Czasami była tak podekscytowana książką, że czytała mi ją na głos. Zazwyczaj nie rozumiałam, dlaczego tak jej się podobała. – Zaśmiała się lekko. Zabrzmiało to nienaturalnie, jakby nie śmiała się zbyt często, jakby zawsze była poważna. – Mary była znacznie bystrzejsza ode mnie. – Kolejna pauza. – Czasami rozmawialiśmy o tym, co będziemy robić, kiedy będziemy czyste. To było wtedy, kiedy próbowaliśmy przestać brać. Po raz kolejny. I kiedy byliśmy tutaj. – Rozejrzała się po pokoju.

– To było już po tym, kiedy córką Mary-Frances zajęła się opieka i kiedy została adoptowana?

Laura skinęła głową.

– Trudno uwierzyć, że jestem tą samą osobą, co wtedy. Tutaj zaczęło się moje nowe życie. Zawsze mówiłam, że chcę być sprawna, że chcę ćwiczyć jogę, nie tylko dla ćwiczeń. Myślę, że przyciągnęła mnie duchowość, choć wtedy tak naprawdę jej nie rozumiałam. To wypełniło lukę.

– A Mary-Frances? – zapytał Joe. – Jakie było jej marzenie, jej idealna przyszłość? – Do tej pory nigdy nie zastanawiał się nad tym, że narkomani i pijacy mogą mieć marzenia wykraczające poza zdobycie kolejnej działki lub flaszki.

– Chciała zdać maturę, a potem pójść na uniwersytet, zdobyć dyplom i dobrą pracę. Chciała studiować angielski.

Joe pomyślał, że Stephen Bradford mógł w tym pomóc Mary-Frances. Czy była w Durham razem z profesorem? Może zdała maturę i rozpoczęła dalszą edukację. Ale nie pod nazwiskiem Mary-Frances Lascuola. Holly znalazłaby jakąś wzmiankę o jej istnieniu, gdyby go używała.

– Powiedziała pani mojej koleżance, że przestała pani pracować w „Mewie”, bo nie podobały się pani niektóre rzeczy, które się tam działy. Jakie rzeczy?

Laura wpatrywała się w okno, a on widział jej profil, gładką skórę i drobne kości.

– Nie pamiętam, że coś takiego powiedziałam.

– Znała pani Roberta Marshalla, tego zmarłego mężczyznę?

– Kilka razy odwiedził Mary-Frances. Mieszkałyśmy jeszcze wtedy na mieście, ale kiedy widziałam go po raz ostatni, codziennie przychodziliśmy do Shaftoe House. Pamiętam, jak pewnego wieczoru Robbie czekał na nią przed ośrodkiem, gdy kończyłyśmy zajęcia. Nie chciała z nim rozmawiać, ale widocznie powiedział coś, co ją przekonało, bo w końcu z nim poszła. Powiedziała mi, żebym sama pojechała autobusem do Whitley, bo ona wróci później.

Laura odwróciła głowę w jego stronę. Miała malutki kolczyk w nosie i po trzy kółka w każdym uchu. Nigdy nie był fanem kolczyków, ale te nie wiedzieć czemu wyglądały naprawdę stylowo.

– Minęły ze trzy godziny. Zaczynałam się niepokoić. Nie byłam pewna, czy będzie wystarczająco silna, jeśli zaproponuje jej odpał. Nie byłam pewna, co robić, z kim się skontaktować. Wtedy usłyszałam klucz w drzwiach.

Zapadła długa cisza. Joe pomyślał, że Laura przeżywa ten moment na nowo. Ulgę, gdy pojawiła się jej przyjaciółka.

– Wróciła sama?

– Tak.

– W jakim była stanie?

Przysięgała, że nic nie brała, ale była w takim dziwnym nastroju. Rozgorączkowana, nakręcona. Nie chciała mi powiedzieć, gdzie była ani co powiedział jej Marshall. Nalegała, żebyśmy poszły na miasto na kolację. Była tam taka grecka knajpka, do której czasem chodziliśmy, gdy byliśmy przy kasie. Niezbyt elegancka, ale przyjemna. Prowadził ją taki starszy gość z siostrzeńcem. Jedzenie było całkiem niezgorsze. Powiedziała, że stawia, a kiedy otworzyła torebkę, zobaczyłam, że miała tam dużo gotówki.

– Ile mniej więcej? – Joe starał się zachować spokój w głosie. Zależało mu, żeby pytanie zabrzmiało naturalnie, żeby Laura pomyślała, że to zwykła rozmowa, a nie jakieś przesłuchanie. Nie chciał przełamać zaklęcia, które posłało ją ponad dwadzieścia lat w przeszłość.

– Myślę, że około stu funtów. – Laura rzuciła jeden z ostrych, szybkich uśmiechów, które zmieniały kształt jej twarzy. – Nie była to fortuna, ale w tamtych czasach sporo pieniędzy, a tego ranka z pewnością ich nie miała.

– Pewnie zapytała pani, skąd je ma.

– Nie chciała mi nic zdradzić. Powiedziała, że przysięgła dochować tajemnicy. – Laura ponownie odwróciła się, by wyrzucić przez okno. Było całe zaparowane. Przetarła je dłonią, żeby coś było widać.

– A następnego dnia?

– Następnego dzień był taki sam jak zwykle. Wstałyśmy i czekałyśmy na autobus do Bebington. Zapytałam ją ponownie o Robbiego Marshalla. „To nie jest miły człowiek”, powiedziała. Coś w tym stylu. „Nie jestem pewna, czy John powinien mu ufać”.

– Miała na myśli Johna Brace’a? – Joe próbował w wyobraźni znaleźć się w tym autobusie do Bebington. Ludzie byliby w drodze do pracy, a dzieci do szkoły. Dwie rozmawiające kobiety. Musiały być sobie bliskie. To, co przeżyły, zbliżyło je do siebie. A jednak Mary-Frances miała swoje tajemnice.

– Tak, Johna Brace’a. Myślałam, że dał sobie z nią spokój, ale z tego wynika, że nadal byli w kontakcie. – Słowa były beznamietne. Kolejna rzecz, którą Mary-Frances ukrywała przed swoją przyjaciółką. Widać było, że wciąż ją to bolało. Być może dlatego rozmawiała z nim teraz tak swobodnie.

– Więc byliście tutaj w ośrodku? – zapytał.

– Wtedy było tu trochę inaczej. Bardziej formalnie. Tego dnia najpierw były warsztaty. Być może nawet w tym pokoju. Przypuszczam, że miało to być coś w rodzaju terapii grupowej. Ludzie spotykali się, by porozmawiać o swoich doświadczeniach z uzależnieniem. Dużo nas było. Mary też tam była, ale nic nie mówiła. Spotkanie prowadził pielęgniarz psychiatryczny, który zauważył różnicę. Zazwyczaj Mary chętnie się udzielała. Tego dnia powiedziała, że wszystko jest w porządku; po prostu miała dużo do przemyślenia. Potem była przerwa na kawę. Nigdzie nie mogłam jej znaleźć. Poszłam poszukać jej w toalecie, ale tam też jej nie było. Zniknęła.

– Pozwolili jej tak po prostu wyjść?

– To nie było więzienie, sierżancie.

– I wtedy widziała ją pani po raz ostatni? – Joe zastanawiał się, co Laura na to, czy postrzegала zniknięcie Mary jako zdradę ich przyjaźni?

– Przypuszczałam, że Robbie Marshall skusił ją do powrotu na ulicę, albo miał dla niej jakiegoś specjalnego klienta.

– Był jej alfonsem? – Joe wiedział, że zespół rozważał to już wcześniej, ale mimo to był wstrząśnięty. Vera zawsze powtarzała, że nie trzeba wiele, by go zszokować. Robbie Marshall pochodził z kochającej rodziny i miał dobrą pracę. Dlaczego miałby się poniżać, stręcząc bezbronne kobiety klientom oferującym najwyższą cenę? Wyobraził sobie Eleanor z jej schludnym domem i wspomnieniami o dobrym i troskliwym synu.

– Nie myślałby o sobie w ten sposób – powiedziała Laura. – Uważał się za człowieka interesów.

Po chwili Laura stwierdziła, że musi już iść. Miała wieczorne zajęcia w Whitley. Ale kiedy Ian, pracownik ośrodka i były uzależniony, wypuścił Joego przez duże frontowe drzwi, Laura została na chwilę z tyłu, a kiedy drzwi się zamykały, Joe spostrzegł, że rozmawiają ze sobą.

Kiedy Joe wrócił na komisariat, zastał Charliego przy biurku. Właśnie dzwonił do swojego kontaktu na Uniwersytecie Durham, próbując wyciągnąć z niej szczegóły dotyczące studentek Bradforda, w nadziei, że udało jej się namierzyć osobę, która mogłaby być Mary-Frances. Gdy Joe usiadł na biurku, przysłuchując się rozmowie, zadzwoniła Vera, zasięg był tak słaby, że musiał ją ciągle prosić o powtórzenie. Wyszedł na korytarz, by hałas panujący we wspólnym biurze jej nie zagłuszał.

– Chyba widziałam Profesora w Whitley. – Potem nastąpiła długa i zniekształcona opowieść o tym, jak zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce Bradforda, wypadku dziecka i ucieczce Bradforda, gdy przyjechał radiowóz.

– Dlaczego nie powiedziała nam pani, że umówiła się z nim na spotkanie? Nie powinna tam pani być sama.

– Cóż, to był taki strzał w ciemno, że nie chciałem marnować niczyjego czasu. Wracam teraz do domu. Łało, kiedy szłam do miasta po samochód i jestem przemoczona do suchej nitki.

Joe pomyślał, że dobrze jej tak.

Kiedy skończył rozmawiać z Verą, Charlie wciąż wisiał na telefonie.

– Dziękuję, Christine. Tak, jeśli mogłaby pani odezwać się do mnie jak najszybciej, byłoby to bardzo pomocne. Skoro rozmawiamy, czy mógłbym zapytać o jeszcze jedną rzecz? Czy były jakieś skargi o molestowanie seksualne przeciwko profesorowi Bradfordowi? Jakies plotki, że mógł zachowywać się niewłaściwie z którąś ze studentek? – Charlie wysłuchał odpowiedzi, której Joe nie mógł usłyszeć, podziękował kobiecie ponownie i odłożył słuchawkę.

– I co?

– Przynajmniej w tej kwestii Profesor jest czysty jak śnieg.

Joe wcale się nie zdziwił. Był przekonany, że mężczyzną, który zwrócił uwagę na uczennicę Rebecce Murray, był Alec, ojciec Gusa Sinclaira.

Charlie bawił się notatnikiem na biurku.

– Technicy dzwoniли tuż przed twoim przyjazdem. Telefon Bradforda został dziś aktywowany i mają jego lokalizację. Ulica w Bebington. Anchor Lane.

Joe zaczął się zastanawiać, co to oznacza.

– To adres Keane'a. Vera powiedziała, że dodzwoniła się na jego komórkę, ale odebrała kobieta. Myślisz, że Bradford jest u Gary'ego Keane'a? Czy nadal stoi tam nasz człowiek?

– Wątpię. technicy już skończyli robotę, więc nie ma sensu. Myślisz, że warto tam zajrzeć?

– Nie, Vera niedawno widziała go w Whitley. Nawet jeśli był wcześniej w Bebington, to już dawno go tam nie ma. Prawdopodobnie wrócił do swojego dużego domu nad morzem. Tam nie mamy nikogo.

Na zewnątrz wciąż było ciemno. Ulewny deszcz ustał, ale chmury wciąż były niskie i ciemne, i zapadał zmrok. Sal przysłała SMS-a z pytaniem, o której będzie w domu. Miała nadzieję wyjść na pilates. Odpisał, że właśnie wychodzi, po czym przypomniał sobie, że Vera poprosiła o aktualne zdjęcie Bradforda i uruchomił komputer. Google znalazł zdjęcie mężczyzny odbierającego nagrodę literacką na jakiejś imprezie w Londynie. Stał przed mikrofonem, w muszce i smokingu. Zdjęcie miało zaledwie dwa lata. Joe ledwo na nie spojrzał, zdecydowany wrócić do domu, zanim Sal znowu wpadnie w szal. Wydrukował pół tuzina kopii i zostawił na biurku Vera. Dopiero wtedy przyjrzał się zdjęciu uważniej. Był pewien, że widział tę osobę niedawno, ale w innym kontekście. W zupełnie innym kontekście.

43.

Vera była w domu. Zrzuciła z siebie przemoczone ubranie, gdy tylko weszła przez drzwi, a teraz siedziała w wannie, po szyję w wodzie, dolewając jej co jakiś czas, gdy stawała się letnia. Najlepiej myślało jej się w wannie. Teraz zastanawiała się nad rozmową telefoniczną, którą odbyła z Joem w drodze do domu. Zjechała land roverem na pobocze, gdy skręciła w wąską drogę prowadzącą do domu, ale sygnał wciąż był słaby.

– Wiemy, że profesor Bradford wrócił do Bebington. – Głos Joego był dziwnie zniekształcony z powodu słabego zasięgu.

– Co on tam robił?

Potem siedziała w milczeniu, podczas gdy wyjaśniał swoją teorię. Na koniec odłożyła słuchawkę, mówiąc tylko, że zobaczy się z nim z samego rana. Ale w myślach pogratulowała sobie wyszkolenia tak dobrego oficera. Kogoś, kto potrafił dostrzegać powiązania i wykraczać poza to, co oczywiste. Joe wciąż był na posterunku z Charliem i Holly, starali się zebrać jak najwięcej informacji, by przygotować się do akcji następnego dnia. Gdyby nie siedziała w wodzie, kusiłoby ją, by do nich dołączyć. Niechętnie godziła się z myślą, że poradzą sobie bez niej.

Leżąc w wannie i wpatrując się w pęknięcia w suficie, nie była wcale pewna, co oznaczają domysły Joego, poza tym, że trzeba jak najszybciej porozmawiać z Profesorem. W końcu uznała, że czas wyjść z wody. Jeśli zostanie dłużej, zrobi się pomarszczona jak suszona śliwka. Co gorsza, mogłaby zasnąć i obudzić się dopiero, gdy zziębnie. Podciągnęła się i wyszła z wody, chwyciła duży szary ręcznik, który kiedyś był biały, owinęła się nim i wsunęła stopy w bawełniane kapcie, które podwędziła z eleganckiego hotelu, w którym była na kursie zarządzania.

W sypialni ubrała się, założyła spodnie do biegania, które kupiła, gdy lekarz zalecił, żeby zaczęła się ruszać, i duży sweter. Przez cały czas jej myśli pędziły jak oszalałe, a umysł szukał skojarzeń. Po gorącej kąpieli poczuła chłód i zaczęła się zastanawiać nad rozpaleniem ognia, ale zanim wzięła rozpałkę i gazety z kosza przy palenisku, przyszło jej do głowy coś nowego. Wzięła zdjęcie Mary-Frances, które przyniosła od Patty i spojrzała na nie ponownie. Przypomniał jej się obraz matki, również w ciąży, na wcześniejszym zdjęciu. Przez chwilę znowu była dzieckiem, biegnącym do sąsiadki po pocieszenie. Ponownie poczuła bezpośredni związek z Patty. Obie zostały porzucone, w taki czy inny sposób, przez swoje matki, obie miały hałaśliwych, przemocowych ojców. Zadzwoiła do Joego, ale została przekierowana na pocztę głosową. Nie potrafiła dobrać odpowiednich słów, więc się rozłączyła. To może poczekać do jutra.

Zapadał już zmrok. Widziała światła wioski w dolinie, słyszała słabe echo ciężkiego rocka, którego puszczał jej sąsiad przy pracy w stodole. Ogarnął ją nagły głód i zaczęła szperać w zamrażarce w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Na samym dnie znalazła gulasz z baraniny, który zrobiła lata temu. Kolejne małe zwycięstwo. Za czasów Hectora w zamrażarce znajdowały się tylko martwe ptaki i ssaki. Podczas gdy posiłek wirował w mikrofalówce, aby się rozmrozić, zebrała naręczę przemoczonych ubrań z za drzwi kuchni i wepchnęła je do pralki. *Ach, kotku, jesteś boginią ogniska domowego.* Udało jej się nawet pozmywać po jedzeniu i rozpalić ogień. Wiatr zmienił kierunek na północno-zachodni i powietrze stało się czystsze.

Musiała zasnąć, bo obudziła się nagle i uświadomiła sobie, że jest już całkiem ciemno, a ogień wygasł prawie zupełnie. Wyjęła z worka kilka kawałków węgla. Nie potrzebowała tu bezdymnego. Wiatr przybrał na sile. Słyszała, jak grzechocze wokół komina, ogień zapłonął natychmiast. Zastanawiała się, czy zrobić herbatę, czy nalać sobie whisky przed snem, gdy usłyszała odgłos nadjeżdżającego samochodu. Prawdopodobnie Joanna wracała do domu z wieczoru autorskiego w jakiejś bibliotece. Promowała swoją nową książkę i ostatnio często wychodziła wieczorami. Ale samochód nie wjechał na podwórze obok. Zatrzymał się przed domem Very.

Nie zaciągnęła zasłon – zwykle nie zawracała sobie tym głowy, chyba że ostro wiało ze wschodu i musiała osłonić się przed przeciągami – więc z fotela widziała, co dzieje się na zewnątrz. To był elegancki samochód, a nie stary gruchot Joanny. Nawet kiedy się zatrzymał, przez chwilę myślała, że to może być Joanna, że zobaczyła zapalone światło u Very i postanowiła wpaść na plotki i drinka. Czasami tak robiła: zjawiała się z butelką czerwonego i raczyła Verę opowieściami o wydawcach i czytelnikach, odgrywając pijaną agentkę, na którą natknęła się na imprezie, dziewczuszkę po szkole państwowej, która uważała, że praca w wydawnictwie to drobna niedogodność pomiędzy studiami a małżeństwem z bogatym bankierem. Joanna zawsze potrafiła ją rozśmieszyć. Zawsze potrafiła obudzić w Verze przekonanie, że jej zespół się mylił i mimo wszystko ma prawdziwych przyjaciół.

Teraz Verze nie było do śmiechu. Nie ruszyła się z fotela z widokiem na zewnątrz, zadowolona, że wchodząc do domu zamknęła drzwi na klucz. Nie zawsze się tym przejmowała, ale czasami sąsiedzi przynosili jej w prezencie coś z ogródka i nie chciała, żeby widzieli ją na golasa kiedy zrzuciła z siebie mokre obranie. Drzwi samochodu otworzyły się; na chwilę zaświeciła się wewnętrzna lampka, która oświetliła wysiadającego mężczyznę. Bo to był mężczyzna. Vera zastanawiała się, czy spodziewała się jego przyjazdu, odkąd spostrzegła, jak jej się przyglądał z góry, przy mokradłach w pobliżu wyspy St. Mary's. Profesor nie był cierpliwy i nie należał do osób, które się łatwo poddają. Zastanawiał się, co ona na niego ma. Zastanawiał się, jak mógłby powstrzymać ją przed przekazaniem tego dalej.

Był ubrany tak, jak go zapamiętała. Tweedowa czapka i przeciwdeszczowa kurtka. Wyglądał bardziej jak leśniczy lub wiejski dzentelmen niż poeta czy naukowiec. Vera

pomyślała, że powinna kiedyś przeczytać jego wiersze, choć dla niej poezja miała sens tylko wtedy, gdy opowiadała jakąś historię. Pomyślała, że jego wiersze są pewnie bardzo mądre. Pisane dla poklasku. Odsunęła fotel, by nie było jej widać przez małe okno. Za nic nie chciała, żeby na nią patrzył. Załomotał do drzwi. Nie ruszyła się z miejsca.

– Daj spokój, Vera, wpuść mnie. Jest kurewsko zimno.

Niemal te same słowa, tylko że tym razem ją rozzłościły i nie czuła się onieśmielona. Do diabła, nie zamierzała kulić się w kącie, czekając, aż sobie pójdzie. Podniosła się na nogi, zadowolona, że zasnęła, zanim nalała sobie whisky. Rzeński umysł będzie jej teraz potrzebny bardziej niż kiedykolwiek. Przekręciła ciężki klucz w zamku i otworzyła drzwi.

Kazała mu chwilę poczekać na zewnątrz, zanim wpuściła go do środka, żeby zaznaczyć, że to jej dom i ona tu rządzi. Nie udało jej się. Wszedł do środka, powoli zdjął czapkę i kurtkę i powiesił je na wieszaku w przedpokoju, a następnie przeszedł do jej salonu, nie czekając, aż wskaże mu drogę.

– Nic się nie zmieniło. – W jego głosie zabrzmiało rozbawienie. – Myślałem, że trochę zadbasz o to miejsce, Vero. Wprowadzisz jakieś kobiece akcenty. A tu wciąż jest raczej surowo. – Dorzucił węgla do ognia i usiadł na fotelu, który stał naprzeciwko jej. Tym samym, w którym siadywała za życia Hectora.

– Po co tu przyjechałeś?

– Spotkać się z córką starego przyjaciela. Nie ma w tym nic złego. Bardzo wierzę w przyjaźń, Vero. W lojalność. Odwrócił się w jej stronę. – Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać. O Hectorze i lojalności.



Na komisariacie Holly obserwowała, jak Joe kieruje pracą i zdała sobie sprawę, że stał się o wiele pewniejszy siebie, od kiedy go poznała. Bardziej ufał własnemu osądowi i nie musiał ciągle biegać do Vera po akceptację. Holly zastanawiała się, ile czasu minie, zanim zacznie szukać awansu, własnego zespołu i czy Vera uzna to za postęp, potwierdzenie jej umiejętności jako mentora, czy też zdradę.

Joe powtórnie omawiał z Holly przesłuchania, które prowadziła w Bebington, słuchając jej relacji z rozmów z sąsiadami Gary'ego Keane'a. Uwaga zespołu przeniosła się z Whitley Bay i skupiła się na dawnej górniczej osadzie, w której mieszkał i zmarł Keane. Joe zaczął od stwierdzenia, jak łatwo jest przeoczyć szczegół, który może okazać się istotny:

– Tak było podczas mojej porannej wizyty u Brace'a w Warkworth. Wiedziałem, że przeoczyłem coś ważnego. Wiesz, jak to jest, gdy widzisz kogoś, kogo znasz, ale nie pamiętasz jego imienia. Potem zobaczyłem zdjęcie Bradforda i nagle wszystko zaskoczyło. – Próbował ją rozluźnić i sprawić, by poczuła się lepiej: żeby nie obwinią się za to, że zawałiła sprawę z przesłuchaniami w terenie. Znowu pomyślała, że byłby dobrym szefem.

Charlie siedział przy innym biurku i wyciągał informacje od kontaktów i nieznajomych. Wciąż próbowali ustalić obecne miejsce pobytu Bradforda. Rejestracja jego samochodu została namierzona, więc system kontroli ruchu i pojazdy policji drogowej ostrzegłyby Charliego, gdyby został gdzieś zauważony. Do jego domu w Seahouses wysłano lokalnego funkcjonariusza policji. Jeśli Bradford się tam pojawi, zostanie aresztowany.

Mimo wszystko Holly przybrała postawę obronną. Wiedziała, że nie jest dobra w rozmowach twarzą w twarz. Próbowała swoich sił z Patty Keane, na przykład, ale wyczuwała skrepowanie swojej rozmówczynie, jej brak zaufania. Rozmawiając teraz z Joe Ashworthem, zdała sobie sprawę, że nie była tak dokładna, jak powinna, gdy rozmawiała z sąsiadami Gary'ego Keane'a. Wykonała swoje obowiązki, ale nie poświęciła wystarczająco dużo czasu, by zrobić to dobrze. Nie zadawała właściwych pytań.

Próbowała wyjaśnić Joemu, co czuje.

– Po prostu nie wychodzi mi to tak, jak powinno. Vera wchodzi i ludzie zaczynają z nią rozmawiać. Zdradzają jej swoje sekrety. Jak ona to robi?

– Okazuje zainteresowanie – odpowiedział. – Niezależnie od tego, czy ma to jakikolwiek związek ze sprawą, czy nie, interesuje ją to, co mają jej do powiedzenia. – Umilkł na chwilę. – Ponieważ jest starą, wścibską babą, w której życiu niewiele się dzieje.

Holly zastanowiła się nad tym. Jak wiele działo się w jej życiu? Może trzeba więcej wychodzić, spotykać się z ludźmi, nawiązywać przyjaźnie poza pracą.

– Poza tym – Joe uśmiechnął się nagle, po czym znów spowaźniał – nie jesteś jedyną osobą, która spieprzyła sprawę na Anchor Lane, prawda? Ja spartaczyłem tam robotę w wielkim stylu.

Było już późno i w pozostałej części budynku panowała cisza. Na zewnątrz słychać było ruch uliczny i bandę młodych ludzi, rozochoconych po wieczorze spędzonym w pubie. Charlie dzwonił do więzienia, ale wyglądało na to, że nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za przekazanie informacji, których potrzebowali, ponieważ w nocy, kiedy więźniowie byli w celach, pracowała zredukowana zmiana.

– Musi być przecież dyżurny naczelnik – powiedział Charlie. Wydawało się, że i on rozkwitł w ciągu ostatniego roku, stał się bardziej asertywny. Holly pomyślała, że pewnie tylko ona jedna w ogóle się nie zmieniła, ani trochę się nie rozwinęła.

– Więc proszę tak zrobić i poprosić go, żeby do mnie oddzwonił, jak tylko pan się z nim skontaktuje. – Charlie odłożył słuchawkę i mruknął coś pod nosem na temat pieprzonych służbistów.

Joe wciąż pytał o Bebington, nakłaniając Holly, by opowiedziała mu wszystko, co pamięta o ludziach, którzy prowadzili firmy na ulicy Keane'a, by odtworzyła rozmowy z nimi.

Zadzwonił telefon Charliego, który natychmiast go odebrał. Być może myślał, że udało im się wyciągnąć naczelnika więzienia z jego łóżka lub gdziekolwiek się znajdował. Ale to był ktoś zupełnie inny. Rozmowa nie trwała długo, a Charlie zadał tylko jedno pytanie.

– Gdzie? – Odłożył słuchawkę i wszyscy spojrzeli na niego.

– Patrol w Morpeth namierzył samochód Bradforda pół godziny temu. Nie wiem czemu przekazanie informacji zajęło tym kretynom tyle czasu.

– Czy pojechali za nim? – Joe znów przejął inicjatywę. Holly nie miała nic przeciwko. Tym razem nie chciała odpowiedzialności.

– Nie, nie chcieli go wystraszyć. Bradford wyjeżdżał z miasta drogą w kierunku Mitford i Cambo. O tej porze ma tam ruchu, więc Bradford zorientowałby się, że jest śledzony.

Na chwilę zapadła cisza.

– Co on tam robił? – zapytał Charlie. – Gdyby wracał do domu w Seahouses, pojechalby drogą w górę wybrzeża lub A1. Ta droga prowadzi w głąb lądu.

– To droga do domu Very. – Joe już trzymał rękę na słuchawce i wystukiwał numer jej telefonu stacjonarnego. Brak odpowiedzi.

– Może jest już w łóżku – powiedział Charlie.

– Ma telefon przy łóżku i nieraz bywała pijana jak norka, ale mimo to go odbierała. – Przerwa. – Poza tym, nie urzęnęła by się tak w środku sprawy. – Joe znowu wybierał numer. – Spróbuję zadzwonić na jej komórkę. – Wyciągnął przed siebie telefon i wszyscy usłyszeli sygnał, a następnie automatyczny komunikat informujący, że inspektor Stanhope nie może teraz odebrać telefonu i prosi o pozostawienie wiadomości.

– Może jest u sąsiadów. Wiesz, jaki tam jest zasięg. – Ale Holly wiedziała, że Vera nie poszła do sąsiadów.

Joe odwrócił się i spojrział na nich.

– Co teraz? Myślę, że potrzebujemy uzbrojonego zespołu reagowania. Wiemy, że Bradford jest zabójcą i będzie zdesperowany.

– Nie! – Nagle Holly poczuła się gotowa wziąć odpowiedzialność za decyzję. Wiedziała, że byłaby to ostatnia rzecz, jakiej Vera by chciała, nawet gdyby Bradford był w jej domu. Nawet jeśli zagrażałby jej życiu. Uznałaby to za przyznanie się do porażki i nie zniosłaby dramatu. – Musimy jej zaufać, prawda? Zna tego mężczyznę, skontaktowała się z nim i umówiła na spotkanie w Whitley Bay dziś po południu. Zapewne uważa, że potrafi z nim rozmawiać. Chce przyznania się do winy. Wyjaśnienia. Po tylu latach nie mamy żadnego dowodu.

– Nie widziała go od wczesnej młodości, a dziś po południu umówiła się z nim w miejscu publicznym, a nie w domu na odludziu. – Joe był z natury ostrożny. – Nie jestem gotów podjąć takiego ryzyka.

– Vera by je podjęła – powiedział Charlie. To nie był jego zwykły pomruk. Słowa zabrzmiały głośno i wyraźnie. – Myślę, że Holly ma rację. Nie panikujmy i nie róbmy zamieszania. Pojedziemy sami.

Pojechali samochodem Charliego. Powiedział, że sam poprowadzi, bo jeździ tędy od lat i zna wszystkie skróty. Holly siedziała obok niego, a Joe z tyłu. Sam tak zdecydował. Nikt się nie odzywał, gdy samochód pędził wąskimi wiejskimi drogami. Wkrótce zostawili za sobą równiny, a w miarę wspinania się na wzgórza w miejsce żywopłotów i zarośniętych poboczy pojawiły się murki z kamienia. Pogoda znów się zmieniła; nie było już parno i wilgotno, ale wietrznie z ostrymi porywami deszczu. Holly zaczęła dygotać, więc Charlie sięgnął w dół, by włączyć ogrzewanie. Minęli wioskę, kilka latarni ulicznych i rząd ciemnych domków. Następnie skierowali się znajomą drogą w stronę rodzinnego domu Very.

Charlie zjechał na podjazd farmy, gdy zostało im jeszcze kilkaset metrów do celu.

– Nie chcemy go ostrzec, prawda? – Zgasił reflektory i wyłączył silnik. Wszystko ucichło.

– Więc jaki jest plan? – Holly odwróciła się do Joego.

– Ona nie zaciąga zasłon. Sprawdźmy, co tam się dzieje. Potem zdecydujemy.

Holly zastanawiała się, co Vera powie na to, że cała trójka ruszyła jej na ratunek, choć prawdopodobnie wcale go nie potrzebowała. Czy powita ich jednym z tych nieopanowanych ataków śmiechu, które doprowadzały ją do łez, czy też wpadnie w zimną, białą furję? Ale lepsze to niż migające niebieskie światła i uzbrojony zespół reagowania. Zaczęli iść w kierunku domu, wyczuwając drogę w ciemnościach, od czasu do czasu zbaczając z trasy na trawę po obu stronach. Na zakręcie drogi było więcej światła, ponieważ Joe rzeczywiście miał rację i okna nie były zasłonięte. Elegancki samochód

Bradforda stał zaparkowany przed domem. Wszyscy znali już jego numer rejestracyjny. Wtedy poczuli dym i zobaczyli, że blask bijący z okien nie jest stałym, elektrycznym światłem, że to dom płonie. Płomienie lizały drzwi wejściowe, przebijając się przez szczelinę między nimi a nadprożem, jakby próbowały wydostać się na zewnątrz.

45.

Vera siedziała w fotelu Hectora, najbliżej ognia. Bradford usadowił się w wysokim uszaku, który wyglądał na dość wygodny, ale uwierał w plecy, jeśli siedziało się w nim zbyt długo. Za czasów jej ojca ten fotel zawsze należał do niej. Typowe dla Hectora.

– Nie zaproponujesz mi drinka, Vero? Przez wzgląd na dawne czasy.

– Nie, kotku. Piję tylko z przyjaciółmi. Nie z przestępcami.

– Hector też był przestępcą. W czysto prawnym sensie. Jestem pewien, że wypiąs z nim kilka drinków. – Ale Bradford był teraz mniej pewny siebie. Vera wyczuła, że próbuje wyczuć właściwy ton rozmowy. Kiedy planował to spotkanie, nie wiedział o niej nic poza opinią Hectora, który lekceważąco wyrażał się o swojej córce. Widać było, że nie spodziewał się, że będzie tak silna, tak trudna do zastraszenia. Poczula przypływ pewności siebie.

– Ale nie był zabójcą.

– Jesteś tego pewna?

Więc tak zamierzasz to rozegrać. Chcesz zrzucić winę na Hectora. Ale to jest, cholernie mało prawdopodobne.

– Absolutnie – odpowiedziała. – Już wszystko wiemy, kotku. Wiemy dokładnie, co się wydarzyło. I wtedy, wiele lat temu, i w zeszłym tygodniu, kiedy zginął Gary Keane. Znamy całą historię.

Próbował odchylić się do tyłu na fotelu, ale oparcie mu na to nie pozwoliło. Vera nie była pewna, dlaczego zatrzymała ten mebel. Być może właśnie dla tej chwili.

– Bardzo w to wątpię, wiesz? – Jego głos był gęsty jak olej. Za bogaty jak na jej żołądek. – Ale może mi opowiesz całą tę historię? Tak, jak według ciebie wygląda?

– Zacznijmy od bandy czterech, dobrze? Hector, Robbie Marshall, John Brace i ty. Dziwni przyjaciele. Każdy był w jakimś sensie odmieńcem. Trzymały was razem wspólne zainteresowania i staromodna wizja angielskiej wsi – świata, który, według waszych wyobrażeń, należał tylko do ludzi takich jak wy. Hector uważał się za przywódcę, ale ty zawsze byłeś młodym następcą, siłą stojącą za tronem.

Vera zobaczyła uśmiech na twarzy Bradforda i pomyślała, że spodobały się mu te ostatnie słowa. To było żalodne, ale musiała dać mu poczucie, że jest ważny. Tyle nagród i wyróżnień za poezję, a on wciąż potrzebował opinii starszej kobiety, by podbudować swoją samoocenę.

– To była wielka przyjaźń, wiesz? – powiedział. – Byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

– Ale każdy z was żył swoim własnym życiem – mówiła dalej Vera. Tak jakby się w ogóle nie odezwał. – Hector był coraz bardziej uparty i trudny, za dużo pił, prawdopodobnie stał

się kłopotliwy. Pewnie odczuliście ulgę, kiedy umarł. Ty kontynuowałaś karierę akademicką, zostałeś sławnym poetą, ożeniłeś się. Urodziło ci się dziecko. – Spojrzała na niego, ale nie zareagował, więc kontynuowała: – Potem się rozwiodłeś. John Brace ożenił się i wykorzystywał swoją profesję do własnych celów. Robbie Marshall był z was najdziwniejszy. Nie interesowała go sława, jak ciebie, ani pieniądze, jak Johna Brace'a. Interesowało go robienie interesów. Załatwianie spraw. Zadawalanie was wszystkich.

– Robbie zawsze był trochę... – przerwał, by wybrać właściwe słowo – ... dziki.

– Ech, kotku, teraz możesz traktować go z wyższością, ale wtedy nie przeszkadzało ci, że odwał za ciebie brudną robotę. – Podniosła wzrok. – Utrzymywałaś z nim nawet kontakty towarzyskie. Gang Czterech na widoku. Od czasu do czasu kolacja w „Mewie”, by uczcić twoje sukcesy.

Przerwał ponownie.

– Aby uczcić naszą przyjaźń.

Puściła to mimo uszu.

– Potem John Brace się zakochał. Hector już wtedy odpuścił. Tak naprawdę nie należał już do zespołu, ale Brace potrzebował waszej pomocy, prawda? Twojej i Robbiego. Aby uratować kobietę swoich marzeń.

Zapadła cisza. Być może Bradford zrozumiał już, że rzeczywiście wiedziała, co się wtedy wydarzyło. Przynajmniej w większości. Wrzuciła jabłoniowe polano do ognia i patrzyła, jak płonie, a potem pomyślała, że w dymie czuć zapach owoców.

– Śliczna Mary-Frances. – Bradford odezwał się niemal szeptem.

– Więc ty też byłeś nią zauroczony – powiedziała Vera. – Zastanawiałam się nad tym.

– Wszyscy byliśmy trochę zakochani w Mary-Frances. Nawet Robbie Marshall, a nigdy wcześniej nie widziałem, by miał jakiegokolwiek seksualne zapędy. – Mężczyzna wpatrywał się w płomień.

Vera kontynuowała swoją opowieść.

– Brace pociągnął za kilka sznurków i zatrudnił ją w „Mewie”, ale to nie było dla niej dobre miejsce. Była uzależniona i potrzebowała więcej wsparcia, niż Sinclair był skłonny jej zapewnić. Zwłaszcza po tym, jak utraciła córkę. W klubie działy się rzeczy, których nawet Gus Sinclair nie był w stanie kontrolować. Podjęła więc leczenie odwykowe w Shaftoe House.

– Ale Johnowi nie podobało się, że tam jest. – Bradford przejął opowieść. Wiedział, z jakimi ludźmi będzie się zadawać. Nie wyobrażał sobie, że da radę wytrzymać bez ćpania.

– Poza tym kogoś zdenerwowała, prawda? Niedługo potem trafiła na ostry dyżur, mocno pobita, z połamanymi kośćmi. Czy któremuś z jej dawnych klientów nie spodobało się, że powiedziała „nie”? Komuś potężnemu, przed kim musiała uciekać? John dałby radę ochronić ją przed policją, ale sam niedawno przyznał, że są ludzie, których nawet on się boi.

Bradford zapatrzył się w ogień i nic nie powiedział.

– Więc wpadłeś na genialny pomysł – powiedziała Vera. – Wysłaliście ją na wieś. Na tę magiczną wieś, w którą wszyscy wierzyliście, do miejsca, które według was wyleczy ją ze wszystkich chorób.

Spojrzał wprost na nią.

– Nie szydź z tego, Vero. Mieszkasz tu, gdzie mieszkasz, prawda? Jak długo wytrzymałabyś w mieście?

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc kontynuowała:

– Zadzwoiłeś do swojego starego przyjaciela Hectora z prośbą o pomoc. Z pytaniem, czy zna kogoś, kto przygarnąłby młodą dziewczynę, która potrzebowała ukryć się na jakiś czas? Ukryć się przed alfonsem i przed samą sobą. Kto mógłby pomóc jej wytrzymać bez dragów. Mimo tego, że nie potrafił zadbać nawet o własną córkę, a co dopiero o dziecko jakiegoś innego gnojka.

Bradford zaśmiał się lekko.

– Nie spodziewałem się, że się zgodzi.

– I nie zgodził się, ale znalazł małżeństwo, które się tego podjęło. Przemiłą parę, która nie miała własnych dzieci. Mieszkali tuż obok niego. Norma i Davy Kerr przygarnęli ją i rozgłosili w okolicy, że jest ich siostrzenicą. Hector otrzymywał comiesięczne pieniądze na jej utrzymanie i za to, że miał ją na oku. Pieniądze przechodziły oczywiście przez Robbiego Marshalla. Chłopaka do wszystkiego, który potrafił wszystko załatwić. Wprawdzie Hector należał do Gangu Czterech, ale John Brace wiedział, że nie można na nim polegać i wolał, żeby gotówka nie trafiała bezpośrednio do niego. – Vera była ciekawa, czy Hector przekazał cokolwiek z tych pieniędzy Normie i Davy’emu. Miała nadzieję, że tak, ale podejrzewała, że wszystko poszło na jaja rzadkich ptaków i tanią whisky.

– Mary-Frances zrobiła kurs przygotowawczy, kiedy tam mieszkała – powiedział Bradford. – Zdała maturę i dostała się na uniwersytet. Nadal jednak wracała na farmę w weekendy i podczas wakacji.

A Hector nadal otrzymywał swoje pięćset funtów miesięcznie, aż do czasu zniknięcia Robbiego Marshalla, dodała w myślach Vera.

– Studiowała u ciebie? W Durham?

Przytaknął. Z dumą.

– Dostała się za pierwszym razem. Chciałem, żeby zrobiła magisterkę, ale miała inne plany. Wrażliwość społeczna.

Tak, powiedziała Alison Mackie, że chce zostać opiekunką społeczną, przypomniała sobie Vera.

– Ale nie studiowała pod własnym nazwiskiem. Jak się nazywała, kiedy tam była?

– Hope – powiedział Bradford. – Hope Lethbridge.

– Oczywiście. – Vera zaczęła się dobrze bawić. – Założę się, że sam je wymyśliłeś. Jako poeta i w ogóle. Bardzo znaczące. Hope, czyli nadzieja. I oczywiście niedawno też słyszałam to nazwisko. W zupełnie innej sytuacji. – Kusiło ją, by mu to wyjaśnić od razu, pokazać, jak

sprytny był jej zespół, ale nie chciała wyprzedzać samej siebie. Tę historię trzeba było opowiedzieć w odpowiedniej kolejności.

– Poznałam Mary-Frances, wiesz? Albo Hope, jak się wtedy nazywała. Na pogrzebie Hectora. Była tam z Normą i Davym.

– Wszyscy tam byliśmy – powiedział Bradford – żeby go godnie pożegnać.

Zapadła chwila ciszy, którą przerywał tylko wiatr grzechoczący luźnymi dachówkami. Vera kontynuowała swoją opowieść.

– W międzyczasie Robbie Marshall zorientował się, że nie zaczepi się w stoczni na dłuższą metę. Jego kontrakt z syndykami masy upadłościowej dobiegał końca. Być może Gus Sinclair planował już powrót do Glasgow. Robbie zdecydował, że też powinien zacząć działać w tym kierunku. Ale pomyślał, że pójdzie prosto do kataryniarza, zamiast użerać się z małpką. – Pozwoliła sobie na lekki uśmiech, choć wiedziała, że Bradford nie zrozumie jego sensu.

– Robbie zawsze miał ambicje przekraczające jego inteligencję – powiedział Bradford. Prawie jakby on i Vera byli teraz po tej samej stronie. Napięcie między nimi zelżało. – Tak, zaczął zabiegać o względy ojca Gusa, Aleca.

– Który spędzał coraz więcej czasu w „Mewie” – dopowiedziała Vera. – Piorąc wszystkie swoje brudne pieniądze za pośrednictwem klubu, bo zorientował się, że Elaine jest kompetentną osobą, i lepszym partnerem biznesowym niż jego syn. Aż do momentu, gdy zginęła ta uczennica. Podejrzewam, że to był powód pożaru w „Mewie”. Nie miał nic wspólnego z oszustwami ubezpieczeniowymi. Kogo obchodzą straty finansowe klubu, jeśli pierze w nim wszystkie swoje brudne pieniądze? Chodziło o to, by Alec mógł zatrzeć ślady i wrócić na północ.

Bradford spojrzał na Verę.

– Wiesz, że staruszek nie żyje?

Przytaknęła i zdecydowała, że trzeba się streszczać, żeby nie zmarnować na tym całej nocy.

– Alec Sinclair gustował w bardzo młodych kobietach, więc Robbie pomógł mu zaspokoić tę fantazję, umawiając go z uczennicą, niejaką Rebeccą Murray. – Vera spojrzała na Bradforda. – Czy wiesz, co dokładnie wydarzyło się tamtej nocy? Jak zginęła?

– Nie! – Oburzyło go to pytanie. – Naprawdę Vero, nie maczałbym palców w czymś takim.

– Całkiem możliwe, kotku. W końcu miałeś już wtedy własną córkę, prawda?

Nie było odpowiedzi. Na zewnątrz wiało coraz mocniej. Verę kusiło, by wstać i zaciągnąć zasłony, by odgrodzić się od pogody, ale szkoda jej było czasu. Miała jeszcze wiele do opowiedzenia.

– Nie jestem do końca pewna, co stało się później. – Jej głos brzmiał teraz szorstko. Nie miała ochoty na gierki. Dwie z zamieszanych w to osób nie chcą mówić, a dwie pozostałe nie żyją. – Spojrzała na Bradforda. – Byłeś tam tamtej nocy? Dwudziestego trzeciego

czerwca, kiedy zginęła ta biedna dziewczyna? Czy wezwali cię, gdy Alec Sinclair ją zabił? Czy pytali cię o radę?

- Nie - odpowiedział. Zaciśnął usta, by pokazać, że nie ma nic więcej do powiedzenia.

- Przenieśmy się o kilka dni później. Był dwudziesty piąty czerwca. Wszyscy pozostali wędrowali po wzgórzach z Hectorem. Robbie zachowywał się nerwowo i niepewnie. Nic dziwnego, ponieważ miał zwłoki do usunięcia. Ciało Rebekki Murray, zabitej przez Sinclaira seniora. Dobrze wiedział, że nie może w to mieszać Johna Brace'a. Nawet nasz John wzdragałby się przed zatuszowaniem morderstwa młodej uczennicy z szanowanej rodziny. Hector już i tak był zawodny. Robbie musiał więc zająć się tym sam. Brace powiedział mi, że tej nocy spotkał się z informatorem na St Mary's, ale myślę, że umówił się tam z Mary-Frances. Wyobrażam sobie, że zaplanowali romantyczny spacer w świetle księżycy, a następnie noc w eleganckim hotelu Tynemouth. Przecież nie była więźniem tutaj, na wzgórzach.

Vera myślnami była tam, na cyplu, z Mary-Frances, która spoglądała na zatokę i czekała na swojego kochanka.

- Brace starał się trzymać jak najbliżej prawdy, kiedy opowiadał mi o tamtej nocy. Przypadkowo natknął się na samochód Robbiego Marshalla. Tylko, że jeszcze wtedy Marshall nie był martwy. Był jak najbardziej żywy i właśnie pozbywał się ciała Rebekki Murray. - Przerwała. - Kto zabił Robbiego, Profesorze? - Jej głos był bardzo miękki, wręcz przekonujący. - Czy to był Brace? Bo uznał, że Marshall staje się zbyt niebezpieczny i trudny do opanowania? Że musi go powstrzymać, zanim wplącze go w skandal, który coraz bardziej zaczyna go otaczać? A może Mary-Frances? Bo zobaczyła, co zrobiono tej biednej dziewczynie i pękła? Złapała jeden z głazów leżących na brzegu i roztrzaskała nim głowę Marshalla, gdy ten schylał się, by wrzucić ciało do przepustu. Pewnie uświadomiła sobie wtedy, że tym trupem mogła być ona sama. Ponieważ mężczyzną, który ją pobił, też był Alec Sinclair. Dlatego musiała tak błyskawicznie zniknąć z widoku.

- Nie było mnie tam, Vero. Nic ci nie powiem. - Ponownie poprawił się na niewygodnym fotelu. - Za to powiem ci coś innego: jeśli spróbujesz oskarżyć Mary-Frances, John weźmie winę na siebie. Będzie wolał spędzić resztę życia w więzieniu, niż pozwolić, by ona stanęła przed sądem.

Vera pomyślała, że dobrze oceniła Johna Brace'a: rzeczywiście był romantyczny aż do przesady. I właśnie wtedy zgasło światło.

46.

Bradford był bardziej zaskoczony nagłą ciemnością niż Vera. Wiedziała, że prąd wysiadał przy każdej silniejszej wichurze. Do obu domów prowadził uszkodzony przewód, który zakład energetyczny ciągle obiecywał naprawić, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrał. Znalazła drogę do drzwi wejściowych i zobaczyła, że u Jacka i Joanny również nie ma światła. Pewnie naprawią to rano, a do tego czasu mieli tylko świece i lampę naftową. W świecznikach na kominku wciąż tkwiły świece po ostatniej awarii, a po rozpaleniu kominka zostało jeszcze parę zapalek w pudełku. Sapnął, przestraszony, a potem jakby zamarł. Naftówka stała na szerokim parapecie i wkrótce Vera uruchomiła ją także, zapalając knot, a następnie naciskając mosiężną rączkę raz za razem, aż rozjarzył się białym światłem.

Bradford pochylił się do przodu, gdy tylko zajęła swoje miejsce. Jego twarz była oświetlona z jednej strony przez żar ognia, a z drugiej przez ostry biały blask lampy. Przygotowywał swoje przemówienie, podczas gdy ona starała się rozjaśnić sytuację.

– Nie uważasz, że wszystko dobrze się w końcu ułożyło, Vero? Nic nie wskrzesi tej małej uczennicy, a człowiek, który ją zabił, też już nie żyje. John Brace jest chory i czeka na zwolnienie warunkowe. Pozwól mu spędzić ostatnie lata w spokoju, ze swoją miłością. – Na słowo „miłość” położył lekki, szyderczy nacisk.

Vera przez moment poczuła się zbita z tropu.

– Czy ty kiedykolwiek kogoś kochałeś?

Zaśmiał się lekko, gardłowo, zaskoczony tym pytaniem, ale mimo to odpowiedział.

– Na pewno nie moją żonę. To była katastrofa od samego początku. Kochałem Hectora, mojego mentora i dobrego przyjaciela. – Powiedział to z powagą w głosie. – On wiedziałby, co zrobić w tej sytuacji. Zostawiłby to wszystko w spokoju.

Chciała mu powiedzieć, żeby przestał robić z niej idiotkę, że nie obchodzi jej, co zrobiłby Hector. Ale miała inne, ważniejsze rzeczy na głowie.

– A co z twoją córką? Troszczysz się o nią? Przecież kupiłeś jej księgarnię w Bebington.

– Ach, domyśliłem się, że wiesz o Felicity. – Kolejny cichy śmieszek. – Może jednak Hector nie doceniał twojej inteligencji.

W ciszy, która zapadła na chwilę słychać było tylko syk lampy i wiatr wciąż hulający na zewnątrz.

– Wiesz, że nie mogę zostawić tego w spokoju – powiedziała. Myliliście się z Hectorem przez te wszystkie lata, myśląc, że mądrze jest łamać zasady. Kraść jaja. Handlować drapieżnymi ptakami.

– To były bardzo głupie zasady. – W jego głosie słychać było rozbawienie. Równie dobrze mógłby rozmawiać z jednym ze swoich mniej bystrych studentów.

– Tylko, że nie o to chodzi, prawda? Możesz tak uważać. Może nawet masz rację. Ale prawo ma sens. Wszyscy ci mali ludzie, którymi tak gardzisz, muszą go przestrzegać, ty też. I ja też. – Spojrzała na niego. – Poza tym jest jeszcze sprawa Gary’ego Keane’a. Tego nie da się zatuszować.

Nie było żadnej odpowiedzi. Siedział z łokciami na kolanach, wpatrując się w pleciony dywanik na kamiennej podłodze.

– Będę więc opowiadać dalej, dobrze? – powiedziała po chwili. – Doprowadźmy to do końca. W pewnym sensie, razem z Sinclairem zrobiliście z Gary’ego Keane’a potwora, sprawiliście, że ten zły chłopak, który miał smykałkę do elektroniki i komputerów, zmienił się w osobę z pretensjami. Miał nawet czelność spotykać się z twoją córką, prawda? Z uroczą Felicity. Wiedziałaś, że zajmował lokal na rogu Anchor Lane, kiedy zakładałeś księgarnię?

– Utrzymywaliśmy kontakt – przyznał Bradford. – Jeszcze z czasów „Mewy”. Bywało, że się przydawał. Wiedział, że szukam lokalu. Felicity marzyła o księgarni. Snuła romantyczne marzenia o dotarciu z literaturą piękną do mas. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że ta dwójka tak się zaprzyjaźni.

– Ale to nie dlatego go zabiłeś, prawda Profesorze?

Nazwała go tak, jak niegdyś Hector, ponieważ w tym domu jego przydomek wydawał się bardziej na miejscu.

– Zabiłeś go, żeby zrobić przysługę swojemu kumplowi, Johnowi Brace’owi. I dlatego, że Gary zaczął was trochę szantażować. Może myślał, że Felicity potraktuje go poważniej, jeśli będzie miał trochę kasy. Być może zależało mu na niej tak bardzo, że nie zauważył, iż gra w niebezpieczną grę, próbując wyłudzić pieniądze od najlepszego przyjaciela jej ojca.

Bradford podniósł powoli wzrok.

– Zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie zdołasz tego udowodnić?

– Ach, znowu ta arogancja. Wydaje ci się, że jesteś sprytniejszy od nas wszystkich. To właśnie cię zdradziło. Drobiazgi. Jak zostawienie nagrania swojego głosu na automatycznej sekretarce, kręcenie się po okolicy, żeby wiarygodny świadek mógł cię zidentyfikować w miejscu zbrodni.

Ucieszyła się, że nie odpowiedział na tę zaczepkę.

– Pozwól, że sprawdzę, czy dobrze zrozumiałam. – Uśmiechnęła się do niego promiennie. – Zobaczmy, czy jestem prawie tak sprytna jak ty. Gary wiedział, że ciało kobiety przy St Mary’s to nie Mary-Frances Lascuola – przecież pomagał stworzyć dla niej nową tożsamość – i myślał, że może to udowodnić. Patty miała medalion z włosami swojej matki. W dzisiejszych czasach wszyscy wiedzą o DNA. Magiczne rozwiązanie zagadki kryminalnej. Srebrna kulka, jak na wampira. Gary włamał się do domu, gdy Patty wyszła i zabrał medalion, a następnie zagroził Johnowi Brace’owi, że nam go dostarczy, jeśli staruszek nie zapłaci. Wówczas wiedzielibyśmy, że Mary-Frances prawdopodobnie wciąż

żyje i zaczęlibyśmy jej szukać. Szczerze mówiąc, nie potrzebowaliśmy DNA, by stwierdzić, że zamordowana kobieta była kimś zupełnie innym. Ale kiedy Gary zaczął wywierać coraz większą presję, John skontaktował się z tobą i poprosił o pomoc. Po tylu latach wciąż był zakochany; jak sam powiedziałeś, zrobiłby wszystko, by ochronić Mary-Frances. Zwrócił się więc do swojego przyjaciela. Zgodziłeś się, jak przystało na dżentelmena. Sprawa honoru. – Vera miała nadzieję, że wyczuł szyderstwo w jej głosie. Ogień już prawie wygasł, ale nie dorzucała więcej drewna ani węgla. Jej opowieść zbliżała się do końca. Była zmęczona i zadowolona, że to wszystko wkrótce się skończy.

Odwróciła się z powrotem do Bradforda.

– Gary nie miał pojęcia co zamierzasz, kiedy poprosiłeś go o spotkanie, prawda? Myślał, że chcesz dobić targu, pochlebiało mu nawet, że odwiedzasz go w domu i traktujesz jak równego sobie. Ojciec jego nowej, inteligentnej dziewczyny. Kupił butelkę dobrego wina i zadbał o porządek. A ty dźgnąłeś go jego własnym nożem kuchennym i zostawiłeś tam, żeby się wykrwawił. Zakładam, że to byłeś ty? Nie Mary-Frances. Przypuszczam, że zostawiłeś ją na zewnątrz, na czatach. – Przerwa. – Muszę przyznać, że to była dobra przykrywka. Dwie osoby w średnim wieku pracujące w społecznym ogrodzie działkowym. Kto by ich podejrzewał o morderstwo? Czy bawiło cię odgrywanie roli męża Mary-Frances? Dało ci to trochę dreszczyku emocji? To musiał być szok, kiedy pojawił się mój sierżant, i zaczął zadawać pytania. Pewnie myśleliście, że ciało Gary’ego zostanie znalezione dopiero następnego dnia rano. Zawsze byliście anonimowi. I ty, i ona. Tajemniczy, nieuchwytni. Dopóki mój sierżant nie wydrukował twojego zdjęcia z rozdania nagród i nie uświadomił sobie, że widział cię na Anchor Lane tego wieczoru, kiedy zginął Gary Keane. A to wywołało wspomnienie innego zdjęcia: kiepskiej fotografii szefowej działki edukacji, które wisiało w poczekalni więzienia w Warkworth. Hope Lethbridge, alias Mary-Frances Lascuola. Próbowwała zmienić życie wielu ludzi na lepsze. Będąc jak najbliżej mężczyzny, którego kochała.

– Nigdy nie zdołasz przekonać sądu, wiesz przecież, Vero. Jesteśmy szanowanymi ludźmi, a w ławie przysięgłych zawsze zasiadają elokwentni przedstawiciele klasy średniej. Nie ma żadnych dowodów kryminalistycznych.

– Przekonywanie sądu to nie moje zadanie, kotku. To należy do prawników. Moim zadaniem jest doprowadzenie cię tam i myślę, że mam wystarczająco dużo dowodów, by to zrobić. – Zaschło jej w gardle, bo tyle się nagadała i poczuła, że oczy zaczynają jej się zamykać. Zastanawiała się, czy oboje nie mogliby się trochę przespać, zanim zabierze go na posterunek, by postawić mu zarzuty. Uważała, że miał rację i ława przysięgłych prawdopodobnie uniewinni ich oboje, ale z jakiegoś powodu miało to teraz mniejsze znaczenie niż poznanie prawdy.

Być może przysnęła na chwilę, ponieważ nie zarejestrowała, że wstał – do momentu, gdy w jej stronę nie poleciała lampa naftowa. Musiała uchylić się instynktownie, bo ominęła jej głowę o włos, i roztrzaskała się na podłodze u jej stóp.

Dywanik musiał zapalić się od razu, bo ogień przeskoczył po nim w stronę okna. Zasłony dotykały podłogi; wymagały obszycia odkąd była dzieckiem i w ciągu kilku sekund stanęły w płomieniach. Wtedy spostrzegła, że dół nogawek Bradforda stanął w płomieniach. Pobiegła do kuchni, napełniła wodą miskę do mycia naczyń i przyniosła ją z powrotem do salonu, aby oblać mężczyznę. Nie zrobił żadnego ruchu, aby stłumić pożar lub osunąć się od buchającego ognia. Stał w miejscu, jak skamieniały, z rękami odsuniętymi nieco od ciała, gdy trawiły go płomienie. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Tylko jego wykrzywiona twarz zdradzała ból, jaki go trawił, a Vera wiedziała, że ten obraz pozostanie z nią na zawsze. Chlusnęła na niego wodą, ale wiedziała, że to nic nie da. Nie była w stanie podejść wystarczająco blisko i strumień ledwo go musnął. To było samopoświęcenie, jego ostatni wielki gest przyjaźni.

Ktoś załomotał do drzwi, a ona pobiegła w ich stronę.

47.

Nie rozumiem tylko, dlaczego Brace w ogóle powiedział ci o Robbiem Marshallu – odezwała się Holly. – Po co ryzykował? Nawet jeśli martwił się o Patty, byli przecież inni ludzie, których mógł poprosić o zaopiekowanie się nią.

Byli w Whitley Bay, spacerowali wzdłuż wybrzeża. Vera obiecała zespołowi wspólne wyjście, postawiła im rybę z frytkami, a teraz jedli lody i patrzyli w dół na morze. Czuła niezwykle spokoj. Śledztwo nie było już w jej rękach. Jeden nadgarstek wciąż miała zabandażowany, ponieważ poparzyła się, uciekając z domu, ale nie przeszkadzało jej to w trzymaniu rożka, zimnego, chrupiącego i z lodami w środku. Wgryzła się w płatek czekolady.

– Bo wiedział, że ciała i tak zostaną znalezione, i chciał kontrolować przebieg wydarzeń. Zawsze miał bzika na punkcie kontroli. Nie mógł znieść tego, że siedzi w pudle, bezradny, czekając na rozwój sytuacji. Kiedy pojawiłam się tam, żeby wygłosić tę prelekcję, pomyślał pewnie, że to znak. Wierzył, że da radę przekonać nas, że drugim ciałem była Mary-Frances. Myślał, że po tylu latach kości będą tak zniekształcone, że nie damy rady ich zidentyfikować. Ale w czasie, kiedy siedział, nauka poszła bardzo daleko naprzód. Jego opowieść o tym, że widział tylko jedno ciało w tym przepuście, była zmyślona; wiedział, że znajdziemy drugie. Miał nadzieję, że dzięki temu Mary-Frances pozostanie martwa na zawsze.

– Nie jestem pewien, czy nowa restauracja w ogóle powstanie. – Charlie szybko zjadł swoje lody, wgryzając się w nie, zanim zdążyły się roztopić i spłynąć mu po brodzie. – Rada może i chętnie przymilała się do Sinclaira, ale nie wszyscy zdawali sobie sprawę z jego przeszłości. Mój kumpel z BBC uważa, że ma wystarczająco dużo dowodów na temat powiązań Sinclaira z gangami z Glasgow, by ich trochę zniechęcić. Jeśli inwestycja w ogóle dojdzie do skutku, to na pewno nie w najbliższym czasie.

– Co się stanie z Mary-Frances? – zapytał Joe.

Vera wzruszyła ramionami.

– Nie puszcza farby. Nie sądzę, żeby chodziło jej głównie o siebie. Dobrze zna więzienia. Pracowała w jednym z nich, odkąd skończyła studia w Durham. Ale chce być blisko Brace'a. Chce wspierać go w chorobie. Prokuratura uważa, że nie ma wystarczających dowodów, by postawić jej zarzuty. Jestem pewna, że to ona zabiła Marshalla. Judith może i jest bez reszty zaangażowana w plany Sinclaira, ale co do Brace'a miała rację. Nie zamordowałby przyjaciela. Bez przyznania się do winy nie da się tego udowodnić. I chociaż była zamieszana w śmierć Keane'a, nie sądzę, żeby to ona go dźgnęła. To był profesor Bradford, a on też już nie żyje. – Urwała. – Czy wiecie, że prowadziła zajęcia z podstaw

czytania i pisanie w Shaftoe House? Tylko zawsze pilnowała, by nie pojawiać się tam w tym samym czasie, co Laura Webb.

– To dobra kobieta – powiedział Joe.

Vera zastanowiła się nad tym. Czy morderczynie może być dobrą kobietą? Może i tak. Ale jak powiedziała Bradfordowi, nie do niej należała ocena. Jej zadaniem było tylko egzekwowanie prawa. Ruszyli w stronę samochodów.

– Co pani zrobi ze swoim domem?

Holly wyraźnie miała dzień zadawania trudnych pytań. To ona motywowała Verę do działania, a nie odwrotnie. Na razie Vera koczowała u Jacka i Joanny, mieszkając w ich gościnnym pokoju, rozpieszczana poranną herbatą do łóżka i porządną kolacją co wieczór.

– Za pieniądze z ubezpieczenia może go pani zburzyć i zbudować coś wygodniejszego. – Znowu Holly, uparta jak zawsze. Nie chciała zjeść lodów. Szła obok nich, ich powolne tempo ją niecierpliwiło, ręce trzymała w kieszeniach kurtki. – Albo przenieść się w bardziej cywilizowane miejsce.

Vera potrząsnęła głową. Usta miała pełne czekolady i wanilii. Bradford miał rację. Nigdy nie opuściłaby wzgórz.

– Do tej pory nie zebrałam się, żeby wykupić ubezpieczenie – powiedziała. – Jack obiecał, że go wyremontuje.

W myśli dodała, że w domu Hectora zawsze było jej najwygodniej.

48.

John Brace czekał w kaplicy więzienia Warkworth. Machinalnie poruszał swoim wózkiem w przód i w tył, wykonując tylko pół obrotu kołem. Potem zmusił się, żeby przestać. Funkcjonariusz przywiózł go tu, bo powiedział mu, że potrzebuje trochę czasu dla siebie. Jego najlepszy przyjaciel nie żyje, zginął w pożarze domu. Nie mógł znieść przebywania na oddziale z innymi mężczyznami. Nie teraz. Strażnik miał dziecko z problemami behawioralnymi i Brace opłacił mu wizytę u prywatnego psychologa, który zdziałał cuda. Strażnik przywoził go tu prawie co noc. Brace zawsze podawał inny powód i nikt nie zadawał żadnych pytań.

Najpierw usłyszał klucze, wyobraził sobie, jak są wyjmowane z saszetki przy pasku, a potem otwierają drzwi kaplicy. Pomyślał, że to pewnie kapelan i przygotował się na współczucie i nieswieży oddech. Zawsze najlepiej nie oczekiwać zbyt wiele. Ale to była ona. Wciąż drobna i wyprostowana, a on wciąż widział w niej piękno, które tak pociągało go na początku. Miała na sobie czarne spodnie i czarną koszulę, małe srebrne kolczyki w kształcie ptaków. Spojrzał na nie i pomyślał, że są nowe. Kształtem przypominały rybitwy lub mewy. Włosy miała prawie tak krótkie jak on i przyprószone siwizną. Pozbyła się już próżności więc nie zwracała sobie głowy farbowaniem.

Uklękła obok niego i objęła go ramionami.

– Och, mój biedny ukochany – powiedziała. – Myślałeś, że zatrzymają mnie na komisariacie? Że zatrzymają mnie w areszcie? Nie, już po wszystkim. Policja wycofała zarzuty. Nie ma wystarczających dowodów. Oczywiście mogą cię oskarżyć, ale jaki to miałyby sens?

Nigdy nie udawała, że nie jest chory albo że wkrótce wyzdrowieje. Zdał sobie sprawę, że cały drży. Ulżyło mu, że ją widzi. Dożyje swoich dni tutaj, ale ona będzie razem z nim.

49.


Patty Keane stała przed więzieniem w Warkworth. Ściemniło się już, a wiatr wciąż był porywisty. Wróciła myślami do dzieci. Opieka społeczna znalazła kogoś, kto posiedzi z nimi przez kilka godzin i miała nadzieję, że nie będą się źle zachowywać. Vera stała obok niej. Solidna i bezpieczna. Wąskie drzwi w dużej drewnianej bramie otworzyły się i wyszła z nich drobna postać. Wyglądała jak oddalona o tysiąc mil, ale musiała dostrzec je pod jedną z latarni, które wyznaczały koniec parkingu, ponieważ ruszyła prosto w ich stronę. Gdy podeszła bliżej, Patty zobaczyła, że ma na sobie kolczyki, srebrne, połyskujące w blasku latarni.

Kiedy dzieliła je tylko niewielka odległość, Mary-Frances Lascuola zatrzymała się niepewnie.

– Ona się boi – powiedziała Vera. – Myśli, że może nie chcesz się z nią spotkać. Że jej nienawidzisz. – Mówiła tak cicho, że wiatr unosił jej słowa i Patty pomyślała, że może je sobie tylko wyobraziła.

Mimo to kobieta nie ruszyła się z miejsca i to Patty musiała do niej podejść. Stały zaledwie metr od siebie. Vera usunęła się w cień. Wtedy Mary-Frances podniosła rękę i pogłaskała Patty po policzku.

– Patricia – powiedziała. – Moja piękna dziewczynka.

 Writer2ePub

Created with Writer2ePub

by Luca Calcinai